

BESTSELLEROWA  
AUTORKA  
„NEW YORK TIMESA”



# JOY FIELDING

TERAZ  
JĄ WIDZISZ

Świat Książki

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Podziękowania



**JOY  
FIELDING**

**TERAZ  
JĄ WIDZISZ**

Z angielskiego przełożyła  
*Anna Zielińska*

  
**Świat Książki**  
wydawnictwo

Tytuł oryginału  
NOW YOU SEE HER

Wydawca  
*Grażyna Woźniak*

Redaktor prowadzący  
*Beata Kołodziejska*

Redakcja  
*Ewa Pawłowska*

Korekta  
*Marianna Filipkowska*  
*Jolanta Spodar*

Copyright © 2011 by Joy Fielding, Inc.  
Copyright © for the Polish translation by Świat Książki 2012

Świat Książki  
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Skład i łamanie  
*Joanna Duchnowska*

Dystrybucja  
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl), tel. 22 733 50 10  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

ISBN 978-83-8031-571-6

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dla moich dwóch cudownych dziewczyn –  
Shannon i Annie.  
Kocham was mocniej,  
niż potrafię wyrazić to w słowach.*

# I

– Proszę państwa, jeżeli na moment zbierzecie się wokół mnie, powiem kilka słów na temat tej wspaniałej budowli, którą macie przed sobą. – Przewodnik uśmiechnął się zachęcająco do grupy znużonych i nieco wymiętych turystów drepczących bezładnie przed fasadą kościoła Świętej Anny w dzielnicy Shandon. – Proszę tutaj, kochani – zachęcał z przesadnym irlandzkim zaśpiewem, niecierpliwie machając szmaragdowozielonym szalikiem wokół swej korpulentnej sylwetki. – Troszkę bliżej, młoda damo. Ja nie gryzę. – Uśmiechnął się szerzej, pokazując przy okazji rząd spektakularnie krzywych i przebarwionych dolnych zębów.

Mimo wszystko dobrze się stało, że Peter nie wybrał się na tę wycieczkę do Irlandii, pomyślała Marcy Taggart, niechętnie przesuwając się parę kroków do przodu. Jej mąż uznałby brak idealnego uśmiechu u tego biedaka za osobistą zniewagę. *Ludzie wydają tyle pieniędzy na lifting twarzy i markowe ciuchy, a zapominają o najważniejszym – o zębach* – obruszał się często. Peter był ortodontą i stąd brała się u niego skłonność do takich osądów. Czyż nie wyznał jej kiedyś, że tym, co na samym początku go w niej pociągało, wcale nie była smukła sylwetka ani duże ciemnobrązowe oczy, lecz ewidentna troska o higienę jamy ustnej, czego dowodem były proste i idealnie białe zęby? I pomyśleć, że w swoim czasie takie uwagi wydawały się jej romantyczne i traktowała je jako komplement!

– Czy mogę prosić o uwagę? – odezwał się przewodnik z odrobiną wyrzutu w głosie. Najwyraźniej zdążył przywyknąć do niezamierzonej arogancji tych, których miał pod swoimi skrzydłami, i już nie widział w ich zachowaniu obrazy. I chociaż każdy z tej grupy składającej się z dwudziestu czterech kobiet i mężczyzn, przeważnie w średnim wieku, słono zapłacił za jednodniową wycieczkę do Cork, drugiego pod względem wielkości miasta w Republice Irlandii, z liczbą mieszkańców dochodzącą do stu dwudziestu tysięcy, zaledwie nieliczni zwracali uwagę na to, co ten człowiek im opowiadał od chwili wyjazdu z Dublina.

Marcy starała się, naprawdę się starała. Co rusz powtarzała sobie, że ma się

skupić na słowach przewodnika, kiedy robił im wykład z historii Cork podczas wlokącej się niemiłosiernie podróży autokarem po dwustusiedemdziesięciokilometrowym odcinku zatłoczonej autostrady i po wąskich wiejskich drogach. Dowiedziała się, że nazwa Cork pochodzi od irlandzkiego słowa *corcach*, które wymawia się: „kar-kax” i oznacza „moczary” ze względu na położenie u ujścia rzeki Lee, że miasto zostało założone w VI wieku naszej ery, obecnie stanowi administracyjne centrum hrabstwa Cork i jest największe w całej prowincji Munster. Że tutejsi mieszkańcy często nazywali Cork „prawdziwą stolicą Irlandii” i że zyskało sobie przydomek „Zbuntowanego Hrabstwa” z powodu rebelii mającej coś wspólnego z poparciem pretendenta do tronu Anglii, Perkina Warbecka, w 1491 roku po wojnie dwóch róz. Obecnie było bardziej znane jako ośrodek przemysłowy południowej Irlandii, z dominującą branżą farmaceutyczną, a najbardziej popularnym specyfikiem tu produkowanym była, oczywiście, viagra.

Marcy przynajmniej się zdawało, że ich przewodnik coś takiego powiedział. Ale nie była do końca pewna. Niestety ostatnio zdarzało jej się odpływać w wyobraźnię, a niesamowita niegdyś pamięć do rzeczy zarówno ważnych, jak i zupełnie nieistotnych teraz, w wieku lat pięćdziesięciu, zdecydowanie osłabła. No i co z tego, pomyślała, dyskretnie wodząc zmęczonymi oczami po błyszczących twarzach współtowarzyszy, w końcu oni wszyscy mają już za sobą najlepsze lata.

– Jak zapewne widzicie, ze względu na swe godne pozazdroszczenia położenie na szczycie wzgórza wieża kościoła Świętej Anny dominuje nad całą północną częścią miasta – mówił przewodnik, podnosząc głos, żeby się przedrzeć przez gwar konkurencyjnych grup turystycznych, które niespodziewanie się materializując, walczyły teraz o miejsce na narożniku ruchliwej ulicy. – Kościół Świętej Anny jest najbardziej znanym zabytkiem, a charakterystyczna wieża w kształcie ogromnej solniczki, wzniesiona w tysiąc siedemset dwudziestym drugim roku, stała się symbolem Cork. Z każdego punktu w dole miasta będziecie widzieć tę wspaniałą kamienną wieżę ze złoconą kulą i unikatowym wiatrowskazem w kształcie ryby na szczycie. Dwie ze ścian kościoła są obłożone czerwonym piaskowcem, a pozostałe dwie białym wapieniem. Stąd właśnie wzięły się barwy drużyn piłkarskiej i hurlingowej Cork. – Przewodnik wskazał dużą, okrągłą, czarno-złotą tarczę zegara na środku najniższej kondygnacji czteropiętrowej wieży. – Mieszkańcy Cork regulują zegarki według tego zegara, a wiatrowskaz pozwala im przewidywać pogodę. – Delikatne chóralne bicie



dzwonów poniosło się z wieży w dolinę, wywołując pośród zebranych okrzyki zachwyty. – To nasz słynny zespół ośmiu dzwonów – oznajmił z dumą przewodnik. – Jak zapewne zdążyliście już zauważyć, słyhać je przez cały dzień w każdym zakątku miasta. A jeśli ktoś z was wdrapie się na dzwonnice, będzie mógł sam rozkołysać dzwony. I wybrać melodię, chociaż przeważnie ludzie decydują się albo na *Danny Boy*, albo na *Ave Maria*. – Przewodnik zaczerpnął oddechu. – No dobrze, macie teraz państwo pół godziny na obejrzenie wnętrza kościoła, a potem przejdziemy się po Patrick's Hill, abyście sami poczuli, jak tam jest stromo. Amerykanie twierdzą, że Patrick's Hill mogłoby spokojnie rywalizować ze sławnymi ulicami San Francisco.

– A jeśli ktoś nie ma ochoty na wspinaczkę? – zapytała starsza kobieta z tyłu grupy.

– Chyba na dziś mam dość kościołów – mruknął mężczyzna obok niej. – Nie wiem jak inni, ale ja chętnie wychyliłbym kufelek guinnessa.

– Ci z państwa, którzy już mają dość zwiedzania i woleliby trochę odsapnąć przed powrotem do autokaru, znajdą mnóstwo pubów w okolicy. Najprawdopodobniej zobaczycie tam jednak ludzi popijających *murphy's* albo *beamish*, dwa gatunki porteru produkowane w Cork.

– Mnie to pasuje – rzucił ktoś.

– Za godzinę spotykamy się na Parnell Place Bus Station – ogłosił przewodnik. – Proszę o punktualność, bo inaczej zabraknie nam czasu na obejrzenie słynnego zamku Blarney w drodze powrotnej do Dublinu. A przecież na pewno nie chcielibyście, aby ominęła was okazja pocałowania legendarnego Kamienia z Blarney, prawda?

Nie, zdecydowanie nie chcielibyśmy, pomyślała Marcy, przypominając sobie obrzydzenie, jakie u Petera wywołał pomysł, że przytrzymywany za nogi, miałby zawisnąć głową w dół jak nietoperz po to, żeby pocałować *jakiś brudny kawał szarej skały, oblepiony bakteriami i śliną innych ludzi*. Dokładnie tak to ujął, kiedy po raz pierwszy pokazała mu prospekty. *Kto przy zdrowych zmysłach miałby ochotę na coś takiego?* – obruszył się.

W odpowiedzi Marcy jedynie się uśmiechnęła. Peter już jakiś czas wcześniej przestał uważać ją za osobę przy zdrowych zmysłach.

Czy przede wszystkim nie dlatego zgodziła się pojechać na tę wycieczkę? Czyż wszyscy dokoła nie mówili, że zarówno dla jej zdrowia psychicznego, jak i dla ich małżeństwa istotne jest – a według niektórych osób wręcz konieczne – aby

spędzała więcej czasu z Peterem, czasu, kiedy oni, jako: „jedno ciało, jedna dusza”, mogliby uporać się z tym, co zaszło? Czy nie takiego właśnie określenia użył jej psychiatra?

Kiedy więc jej siostra rzuciła pomysł wyjazdu na coś w rodzaju powtórnego miesiąca miodowego z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu, Marcy z wielkim entuzjazmem zabrała się do przygotowań. To Peter zasugerował, żeby pojechali do Irlandii, bo jego matka pochodziła z Limerick. Od lat wspominał o pielgrzymce do ziemi swych przodków. Marcy z początku myślała o czymś bardziej egzotycznym – Tahiti, może Bali – jakimś miejscu, gdzie przeciętna temperatura w lipcu przekracza dwadzieścia pięć stopni i gdzie z kwiatami wpiętymi we włosy mogłaby sączyć mai tais na plaży, zamiast jechać tam, gdzie codziennie żłopie się guinnessa, a z powodu wilgoci fryzura musi wyglądać jak kępa zmierzwionego mchu, która przypadkiem wylądowała na głowie. Ale co za różnica, dokąd się wybiorą, przekonywała samą siebie, skoro pojedą tam jako „jedno ciało, jedna dusza”?

I tak stanęło na wyborze Petera.

A potem Peter wybrał kogoś innego.

Czy jedna osoba nadal liczy się jako „jedno ciało, jedna dusza”, zastanawiała się teraz, odkrywając, że w równym stopniu zachwyca ją oszalamiająca sceneria i sławetne czterdzieści odcieni zieleni irlandzkiego krajobrazu, co napawa niechęcią szare, nabrzmiałe deszczem niebo i przykra wilgoć, która oblepia ją niczym druga skóra.

Nie jest w stanie dłużej znosić tego dramatu, oznajmił Peter, kiedy poinformował ją, że odchodzi. *Tak będzie lepiej. Oboje na tym zyskamy. Sama zobaczysz, że poczujesz się szczęśliwsza. Przecież nadal możemy być przyjaciółmi.* Oklepane frazesy tchórzliwych dezertów.

*Przecież mamy jeszcze syna* – powiedział jej, jakby ten szczegół wymagał przypomnienia.

Nie mówiąc o córce.

Marcy zadrżała i owijając się szczelniej trenczem, postanowiła dołączyć do tej części grupy, która wybrała odpoczynek i szklaneczkę piwa. Byli w drodze od wpół do dziewiątej rano, kiedy autokar wystartował z Dublina. Po przyjeździe do Cork zjedli szybki lunch w tradycyjnym pubie, po czym udali się na trzygodzinne piesze zwiedzanie miasta, zaliczając takie znane miejsca, jak więzienie miejskie (po irlandzku *goal*) Cork Quay Market, operę oraz katedrę Świętego Findbara. Potem

przeszli się po St. Patrick's Street, handlowej arterii miasta, i zakończyli zwiedzanie na kościele Świętej Anny w Shandon. Dla chętnych została jeszcze wspinaczka po stromej St. Patrick's Hill. Ponieważ centrum Cork leży na wyspie u ujścia rzeki Lee, pomiędzy jej dwoma głównymi odnogami, miasto jest w naturalny sposób podzielone na trzy części: centrum, znane jako „płaskie śródmieście”, oraz North Bank i South Bank. Marcy przez całe popołudnie chodziła po mostach. Najwyższy czas wreszcie gdzieś przysiąść.

Dziesięć minut później siedziała już samotnie przy stoliku dla dwóch osób w jednym z wielu pubów z tradycyjnym irlandzkim wystrojem i z widokiem na rzekę Lee. Ciemne wnętrze idealnie pasowało do melancholii, która niespodziewanie ją dopadła. Szaleństwem był ten przyjazd do Irlandii, myślała. Tylko szalona kobieta wybiera się samotnie na powtórny miesiąc miodowy, nawet jeżeli wycieczka została opłacona z góry i nie można było liczyć na znaczny zwrot kosztów. Oczywiście mogła sobie pozwolić na stratę kilku tysięcy dolarów. Peter przedstawił bardziej niż hojną propozycję ugody. Najwyraźniej chciał uwolnić się od niej szybko i bez kłopotów. Marcy bezwiednie zachichotała. Jak to jest, że on więcej wysiłku włożył w ich rozwód niż w małżeństwo?

– Co panią tak rozbawiło? – odezwał się głos nad jej głową.

Podniosła wzrok i zobaczyła przystojnego młodego mężczyznę o nieco łobuzerskiej urodzie, z godnymi pozazdrosczenia prostymi, czarnymi włosami opadającymi na błyszczące, ciemnozielone oczy. W życiu nie widziała takich długich rzęs, pomyślała.

– Co podać, kochana? – zapytał młody człowiek, trzymając w gotowości notes i ołówek.

– Czy to będzie śmiesznie wyglądać, jeśli zamówię herbatę? – Zaskoczyło ją własne pytanie. Planowała zgodnie z sugestią przewodnika spróbować beamisha. Niemal usłyszała zjadliwą uwagę Petera: *Cała ty, zawsze na przekór.*

– Wcale nie – zapewnił ją kelner tonem, który miał sugerować, że mówi szczerze.

– Świetny pomysł z tą herbatą – odezwał się ktoś. – Niech pan przyniesie dwie. – Krzesło obok zaszurało o deski podłogi. – Pozwoli pani, że się przysiądę? – Mężczyzna usiadł, zanim zdążyła otworzyć usta.

Marcy rozpoznała w nim uczestnika wycieczki, lecz nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa. Jakoś tak z włoska, pomyślała, sytuując go na miejscu przy oknie, w trzecim rzędzie za kierowcą. Uśmiechnął się do niej, kiedy

szła na swoje miejsce w tyle autokaru. *Ładne zęby* – zabrzmiał jej wtedy w uszach szept Petera.

– Vic Sorvino – przedstawił się, wyciągając rękę.

– Marcy Taggart – odpowiedziała i tylko nieznacznie machnęła dłonią z nadzieją, że ten gest powinien go zadowolić. Czemu się przysiadł? Mógł wybrać inny stolik.

– Taggart? Czyżbyś była Irlandką?

– Mój mąż jest Irlandczykiem.

Vic spojrział w stronę długiego baru biegnącego wzdłuż jednej ściany pomieszczenia.

– Przepraszam, nie zorientowałem się, że podróżujesz w towarzystwie – powiedział, nie objawiając przy tym ochoty do zwolnienia krzesła.

– Nie ma go tu.

– Nie lubi wycieczek autokarowych?

– Nie lubi być żonaty – usłyszała własną odpowiedź. – Przynajmniej nie ze mną.

Vic wyglądał na nieco zaskoczonego.

– Towarzyskie pogawędki nie są twoją mocną stroną, prawda?

Marcy roześmiała się wbrew chęci i odgarnęła burzę loków, opadających na pociągłą twarz.

*Tyle włosów przy takiej drobnej buzi* – jak by to ujęła jej własna matka.

– Przepraszam – powiedziała. – To zapewne podpada pod kategorię: „nadmiar informacji”.

– Bzdura. Należę do szkoły, która docenia wagę informacji.

– W takim razie trzymaj się w pobliżu – wypaliła i natychmiast pożałowała tych słów. Zachęcanie go do ewentualnych zalotów było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

Kelner przyniósł herbatę.

– Prawdopodobnie uważa nas za dziwolągów, bo zamawiamy herbatę w pubie – zauważyła, odprowadzając spojrzeniem przystojnego młodego mężczyznę. Przyglądała się, jak flirtując z kilkoma kobietami okupującymi wysokie stołki przy barze, nalewa beczkowe piwo do sześciu kufli, po czym zręcznym ruchem nadgarstka posyła je ślizgiem po ciemnym, wypolerowanym blacie do grupki hałaśliwych młodych mężczyzn. Jego adoratorki nagrodziły ten wyczyn głośnym aplauzem. Ten to może mieć każdą kobietę, na którą mu przyjdzie ochota, pomyślała z roztargnieniem, oceniając wiek kelnera na jakieś trzydzieści lat

i zastanawiając się jednocześnie, czy spodobałby się jej córce.

– Prawdę mówiąc, Amerykanie mają mylne pojęcie na temat irlandzkich pubów – odezwał się Vic, ściągając Marcy na ziemię swym ciepłym barytonem. – To nie są typowe bary. Tu się przy drinku podtrzymuje kontakty towarzyskie. Ludzie przychodzą spotkać się z przyjaciółmi czy z sąsiadami i wielu z nich wcale nie zamawia alkoholu, tylko herbatę albo jakieś inne napoje. Wyczytałem to w przewodniku – wyjaśnił zmieszany. – Skąd jesteś? – zapytał, ponieważ Marcy się nie odzywała.

– Z Toronto – odpowiedziała uprzejmie.

– Toronto to piękne miasto – podchwycił natychmiast. – Byłem tam kilka razy w interesach. – Zamilkł, wyraźnie czekając, aż zapyta: „Kiedy? W jakich interesach?”. Ponieważ tego nie zrobiła, dokończył: – Kilka lat temu. Pracowałem w branży technicznej. Robiliśmy takie różne wihajstry.

– Co za klajstry? – zapytała Marcy, teraz zdając sobie sprawę, że słucha go jednym uchem.

Vic roześmiał się i taktownie ją poprawił:

– Wihajstry. Takie różne techniczne przybory, których nazw zazwyczaj się nie pamięta. Gadżety – dodał na wszelki wypadek.

Marcy w milczeniu sączyła herbatę. Jestem idiotką, pomyślała.

– W zeszłym roku sprzedałem firmę i przeszedłem na emeryturę – opowiadał dalej. – Pochodzę z Chicago – dorzucił, gdy z jej strony nie padło żadne pytanie.

Zdołała się na układny uśmiech. Zawsze podobało jej się Chicago. Tam powinna była pojechać, myślała, kiedy w torebce zadzwoniła komórka. Chicago ma piękną architekturę i ciekawe dzielnice. Tam deszcz nie pada codziennie.

– Czy to czasem nie twój telefon? – zapytał Vic.

– Hę? Och! – Wygrzebała komórkę z dna torebki i przyłożyła do ucha. – Halo?

– Gdzie ty, do diabła, jesteś?! – odezwał się gniewny głos siostry.

– Judith?

– Gdzie ty się podziewasz? Od ponad tygodnia nie mam od ciebie wiadomości. Co się dzieje?

– Czy wszystko w porządku? Coś się stało Darrenowi?

– Marcy, twój syn jest cały i zdrowy – odparła Judith, nie próbując ukryć zniecierpliwienia. – To o ciebie się niepokoję. Dlaczego ani razu nie oddzwoniłaś po moich telefonach?

– Nie sprawdzałam wiadomości.

– Niby czemu?

Dlatego że nie miałam ochoty z tobą rozmawiać, odpowiedziała w myślach Marcy, nie mówiąc jednak tego głośno. Judith już i tak była wystarczająco zdenerwowana. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak jej o dwa lata starsza siostra krąży po marmurowej posadzce swego nowego, luksusowego mieszkania. Najprawdopodobniej w tej chwili ma na sobie swój standardowy strój – czarne luźne spodnie dresowe i czarny podkoszulek, albo właśnie skończyła ćwiczyć, albo za chwilę zacznie. Judith przynajmniej połowę dnia poświęcała na gimnastykę – pierwsza rzecz z rana to trzydzieści minut pływania w basenie, potem salsa przez godzinę lub dwie, a po południu półtorej godziny hot jogi. A gdy była w odpowiednim nastroju i wystarczało jej czasu, dorzucała jeszcze pilates. *Dla wzmocnienia mięśni brzucha* – tłumaczyła, chociaż brzuch miała płaski i twardy jak deska. Być może chrupie teraz surową marchewkę, spekulowała Marcy; dieta jej siostry składała się wyłącznie z sushi, surowych warzyw i od czasu do czasu łyżki masła orzechowego. Obecnie Judith była z mężem numer pięć. Mając osiemnaście lat, dała sobie podwiązać jajowody, ponieważ w czasach, kiedy obie jeszcze były nastolatkami, postanowiła nigdy nie mieć dzieci.

*Naprawdę chcesz podjąć takie ryzyko?* – spytała wtedy Marcy.

– Coś mi tu nie gra – stwierdziła teraz Judith. – Przyjadę do ciebie.

– Nie możesz. – Marcy zbłądziła spojrzeniem na wystawowe okno pubu.

– Dlaczego?

– Nie ma mnie w domu.

– A gdzie jesteś?

– W Irlandii – odpowiedziała Marcy po długiej pauzie.

– Coo?!

– Jestem w Irlandii – powtórzyła, dobrze wiedząc, że Judith usłyszała ją za pierwszym razem, po czym na wszelki wypadek odsunęła telefon od ucha, licząc się z piskliwą reakcją.

– Powiedz, że żartujesz.

– Nie żartuję.

– Czy ktoś jest tam z tobą?

– Judith, ja się dobrze czuję. – Marcy zobaczyła cień sylwetki za szybą. Ten cień przystanął, pomachał do barmana, a on odpowiedział szelmowskim uśmiechem.

– Wcale się dobrze nie czujesz. Nie jesteś do końca sobą. Żądam, abyś natychmiast wróciła do domu.



– To niemożliwe. – Cień wkroczył w smugę światła, po czym odwrócił się i zniknął.

– O Boże! – sapnęła Marcy, zrywając się na równe nogi.

– Co takiego? – zapytali jednocześnie Vic i Judith.

– Co się dzieje? – dodała jeszcze siostra.

– Mój Boże, to Devon! – krzyknęła Marcy i potracając biodrem sąsiedni stolik, popędziła do drzwi.

– Co?

– Właśnie ją widziałam. Jest tutaj.

– Marcy, uspokój się. Mówisz jak wariatka.

– Nie jestem wariatką.

Marcy pchnęła ciężkie drzwi i walcząc ze łzami, rozglądała się po pełnej turystów ulicy. W powietrzu wisiała rozpylona mżawka.

– Devon! – wołała, biegnąc wzdłuż nabrzeża Lee. – Gdzie jesteś?! Wracaj! Proszę, wróć!

– Marcy, błagam cię – przemawiała jej do ucha Judith. – To nie Devon. Wiesz, że to nie ona.

– Wiem, co widziałam. – Marcy przystanąła przed St. Patrick's Bridge, wahając się, czy przejść na drugą stronę. – Mówię ci. Ona tu jest. Widziałam ją.

– Nie mogłaś jej widzieć – tłumaczyła łagodnie Judith. – Marcy, Devon nie żyje.

– Mylisz się. Jest tutaj.

– Twoja córka nie żyje – powtórzyła Judith przez łzy.

– Idź do diabła! – krzyknęła Marcy i cisnąwszy komórkę do rzeki, przeszła przez most.

## 2

Po paru minutach pogubiła się w labiryncie pasaży wijących się wzdłuż rzeki. W normalnych okolicznościach cieszyłaby ją wędrówka wąskimi uliczkami z mnóstwem małych urokliwych butików, gdzie Stary Świat zaznacza swą obecność w środku tętniącego życiem, nowoczesnego miasta, lecz tym razem zachwyty przegrał z narastającą frustracją.

– Devon! – zawołała, przebijając się wzrokiem przez wszechobecny tłok i wodząc oczami ponad czarnymi czaszami rozłożonych parasoli. Szło przed nią dwóch nastolatków, którzy nie zwracając uwagi na krople deszczu spływające po plecach, śmiali się i poszturchiwali nawzajem, jak to mają w zwyczaju wszyscy chłopcy w tym wieku.

Jeden z nich obejrzał się na dźwięk jej głosu i zanim odwrócił się do swego towarzysza, spojrzał na nią przelotnie obojętnym wzrokiem. Ten brak zainteresowania ani Marcy nie zdziwił, ani nie dotknął. Dobrze rozumiała, że jest „niewidzialna” dla nastoletnich chłopców, bo takie samo puste spojrzenie widywała nieraz u kolegów swego syna. Dla nich istniała, o ile w ogóle istniała, jako para rąk potrzebna do przygotowania kanapek na lunch albo jako substytut automatycznej sekretarki, której zadaniem jest przekazywanie synowi bardzo istotnych wiadomości. Czasami przydawała się jako wymówka: *Dziś wieczorem nie mogę wyjść; mama nie najlepiej się czuje*, lecz znacznie częściej była zawałidrogą: *Dziś wieczorem nie mogę wyjść; jestem z mamą na wojennej ścieżce*.

– Mamuś, mamuś, mamuś – powtarzała szeptem, usiłując sobie przypomnieć, jak to słowo brzmiało w ustach Devon, i jednocześnie przywołując obraz własnej matki, kiedy ta była jeszcze młoda i pełna życia. Zadziwiająca, myślała, że takie proste słowo może tak dużo znaczyć, mieć w sobie tyle siły i budzić tak wiele różnych emocji. – Devon! – zawołała jeszcze raz, choć już nie tak głośno. – Devon – tym razem imię córki ledwo wymknęło się z ust. Z oczami pełnymi łez i z mokrymi kosmykami przyklejonymi do czoła krążyła po uliczkach, kierując się w stronę głównej drogi. Kilka sekund później znalazła się na ruchliwym skrzyżowaniu St.

Patrick's Street z Merchant's Quay.

Miała przed sobą przytłaczające centrum Merchant's Quay, zadaszone zbiorowisko sklepów, główny kompleks handlowy w mieście. Stała wpatrzona w budynek, myśląc, że właściwie powinna wejść do środka, chociażby po to, żeby ukryć się przed deszczem, a jednocześnie nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Czy Devon tutaj się ukryła? Czy snuje się po sklepach, czekając, aż ustanie nagła ulewa? Czy szuka seksownej bielizny u Marksa i Spencera albo poluje na bluzkę retro w tureckie wzory w butiku Laury Ashley? Co mam zrobić, zastanawiała się Marcy, decydując się jednak nie wchodzić do środka. W dużych centrach handlowych zawsze czuła się nieswojo, nawet w najlepszych czasach.

A to zdecydowanie nie był dla niej najlepszy czas.

Puściła się biegiem po St. Patrick's Street i wyęzając wzrok, rozglądała się na prawo i lewo, szukając w twarzach mijanych młodych kobiet delikatnych rysów Devon. Zbliżając się do Paul's Lane, usłyszała przewodnika, który grupce zmokniętych, wiercących się turystów opowiadał, że jeszcze niedawno na tej uliczce było mnóstwo galerii dawnej sztuki i antykwariatów, co czyniło ją wyjątkowym miejscem, lecz niestety sklepy zostały pozamykane z powodu wysokich czynszów i z braku zainteresowania młodzieży czymkolwiek, co ma więcej lat niż oni.

– W dzisiejszych czasach – mówił, pomlaskując z dezaprobatą pod jaskrawozieloną parasolką – wszystko ma obowiązek być nowe.

St. Patrick's Street łagodnym łukiem o kształcie nieśmiałego uśmiechu łączyła się z Grand Parade, przestronnym pasażem, gdzie sklepy i biura przeplatały się z urokliwymi osiemnastowiecznymi kamieniczkami i pozostałością murów obronnych. Marcy cały czas kierowała się na południe, omiatając spojrzeniem puste ławki w Bishop Lucey Park. Przeszła na South Mall, szeroką ulicę z trzypasmową jezdnią, finansowe centrum Cork. Kamienice w stylu georgiańskim stanowiły jeden wielki ciąg banków, kancelarii prawnych i towarzystw ubezpieczeniowych. Tutaj Devon na pewno nie znajdzie, stwierdziła. Jej córka nigdy nie czuła się dobrze w tego rodzaju instytucjach. A jeszcze gorzej radziła sobie z pieniędzmi.

Marcy przeszedł dreszcz na wspomnienie tamtej sytuacji, gdy zwymyślała Devon za podebranie czterdziestu dolarów z portmonetki. Tyle zamieszania o taką małą kwotę. Boże jedyny, zareagowała tak, jakby Devon ukradła klejnoty koronne.

– *Ja tylko pożyczyłam te pieniądze* – zaperzyła się Devon. – *Miałam zamiar je oddać.*

- *Nie w tym rzecz* – zaprotestowała Marcy. – *Tu chodzi o zaufanie.*
- *Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz?*
- *Mówię tylko, że nie podoba mi się, kiedy bierzesz coś bez pytania.*
- *Ja tylko pożyczyłam.*
- *Bez pytania.*
- *Przepraszam. Nie wiedziałam, że to aż taka wielka sprawa.*
- *Tak, to jest wielka sprawa.*
- *Przecież przeprosiłam, nie? Boże, jaki ty masz problem?*

Jaki miała problem, zastanawiała się teraz, ledwo widząc chodnik przed sobą, bo rzęsy miała ciężkie od deszczu – a może od łez. Dlaczego rozdmuchała tamtą historię do takich rozmiarów? Czyż nastolatkom nie zdarza się od czasu do czasu podkraść pieniędzy z portmonetek matek? I co z tego, że Devon miała wtedy prawie dwadzieścia jeden lat? Nadal była dzieckiem, mieszkała w domu pod opieką matki.

Pod opieką matki, ironicznie powtórzyła w myślach Marcy. Czy Devon kiedykolwiek czuła się chroniona w domu rodzinnym?

A ona, czy ona czuła się tak w swoim?

Wszystko, co się stało, to moja wina, stwierdziła w duchu Marcy i w tej samej chwili, pośliznąwszy się na mokrych płytach, poleciała na chodnik jak wyrzucony kawałek zmiętego papieru. Natychmiast wilgoć z ziemi przesiąkła przez trencz i granatowe spodnie, ale ona nawet nie próbowała się podnieść. Dobrze mi tak, pomyślała, wracając wspomnieniem do tamtego okropnego popołudnia, kiedy do domu przyjechała policja z wiadomością, że Devon nie żyje.

A to nieprawda, bo ona żyje.

Jest tutaj.

Mam ją dokładnie przed sobą, stwierdziła wstrząśnięta, zadzierając głowę w kierunku młodej kobiety, która wyłoniła się z dwupiętrowego szarego budynku, dokładnie po przeciwnej stronie ulicy. Devon żyje, a na dodatek jest w Cork. Przecież stoi przed nią.

Marcy pozbierała się z chodnika, ignorując szepty zaniepokojonych przechodniów, którzy przystanęli, chcąc jej pomóc. Nie zważając na pojazdy nadjeżdżające z obu stron, wyskoczyła na jezdnię, niepomna, że tu, w przeciwieństwie do Ameryki, obowiązuje ruch lewostronny, przez co omal nie wpadła pod pędzący skuter. Kierowca rzucił za nią wyzwisko, soczyste czteroliterowe anglosaskie słowo, które odbiło się echem od ulicy, przyciągając

uwagę wszystkich w pobliżu, łącznie z Devon, gdyż ona również obejrzała się na dźwięk gniewnego przekleństwa.

Niestety to nie Devon.

Marcy natychmiast się zorientowała, że to nie jest ta sama młoda kobieta, za którą wcześniej pobiegła. Dziewczyna była przynajmniej o siedem centymetrów wyższa od Devon. Jej córka zawsze narzekała, że nie mieści się w obowiązującym obecnie kanonie urody, mając zaledwie metr sześćdziesiąt cztery wzrostu.

– *Dlaczego odziedziczyłam nogi po tobie, a nie po Judith?* – pytała Devon matkę z pretensją w głosie, jakby ona miała na to jakiś wpływ.

– *Ja też zawsze chciałam mieć jej nogi* – odpowiadała Marcy współczująco, szukając nici porozumienia.

– Marcy! – usłyszała wołanie gdzieś z oddali.

W jej uszach własne imię zabrzmiało dziwnie, co więcej: bezsensownie.

– Marcy Taggart! – ponownie dobiegło ją wołanie, a imię zaczęło powiększać się jak gąbka, nabierać wagi, stawać się realne i zdecydowanie znajome. Ktoś wyrósł przy niej i dotknął jej ramienia. – Marcy, co z tobą?

Pole widzenia wypełniła twarz mężczyzny. Jej właściciel miał mocną opaleniznę i ciemne włosy posiwiałe na skroniach. Sympatyczna twarz, pomyślała, wyrwana z oszołomienia przez parę niepokojąco niebieskich oczu. Czemu wcześniej ich nie zauważyła?

– Vic Sorvino – przypomniał mężczyzna, cały czas trzymając rękę na jej ramieniu, jakby się bał, że lada moment zerwie się do ucieczki.

– Wiem, kim jesteś – odparła niecierpliwie. – Nie jestem szurnięta.

– Przepraszam. Nie zamierzałem sugerować...

– Przecież nie straciłam nagle pamięci.

– Przepraszam – powtórzył. – Po prostu się o ciebie niepokoiłem.

– Czemu?

– No wiesz, sposób, w jaki wypadłaś z pubu... – Zamilkł i rozejrzał się po ulicy, jakby kogoś szukał. – Widzę, że jej nie znalazłaś.

– O kim ty mówisz?

– O dziewczynie, którą goniłaś. Zdaje się, nazwałaś ją Devon.

– Widziałeś ją? – zapytała z nadzieją. – Wróciła? – Dlaczego nie wpadła na pomysł, żeby wrócić do pubu, zamiast bez sensu krążyć po ślepych uliczkach, goniąc własny ogon?

– Nie. Nikogo nie widziałem – zaprzeczył Vic. – Wiem tylko, że w jednej chwili

siedziałaś ze mną, popijając herbatę z telefonem przy uchu, a w drugiej wybiegłaś na ulicę, wołając: „Devon!”.

– Poszedłeś za mną?

– Próbowałem, ale zgubiłem cię w tłumie, kiedy przeszłaś przez most.

– Dlaczego?

– Dlaczego cię zgubiłem?

– Dlaczego za mną szedłeś? – zapytała Marcy.

– Właściwie sam nie wiem. Chyba się przejąłem. Wyglądałaś tak, jakbyś zobaczyła ducha.

Marcy popatrzyła na niego badawczo. Czy tak właśnie było? Czy dziewczyna, którą widziała, była jedynie ułudą, wytworem jej udreżonej wyobraźni? Najwyraźniej tak właśnie myślała Judith. Czyżby miała rację?

Nie pierwszy raz goniła za zjawą.

Wielokrotnie w ciągu ostatnich dwudziestu miesięcy zatrzymywała na ulicy nieznaną kobietę, przekonana, że każda, choćby trochę podobna do Devon, jest jej utraconą córką. Wielokrotnie była w stu procentach pewna, że dziewczyna czekająca w kolejce do kasy w sklepie spożywczym czy obściskująca się z chłopakiem na rogu lub chichocząca z koleżankami na patio restauracji to jej dziecko.

I za każdym razem się myliła.

Czy i teraz doszło do pomyłki? Czemu niby jej córka miałaby akurat tu przebywać? Czy w ogóle to miało jakiś sens?

Z drugiej strony to wcale nie jest takie niemożliwe, przekonywała siebie. Jak często Devon słyszała z ust ojca peany na cześć Irlandii? To najpiękniejszy kraj na świecie, powtarzał z przekonaniem, obiecując zabrać ją tam, jak tylko znajdzie czas. Devon uwielbiała ojca i dlatego to, że schroniła się właśnie w Irlandii, wcale by Marcy nie zdziwiło.

Czy z tego powodu zdecydowała się tu przyjechać? Czy intuicyjnie wyczuwała, że odnajdzie Devon?

– Chyba jednak zobaczyłam ducha – powiedziała, widząc, że Vic liczy na jakąś odpowiedź.

– To się zdarza.

Marcy skwapliwie pokiwała głową, zastanawiając się, co on wie o duchach.

– Powinniśmy wracać do autokaru.

Vic wziął ją pod łokieć i z atencją prowadził po South Mall w stronę Parnell



Place. Gdy zobaczyli naburmuszoną minę przewodnika, który zniecierpliwiony przechadzał się przed autokarem, ulewa zelżała do mżawki.

– Przepraszamy za spóźnienie – odezwała się Marcy, gdy przewodnik gestem ręki dał im znak, żeby czym prędzej wsiedli do autokaru.

– Proszę zająć miejsca – ponaglił ich i polecił kierowcy włączyć silnik.

Współpasażerowie przyglądali jej się z nieukrywaną niechęcią, kiedy przepychała się na swoje miejsce. Gdy autokar ruszył z parkingu, zarzuciło ją i straciła równowagę.

– Ostrożnie – odezwał się Vic, chwytając ją za tył płaszcza.

Co on tu jeszcze robi? – pomyślała, uwalniając się z mocnego uścisku. Na opiekunkę była za stara, a w rycerzy w srebrzystej zbroi dawno przestała wierzyć. Błyszcząca zbroja szybko rdzewieje, szczególnie na deszczu.

– Proszę jak najszybciej się usadowić – odezwał się przewodnik, kiedy Marcy dojrzała do swego miejsca w tyle autokaru, a Vic wpaśował się w fotel obok niej. – Za kilka minut będziemy przejeżdżać przez Blarney, które słynie z jednej z najbardziej imponujących warowni w Irlandii – obwieścił przewodnik na następnym oddechu – mimo że z zamku zachowała się jedynie potężna wieża z przedpiersiem wysokości dwudziestu pięciu metrów lub, jak kto woli, osiemdziesięciu dwóch stóp. Kamień z Blarney jest usytuowany pod blankowaniem. Tym, którzy go pocałują, gwarantuje podobno dar wymowy. Muszę państwu wyznać, że ja całowałem go wielokrotnie. – Tu przewodnik zrobił przerwę na śmiech, który obowiązkowo ją wypełnił. – Zamek w Blarney jest znany również z pięknych ogrodów oraz zadrzewionej doliny z jeziorem Blarney. Być może któregoś dnia wybierzecie się państwo na zwiedzanie lochów wykutych w skale u podnóża zamku, a także jaskini Badger pod zamkiem, o ile nie cierpicie na klaustrofobię. Niestety, dziś już nie damy rady tam zajrzeć. – Głośny pomruk niezadowolenia przetoczył się po autokarze. – Przykro mi, lecz uprzedzałem, żeby stawić się na miejsce zbiórki punktualnie. Ewentualne zażalenia należy składać w biurze podróży po powrocie do Dublina. Być może firma zwróci wam część kosztów albo zaproponuje zwiedzanie Blarney w jakimś innym terminie. Pomimo tłumów, jakie tam się przewijają, na pewno warto zrobić taką wycieczkę. – Spojrzał gniewnie na Marcy, jakby z góry obwinił ją o skromniejsze napiwki. Kilka głów odwróciło się ku niej i spiorunowało wzrokiem.

– Bardzo przepraszam – wyszeptała, nie adresując tych słów do nikogo w szczególności, po czym utkwiała spojrzenie w szybie, widząc tam jedynie własne

odbicie. Kiedyś podobno uważano mnie za piękność, pomyślała, zastanawiając się, czemu wygląda na taką zmęczoną i starą. Ludzie zawsze dawali jej dziesięć lat mniej i może rzeczywiście wyglądała na młodszą, niż w rzeczywistości była. Ale tak było przedtem. Zanim jej życie radykalnie się zmieniło. Przed tamtym potwornym październikowym popołudniem, kiedy zobaczyła policyjny radiowóz zajeżdżający przed ich przestronny bungalow w Hogg's Hollow i dwóch policjantów idących powoli po ścieżce do drzwi. Na widok ich odprasowanych niebieskich mundurów oddech uwiązał jej w boleśnie zaciśniętych płucach.

Od zawsze nie cierpiała mundurów.

– *Nie zamierzasz otworzyć?!* – krzyknął Peter z salonu, bo akurat oglądał jakiś mecz w telewizji. – *Marcy!* – zawołał. – *Otwórz drzwi!* – ponaglił ją, kiedy dzwonek odezwał się po raz drugi i trzeci. – *Gdzie ty jesteś?! Czemu nie otwierasz?!*

– *To policja* – wychrypiła, czując, jak nogi zmieniają się w ołów i nie jest w stanie zrobić kroku. Nagle znowu miała piętnaście lat i stała obok siostry w gabinecie dyrektora szkoły.

– *Policja?* – Peter wmaszerował do holu i energicznym szarpnięciem otworzył drzwi. – *O co chodzi?* – zapytał i te słowa zawisły złowrogo w powietrzu, kiedy wprowadził dwóch mężczyzn do środka.

– *Doktor Peter Taggart?*

– *To ja.*

– *Pan jest właścicielem letniego domu nad Georgian Bay* – upewnił się jeden z nich, a Marcy poczuła, jak cała drętwieje. Odwróciła głowę; nie chciała patrzeć na ich twarze. Jeżeli nie będzie widzieć ich twarzy, założyła irracjonalnie, nie usłyszy tego, co mają do powiedzenia.

– *Tak. Zgadza się* – potwierdził Peter. – *Nasza córka pojechała tam na weekend z kilkoma przyjaciółkami. Czemu panowie o to pytacie? Czy coś się stało? Znowu uruchomiła alarm?*

– *Devon Taggart jest pańską córką?*

– *Tak. Czy ma jakieś kłopoty?*

– *Obawiamy się, że doszło do wypadku* – oznajmił policjant. – *Może zechciałby pan usiąść.*

– *Może zechcielibyście powiedzieć, o co chodzi.*

Marcy kątem oka zauważyła, że policjant skinął głową, po czym wbił wzrok w podłogę.

– *Sąsiedzi widzieli, jak pańska córka około dziesiątej rano wypłynęła kajakiem. Woda*

była dość wzburzona, a ona nie miała kamizelki ratunkowej. Ponieważ nie wracała, po mniej więcej trzech godzinach zdecydowali się wezwać policję. Niestety znaleziono wywrócony kajak na środku zatoki.

– A Devon? – zapytał cicho Peter. Jego twarz miała teraz odcień pergaminu.

– Nadal jej szukają.

– To znaczy, że jej nie znaleźliście – włączyła się do rozmowy zdecydowanym tonem Marcy, nadal nie patrząc w stronę policjantów.

– Na razie nie.

– Hmm, to dobrze. Najprawdopodobniej dołynęła do brzegu.

– Obawiam się, że szanse są raczej niewielkie – odpowiedział policjant ledwo słyszalnym głosem. – Kajak znaleziono wiele mil od wybrzeża.

– Mógł dryfować – stwierdziła Marcy z uporem.

– Tak – zgodził się policjant. – To prawdopodobne.

– Devon jest bardzo dobrą pływaczką.

– Woda była bardzo zimna – stwierdził drugi policjant. – Wątpliwe, aby...

– Powiedział pan, że córka pojechała do domku z koleżankami? – zapytał Petera pierwszy funkcjonariusz, wchodząc w słowo kolede.

– Tak – odparł Peter. – Z Carrie i z Michelle. Nie pamiętam nazwisk – dodał, patrząc bezradnie na żonę.

Bo nigdy ich nie poznałeś, pomyślała gniewnie Marcy. Kiedy zadałeś sobie trud, żeby zapytać o nazwisko którejkolwiek z koleżanek Devon? Zawsze byłeś cholernie zajęty pracą albo golfem. Chociaż Devon wcale nie miała o to pretensji.

– Stafford i Harvey – poinformowała policjantów. – Na pewno będą umiały powiedzieć, gdzie jest Devon.

– Według słów sąsiadów córka państwa była w domku sama.

– Niemożliwe. Powiedziała, że jedzie tam z Carrie i Michelle. Czemu miałyby kłamać?

Czemu zazwyczaj kłamała? – pomyślała teraz Marcy, ocierając łzę.

– Jak się czujesz? – natychmiast zapytał Vic, jakby obserwował jej każdy ruch.

Nie odpowiedziała. Osunęła się niżej w fotelu i zamknęła oczy, udając, że śpi.

– Nie zauważyliście państwo przypadkiem, czy córka ostatnio nie miała depresji? – usłyszała pytanie jednego z policjantów.

– Według pana to nie był wypadek? – podsunął Peter, uchylając się od odpowiedzi na pytanie policjanta. Marcy musiała przytrzymać się za ręce, żeby go nie uderzyć, i zacisnąć palce, aby nie wydrapać mu oczu. Jak śmie coś takiego sugerować, i to na dodatek na głos?

– *Muszę zapytać: Czy istnieje możliwość, że córka popełniła samobójstwo?*

– *Nie, wykluczone!* – stwierdziła stanowczo Marcy i zanim Peter zdążył zastąpić jej drogę, uciekła z pokoju i przebiegła przez korytarz. Otworzyła na oścież drzwi do sypialni Devon, ogarniając całe wnętrze jednym spojrzeniem.

Kartka leżała oparta o poduszkę Devon.

– Co prawda nie udało nam się zwiedzić zamku Blarney – mówił teraz przewodnik – lecz myślę, że jesteście państwo zadowoleni z wycieczki. – Marcy otworzyła oczy, żeby sprawdzić, czy wjechali już do Dublina. – Jak pewnie sami widzicie, jeden dzień to za mało, żeby docenić wszystkie uroki Cork. Warto jeszcze zajrzeć do biblioteki, zwiedzić Muzeum Masła i Crawford Art Gallery. I proszę nie zapomnieć o uniwersytecie, gdzie w kampusie mieszka ponad siedemnaście tysięcy studentów z całego świata.

Ponad siedemnaście tysięcy studentów z całego świata, powtórzyła Marcy w myślach. Jak łatwo komuś takiemu jak Devon byłoby wmieszać się w tłum. Zniknąć.

– *Czy miałaś kiedyś ochotę zniknąć?* – spytała Devon któregoś dnia Marcy, jakiś czas przed znalezieniem wywróconego kajaka na lodowatych wodach Georgian Bay. – *Wyjechać dokądś i zacząć wszystko od nowa jako zupełnie ktoś inny?*

– *Kochanie, proszę, nie opowiadaj takich rzeczy* – odparła Marcy. – *Ty masz wszystko.*

Jak można powiedzieć coś równie głupiego, myślała teraz. Właśnie ona, bardziej niż ktokolwiek inny, powinna wiedzieć, że posiadanie wszystkiego nie gwarantuje niczego.

Nigdy nie odnaleziono ciała Devon.

– To ciebie widziałam – wyszeptała.

– Przepraszam, mówiłaś coś? – zapytał Vic.

– Nie – zaprzeczyła, potrząsając głową. A wewnętrzny głos wykrzyczał: Devon, ty żyjesz, prawda?! Jesteś tu. Wiem, że tak. I znajdę cię, obojętnie, ile wysiłku i czasu miałoby to kosztować.

### 3

Gdy Marcy wróciła do pokoju w hotelu, światelko automatycznej sekretarki telefonu pulsowało złowieszczo.

To jakaś pomyłka, uznała, zrzucając wyplamiony i ciągle wilgotny płaszcz na jasnobieżową wykładzinę i strząsając z nóg buty, dotychczas niezawodne czarne pantofle na płaskim obcasie, które około drugiej po południu całkowicie straciły wiarygodność. Przycupnięta na brzegu małżeńskiego łóżka wpatrywała się w migającą czerwoną lampkę, dumając, kto mógłby do niej dzwonić. Przecież nikt nie wiedział, że tu jest.

Prawdopodobnie firma autokarowa, zdecydowała. Uznali, że przeze mnie wycieczka nie dojechała do zamku Blarney, i chcą mnie obciążyć ewentualnymi kosztami. W porządku, tyle mogę dla nich zrobić, pomyślała, postanawiając później odsłuchać wiadomość. Położyła głowę na poduszkach w koronkowych powłóczkach, ułożonych w głowach łóżka, i oparła stopy na pikowanej, puchowej kapie, czując, że zasypia. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest wyczerpana. Zamknęła powieki. Niemal w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Otworzyła szeroko oczy, odwracając głowę w stronę dźwięku, i nowa myśl, niczym szpikulec do lodu, przeszła jej mózg.

Czy to Devon, zastanawiała się, wpatrzona w czarny telefon. Czy możliwe, iż od początku wie, że ona tu jest, i akurat w chwili, gdy Marcy spojrzała na okno, przyglądała się jej przez szybę w pubie? Może z bezpiecznej odległości obserwowała szaleńczą pogoń matki i zamierzała się ujawnić, gdy niespodziewanie pojawił się Vic Sorvino? Czy szła za nimi na dworzec autobusowy i widziała, jak wsiadają do autokaru do Dublina, a potem obdzwoniła wszystkie luksusowe hotele w mieście, rozpaczliwie próbując ją odszukać? Czy to możliwe?

Z sercem trzepoczącym szaleńczo gdzieś pomiędzy klatką piersiową a przelykiem, powoli, ostrożnie podniosła słuchawkę z widełek i przyłożyła do ucha.

– Marcy? Marcy, jesteś tam? – Głos Petera wypełnił duży elegancki pokój. –

Marcy? Słyszę twój oddech. Odezwij się.

Łzy rozczarowania zakręciły się w jej oczach.

– Halo, Peter – odpowiedziała.

Nic więcej nie przyszło jej do głowy, a przecież rozmawiała z człowiekiem, z którym spędziła dwadzieścia pięć lat życia.

– Co u ciebie?

– Co „u mnie”? – powtórzył z niedowierzaniem. – U mnie wszystko w porządku. To o ciebie się martwię. Dzwoniłem kilkanaście razy, zostawiałem wiadomości...

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Twoja siostra do mnie zadzwoniła – wyjaśnił. – Szaleje z niepokoju, mówi, że sama pojechałaś do Irlandii i że podobno widziałaś... – Zawiesił głos na sekundę i zmienił wątek. – Zapamiętałem nazwę hotelu w Dublinie, gdzie...

– Mieliśmy się razem zatrzymać? – dokończyła za niego.

Milczał przez moment.

– Marcy, musisz wrócić do domu – odezwał się z wahaniem, ostrożnie, niemal czule. – Musisz natychmiast wrócić.

– Dlaczego?

– Co: „dlaczego”?

– Peter, ja ją widziałam. Widziałam Devon.

– Marcy – westchnął. – To szaleństwo. I dobrze o tym wiesz.

– Wiem, kogo widziałam.

– Tobie się tylko wydaje, że widziałaś Devon – tłumaczył łagodnie, z nutą zniecierpliwienia w głosie, tłumioną przez niepokój. Marcy niemal widziała, jak z rozdrażnieniem kręci głową.

Biedny Peter, pomyślała. Po tych wszystkich latach nadal nie ma pojęcia, co ona czuje.

– Widziałam ją.

– Widziałaś dziewczynę podobną do niej...

– Nie.

– Ładną dziewczynę z długimi, ciemnymi włosami i wysokimi kośćmi policzkowymi, która być może poruszała się jak Devon i w taki sam sposób trzymała papierosa...

– Widziałam Devon.

– Tak samo jak wiele razy wcześniej, kiedy byłaś tego pewna?

– Tym razem jest inaczej.



– Tym razem jest dokładnie tak samo – odparł zniecierpliwiony. – Marcy, proszę cię. Myślałem, że już się z tym pogodziliśmy.

– Nie, to ty się pogodziłeś.

– Musiałem. Nie było innego wyjścia. Nasza córka nie żyje, Marcy.

– Nigdy nie odnaleziono jej ciała.

Znowu cisza i kolejne westchnienie.

– Co w takim razie starasz się powiedzieć? Że ona upozorowała własną śmierć...?

– Być może. Albo doszło do wywrotki, a ona wykorzystała okazję...

– Na Boga, okazję do czego? Czemu miałyby coś takiego zrobić? Dlaczego chciałyby, abyśmy uwierzyli w jej śmierć?

– Dobrze wiesz dlaczego! – wykrzyczała, zamykając mu usta. Oczami duszy widziała, jak Peter zwiesza głowę i zaciska powieki.

– W jaki sposób tam dotarła? – zapytał cicho.

– Co?

– Nie miała paszportu. Nie miała pieniędzy...

Marcy zbyła te wątpliwości niecierpliwym machnięciem ręki.

– Być może odłożyła pieniądze. Mogła załatwić sobie paszport. Miała przyjaciół, Peterze. Przyjaciół, o których nic nie wiedzieliśmy...

– Marcy, zastanów się, co mówisz.

– Nie muszę się zastanawiać – stwierdziła z uporem, nie dając się przekonać. – Nasza córka żyje. Jest tu, w Irlandii.

– A ty natknęłaś się na nią przypadkiem.

– Przeszła przed pubem, w którym akurat siedziałam.

– Piłaś? – zapytał niemal z nadzieją.

– Herbatę.

– A Devon przeszła przed pubem – podsunął.

– Tak.

– Dublin ma, ile... z półtora miliona mieszkańców?

– Wiem. To niesamowity przypadek – powiedziała, zanim Peter zdążył dokończyć myśl, zdecydowana przemilczeć fakt, że zobaczyła Devon w Cork.

– Rozmawiałaś z nią? – zapytał po chwili.

– Co?

– Czy ona ciebie widziała? Rozmawiałaś z nią?

– Nie. Próbowalam iść za nią, ale zgubiłam ją w tłumie. – Znowu zobaczyła, jak

Peter kręci głową. – To, że ona mnie nie widziała, wcale nie oznacza, że ja nie widziałam jej.

Westchnął. To westchnienie mówiło, że zużył już całą amunicję. Nic więcej nie zostało do powiedzenia.

– Marcy, wróć do domu. Twoja siostra odchodzi od zmysłów...

– Do widzenia, Peterze. Powiedz Judith, żeby się o mnie nie martwiła.

– Marcy...

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył coś więcej powiedzieć.

Niemal natychmiast telefon ponownie zadzwonił. Nie podniosła słuchawki. Tym razem to była Judith. Marcy pozwoliła jej nagrać się na sekretarce, bo nie miała siły na drugą taką rozmowę. Jeśli chcą myśleć, że jest szalona, niech im będzie. Być może mają rację.

Ale to wcale nie znaczy, że myliła się co do Devon.

Jutro z samego rana pojedzie do Cork, postanowiła, czując, jak przyływ świeżej energii stawia ją na nogi. Wyjęła z szafy walizkę i położyła na kremowym pomocniku w nogach łóżka. Po kilku minutach była już spakowana; buty i koszule nocne na samym dnie, następnie bluzki oraz sukienki, a na wierzchu kilka T-shirtów, ulubione jeansy, wyjściowe czarne spodnie i parę swetrów. Bieliznę poupychała w luki i w narożniki. Pracownik w biurze podróży radził ubierać się „na cebulkę”, bo w Irlandii pogoda jest bardzo kapryśna. Nawet środek lipca może przypominać drugą dekadę października, uprzedził ją. I proszę nie zapomnieć o parasolce.

No, właśnie, pomyślała i podnosząc z podłogi ubłocony płaszcz, przewiesiła go przez oparcie mahoniowego krzesła przy lśniącym nowoczesnym biurku. W biurze podróży bardzo jej polecano ten pięciogwiazdkowy, luksusowy hotel, usytuowany wprost idealnie na obrzeżach zabytkowego starego miasta, w nieco artystycznej enklawie Temple Bar. Pokój był przestronny, elegancki i ciepły. Być może nie potrzebowała okazałego małżeńskiego łóżka, ale co tam! Przynajmniej mogła miotać się po nim bez obawy, że ktoś szturchańcem pod żebro da jej do zrozumienia, że ma się przestać wiercić.

Podeszła do dużego okna z widokiem na plac College Green i gmach dublińskiego Trinity College. Ulica wypełniała się ludźmi, a większość sprawiała takie wrażenie, jakby dokładnie wiedziała, dokąd i po co idzie. Spojrzała na zegarek przy łóżku. Dochodziła ósma. Od lunchu nie miała nic w ustach. Pomyślała, że powinna zadzwonić do obsługi hotelowej i zamówić coś do pokoju.

A może lepiej pójść na spacer i pozwolić, aby lekki wieczorny wiatr pomógł pozbyć się z myśli wątpliwości Petera.

Problem w tym, że Peter nie miał żadnych wątpliwości. Nigdy ich nie miał. Czy nie to właśnie, między innymi, na początku ją w nim pociągało? Zawsze był taki pewny siebie i przekonany o własnej racji. Czy nie tego właśnie szukała?

Co do jednego istotnie miała rację; to, że natknęła się tutaj na Devon, wyglądało na przedziwny zbieg okoliczności. Gdyby ich córka zatrzymała się nie w Cork, tylko w Dublinie, Marcy prawdopodobnie nigdy by jej nie odnalazła. Dublin był zaskakująco młodym miastem. Tutaj ponad połowa mieszkańców ma poniżej trzydziestu lat, przypomniała sobie informację z przewodnika, obserwując z okna młodą kobietę na ulicy, która wbiegła w rozpostarte ramiona swego chłopaka. Pocałunek, który potem nastąpił, był długi i głęboki. Po mniej więcej trzydziestu sekundach oderwali się od siebie; ona roześmiała się beztrzesko, a on podniósł rozmarzony wzrok na hotel Marcy. Natychmiast się cofnęła, chociaż wątpliwe, czy mógł ją dojrzeć w oknie pokoju na trzecim piętrze.

Czy Peter kiedykolwiek całował ją tak namiętnie? Czy ona reagowała na jego pocałunki z taką nieskrywaną radością?

Marcy podeszła do komódki i otworzyła sejf. Sięgając po kopertę z głębi skrytki wyłożonej czarnym aksamitem, musnęła palcami parę złotych kolczyków w kształcie kół – prezent od Judith na piętnaste urodziny.

Wróciła do łóżka, otworzyła kopertę i wyjęła z niej kilka zdjęć, starannie omijając ukrytą w środku drugą, mniejszą kopertę z niewprawnie napisanym jednym słowem: „MAMUŚ”. Rozłożyła zdjęcia na białej kapie i oglądała po kolei: Devon jako puciołowate niemowlę u niej na rękach – obie promiennie uśmiechnięte, z takimi samymi ogromnymi, ciemnymi oczami i z pełnymi ustami o kącikach wygiętych ku górze; pięcioletnia Devon w sterczącej baletowej spódniczce z różowego tiulu – balansując na pulchnych nóżkach, z dumnym uśmiechem wpatruje się w swoje balerinki; Devon w dwunaste urodziny – z pedantycznie zaczesaną grzywką, która zakrywa jej całe czoło i wpada do oczu. Z szeroko otwartymi ustami demonstruje świeżo założony porcelanowy aparat na zęby; Marcy wraz z Devon świętującą szesnaste urodziny – objęte w pasie pochylają się nad udekorowanym kwiatami tortem, żeby zdmuchnąć świece. Osiemnastoletnia Devon jako zapowiadająca się piękność – patrzy prosto w obiektyw, niesforne, ciemne loki sięgają za ramiona, a na ustach błąka się niepewny uśmiech. Marcy zauważyła, że już wtedy smutek zaczął się wkradać

w kąci oczu córki, chociaż zadarty podbródek nadal mówi o uporze. Tu wygląda, jakby złościła ją bliskość fotografa. I na koniec Devon w starym niebieskim swetrze, z nieodłącznym papierosem, zaledwie na kilka tygodni przed znalezieniem na środku zatoki wywróconego kajaka. Oczy w czerwonych obwódkach, dawniej błyszczące i ożywione, są pozbawione wyrazu, a na ustach, niegdyś wypukłych i pełnych, a teraz zaciętych w ciekłą kreskę, nie widać nawet śladu uśmiechu.

Marcy przysiadła na łóżku i patrząc na zdjęcia, usiłowała zrozumieć, jak to możliwe, że tamta radosna dziewczynka wyrosła na posępną młodą kobietę. To moja wina, pomyślała skruszona. To wszystko moja wina.

W kopercie pozostała jeszcze jedna fotografia i dopiero teraz ją wyjęła. Czarno-białe zdjęcie jej matki, zrobione mniej więcej w dwudziestym pierwszym roku życia. Matka stoi na tle wielkiego lustra, a jej dumny profil odbija się w tafli za plecami. Oczy ma spuszczone, długie, kasztanowe włosy gładko zaczesane do tyłu. Jest w sukience z pastelowej organzy, ozdobionej kokardą z ciemnego weluru na piersi. W lewej dłoni trzyma kwiat gardenii, przyciskając go kokieteryjnie do podbródka.

W jej oczach widać zapowiedź psychozy.

Mężczyzna, który zrobił to zdjęcie, był w niej do szaleństwa zakochany, lubiła często powtarzać. Przeżyli podniecający, gorący romans, pełen zerwań i pojednań, napadów furii, stawiania warunków i składania obietnic dozgonnej miłości, z towarzyszącą temu wszystkiemu nieustanną huśtawką emocji. A jednak, w końcu, matka wybrała poczucie bezpieczeństwa i wyszła za George'a Frasera, człowieka, którego samo nazwisko już wszystko o nim mówiło. Był nieskomplikowany, prostolinijski i nadto trzeźwo myślący, co absolutnie nie wyszło mu na dobre.

Peter pod wieloma względami go przypomina, przyznała z niechęcią Marcy. Obaj nie mieli pojęcia, co ich czeka.

Włożyła zdjęcia z powrotem do koperty i szybko wsunęła ją do skrytki depozytowej. Chwyciła płaszcz, wzięła torebkę i wyszła z pokoju, niespodziewanie stając twarzą w twarz ze swym odbiciem w wysokim lustrze obok wind. Zobaczyła tam twarz ich obu: matki i córki; ciemne oczy odpowiedziały jej pełnym wyrzutu spojrzeniem.

– Przepraszam – wyszeptała, gdy rozsunęły się drzwi windy.

Elegancki hol zdobiły kolumnady i stiukowe płaskorzeźby. Po jednej stronie

znajdował się mniejszy hol z lustrzanymi ścianami. Marcy skierowała się do recepcji, a odbicie matki i córki naśladowało każdy jej krok.

– Gdzie mogę wynająć samochód? – zwróciła się do recepcjonistki za kontuarem. Kobieta była w średnim wieku i miała lśniące, czarne włosy uczesane w kok.

– Och, nie radziłabym wynajmować samochodu w Dublinie – odpowiedziała radośnie z silnym irlandzkim akcentem Lynette, bo według informacji na identyfikatorze tak właśnie miała na imię. – O wiele łatwiej jest poruszać się pieszo po mieście.

– Myślę o przejeździe za miasto.

– Jeździła pani wcześniej po irlandzkich drogach?

– Nie, ale...

– To trochę skomplikowane, szczególnie dla ludzi nawykłych do ruchu prawostronnego.

Marcy uśmiechnęła się, usiłując zapanować nad urazą, bo troska recepcjonistki wydawała się szczerą. To wszystko przez moje włosy, pomyślała. Gdybym miała proste, łatwe do ogarnięcia włosy, takie jak ona, to na pewno nie kwestionowałyby moich umiejętności.

– Myślę, że sobie poradzę.

Lynette z pobłażliwym uśmiechem wręczyła Marcy mapę miasta, zakreślając na niej miejsca, gdzie znajdowały się największe firmy wynajmujące samochody.

– Szkoda, że nie pomyślała pani o tym przed przyjazdem – zauważyła. – Byłoby znacznie taniej.

Najpierw Peter kazał jej zastanowić się nad tym, co mówi, a teraz zupełnie obca osoba krytykuje ją za to, że nie myśli „z wyprzedzeniem”, skonstatowała zdumiona. Odbierając mapę od Lynette, postanowiła, że jeszcze dziś wieczorem załatwi wszelkie formalności, tak aby jutro z samego rana wyruszyć do Cork.

– Oczywiście o tej porze wszystkie wypożyczalnie są już zamknięte – odpowiedziała Lynette.

– Oczywiście. – No tak, rano straci cenny czas na przygotowania. To tyle, jeśli chodzi o myślenie „z wyprzedzeniem”. Jakby dla podkreślenia niezadowolenia pusty żołądek dał o sobie znać cichym poburkiwaniem.

– Zna pani jakąś sympatyczną restaurację w pobliżu, nic wyszukanego...?

– Na O’Connell Street jest Flannery’s. Mają tam dobre jedzenie. Proste, ale smaczne. – Wzięła mapę od Marcy i zaznaczyła na niej restaurację.

– Dzięki. Zajrzę tam.

Kiedy przechodziła przez główny hol, usłyszała, jak znajomy już głos wymawia jej imię. Co on tu robi, pomyślała i udając, że nie słyszy wołania, skierowała się do wyjścia.

– Marcy?! – zawołał jeszcze raz.

Odwróciła się, a on wyraźnie zaskoczony gwałtownością tego ruchu, nie zdążył cofnąć ręki i zamiast złapać ją pod łokieć, niechcący musnął jej pierś. Ten dotyk poraził ją niczym prąd. Od dawna nikt nie dotykał jej piersi, nawet przez nieuwagę. W ostatnich latach ich więdnącego małżeństwa Peter nawet tego nie próbował. A Devon, odchodząc, zabrała z sobą resztki łączącej ich intymności.

– Vic – udała, iż dopiero teraz go zauważyła, odnotowując jednocześnie, że pachnie szamponem i mydłem i że zdążył się przebrać po ich rozstaniu niecałą godzinę temu. Miał na sobie czarny golf, który podkreślał intensywnie niebieski kolor jego oczu. – Nie wiedziałam, że mieszkasz w tym hotelu.

– Bo nie mieszkam. Zatrzymałem się w Morganie, jedną przecznicę stąd.

– Więc skąd się tu wziąłeś? – Usłyszała swoje pytanie.

– Racja – roześmiał się. – Niemal zapomniałem. Towarzyskie pogawędki nie są twoją specjalnością.

– Przepraszam. Nie chciałam być nieuprzejma. Po prostu mnie zaskoczyłeś. – Dotknąłeś mojej piersi, dodała w myślach, z zakłopotaniem stwierdzając, że nadal czuje mrowienie w ciele. – Nie spodziewałam się ciebie więcej zobaczyć. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Wsiadłeś z autokaru przed hotelem – powiedział Vic, wzruszając ramionami.

– Tu nie potrzeba Sherlocka Holmesa.

Jasne, przyznała w myślach, wysiadła z autobusu w takim pośpiechu, że nawet się nie pożegnała.

– Pomyślałem, że może uda mi się zaprosić cię na kolację – mówił dalej Vic.

– Chcesz zjeść ze mną kolację?

– Dzwoniłem do ciebie, ale włączała się automatyczna sekretarka, postanowiłem więc zajrzeć tu po drodze.

– Zapraszasz mnie do restauracji?

– Przepraszam, jeśli wyszło to niezręcznie. Ostatnio mało ćwiczę.

– Nie mogę – odparła Marcy.

– Masz inne plany?

– Nie.

– Och – westchnął. – Przepraszam. Nie chciałem być natrętny.

– Nie w tym rzecz – chciała się wytłumaczyć. – Chodzi o to, że w ogóle nie powinnam w takim stanie wychodzić z hotelu. No, spójrz tylko na mnie. Nie wykapałam się ani nie przebrałam. A moje włosy to jedna wielka katastrofa.

– Moim zdaniem wyglądasz świetnie.

Wydała przeciągłe westchnienie z głębi płuc. Kiedy ostatnio jakiś mężczyzna był dla niej taki miły? Kiedy ostatnio ktokolwiek był dla niej miły?

– Nie mogę – powtórzyła.

– Rozumiem – odparł, mimo że najpewniej wcale nie rozumiał.

– Nie sądzę, abyś dobrze się bawił w moim towarzystwie.

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Nawet ci nie podziękowałam za pomoc.

– Nie ma potrzeby dziękować. – Zaczął się wycofywać.

– Vic – zatrzymała go, zastanawiając się przy tym, co ona wyprawia.

Patrzył na nią wyczekująco, zapewne myśląc to samo.

– Słyszałam o sympatycznej restauracji na O'Connell Street. Mają tam dobre jedzenie. Nie jakieś wymyślne, ale smaczne.

– Zapraszasz mnie do restauracji? – zapytał z uśmiechem.

– Przepraszam, jeżeli to wyszło niezręcznie – zacytowała go.

– Wręcz przeciwnie. Świetnie sobie poradziłaś. To zabrzmiało cudownie.

– Dasz mi parę minut na prysznic i zmianę ubrania?

– Pod warunkiem że się nie rozmyślisz.

– Nie.

– W takim razie czekam na ciebie dokładnie w tym miejscu.

## 4

– Chyba się zdecyduję na zapiekanekę pasterską. – Marcy oddała duże, nieporęczne menu wysokiemu łyseму kelnerowi w obszernym białym fartuchu, spod którego wystawały rurkowate, czarne spodnie.

– Brzmi nieźle – przyznał Vic. – Wezmę to samo. A na początek szklaneczkę irlandzkiej whiskey. – Uśmiechnął się wyczekująco do Marcy.

– Ach, co tam! Czemu nie? – dała się namówić, mimo że nie przepadała za alkoholem. Dlaczego nie uczcić takiej okazji? Widziała Devon. Córka, o której śmierci myślała z takim lękiem, żyła, chociaż to wydawało się takie nieprawdopodobne, a według Petera i Judith wręcz niemożliwe, Devon mieszka niecałe trzy godziny drogi stąd. Jutro rano wynajmie samochód i wróci do Cork. To stosunkowo niewielkie miasto. Jak już się tam ulokuje, powinna w miarę szybko odnaleźć córkę. Zresztą czas nie ma znaczenia. Zostanie w Cork tak długo, jak będzie potrzeba. Bez niej stamtąd nie wyjedzie.

– Jak oni to nazywają? Woda życia? – zapytał Vic, sam odpowiadając sobie na to pytanie.

– Co?

– Irlandczycy nazywają swoją whiskey wodą życia.

– Irlandczycy w ogóle mają ciekawy sposób patrzenia na różne sprawy.

– À propos patrzenia – podchwycił Vic. – Czy mówiłem ci już, że ślicznie wyglądasz?

– Tak. Zdaje się, że tak. Dziękuję. Jeszcze raz dziękuję. – Marcy, zakłopotana, poprawiła kołnierzyk bawełnianej bluzki, zastanawiając się, czy nie powinna była jednak zapiąć ostatniego guzika. Musiała rozpakować walizkę, żeby wyjąć białą bluzkę i popielate spodnie, nie wspominając już o butach na obcasach i o świeżej bieliźnie. Ale przebrana poczuła się znacznie lepiej. Nawet włosy lepiej się układały.

Kelner przyniósł im drinki.

– Za wakacje, żeby z każdym dniem były coraz lepsze – wzniósł toast Vic



i podnosząc szklanę, trącił nią o szklanę Marcy.

– Za wakacje! – Marcy upiła łyk, czując, jak alkohol pali w przełyku. – Ho, jakie to mocne.

– Ale dobre.

– Z każdym łykiem coraz lepsze. – Rozejrzała się po gwarnej, jasno oświetlonej restauracji, która niewiele różniła się wystrojem od pubów, jakie mieli okazje odwiedzić za dnia. Dominującym elementem był duży bar w samym środku pomieszczenia. Wokół niego siedziało lub stało około trzydziestu osób i wszystkie zdawały się mówić jednocześnie, energicznie przy tym gestykułując. W pewnej odległości od baru stały małe dębowe stoliki. Wszystkie były pozajmowane. W całej restauracji nie było ani jednego wolnego miejsca. Mieli szczęście, że im się udało.

– Jak ci się podobało *Stiletto in the Ghetto*[1]? – zagadnął ją Vic.

Czy dobrze go usłyszała? Nie miała ochoty zaliczyć kolejnej wpadki jak wcześniej z wihajstrami i klajstrami.

– Co takiego?

– *Millennium Spire* – poprawił się, a ponieważ ta nazwa nic jej nie mówiła, dodał: – Wieża, którą mijaliśmy po drodze. Wysoka metalowa iglica na środku ulicy – podpowiadał. – Ta, która zastąpiła pomnik admirała Nelsona, wzniesiony przez Brytyjczyków i wysadzony w powietrze przez IRA. Trudno jej nie zauważyć. A ty ją przeoczyłaś.

– Pewnie bardzo się koncentrowałam na szukaniu tej restauracji.

– Zdaje się, że masz we krwi koncentrowanie się i odnajdywanie – powiedział na jej usprawiedliwienie, raczej niepotrzebnie, bo Marcy wyczytała w tym aluzję do wydarzeń sprzed południa.

– Nazwałaś ją: *Stiletto in the Ghetto*? – upewniła się, kierując rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Znana również jako *the Spike*. Irlandczyków zdaje się kręcić nadawanie malowniczych nazw pomnikom. Pamiętasz Molly Malone[2]?

– „Tę, która toczyła swe taczki przez wąskie uliczki”?

– Tę samą. Sądząc po jej pomniku na rogu Grafton i Nassau, była nieźle wyposażona i miejscowi zaczęli ją nazywać *Tart with the Cart*.

– No pięknie. – Powinna była jednak zapiąć ten guzik, pomyślała.

– Dokładnie na tej samej ulicy, naprzeciwko poczty, stała jeszcze *Floozy in the Jacuzzi*[3], ale pod względem estetycznym posąg był szkaradny, dlatego go usunięto.

– Irlandczycy darzą sympatią swoje ladacznice, lecz nie przepadają za dziwkami.

Vic skwitował tę uwagę śmiechem.

– Jest jeszcze jeden pomnik, mój ulubiony, jednego z największych irlandzkich patriotów, Wolfe’a Tone’a.

Marcy zmrużyła oczy. Nigdy nie słyszała o Wolfie Tonie. Tak wielu rzeczy nie wie, pomyślała.

– Byłaś już w parku St. Stephen’s Green? – zainteresował się Vic.

Marcy pokręciła głową i jednym długim łykiem wysączyła resztkę whiskey. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, czy była, czy nie była w St. Stephen’s Green. Przyjechała do Dublina przed pięcioma dniami i przez cały ten czas poruszała się po mieście jak we śnie. Dopiero dzisiaj pojechała na prawdziwą wycieczkę.

– W północnej części parku – zaczął Vic – znajdziesz półkole z grubo ciosanych kolumn na cześć Tone’a. Dublińczycy nazywają je „Tonehenge”.

Marcy rozbawiła ta nazwa i teraz z kolei ona się roześmiała.

– Z radością pokażę ci to miejsce. Jeżeli jesteś jutro wolna...

– Nie jestem.

Cień rozczarowania pojawił się w jego oczach, lecz szybko pokrył go uśmiechem.

– Wykupiłaś kolejną wycieczkę?

– Nie. Chyba mam już dość grupowych wyjazdów.

– Jestem z tobą. A właściwie, jak widać, nie.

– Po prostu mam już inne plany na jutro – Marcy uznała, że wypada się usprawiedliwić.

– No cóż, jeśli przypadkiem znajdziesz trochę wolnego czasu, możesz śmiało do mnie zadzwonić. – Sięgnął do kieszeni, wyjął wizytówkę i podał ją Marcy ponad małym drewnianym stolikiem. – Firmę sprzedałem, ale numer komórki pozostał ten sam.

Marcy, nie oglądając wizytówki, wsunęła ją do torebki.

– Prawdę mówiąc, jutro wyjeżdżam z Dublina.

– O, przykro mi to słyszeć. Dokąd się udajesz?

– Mam spędzić kilka dni w Paryżu z moją siostrą – skłamała.

– Paryż to piękne miasto.

– Tak, to prawda.

– Ja zacząłem swój objazd przed paroma dniami. Najpierw Paryż, potem

Londyn – dodał, bez zachęcania. – Później zaliczyłem Szkocję, a teraz jestem tu. Następny przystanek: Włochy.

– Niezła wycieczka.

– Hmm, chcę obejrzeć wioskę, w której urodził się mój pradziadek. Uznałem, że jeśli będę za długo z tym zwlekał, mogę nigdy jej nie zobaczyć. – Zamilkł, jakby czekał na pytanie, które z logicznego punktu widzenia powinno teraz paść. A ponieważ nie padło, podjął przerwany wątek: – Mój ojciec zmarł na atak serca, kiedy miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Mama zmarła na raka w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, a moja pierwsza żona też zmarła na raka, mając lat pięćdziesiąt trzy. Ja właśnie skończyłem pięćdziesiąt siedem. Podejrzewam, że nie zostało mi wiele czasu.

Marcy pokiwała głową na znak zrozumienia i podniosła pustą szklankę.

– Czy według ciebie w tych okolicznościach moglibyśmy zamówić jeszcze jedną kolejkę?

– Myślę, że to się da zrobić. – Skinął na kelnera. – I dziękuję ci.

– Za co?

– Większość ludzi mówi mi, że jestem niemądry, kiedy wykładam im moją teorię na temat życia. A właściwie śmierci.

– Według mnie to brzmi całkiem logicznie.

– Jak podejrzewam, ty także straciłaś kogoś bliskiego w młodym wieku.

– Mój ojciec umarł, mając blisko osiemdziesiąt lat.

– A matka?

Marcy wyciągnęła rękę do zbliżającego się kelnera i uśmiechnęła się, czując w dłoni ciężar szklanki.

– Czterdzieści sześć. – Wypiła łyk. – Powiedziałeś: „pierwsza żona”. Ile ich było?

– Tylko dwie – uśmiechnął się Vic.

– Co się stało z drugą?

– Od roku jestem rozwiedziony.

– Tak mi przykro.

– Nie przejmuj się. To była katastrofa od samego początku.

Marcy wysączyła kolejny łyk i czekała na dalszy ciąg.

– Z pierwszą żoną byliśmy małżeństwem przez prawie trzydzieści trzy lata – kontynuował zgodnie z jej oczekiwaniem. – Zakochałem się w niej w szkole średniej. Pobraliśmy się zaraz po studiach. Byliśmy typowym amerykańskim małżeństwem. A potem staliśmy się typową amerykańską rodziną; trzech synów,

dom w Lake Forest z garażem na cztery samochody i wszystko, czego tylko można chcieć od życia. Aż któregoś dnia Kathy stwierdziła, że czuje się jakoś dziwnie – to są dokładnie jej słowa, powiedziała: „Jakoś dziwnie się czuję”. Poszliśmy więc do lekarza, a on zdiagnozował u niej raka trzustki i trzy miesiące później Kathy już nie żyła.

Marcy odstawiła szklankę i wbiła wzrok w blat stolika.

– Byłem zupełnie oszołomiony. Żyłem jak w transie. Odchodziłem od zmysłów. Kathy była dla mnie wszystkim. Nigdy nie byłem z inną kobietą. I nagle zostałem sam. Oczywiście, byli jeszcze synowie, ale oni wiedli już własne życie. David i Mark byli żonaci i mieli małe dzieci, a dwudziestotrzyletni Tony kończył pisać pracę magisterską z muzykologii. Każdy z nich żył swoimi problemami. A ja zachowywałem się jak totalny świr. Jednego dnia zaszywałem się w domu, a drugiego biegałem po mieście jak kot w marcu i zaliczałem wszystkie, które były chętne. Wiesz, nagle stałem się facetem do wzięcia. A ponieważ nie miałem żadnej szpetnej wysypki ani kurzajek, kobiety dosłownie kleiły się do mnie.

– Dziwki w jacuzzi – wymknęło się Marcy i podnosząc wzrok, stwierdziła z ulgą, że Vic się uśmiechnął.

– Tony nazywał je brygadą babsztyli.

Marcy się roześmiała.

– W każdym razie któregoś dnia stwierdziłem, że muszę sprzedać dom. Od lat rozmawialiśmy o tym z Kathy. Chłopcy się usamodzielnili, po co więc nam taki duży dom? Kathy nie żyła, a ja zostałem sam z siedmioma pustymi sypialniami. Nadszedł czas na zmiany.

– Czy specjaliści zazwyczaj nie radzą, aby przynajmniej przez rok po śmierci współmałżonka wstrzymać się z podejmowaniem istotnych decyzji życiowych?

– Jeżeli tego nie robią, powinni zacząć. Jednak trudno jest kierować się rozumem, gdy nie działa się całkiem racjonalnie. A pośrednicy w handlu nieruchomościami niechętnie zostawiają czas do namysłu.

– Więc sprzedałeś dom?

– Nie. Ożeniłem się z pośredniczką.

– Co?

– Tak jest, dobrze usłyszałaś. Statecznemu, staremu, rozsądnemu i kiedyś trzeźwo myślącemu Victorowi Sorwinowi nagle odbija i żeni się z kobietą młodszą od siebie o dwadzieścia pięć lat, z kobietą, którą zna niecałe trzy miesiące, a żeby było jeszcze ciekawiej, robi to zaledwie pół roku po śmierci pierwszej żony. Leci do

Las Vegas i nikogo nie informując, bierze ślub, nie spisawszy nawet intercyzy, a to małżeństwo jest katastrofą od chwili, gdy on mówi „tak”, a ona: „nie, przynajmniej nie z tobą” i pół roku później rozwodzą się, a jej, obok wielu innych rzeczy, przypada w udziale dom, który, nawiasem mówiąc, jest w tej chwili wystawiony na sprzedaż.

– Do czego to potrafią posunąć się niektóre agentki, żeby zdobyć nieruchomość! – Każdy człowiek ma swoją historię, podsumowała w myślach Marcy, zaskoczona tym, co przed chwilą usłyszała.

– Wiele głupstw popełniamy z rozpaczy – usprawiedliwił się Vic.

W duchu przyznała mu rację.

– Przepraszam – powiedziała. – To była nietaktowna uwaga. Otrząsnąłeś się po tym wszystkim?

– Powiedzmy, że dochodzę do siebie. Zapewne podobnie jak alkoholik leczący się z nałogu. Nie sędzę, aby można było do końca uporać się ze śmiercią ukochanej osoby. Po prostu uczymy się bez niej żyć.

– Czy aby na pewno?

– A mamy wybór?

Marcy odwróciła głowę, czując wdzięczność na widok kelnera, który podszedł do nich z zamówieniem.

– Ostrożnie, gorące – ostrzegł, stawiając talerze.

– Ładnie wygląda – zauważył Vic, wdychając parę unoszącą się znad zapiekanki. Marcy natychmiast wbiła w nią widelec.

– Ummm, pychota – pochwaliła.

– Chyba powinienem cię przeprosić – odezwał się Vic.

– Za co?

– Przez cały wieczór opowiadam o sobie.

– To była bardzo ciekawa historia.

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Teraz ty powiedz mi coś więcej o sobie.

– Nie ma wiele do opowiadania. Mąż zostawił mnie dla golfistki z lokalnego klubu. Miała niższy handicap ode mnie – zażartowała, czując, jak jej usta drżą, zamiast wygiąć się w uśmiechu.

– Jak długo byliście małżeństwem?

– Prawie dwadzieścia pięć lat. Ta wycieczka miała być naszym powtórny miesiącem miodowym dla uczczenia srebrnej rocznicy ślubu. Nie do końca wyszło

zgodnie z planem.

– Więc pojechałaś sama. To bardzo...

– Niemądre?

– Chciałem powiedzieć: odważne.

– Nie sądzę, aby wielu ludzi użyło tego słowa w stosunku do mnie.

– Zdumiewające, jak bardzo ludzie potrafią się mylić.

– Tak – zgodziła się z nim. Zdumiewające, jak bardzo mogli się mylić.

– Masz dzieci?

– Tak. Dwójkę.

– Chłopców? Dziewczynki?

– I chłopca, i dziewczynkę. Darren ma dziewiętnaście lat, jest wysoki i przystojny. Chce zostać dentystą jak jego tata. W tej chwili pracuje jako wychowawca na letnim obozie.

– Wydaje się poukładany. A córka. Co ona robi?

– Devon ma dwadzieścia jeden lat, nie, właściwie ona ma prawie dwadzieścia trzy lata – Marcy szybko się poprawiła.

Vic przechylił głowę, pokrywając zakłopotanie uśmiechem.

– To ją, jak ci się wydawało, widziałaś dziś po południu?

– Nie wydawało mi się, ja ją widziałam.

– Twoja córka jest tutaj, w Irlandii? – Tym razem nawet nie starał się ukryć zdumienia.

– Podróżuje przez całe lato po Europie – wyjaśniła. – Nie wiedziałam, że obie będziemy tutaj w tym samym czasie, dopóki jej dziś nie zobaczyłam. Chyba w ostatniej chwili musiała zmienić plany. To kłamstwo – wyznała na kolejnym oddechu.

– Tak też pomyślałem.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

– Moja córka jakoby utonęła podczas wywrotki kajaka dwa lata temu. – Marcy zauważyła, jak Vic ściąga brwi i mruży oczy. – Dokładnie mówiąc, dwadzieścia jeden miesięcy temu. Jednak nigdy nie odnaleziono jej ciała. A ja wiem, po prostu to wiem, że ona żyje i z jakichś powodów upozorowała własną śmierć.

– Czemu miałyby to zrobić? – Vic zadał to samo pytanie, co wcześniej Peter.

– Żeby się uwolnić. Rozpocząć nowe życie. Zacząć wszystko od nowa.

– Dlaczego chciałaby zaczynać wszystko od nowa?

– Bo była bardzo nieszczęśliwa. Bo wpakowała się w kłopoty... Przepraszam cię. Możemy już o tym nie rozmawiać?

– Możemy rozmawiać, o czym tylko chcesz.

– Wszyscy uważają, że ona nie żyje – Marcy jednak nie potrafiła się już powstrzymać. – Jednak ja wiem, co widziałam. Widziałam moją córkę. Myślisz, że jestem szalona, co?

– Myślę, że matka zna swoje dziecko.

Ulga niczym orzeźwiający wiatr schłodziła twarz Marcy.

– Boże, jakim ty jesteś dobrym człowiekiem – westchnęła.

– A ty miałaś dzień pełen wrażeń. Czas się zbierać. Odprowadzę cię do hotelu.

Marcy wyciągnęła ręce ponad stołem i zamknęła w nich dłoń Vica.

– Mam lepszy pomysł – powiedziała.

---

1 Iglica Dublińska albo Monument Światła – studwudziestometrowa metalowa wieża, zyskała sobie pośród dublińczyków wiele żartobliwych, a nawet nieco złośliwych określeń. Między innymi: *Stillette in the Ghetto* (sztylet w getcie) i *the Spike* (szpikulec).

2 Molly Malone – postać z popularnej folklorystycznej piosenki irlandzkiej. Opowiada historię pięknej sprzedawczyni ryb, która zmarła na febrę. Wieść głosi, że w dzień Molly sprzedawała ryby, a wieczorem własne ciało. Stąd przezwisko *the Tart with the Cart* (ladacznica z wózkiem).

3 To pomnik bohaterki powieści Jamesa Joyce'a, *Anny Livii Plurabelle*, ochrzczony przez dublińczyków mianem: *Dziwki w jacuzzi*.

## 5

Co do jednej rzeczy jej siostra miała rację, pomyślała Marcy, siadając na łóżku i w ciemnościach kierując spojrzenie na pochrapującego obok mężczyznę. Z seksem jest jak z jazdą na rowerze. Jak już się nauczysz, nigdy nie zapomnisz „techniki”, obojętnie, ile czasu upłynęło od ostatniej jazdy. I nieważne, co to za rower, ile ma przerzutek i różnych gadżetów, bo w zasadzie wszystko wygląda tak samo; wsiadasz i jedziesz.

Na zdaniu Judith można było polegać, bo jak sama to ujęła, jeździła już na wielu rowerach.

Marcy podniosła się z łóżka i podeszła do okna z widokiem na Fleet Street. Na ulicy było cicho, choć, o dziwo, nawet teraz, prawie o drugiej nad ranem, nadal kręcili się tu ludzie. Według słów Vica modna dzielnica Temple Bar nigdy nie zasypiała i na dowód wskazał jej w zatłoczonym hotelowym barze kilka skąpo odzianych modelek owiniętych niczym etole na przedramionach tuzów z branży muzycznej.

Vic zaproponował swój hotel.

– Jesteś pewna? – zapytał ją, kiedy weszli do elegancko urządzonego holu.

– Jestem.

Rozbierali się nawzajem szybko i wprawnie, kochali się swobodnie i bez skrępowania. Wielokrotnie, pomyślała teraz, czując się mile obolała w dolnych rejonach. Kiedy kochała się z Peterem więcej niż raz jednej nocy? Na pewno nie w ostatnim dziesięcioleciu, stwierdziła, po czym szybko skorygowała swoje kalkulacje: musiało minąć ze dwadzieścia lat.

Ściągnęła bluzkę z pobliskiego krzesła i owinęła się nią, czując, jak bawełna drażni jej sutki, naśladowując wcześniejszy dotyk Vica. Z początku obawiała się tak intymnego dotyku rąk innego mężczyzny. Spędziwszy prawie ćwierć wieku z tym samym partnerem, przyzwyczaiła się do pewnej rutyny, jasnego porządku: co, gdzie, kiedy i jak długo. Oboje z Peterem od dawna powielali znany im schemat – dający zadowolenie i przyjemność, aczkolwiek już pozbawiony pierwotnej pasji.



Niemniej to było dobre, przynajmniej tak zawsze myślała. Oswojone i pewne.

Nie czuła potrzeby, aby cokolwiek zmieniać.

A potem Devon wypłynęła kajakiem na środek Georgian Bay w piękny październikowy poranek – rześkie powietrze, liście mieniające się czerwono, pomarańczowo i złoto – i nic już odtąd nie było takie samo.

Marcy odsunęła od siebie myśli o Devon i rozejrzała się po pokoju. Był utrzymany w stonowanej kolorystyce. Kremowe ściany, śnieżnobiała pościel i jasne bukowe meble. Jedyne jaskrawsze akcenty stanowiły pulsujące energią obrazy pędzla irlandzkich artystów rozwieszane nad łóżkiem oraz na przeciwległej ścianie. W sumie owo zaskakujące połączenie nacechowanej powściągliwością starej szkoły i nowoczesnej dekadencji tworzyło wrażenie luksusu wolnego od ostentacji.

Podobne odczucia budzi ten mężczyzna leżący na plecach na środku podwójnego łóżka z ciągle jeszcze smukłym torsem przykrytym pofałdowanym prześcieradłem, pomyślała Marcy, obserwując, jak pierś śpiącego Vica regularnie unosi się i opada. Zawsze podobali jej się mężczyźni z owłosioną klatką i nigdy tak do końca nie rozumiała dzisiejszych kobiet, które uważały za atrakcyjnych ogolonych i wydepilowanych woskiem facetów. Owłosione torsy są jak angielskie ogrody – nieokiełznane i ciut chaotyczne, a jednocześnie silne i niesamowicie wytrzymałe. Jest jakaś budząca spokój dojrzałość w takiej owłosionej męskiej piersi, pomyślała, wracając do łóżka i siadając na jego brzegu.

Marcy także pod wieloma innymi względami miała rozbieżne zdanie od większości kobiet na temat męskiego seksapilu. Przede wszystkim nie pociągała jej muskulatura. Para mocno zaznaczonych bicepsów raczej budziła w niej lęk niż pożądanie. Podobnie było z mężczyznami we wszelkiego rodzaju mundurach, łącznie z listonoszem. *Jesteś gorsza od mojego pudła* – ofuknęła ją kiedyś Judith. A ile kobiet lubi, gdy mężczyzna chrapie? Ile z nich uważa ten odgłos nie tyle nawet za krzepiący, co gwarantujący poczucie bezpieczeństwa? Pamiętała z dzieciństwa takie noce, kiedy podczas jednej z niezrozumiałych i przedłużających się nieobecności matki zakradała się na palcach do sypialni rodziców i kładła się na podłodze w nogach łóżka, chłonąc odgłos niewiarygodnie głośnego chrapania ojca, które wypełniając cały pokój niczym kołysanka, dawało jej poczucie jego obecności, gdy opornie zapadała w sen.

Peter nigdy nie chrapał, za to twierdził, że ona chrapie. *Czemu ty musisz spać na plecach?* – pytał z wyrzutem, jakby chrapała mu na złość. Stopniowo, w miarę

upływu lat, pojawiała się coraz więcej podobnych pretensji: *Musisz się tak wiercić? Wiesz, że mówisz przez sen? Nie możesz spokojnie leżeć?* Aż któregoś ranka, mniej więcej rok po wypadku Devon, budząc się, zobaczyła, że łóżko po stronie Petera jest puste, a kiedy poszła się rozejrzeć, znalazła męża śpiącego w pokoju gościnnym.

Nigdy już nie wrócił do ich sypialni.

A pięć miesięcy później wyprowadził się z domu.

I wziął z sobą jedynie ubrania oraz kije golfowe.

Marcy westchnęła i wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić Vica po policzku, lecz cofnęła ją, zanim zdążyła go dotknąć, i opuściła dłoń na kolana. Rany boskie, co ją opętało, żeby przespać się z mężczyzną, którego ledwo знаła, z mężczyzną poznanym na wycieczce, który na dodatek nie otrząsnął się po śmierci pierwszej żony i rozwodzie z drugą? *Wiele głupstw popełniamy z rozpacz* – powiedział.

Czy z rozpacz znalazła się z nim w łóżku?

A może z wdzięczności?

*Myślę, że matka zna swoje dziecko* – powiedział, a ona musiała ze wszystkich sił walczyć z sobą, żeby nie zerwać się od stolika i siadając mu na kolanach, nie pokryć całej twarzy pocałunkami. Tak, dziękuję ci, ty mi wierzysz!

W końcu ktoś jej wierzy.

Czy tylko tyle potrzebowała?

A może to nadzieja kazała jej tu przyjść? Nadzieja, która pozwoliła, aby w zasadzie obcy mężczyzna rozebrał ją i pieścił, nadzieja, która sprawiła, że tak chętnie reagowała na jego dotyk. Nadzieja, że skoro Devon żyje, to ona też jest żywa i obie nie utonęły w tamten feralny październikowy dzień, i w końcu wykrztusi wodę, która tak długo zalega jej w płucach, i będzie swobodnie oddychać bez wrażenia, że w jej piersi tkwi nóż.

Devon żyje, a to oznacza, że Marcy dostała drugą szansę, aby wszystko naprawić, i będą mogły znowu być szczęśliwe.

Czy one kiedykolwiek były tak naprawdę szczęśliwe?

*Co się dzieje, kochanie?* – dobrze pamięta tamto pytanie. Zadała je w lipcową noc, niemal dokładnie pięć lat temu. W noc, kiedy wszystko się zmieniło. W noc, gdy przestała udawać, że są normalną rodziną i że wszystko będzie dobrze.

Było już po północy. Devon balowała gdzieś na mieście z przyjaciółmi. Marcy leżała w łóżku, Peter już spał. Drzemała i budziła się, bo nigdy nie zapadała w głęboki sen, dopóki Devon nie wróciła bezpiecznie do domu. Teraz też czekała,

kiedy córka przejdzie na palcach przed ich sypialnią i może wsunie głowę w drzwi, żeby sprawdzić, czy ona nie śpi, i ucałować ją na dobranoc. Tym razem Marcy usłyszała, jak Devon kręci się po kuchni i trzaska drzwiczkami od szafek. Otwiera, zamyka, otwiera, zamyka. Jedna szafka, później kolejne. Otwieranie, zamykanie, otwieranie, zamykanie.

A potem brzęk. Odgłos tłuczonego szkła.

Marcy wyskoczyła z łóżka, po drodze chwyciła szlafrok i wybiegła z sypialni, mówiąc sobie, że niepotrzebnie tak przesadnie reaguje, że nie ma powodu do niepokoju. Devon zgłodniała, szukała czegoś do zjedzenia i niechcący strąciła jakieś naczynie w ciemnościach. Zwykły wypadek. Prawdopodobnie w tej chwili na czworakach zbiera skorupy z podłogi.

Niestety kiedy weszła do kuchni, zobaczyła Devon sztywno wyprostowaną nad granitowym blatem. Usta miała otwarte, oczy pozbawione wyrazu i zasnute łzami.

– *Co się dzieje, kochanie?* – spytała, podchodząc bliżej.

– *Nie zbliżaj się* – ostrzegła ją Devon.

Marcy zauważyła kawałki szkła wokół stóp Devon i tulipany, których część leżała na podłodze, a część tkwiła w tym, co zostało z kryształowego wazonu. Woda spływała po sandałkach Devon, a wilgotny, czerwony lakier na paznokciach jej stóp połyskiwał w świetle księżyca. Opuszczone wzdłuż boków dłonie trzymała zwinięte w pięści, a pomiędzy zaciśniętych palców sypał się na podłogę biały proszek przypominający śnieg.

– *Co to jest, kochanie?* – zapytała Marcy i zapalając górne światło, zobaczyła leżące na blacie znajome pudełko. – *Po co ci sól?*

Devon w odpowiedzi podniosła pięści do twarzy i zaczęła wpychać sól do ust.

Marcy natychmiast znalazła się przy niej i oderwała jej ręce od twarzy.

– *Devon, na miłość boską, co ty wyprawiasz? Przestań! Zemdli cię!*

Córka niespodziewanie skupiła spojrzenie na Marcy, jakby dopiero teraz ją zobaczyła.

– *Mama?* – zdziwiła się i rozwarła dłonie, a resztki soli posypały się na podłogę.

Marcy poczuła, jak na jej bose stopy spada lawina malutkich twardych kryształków.

– *Co z tobą?* – Gorączkowo odgarniała włosy z twarzy córki i próbowała strzepywać sól przyklejoną do ust i podbródka.

Devon przeniosła spojrzenie z matki na podłogę.

– *O Boże, przepraszam!*

– Co się dzieje, kochanie? Co to było?

– Nie wiem. Sięgałam po paczkę chipsów i zatrzymałam się, żeby popatrzeć na kwiaty. Wiesz, ludzie mówią, że trzeba przystanąć i powąchać róże. Chociaż to są tulipany i nie pachną. No i niechcący straciłam wazon i nie znalazłam chipsów. Pamiętasz Vicky? Vicky Enquist? Jest bardzo wysoka, ma ponad metr osiemdziesiąt i lekko krzywy nos? Była moją najlepszą przyjaciółką w siódmej klasie, pamiętasz ją? – wyrzuciła to wszystko na jednym oddechu.

Marcy już miała odpowiedzieć, że nie, że nie przypomina sobie żadnej Vicky Enquist, i poprosić Devon, aby trochę zwolniła, bo mówi bez sensu, lecz ona nie dała jej szansy.

– Jej matka – trajkotała – była kimś w rodzaju znanej ogrodniczki czy kogoś takiego. Miała własny program w telewizji w Vancouver. Zresztą nieważne, widziałam się z nią dzisiaj. Znaczący z Vicky, nie z matką. Na domówce u Ashleigh. Wyglądała tak ładnie – westchnęła Devon i ni z tego, ni z owego wybuchnęła płaczem. – Jej nos wcale nie wydawał się krzywy. Było mi przykro, że kiedyś się z niej wyśmiewaliśmy. Mamo, jaka ja byłam dla niej niedobra.

– Kochanie, proszę cię. Ty mnie przerażasz. Chodź, usiądziemy.

– Nie chcę siedzieć. Chcę tańczyć. – Devon wspięła się na palce i niezgrabnie wykręciła pirueta. – Ale wszyscy wolą siedzieć i ćpać – poskarżyła się i tracąc równowagę, wpadła matce w ramiona.

– Tak było? – Marcy odsunęła córkę na długość ramion, zmuszając ją, aby spojrzała jej w oczy. – Devon, ty jesteś na haju? Brałaś coś?

– Chce mi się pić – poskarżyła się Devon, ignorując pytanie i wysuwając się z uchwytu Marcy.

– Przyniosę ci szklankę wody.

– Na podłodze jest woda – stwierdziła Devon, jakby dopiero teraz to zobaczyła.

– Zaraz wszystko posprzątam.

Devon niespodziewanie osunęła się na kolana i zaczęła rozmazywać dłońmi wodę i sól po ceramicznych kafelkach w piaskowym kolorze, zachowując się jak dziecko, które właśnie odkryło frajdę malowania palcami.

– Devon, proszę cię, kochanie, uważaj na szkło. Nie, nie bierz tego do ust. Chodź, pomogę ci wstać.

– Nie chcę wstać.

– Musisz pozwolić mi sobie pomóc. – Marcy udało się podciągnąć córkę z podłogi i posadzić na jednym z kuchennych krzeseł ustawionych wokół owalnego

sosnowego stołu.

– Przyniosę ci wody. Dziecko, powiedz mi, co ty brałaś.

– Jak mi się chce pić! – powtórzyła Devon. – Czemu tak bardzo chce mi się pić? Mówiłam ci, że Bobby Saunders był na tej domówce? Podobno jest znanym hokeistą. Zdaje się, że gra w drużynie Maple Leafs. Wszystkie dziewczyny szaleją za nim, ale mnie on się wcale nie podoba. Wygląda na głupka. Ma debilny uśmiech i brakuje mu zębów. I ten Bobby podchodził do wszystkich dziewczyn po kolei i pytał: „Bzykniemy się dzisiaj?“, chociaż podobno jest zaręczony z jakąś supermodelką. To było obrzydliwe. Czy ty w ogóle wiesz, o kim ja mówię? Nie masz pojęcia o hokeju. Założę się, że tata by wiedział. On się zna na sporcie. – Devon znowu uderzyła w płacz.

Marcy trzęsły się ręce, gdy ze szklanką podeszła do zlewu i nalewała wody dla Devon, pozwalając, by szum kranu zagłuszył na chwilę jej nieskładną paplaninę.

– Devon – zaczęła, zakręcając kurek i odwracając się od zlewu. Niestety, nie znalazła córki na krześle, bo ta leżała teraz na podłodze w półembrionalnej pozycji, z kolanami przyciśniętymi do niebieskiego T-shirtu i z twarzą wtuloną w kopczyk soli ze sterzącym kawałkiem szkła tuż przy policzku, zalewie milimetry od oka.

– Devon – powtórzyła Marcy głosem brzmiącym trochę jak szloch, a trochę jak szept.

Osunęła się na kolana obok córki. Natychmiast krzyknęła z bólu, czując, jak odłamek szkła wbija się w jej skórę. Mniej więcej w tej samej chwili usłyszała ciche westchnienie z rozchyłonych ust córki i zobaczyła, że ona śpi. Śpi jak kamień, stwierdziła, próbując ją ocucić.

Pomyślała, że obudzi Petera, ale szybko zmieniła zdanie. Nie ma powodu, aby oboje się nie wyspali. Prawie piętnaście minut zajęło jej wyciągnięcie Devon z kuchni i przeprowadzenie jej przez korytarz do sypialni. Kolejne dwadzieścia upłynęło na rozbieraniu i obmywaniu, a pięciu potrzebowała na zapakowanie córki do łóżka. Potem przez kolejnych piętnaście minut sprzątała kuchnię. Wróciła do sypialni zlna potem i z nogą aż do kostki poznaczoną strużką krwi sączącą się z kolana. Wzięła prysznic, zakleiła kolano plastrem i położyła się do łóżka.

– Nie możesz leżeć spokojnie? – wymamrotał Peter, przewracając się na bok.

– Czemu tam siedzisz? – odezwał się Vic, odnajdując jej oczy w ciemnym pokoju. – Co ci jest?

– Nic.

– Ty płaczesz?

– Nie. Wcale nie. Może... trochę. – Marcy pospiesznie otarła łzy z kącików oczu.

– Żałujesz, że my...? – Oparł się na łokciach i wziął ją za rękę.

– Co? Och nie. Przysięgam, to nie dlatego.

– Myślisz o Devon – odgadł, a w jego ustach to imię zabrzmiało przyjaźnie, a nawet swojsko, jakby ją znał.

– Tak.

– Zdecydowałaś już, co zrobisz?

– Nie.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą? – zapytał z uśmiechem. Ten uśmiech mówił: „Nawet nie próbuj mnie okłamywać”. – Mówię serio. Chętnie wrócę do Cork.

Propozycja niewątpliwie kusząca, pomyślała Marcy. Miło byłoby mieć towarzystwo.

– Nie – powiedziała po chwili. To tylko skomplikowałoby całą sprawę. – Myślę, że muszę to sama załatwić.

Pokiwał głową, jakby nie poczuł się zaskoczony odmową.

– Obiecuj, że będziesz ze mną w kontakcie.

– Mam twoją wizytówkę.

– Zadzwoń, jak tylko odnajdziesz Devon? – Znowu jej imię tak naturalnie padło z jego ust. Czy kiedykolwiek czuła się tak swobodnie, rozmawiając o córce?

– Sądzisz, że ją znajdę? – Niespodziewanie poczuła, że chce, aby on dodał jej odwagi.

– Na pewno.

– Skąd wiesz?

– Bo ciebie znam.

– Przecież mnie nie znasz. Tak naprawdę.

– Wiem, jaka jesteś zdeterminowana i że nie odpuścisz, dopóki jej nie znajdziesz.

– Znajdę ją – stwierdziła stanowczo.

– Jasne. Wcale w to nie wątpię. A jeśli zmienisz zdanie i zechcesz, żebym jednak przyjechał, gdybyś potrzebowała pomocy albo kogoś, kto pottrzymałby cię za rękę lub podrapał po plecach...

Uśmiechnęła się, gdy on, sunąc dłonią po jej ramieniu i karku, zanurzył palce w burzy niesfornych loków.

– O Boże, muszę okropnie wyglądać. Moje włosy...

– Są cudowne.

Potrząsnęła głową, a grzywka poskręcana w pierścionki leniwie odbiła się od

czoła.

– Czy możliwe, abyś naprawdę nie wiedziała, jaka jesteś piękna? – zapytał Vic.

– Moja matka zawsze powtarzała, że mam za dużo włosów – wyznała.

– A moja mówiła, że gdybym się prosto trzymał, miałbym ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Wcale nie jesteś za niski.

– A ty nie masz za dużo włosów.

– Och, te matki – zaśmiała się.

– Mówiłaś, że twoja zmarła, mając czterdzieści sześć lat? To musiał być dla ciebie cios.

– Szczerze mówiąc – wyznała – w pewnym sensie poczułam ulgę.

– Długo chorowała?

– Odkąd sięgam pamięcią.

Vic przechylił głowę na bok i patrzył na nią wyczekująco.

– Rzuciła się z dachu dziesięciopiętrowego budynku, gdy miałam piętnaście lat.

– O mój Boże, jakie to smutne.

– Zrobisz coś dla mnie? – spytała Marcy, wsuwając się do łóżka i naciągając kołdrę pod brodę.

– Co tylko chcesz.

– Możesz mnie przytulić?

Natychmiast otoczył ją ramionami, a jego oddech załaskotał ją w kark, gdy wtuliła się we wklęsnięcie jego zgiętego ciała. Po jakimś czasie uścisk Vica osłabł, a oddech zwolnił do sennego rytmu. Leżała w ciemnościach jeszcze przez jakiś czas, napawając się poczuciem bezpieczeństwa, jakie niosło z sobą ciche pochrapywanie, a potem ostrożnie wysunęła się z jego ramion, wstała z łóżka i na palcach wyszła z pokoju.

## 6

Z samego rana wymeldowała się ze swojego hotelu.

– Widzę, że ma pani kilka nieodstuchanych wiadomości – poinformowała ją recepcjonistka, kiedy Marcy regulowała rachunek.

– Można je usunąć.

– Jak pani sobie życzy. Jeżeli mogę jeszcze w czymś pomóc...

– Proszę mi wezwać taksówkę.

Marcy postanowiła jednak nie wynajmować samochodu. Lynette miała rację: nie zna tutejszych dróg, nie jest przyzwyczajona do lewostronnego ruchu, a poza tym samochód nie przyda jej się w Cork. Przecież przewodnik wyraźnie mówił, że po tym mieście najlepiej poruszać się na własnych nogach.

– Znajdzie pani taksówkę przed głównym wejściem. Czy posłać kogoś po bagaż?

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

Przed frontem hotelu stał sznur taksówek. Marcy po nieudanych negocjacjach z kilkoma kierowcami znalazła wreszcie taksówkarza, który był skłonny pojechać do Cork, pod warunkiem że ona dodatkowo zapłaci za benzynę i drogę powrotną.

– Dobrze – zgodziła się, wsuwając się na tylne siedzenie. – Tylko proszę mnie tam jak najszybciej zawieźć. – I to w jednym kawałku, dodała w myślach, kiedy taksówkarz wrzucił bieg, a małym samochodem zarzuciło tak, że odbił się od krawężnika.

Szcześliwie kierowca był chyba jedynym człowiekiem w Irlandii, który absolutnie nie wykazywał ochoty do pogawędki. Ani też nie czuł potrzeby popisywania się znajomością irlandzkiej historii i folkloru. Zapewne nigdy nie pocałował Kamienia z Blarney, przemknęło Marcy przez głowę, kiedy próbowała się umościć na ciasnym siedzeniu.

Dużo czasu zajął im wyjazd z miasta. Taksówka na chwilę utknęła pomiędzy dwoma potężnymi wywrotkami – „nowy symbol Dublina”, zauważył mrukliwie przewodnik, kiedy wczoraj ich autokar w taki sam sposób zablokowały dwie wywrotki wyładowane tonami piasku i żwiru. Miasto było jednym wielkim placem



budowy. Budowano nowe drogi i poszerzano stare; wszędzie wyrastały bloki mieszkalne, przeważnie wysokie, szare i całkowicie pozbawione charakteru betonowe monstra, wypierając stare urokliwe kamieniczki. Marcy opuściła szybę i po chwili z powrotem ją podkręciła, bo nieustanny łomot młotów udarowych przyprawił ją o ból głowy.

Sytuacja tylko trochę się poprawiła, kiedy wjechali na autostradę. Duży ruch konkurował z gwałtownie opadającą mgłą i falami ulewnych deszczów, co czyniło warunki jazdy dalekimi od idealnych. Marcy przypomniało się, że gdzieś wyczytała, iż Irlandia plasowała się na drugim miejscu w Europie pod względem liczby wypadków drogowych. Który kraj przodował, nie zapamiętała.

– Czy już dojeżdżamy? – zapytała po upływie niemal dwóch godzin.

– *Czy już dojeżdżamy?* – usłyszała w swoim pytaniu echo głosu Devon.

– Jeszcze z godzinę – rzucił kierowca z przedniego fotela. – Ludzie zawsze zapominają, jak się jeździ w deszczu.

– Przecież tu pada prawie dzień w dzień.

– Ano – odmruknął, jakby taka odpowiedź załatwiała wszystko. Może i załatwia, pomyślała Marcy, odchylając głowę na zagłówek i przymykając powieki.

– Gdzie mam panią wysadzić? – zapytał taksówkarz, jak się jej wydawało, chwilę później.

– Co? – poderwała się i rzucając okiem na zegarek, odkryła, że upłynęła godzina. Musiała zasnąć. Wyjrzała przez mokre od deszczu okno i zobaczyła, że jest już w Cork.

– W którym hotelu się pani zatrzymała? – uściślił taksówkarz, lawirując powoli po zatłoczonym centrum.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, że zapomniała zrobić rezerwację. Przed oczami stanęła jej Lynette. Kręcąc głową z politowaniem, strofowała ją bezgłośnie, że kolejny raz nie pomyślała „z wyprzedzeniem”.

– Prawdę mówiąc, niczego nie rezerwowałam. Może pan zna jakieś porządne, godne polecenia miejsce?

– Hmm, niełatwo tu coś znaleźć. Jest szczyt sezonu turystycznego, a w Cork nie ma zbyt wielu eleganckich hoteli.

– Nie musi być elegancki. Właściwie wołałabym coś zwyczajnego. – Pobyt w „zwyczajnym” miejscu oznaczał mniejszą szansę, że ktoś ją tu znajdzie. Nie chciała, aby Judith czy Peterowi udało się tak łatwo ją namierzyć jak w Dublinie. I wołałaby, żeby Vic Sorvino nie przybył na białym koniu z odsieczą, obojętnie jak

bardzo kusząca wydawała się taka ewentualność. Doświadczenie ją nauczyło, że lepiej nie liczyć na męską pomoc. Poza tym nie powinna żywić takich oczekiwań wobec Vica. To nie byłoby właściwe dla obu stron.

Marcy odkręciła odrobinę szybę po swojej stronie, uważając, żeby deszcz nie wpadał do środka. Z karylionu kościoła Świętej Anny popłynęły na miasto pierwsze nuty *Danny Boy*. Uśmiechnęła się, czując, jak wzbiera w niej ekscytacja. Nieważne, gdzie się zatrzyma, pomyślała. Skoro gdzieś tu, niedaleko, jest Devon, może nawet spać na chodniku, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Może na Western, U Tynana – zastanawiał się na głos taksówkarz. – Co prawda to tylko pensjonat, ale słyszałem, że jest w porządku, chociaż luksusów tam pewnie nie będzie.

– Nie szukam luksusów.

U Tynana też mieli pełne obłożenie. Podobnie jak w sześciu innych pensjonatach stojących jeden obok drugiego na Western Road. Dobrze, że chociaż deszcz przestał padać, pomyślała Marcy, targając walizkę po stopniach Doyle Cork Inn, jednego z niewielu miejsc, które jeszcze zostały do sprawdzenia na tej ulicy.

– Może pomogę? – odezwał się młody człowiek, który wyrósł przy niej, chwytając za bagaż. Mógł dobiegać dwudziestki i miał jasną cerę poznaczoną śladami po ospie wietrznej. Jedna szczególnie wyraźna blizna była umiejscowiona dokładnie pomiędzy jego szeroko rozstawionymi piwnymi oczami i wyglądała jak otwór po kuli. Pojedynczy lok rudawych włosów opadał na środek wysokiego czoła, a usta wypełniał nadmiar zębów podobnych do sztchet w płocie.

*Porządny aparat korekcyjny załatwiłby ten problem* – zadźwięczała jej w uszach uwaga Petera.

– Och tak, poproszę. – Marcy podążyła za chłopakiem do recepcji w mikroskopijnym holu. – Macie wolny pokój?

– Chyba coś się znajdzie.

– Dzięki Bogu. Już zaczynałam tracić nadzieję.

– O nie, tego nigdy robić nie wolno.

– Racja. Dziękuję. To dobra rada. – Uśmiechnęła się.

– Jestem Colin Doyle. Moja mama za chwilę przyjdzie. Pani jest z Ameryki?

– Z Kanady.

– Naprawdę? Mieliśmy tu niedawno gościa z Kanady. Zdaje się, że nazywał się Randy Sullivan. Zna go pani?

– Nie, raczej nie. – Odpuściła wyjaśnienie, że w Kanadzie mieszkają ponad

trzydzieści trzy miliony ludzi. Chociaż z drugiej strony, nigdy nie wiadomo. Niewykluczone, że mogła znać tego człowieka. I to wcale nie byłoby dziwniejsze od tego, że przebywając w Irlandii na wycieczce, która w zamierzeniu miała być powtórką miesiąca miodowego, znajdzie córkę, którą już oplakała.

– Znasz tę dziewczynę? – spytała, wyciągając z torebki najświeższą fotografię Devon i podsuwając ją Colinowi.

Wziął od niej zdjęcie i wpatrywał się w nie przez kilka sekund, ściągając w skupieniu bujne brwi.

– Chyba nie – powiedział w końcu.

– Jesteś pewien? Możliwe, że studiuje na waszym uniwersytecie. To chyba niedaleko stąd.

– Trochę dalej niż jedną przecznicę – potwierdził. – Ale nie. Nie znam jej. – Oddał zdjęcie. – Wygląda na bardzo smutną, nie?

Marcy natychmiast łzy napłynęły do oczu. To jej wina, że córka wygląda na smutną.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – zaszczebiotał wysoki głos i do małego holu weszła przysadzista kobieta o rudawych włosach, poprzetykanych siwizną. Oczy miała piwne, tak samo jak syn, tyle że tliły się w nich przekorne ogniki, jakby właśnie wróciła skądś, gdzie nie powinna była zaglądać. – Jestem Sadie Doyle, właścicielka tego oto wspaniałego przybytku. – Duże, niezwykle ekspresyjne dłonie zatoczyły krąg, obejmując hol, salon po lewej stronie, wąskie schody po prawej i wszystkie ściany pokryte krzykliwą tapetą w purpurowe kwiatowe wzory. Marcy nie bardzo wiedziała, czy ona mówi poważnie, czy też żartuje.

– Mogę zerknąć? – spytała Sadie Doyle, wskazując zdjęcie. – Ładna dziewczyna. Ale chyba trochę smutna, nie?

Marcy poczuła, jak kraje jej się serce.

– To córka?

– Tak. Może pani ją zna?

– Nie, na pewno nie. Jest tu, w Cork, tak?

– Tak. Próbuję ją odszukać.

– Pani nie wie, gdzie ona przebywa?

Marcy poczuła, że skóra piecze ją żywym ogniem.

– Jakoś tak wyszło, że straciłyśmy kontakt.

Sadie Doyle uśmiechnęła się smętnie, niby ze zrozumieniem, lecz w wyrazie jej oczu pojawiło się coś na kształt potępienia.

– Szkoda, że nie potrafię pomóc. – Weszła za kontuar i otworzyła książkę meldunkową. – Doba w jednoosobowym pokoju kosztuje sto pięćdziesiąt euro.

– Dobrze. – Marcy nie umiała sobie przypomnieć kursu euro do dolara, ale postanowiła później się tym przejąć.

– Pani godność?

– Taggart. Marcy Taggart.

– Jak długo się pani u nas zatrzyma?

– Kilka dni. Może tydzień. Nie potrafię dokładnie powiedzieć. – Tak długo, jak trzeba, dopowiedziała w myślach. – Czy będzie z tym jakiś kłopot?

– Nie, wcale. Proszę to wypełnić. – Sadie przesunęła ku niej formularz. – I oczywiście potrzebny mi będzie paszport. Colin przyniesie go pani za kilka godzin. Jaką kartą pani płaci?

Marcy podała jej American Express.

– Pokój numer siedem, za schodami w lewo. – Sadie wręczyła Marcy duży, ozdobny mosiężny klucz. – To jeden z najsympatyczniejszych pokoi. Myślę, że będzie tam pani wygodnie.

– Dziękuję.

– Powodzenia w poszukiwaniu córki.

– Dziękuję – powtórzyła i chowając zdjęcie Devon do torebki, podążyła za Colinem schodami.

Pokój był mały i zastawiony tanimi meblami. Stało tam podwójne łóżko ze starodawnym mosiężnym zagłówkiem, podniszczona szafa i nocny stolik do kompletu, jeszcze bardziej zniszczona komoda z trzema szufladami, z których dwie nie miały gałek, fotel obity ciemnopurpurowym brokatem, rozłazącym się na szwach, i odrapany mahoniowy stolik pod oknem, z którego widok przez poszarzałą koronkową firankę wychodził prosto na okna pensjonatu znajdującego się naprzeciwko. Tapeta w purpurowe kwiaty była tylko trochę bardziej stonowana od tej na dole, a podłogę przykrywała wydeptana liliowobrazowa wykładzina. Nie wydaje się bardziej zużyta ode mnie, pomyślała Marcy, opadając na łóżko z przesadnie miękkim materacem i patrząc na swoje odbicie w pozbawionym ram prostokątnym lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie.

*Jesteś piękna* – usłyszała szept Vica.

– No jasne – prychnęła, odgarniając włosy.

– Przepraszam, pani coś mówiła? – spytał Colin.

– Co? Nie, nie. Nic. – Uszło jej uwagi, że chłopak nadal tu był. Pewnie czeka na

napiwek, zorientowała się, szukając w torebce drobnych.

– Czy wszystko jest jak należy? – zapytał nerwowo, przestępując z nogi na nogę.

– Tak, wszystko jest jak należy.

– Przyjemnego pobytu – powiedział i objając się goleniami o bagaż Marcy, ruszył do drzwi.

– Ach, wcale nie jest źle! – powiedziała na głos, kiedy wyszedł z pokoju, mając nadzieję, że dźwięk własnego głosu doda jej otuchy. Przecież nawykła do wmawiania sobie, że sprawy wyglądają inaczej, niż mają się w rzeczywistości. Jeżeli odpowiednią liczbę razy powtórzy, że pokój jest śliczny i wszystko dobrze się układa, w końcu zacznie w to wierzyć. Udajesz i dlatego jesteś, wyszeptała, podchodząc do okna. Rozchyliła poszarzałe koronkowe firanki i zapatrzyła się na okno na piętrze sąsiedniego pensjonatu.

Dopiero po paru sekundach dotarło do niej, że ktoś patrzy na nią z okna vis-à-vis. Młoda kobieta. Młoda kobieta wzrostu Devon z takimi samymi brązowymi włosami.

– Devon? – szepnęła, kiedy kobieta się uśmiechnęła i nieśmiało do niej pomachała. Niespodziewanie u jej boku pojawił się mężczyzna z wiercącym się maluchem na rękach. Dziecko wyciągało rączki do kobiety, paluszkami sięgając do szyi, gdy ona, pokrywając buzię pocałunkami, odbierała je od mężczyzny.

To nie Devon, zorientowała się Marcy natychmiast. Devon nie przepadała za dziećmi. *Pod tym względem trzymam z Judith* – powtarzała wielokrotnie.

– Nie wolno ci w każdej dziewczynie widzieć Devon – skarciła się, wycofując się od okna i przestawiając walizkę z podłogi na łóżko. Nie każda dziewczyna wzrostu Devon – *ładna dziewczyna z długimi, ciemnymi włosami i z wysokimi kośćmi policzkowymi, która być może porusza się jak Devon i w taki sam sposób trzyma papierosa...* – jak to ujął Peter, jest jej córką. Musi przestać rozumować w ten sposób, bo inaczej zwariuje.

Za późno, pomyślała, rozpakowując walizkę. Starła się jak najwięcej rzeczy powiesić na czterech wieszakach znalezionych w ciasnej szafie, a to, co zostało, upchała do komody w stylu Armii Zbawienia pod wiszącym lustrem. Łazienka była tak mała, że otwierając drzwi, uderzyła nimi o wannę. Nie było tam żadnej szafki ani półki na kosmetyki, musiała więc poustawiać kremy, do których zakupu zmuszała ją siostra, na brzegu całkiem porządnej umywalki. Na niewiele się zdały, stwierdziła, widząc w małym lustrze nad umywalką w okolicy oczu i ust cienkie linie, niczym zapowiedź niechcianej burzy.

– Kto was tu prosił? – zapytała na głos, ochlapując twarz zimną wodą i osuszając ją cienkim, białym ręcznikiem, który wisiał na haczyku obok.

*Czas na delikatny lifting* – zadźwięczały jej w uszach słowa Judith.

– Nie, dziękuję. – Marcy odsunęła się energicznie od lustra i wpadając na drzwi, nadziała się plecami na klamkę.

Judith dała sobie „zrobić” twarz jakieś sześć lat temu.

– *To tylko maleńka korekta* – twierdziła – *żeby nie wyglądać na taką zmęczoną.*

– *Nie wyglądałabyś na zmęczoną, gdybyś na okrągło nie katowała się gimnastyką.*

– *Muszę utrzymać formę.*

– *Jesteś w doskonałej formie.*

– *Tylko dlatego, że ćwiczę. A ty powinnaś zacząć chodzić ze mną na spin. Dobrze by ci to zrobiło. I bardzo podniosłoby jakość twego życia seksualnego.*

– *Mam udane życie seksualne.*

– *Szczeniara. Niemniej powinnaś ćwiczyć. Tak samo Devon. Trochę się zaokrągliła.*

– *Co ty opowiadasz. Devon świetnie wygląda.*

– *Nabrała ciała.*

– *Nie wiem, o czym mówisz.*

– *A jak ona tak w ogóle ostatnio się miewa?*

– *Bardzo dobrze. O co ci właściwie chodzi?*

– *Nie pozwalasz jej chyba jeść tego śmieciowego jedzenia?*

– *Judith, to nastolatka. Naprawdę mam ograniczoną kontrolę nad tym, co ona je.*

– *Wiesz, jak istotna jest właściwa dieta?*

– *Są w życiu ważniejsze sprawy od surowej ryby.*

– *Nikt nie mówi, że tak nie jest.*

– *To co starasz się mi powiedzieć?*

– *Niczego nie staram się powiedzieć.*

– *Devon dobrze sobie radzi.*

– *Ależ oczywiście.*

– *Ależ oczywiście* – powtórzyła na głos Marcy i wracając do sypialni, wepchnęła walizkę pod łóżko, bo to był jedyny kawałek wolnej przestrzeni, jaki udało jej się znaleźć. Następnie przebrała się w jeansy i w świeżą bluzkę, złapała torebkę, wzięła dwa głębokie wdechy i wyszła z pokoju.

Skierowała się prosto do pubu, z którego okna zobaczyła Devon.

– Grogan’s House – wymruczała półgłosem, przechodząc przez St. Patrick’s Bridge i skręcając w lewo. Poczowała ulgę, gdy jej oczom ukazał się jaskrawożółty szyld z wyraźnym czarnym napisem. Pub zajmował parter otynkowanego na biało, piętrowego domu z czarnym łupkowym dachem. Fasadę zdobiło kilka staromodnych, kulistych lamp i rozwieszonych pomiędzy nimi małych, kolorowych proporczyków. Jej wzrok przyciągnęły reklamy Guinnessa i Beamisha wytrawione w dużej szybie wystawowej. Nie zauważyła ich poprzedniego popołudnia. Czy możliwe, że pomyliła puby? Tyle ich było w okolicy.

Ostrożnie podeszła do wejścia, zerkając przez ramię na kilku klientów, którzy mieli odwagę siedzieć na zewnątrz w ogródku. Wystarczyła jej sekunda, żeby się zorientować, że nie ma pośród nich Devon. W wejściu minęła się z mężczyzną, który usłużnie przytrzymał jej drzwi, i natychmiast otoczył ją przyjazny szmer rozmów.

– No proszę – przebił się przez gwar jakiś głos. – Wróciła pani dopić herbatę, tak?

Marcy skierowała się prosto do kontuaru.

– Pan mnie pamięta? – zwróciła się do przystojniaka za barem.

– Nigdy nie zapominam ładnych twarzy.

Poczowała się mile polectana tym komplementem. Odruchowo podniosła rękę do głowy i zaczęła bawić się włosami.

– Miałam nadzieję, że tu pana zastanę.

Nawet jeśli zaskoczyła młodego człowieka tym wyznaniem, nie dał tego po sobie poznać.

– Czym mogę służyć? – zapytał z błyskiem w zielonych oczach, rozchyłając pełne usta w swobodnym uśmiechu.

– Była tu dziewczyna – zaczęła Marcy, wyjmując z torebki zdjęcie Devon. – Wczoraj.

– Aha, dziewczyna...

– Myślę, że to była ona. – Przesunęła ku niemu zdjęcie po barze. – Zna ją pan?

Wziął zdjęcie do ręki i wpatrywał się w nie przez kilka sekund, powoli kręcąc głową.

– Przechodziła przed pubem i pomachała do pana. – Nie ustępowała, usiłując odświeżyć mu pamięć.

– Oj, wyznam, że dużo dziewczyn do mnie macha. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, oddając zdjęcie Marcy.

– Z naszego Liama jest niezły podrywacz – rzuciła kelnerka, która przechodziła obok z tacą z pustymi kuflami. – Mogę zerknąć?

– Proszę. – Marcy podała zdjęcie biuściastej młodej kobiecie.

Długie blond loki kelnerki opadły ku fotografii.

– Hmm – wymruczała obiecująco.

– Poznaje ją pani?

– Trochę przypomina Audrey, nie? – zwróciła się do barmana.

– Audrey? – Marcy i Liam zapytali równocześnie.

– No. Wiesz, tę dziewczynę, co się trzyma z taką drugą, kurczę, jak jej na imię? Taką cichą, która pracuje u O’Connorów.

– Nie bardzo wiem, o kim mówisz – stwierdził Liam.

– Na pewno ją kojarzysz. Jest opiekunką ich dziecka. Jak ona ma na imię? Czy czasem nie Shannon?

– Ach, tak. Teraz wiem, o kim myślisz. – Liam jeszcze raz wziął zdjęcie, wpatrywał się w nie przez jakieś dziesięć sekund i ponownie pokręcił głową. Nieee, absolutnie, to nie Audrey. – Hmm, ta dziewczyna jest chyba młodsza i nie wygląda na taką twardzielkę...

– To zdjęcie sprzed kilku lat – wtrąciła Marcy.

– Chyba że tak – przyznała kelnerka.

– Myśli pani, że to może być Audrey? – zapytała Marcy, starając się wymówić swobodnie to nowe imię. Devon zawsze podziwiała Audrey Hepburn, przypomniawszy sobie.

– Oczywiście, nie mam pewności. Ale możliwe, że to ona.

Marcy schowała zdjęcie do torebki, czując, jak serce próbuje wyskoczyć jej z piersi. – Wiecie, gdzie mogę ją znaleźć?

– *Sorry*, nie mam pojęcia – odparł Liam, skupiając uwagę na gościu przy końcu baru.

– Niech pani sprawdzi u O’Connorów – podsunęła jej pomysł kelnerka. – Shannon pracuje u nich jako opiekunka do dziecka. Prawdopodobnie będzie wiedziała, jak skontaktować się z Audrey.

– Hej, Kelly! – odezwał się mężczyzna siedzący przy stoliku pod ścianą. – Co z naszymi piwami?

– Już idą.

– Gdzie znajdę O’Connorów?! – zawołała za nią Marcy.

– Mieszkają przy Adelaide Road. Nie znam dokładnego adresu. To największy



dom na całej ulicy. Trudno go przeoczyć.

Marcy szybkim krokiem ruszyła do drzwi.

– Dziękuję! – krzyknęła, wychodząc, lecz ani Kelly, ani Liam jej nie usłyszeli, oboje zajęci klientami.

Adelaide Road leżała w południowej części miasta, mniej więcej dwie mile od centrum. Była zdumiewająco szeroką ulicą, wijącą się po zboczu stromego wzgórza. Stały tam wyłącznie jednopiętrowe i stosunkowo nowe domy, których powierzchnia użytkowa zapewne rekompensowała brak jednolitych rozwiązań architektonicznych. Większość ich miała biały lub szary tynk i czarne okiennice. Od czasu do czasu kolorystyczną monotonię przełamывała elewacja w lawendowej barwie z okiennicami w odcieniu strażackiej czerwieni. Ten widok sprowadził lekki uśmiech na usta Marcy. Kelly kazała jej rozglądać się za największym domem na ulicy, lecz jak dotąd wszystkie wydawały się mniej więcej tej samej wielkości, z tą tylko różnicą, że niektóre z nich miały garaż na dwa samochody.

Zerwał się silny wiatr, niosąc z sobą specyficzny zapach portu. Przed przyjazdem tutaj Marcy nie miała pojęcia, że w Cork jest drugi na świecie pod względem wielkości naturalny port, plasujący się zaraz po Sydney Harbor w Australii, i że miasto jest ważnym ośrodkiem morskim, ale wtedy w ogóle niewiele wiedziała o Irlandii.

– *Irlandia to najpiękniejszy kraj na świecie* – zadźwięczało jej w uszach stwierdzenie Devon, kiedy pokonywała kolejny zakręt. – *Tata mi o niej opowiadał. Mówi, że tam pojedziemy, gdy tylko znajdzie trochę czasu.*

– *To ładnie.* – Marcy postanowiła przemilczeć przed swą czternastoletnią córką, że Peter to samo wciąż jej obiecywał, odkąd się poznali, a obecnie każdą wolną chwilę wołał spędzać na polu golfowym.

– *Mówi, że tam jest wszystko: i góry, i wysokie klify, i lesiste doliny z rzekami, i plaże* – trajkotała Devon, jakby czytała z przewodnika. – *Miasta są nowoczesne, ale za to wsie zachowały dawny urok i są tam również ogromne zamki i groble z wulkanicznych skał, no i klasztory, których historia sięga szóstego wieku.*

– *Brzmi ciekawie.*

– *Tatusi mówi, że niedługo się tam wybierzemy. Może nawet tego lata.*

– *Skarbie, nie rób sobie zbyt dużych nadziei. Wiem, że tata chce dobrze, ale...*

– *Ale co?* – Devon zmrużyła oczy i ściągnęła gniewnie brwi.

– *Jest zapracowany.*

– *Zabierz mnie tam. Pojedziemy. Jeśli nie chcesz, nie musisz z nami jechać.*

– *Nie powiedziałam, że nie chcę.*

– *Dlaczego ty zawsze musisz wszystko zepsuć?* – Po tych słowach Devon zerwała się z krzesła i wybiegła z kuchni.

Miała rację, Marcy pomyślała teraz, czując, jak z wysiłku łapią ją skurcze w łydkach. Rzeczywiście, zawsze wszystko psuje.

Dokładnie w tej samej chwili zobaczyła ten dom.

Był większy przynajmniej o jedną trzecią od pozostałych. Dodatkowo wyróżniał się elewacją z żółtej cegły i balkonami jak z *Romea i Julii* na pierwszym piętrze. Do domu biegła nieregularna ścieżka obsadzona kwiatami, a po obu bokach czarnych, dwuskrzydłowych drzwi wznosiły się smukłe, białe kolumny, co nadawało fasadzie nieco południowy charakter. Szeroki podjazd prowadził do garażu na trzy samochody. Zamykała go brama z ciemnego, mocno wypolerowanego drewna. Całość sprawiała takie wrażenie, jakby architekt nie mógł się zdecydować na jeden styl i dlatego wybrał z kilku po trochu.

I co teraz, zastanawiała się Marcy. Przeszła jeszcze kawałek w górę ulicy, po czym zawróciła i zbliżyła się do domu z przeciwnej strony. Czy powinna bez żadnych wybiegów, po prostu podejść ścieżką do drzwi, zadzwonić i zapytać o Shannon?

– *Czy mogę wiedzieć, kto chce z nią rozmawiać?* – wyobraziła sobie, jak pyta pani O'Connor.

Prawdopodobnie to nie pani O'Connor otworzy drzwi, zmieniła zdanie, i natychmiast w jej wyobraźni właścicielkę domu zastąpiła starsza kobieta. Zapewne to będzie gosposia, pomyślała i zobaczyła wytwór swej wyobraźni w schludnym szarym uniformie i z włosami upiętymi w ciasny koczek nad karkiem. A może sama Shannon otworzy jej drzwi? *To ta cicha* – tak opisała ją Kelly. Marcy oczami duszy ujrzała chudą dziewczynę z bladą cerą i z jasnymi włosami o nieco rudawym odcieniu.

W końcu zdecydowała, że jednak to będzie pani O'Connor.

– *Shannon mnie nie zna* – wyobraziła sobie, jak mówi zdziwionej właścicielce domu. – *Ale przypuszczam, że zna moją córkę. To jej zdjęcie. Czy pani może ją rozpoznać?*

– *Tak, chyba tak. Myślę, że to Audrey.* – Wyimaginowana pani O'Connor oderwała wzrok od zdjęcia i spojrzała w głąb domu. – *Shannon, pozwól na chwilę! Ktoś pyta*

o Audrey.

– *Wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?* – zwróciła się Marcy do smukłej istoty, która podeszła do drzwi.

– *Jasne. Ona mieszka blisko uniwersytetu* – rzuciła Shannon bez wahania. – *Jeśli pani chce, mogę tam panią zaprowadzić.*

– *Bardzo bym chciała.*

Czy to rzeczywiście okaże się takie proste, dumiała Marcy, wlokąc się po ścieżce przed domem O'Connorów. A może będzie wręcz odwrotnie? Może ten ktoś, kto otworzy drzwi, zatrzaśnie je Marcy przed nosem, gdy tylko wyłuszczy powód wizyty? Może nie pozwoli jej porozmawiać z Shannon albo sama Shannon, tak jak wcześniej Liam, kręcąc głową, powie: *Nie, to nie Audrey?*

– Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. – Marcy nacisnęła dzwonek, a potem uniosła kołatkę w kształcie kobolda, kilkakrotnie uderzyła nią o czarne drewno i ze wstrzymanym oddechem nasłuchiwała odgłosu kroków po drugiej stronie drzwi. Ponieważ nie dobiegł jej żaden dźwięk, zadzwoniła raz jeszcze. Nadal nic. – A niech to!

Nikogo nie było w domu.

Czy rzeczywistość musi zawsze rozmijać się z oczekiwaniami, pomyślała Marcy. I co teraz?

– Poczekam – zdecydowała. Co innego jej pozostało?

Rozejrzała się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby przysiąść, ale niczego nie znalazła, nawet porządnego pnia, o który mogłaby się oprzeć. Podobnie jak w wielu nowych dzielnicach, tu także nie było widać zbyt wielu drzew. W dzisiejszej Irlandii najwyraźniej szarość zastąpiła zielen. Marcy spojrzała na zachmurzone niebo. Oby tylko nie zaczęło padać!

*Znów leje, znów kapie* – cichy śpiew matki poniósł się po wzgórzu. Zwodniczo kojący głos nie milkł, wirując wokół Marcy jak jesienne liście podbijane wiatrem. *Stary dziadek chrapie.*

Marcy zaczęła się przechadzać po zboczach, stawiając przesadnie długie kroki i machając przy tym rękami, jakby w ten sposób chciała ostrzec matkę, aby się nie zbliżała. *Uderzył się w łeppek i teraz smacznie śpi.* Natrętny głos uparcie podążał za nią, niesiony wiatrem.

– *Znowu się zaczyna.* – Pamięta, jak wyszeptała do Judith. Miała wtedy, ile... z dwanaście lat?

– *Co się zaczyna?*

– Z mamą. Znowu się zaczyna.

– Skąd wiesz? – spytała Judith. Chociaż siostra była od niej starsza o dwa lata, o wiele później wyczuwała nieuchronną katastrofę.

– Widzę.

– Jest tylko przygnębiona, bo pada deszcz – zbagatelizowała jej przeczucia Judith. – Wiesz, jaka jest wrażliwa na zmiany pogody.

– Mówię ci – upierała się Marcy. – Zaczyna się.

– Cholera! – zakląła teraz, przystając na końcu ulicy. Po co zeszła aż tu, na sam dół? Znowu będzie musiała podchodzić pod górę. Spojrzała na zegarek. Dochodziła czwarta. Może powinna wrócić do śródmieścia, coś przegryźć i później przyjść tu jeszcze raz.

Tylko że na lunch było już za późno, a na kolację za wcześnie. Poza tym wcale nie czuła się głodna.

Musisz coś zjeść – przekonywała ją Judith po wypadku Devon. Tak samo było, kiedy zostawił ją Peter. Musisz zachować siłę – tłumaczyła siostra, kierując kopiastrą łyżkę orzechowego masła do zaciśniętych ust Marcy.

Marcy zamknęła oczy, próbując pozbyć się mnóstwa przykrych wspomnień tłukących się po głowie.

– Dość! – powiedziała, a jej głos znikł pod kołami przejeżdżającego samochodu. Rolls albo Bentley, oceniła, otwierając oczy, gdy tył czarnej limuzyny zniknął właśnie za zakrętem. Intuicja podpowiadała, że auto O’Connorów. Puściła się biegiem i dla zaczerpnięcia oddechu zatrzymała na wzgórzu, patrząc, jak samochód leniwym ślizgiem wjeżdża na podjazd przed domem z żółtej cegły.

Z odległości mniej więcej pięćdziesięciu jardów zobaczyła, jak ze środka wysiada kobieta z siatkami w obu rękach. Kiedy doszła do drzwi, odwróciła się i zawołała do osoby za kierownicą, kiedy ta wprowadzała samochód do garażu:

– Pamiętaj o zakupach w bagażniku!

Kobieta była młoda, ciut po trzydziestce, i bardzo ładna. Miała jasnokasztanowe włosy i zgrabne, choć dość mocno umięśnione nogi. Była ubrana w granatową spódnicę sięgającą kolan i luźny niebieski kardigan, nałożony na klasyczną bluzkę w drobny wzorek. Ze swobodnego sposobu, w jaki zwróciła się do tego kogoś za kierownicą, Marcy odgadła, że ma przed sobą panią O’Connor, a nie opiekunkę dziecka.

Łap szansę, powiedziała sobie Marcy, kiedy kobieta szukała kluczy w markowej torbie. Zmusiła się, żeby ruszyć przed siebie. Jednak przystanąła w pół kroku na

widok mężczyzny, który parę sekund później wyłonił się z garażu ze stosem zakupów w objęciach. Zauważyła, że był starszy od kobiety o co najmniej dziesięć lat i nawet w tej sytuacji, zmagając się z zakupami wysypującymi się z toreb, zachował dystyngowany wygląd.

– Dasz sobie radę? – zapytała pani O'Connor, stając w drzwiach.

– Z drogi, kobieto! – odpowiedział ze śmiechem jej mąż. Kilka sekund później, ciągle rozbawieni, weszli do środka, zamykając za sobą drzwi.

– „Państwo O'Connor, jak mniemam” – wypowiedziała z afektacją Marcy pod wrażeniem ich wzajemnej relacji. Zastanawiała się jednocześnie, kiedy ona i Peter po raz ostatni tak się razem śmiali. Z byle powodu. Może na początku, doszła do wniosku. Przed Devon. – Przestań. Bądź uczciwa – skarciła się. To było bardzo kuszące, ale nie mogła obwiniać Devon o wszystkie problemy w swoim małżeństwie.

Po raz kolejny zabrzmiał jej w uszach niechciany i niechętnie witany głos Judith.

– *Jesteś pewna, że tego chcesz?* – zapytała, kiedy Marcy poinformowała ją, że spodziewa się dziecka. – *Już nigdy nie będziesz mieć chwili spokoju. Zawsze będziesz czekać, obserwować...*

– *Zamknij się, Judith* – warknęła wtedy.

– Zamknij się, Judith – powiedziała teraz, pocierając czoło i głowiąc się, gdzie może być Shannon. Prawdopodobnie jest gdzieś z dziećmi O'Connorów. Mogła je wziąć na spacer albo bawi się z nimi w parku. Kto wie, może opiekunka ma dziś wolny dzień, a dzieci spędzają popołudnie u dziadków.

Tak wiele niewiadomych.

Postanowiła dać O'Connorom kilka minut na rozpakowanie zakupów, zanim ich zacznie indagować.

– Dasz radę – powiedziała do siebie, sięgając do torebki po zdjęcie Devon, nie do końca pewna, czego właściwie się boi. Czy tego, że O'Connorowie nie rozpoznają dziewczyny na zdjęciu? Czy że ją rozpoznają?

Chwilę później powietrze wypełnił głośny płacz niemowlęcia i z za zakrętu u szczytu ulicy wyłoniła się młoda dziewczyna z wózkiem.

Marcy ze wstrzymanym oddechem czekała, aż dziewczyna znajdzie się w zasięgu jej wzroku. Wygląda dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażałam, pomyślała. Z niedowierzaniem patrzyła na chudą sylwetkę, bladą cerę i długie, jasne włosy o rudawym odcieniu. Dziewczyna była na swój sposób ładna. Nie był to

taki typ urody, który natychmiast rzuca się w oczy dzięki różnym upiększającym zabiegom. Miała na sobie jeansy i jasny żakiet i popychając wózek, lekko się garbiła.

– No dalej! Na co czekasz? – wymówiła to pytanie Marcy w postawiony kołnierz trencza. Jednak stopy nie chciały się odkleić od ziemi. A jeśli to nie Shannon? Przecież nie może zaczepiać wszystkich kobiet z wózkami, które będą tędy przechodzić.

Dziewczyna zdążyła skręcić na podjazd O'Connorów i obsadzoną kwiatami ścieżką zmierzała do frontowych drzwi.

– Teraz! – zdecydowała Marcy i ruszyła przed siebie, niemal potykając się o własne nogi. – Przepraszam, czy mogłybyśmy zamienić parę słów? – wyszeptała na próbę. – Przepraszam – powtórzyła, tym razem głośniej.

W tej samej chwili w już otwartych drzwiach stanął pan O'Connor.

– Dzień dobry, mój aniołeczku – powiedział, biorąc płaczące niemowlę na rękę. – Tatuś się stęsknił za swoją małą księżniczką. Tak, bardzo się stęsknił. Jak było po południu? – zwrócił się do Shannon. – Widzę, że nadal męczy ją kolka.

Marcy nie dosłyszała odpowiedzi. Stała zbyt daleko, żeby wyłowić słowa, tym bardziej że nasilił się wiatr, niosąc z sobą zapowiedź deszczu. Zrobiła jeszcze jeden krok, a tymczasem pan O'Connor zdążył wnieść płaczące dziecko do środka i zamknąć za sobą drzwi. Shannon z wózkiem znikła za narożnikiem domu.

Marcy szybko przecięła podjazd, licząc, że przetnie jej drogę, kiedy będzie wracać do frontowych drzwi. Lecz mijały kolejne minuty, a dziewczyny nie było widać. Pewnie mają drugie wejście, pomyślała Marcy. Rzut oka na boczną ścianę potwierdził jej przypuszczenie.

W takim razie zadzwonisz do drzwi, poprosisz Shannon o rozmowę i pokażesz jej zdjęcie Devon, nakazała sobie. Ile razy już to przerabiała? Shannon albo potwierdzi, że dziewczyna na zdjęciu to jej koleżanka, Audrey, albo nie.

A jeśli rozpozna Audrey, lecz nie zgodzi się podać adresu? Przypuśćmy, że Devon opowiadała jej o swojej matce, o tym, jak zawiodła ją pod każdym względem i że ona upozorowała swoją śmierć po to, aby jak najdalej przed nią uciec. Co wtedy?

Czy Shannon złapie za telefon, gdy tylko Marcy odejdzie od drzwi, i ostrzeże Devon, że jej matka jest w Cork i że ktoś musiał jej powiedzieć o ich przyjaźni, bo biega teraz po mieście, zaczepia obcych ludzi i pokazuje im zdjęcie, więc prędzej czy później natrafi na kogoś, kto jej poda adres Devon.

Co wtedy się stanie?

Czy Devon, nikomu nic nie mówiąc, ucieknie do Hiszpanii, Ameryki Południowej albo do Australii? W jakieś miejsce, gdzie matka nigdy nie da rady jej znaleźć? Czy tak właśnie postąpi?

Pod Marcy ugięły się nogi. Dobrze wiedziała, że córka dokładnie tak właśnie by postąpiła. I dlatego się waha i instynktownie unika rozmowy z Shannon, bo nie chce kolejny raz stracić córki. Musi być cierpliwa. Musi czekać. Czekać i obserwować.

*Zawsze będziesz czekać, obserwować...* – znowu usłyszała Judith w swojej głowie.

Zaczął padać drobny deszcz. Za kilka minut zmieni się w ulewę. Musi znaleźć taksówkę i wrócić do centrum, zanim przemoknie do suchej nitki. Wróci tutaj jutro. I pojutrze. I za dwa dni też. W końcu Shannon doprowadzi ją do Devon, uspokoiła się, szybkim krokiem schodząc ze wzgórza.

– Ha, już się pani za nami stęskniła – przywitał ją Liam, gdy Marcy wmaszerowała do Grogan's House. Jego uśmiech mówił, że się jej spodziewał. – Siadaj, kochana, zaraz podam herbatę. – Machnął ręką w kierunku wolnego stolika w rogu zatłoczonego lokalu.

Jest zaledwie piąta, a w pubie roi się od ludzi, zauważyła Marcy. Czy tu nikt nie siedzi w domu?

– I co, znalazła pani Audrey? – zapytała Kelly, wyrastając u jej boku.

– Nie, ale znalazłam Shannon.

– Potrafiła pani pomóc?

– Nie rozmawiałam z nią.

– Dlaczego nie?

– To skomplikowane – odparła Marcy po krótkiej przerwie.

– Co jest skomplikowane? – zainteresował się Liam, stawiając na stole dzbanek z gorącą herbatą i dwie filiżanki, po czym opadł na krzesło naprzeciw Marcy. – Mogę się przysiąść? Mam teraz przerwę, a pani chyba przyda się towarzystwo. Czy pani wie, że jest cała mokra?

Marcy szybko ściągnęła płaszcz i zaczęła przyglądać włosy.

– Nie udało mi się złapać taksówki...

– Niech pani zostawi te włosy w spokoju – powiedział. – Tak jest bardziej sexy.

Roześmiała się, mimo woli zadowolona z komplementu.



– No, tak lepiej. Więc co jest skomplikowane?

– A co nie jest?

– Głód – stwierdził. – Założę się, że pani chętnie by coś przekąsiła. – Teraz z kolei on się roześmiał.

– A co pan poleca?

– Wybrałbym specjalność zakładu. Kelly, możesz podać pani naszą specjalność? Ja stawiam – zaznaczył.

– Nie, nie ma mowy. Nie zgadzam się.

– Już załatwione. To są przeprosiny za moje wcześniejsze zachowanie.

– Nic takiego się nie stało.

– Byłem trochę opryskliwy. Wie pani, w związku z Audrey.

– Chce pan powiedzieć, że jednak rozpoznał ją na tym zdjęciu?

– Hmm, możliwe, że zbyt pobieżnie mu się przyjrzałem. – Nalał herbaty do filiżanek.

– Chciałby pan jeszcze raz popatrzeć? – Marcy już szukała zdjęcia w torebce.

– Proszę pić swoją herbatę – przypomniał jej, biorąc fotografię Devon do ręki.

Marcy posłusznie podniosła filiżankę do ust i nie odrywając wzroku od jego oczu, wypila długi łyk.

– I co?

– To może być Audrey.

Marcy usiłowała przełknąć narastające ożywienie z kolejnym łykiem herbaty.

– Zna pan jej nazwisko?

Liam przecząco pokręcił głową.

– A co pan o niej wie?

– Niewiele, niestety. Kilkakrotnie zamieniliśmy parę słów. Przeprowadziła się tutaj jakiś rok temu. Z jakiegoś miasteczka na zachód od Londynu. Chyba coś takiego mówiła.

– Czy ona ma angielski akcent? – Devon miała dobre ucho i potrafiła naśladować różne wymowy. Pamiętała jej występy w szkolnych przedstawieniach.

– Chyba tak. Zdecydowanie nie irlandzki, ale niespecjalnie zwróciłem na to uwagę. Ona nie jest w moim typie. Wolę nieco starsze laski. – Figlarny uśmiech błąkał mu się na ustach.

Czy on ze mną flirtuje? – przemknęło Marcy przez głowę, lecz czym prędzej odpędziła tę myśl jako niedorzeczną. Odchyliła się na oparcie krzesła.

– Chciałabym o coś poprosić. Czy może pan mnie zawiadomić, kiedy

następnym razem się zjawi? Tak szybko, jak tylko możliwe? I niech pan jej nie mówi, że jej szukam.

– A mogę wiedzieć, czemu miałbym zrobić którąkolwiek z tych rzeczy?

– To skomplikowane – powtórzyła po raz kolejny. Czy mogła mu zaufać, że jej nie wyda?

– Mógłbym się przynajmniej dowiedzieć, jak się pani nazywa?

– Marcy – powiedziała po paru sekundach, uznając, że musi komuś zaufać. – Marcy Taggart. Podejrzewam, że dziewczyna, którą pan zna jako Audrey, tak naprawdę jest moją córką, Devon.

W oczach Liama pojawiła się długa lista pytań, z których żadnego nie zadał. Bez słowa wyjął długopis z kieszeni białej koszuli i posunął go po stole.

– Niech mi pani zanotuje numer telefonu na serwetce.

Marcy zaczęła pisać, lecz zaraz się zreflektowała.

– O Boże, nie mogę. Wyrzuciłam komórkę.

– Wyrzuciła pani telefon?

– Tak, do rzeki.

– Rany, czemu pani coś takiego zrobiła?

– To...

– Skomplikowane – dokończył za nią. – Tyle sam się mogę domyślić. W takim razie jak mam się z panią kontaktować?

– Zatrzymałam się w Doyle Cork Inn na Western Road – podała mu adres.

Liam pokiwał głową, wziął długopis i na serwetce napisał numer swojego telefonu.

– Proszę od czasu do czasu kontrolnie zadzwonić. Tak chyba będzie prościej.

– To bardzo uprzejmie z pana strony. – Marcy o mało nie rozplakała się z wdzięczności.

– Czasami musimy zdać się na uprzejmość obcych ludzi – powiedział z błyskiem w swych przepastnych, zielonych oczach.

Rozpoznała cytaty z *Tramwaju zwanego pożądaniem* Tennessee Williamsa. Uniósła filiżankę i stuknęła nim o brzeg filiżanki Liama.

– Za uprzejmość obcych ludzi!

– I za odnalezienie córki. – Tym razem uśmiech Liama okazał się zaskakująco nieśmiały.

Zaczynało się zawsze tak samo. Od łagodnych słów i na pozór zwykłej prośby.

– Kochanie, chodź, połóż się przy mnie na chwilkę – matka zapraszała Marcy do swego łóżka, chociaż dochodziło południe. – Wiem, że jesteś tylko małą dziewczynką, ale potrafisz bardzo mądrze i dojrzałe myśleć. I dużo rozumiesz. Mam taki mały problem, sądzisz, że umiałabyś pomóc mi go rozwiązać? – Albo: – Skarbie, wiesz, jak bardzo cenię twoje zdanie. Chodź, usiądź na łóżku i powiedz mi, którą suknię mam włożyć na dzisiejsze przyjęcie – tamtą czerwoną czy niebieską? – Lub też: – Marcy, aniołku, wiem, że jesteś za mała i chłopcy ci nie w głowie, lecz potrzebuję rady, jak powinnam postąpić z twoim ojcem.

Marcy odwróciła się na bok na zbyt miękkim, podwójnym łóżku w Doyle Cork Inn i przycisnęła gruzłowatą, piankową poduszkę do uszu, żeby zagłuszyć rozmowę, która nieuchronnie musiała nastąpić. Niestety, za późno. Matka zawsze czaiła się obok, szeptała do ucha, prosiła o pomoc, którą zaraz odrzucała, o zdanie, które szybko bagatelizowała, i o rady, których nigdy nie słuchała.

– Myślę, że powinnaś włożyć tę czerwoną – mogła na przykład podpowiedzieć Marcy, siedząc na brzegu łóżka i obserwując, jak matka niecierpliwie przesuwa ubrania w szafie, ściąga je z wieszaków i bezceremonialnie rzuca na perłowszary dywan.

– Naprawdę, kochanie, uważasz, że ta czerwona będzie lepsza? A dlaczego? Myślisz, że w ostrych kolorach jest mi bardziej do twarzy? Czy w niebieskiej sukience wyglądam za blado? Czy mnie pogrubia?

– W niczym nie wyglądałabyś grubo.

– Według ciebie przytyłam? Tak? – Matka jest na krawędzi łez.

– Nie, ja...

– Rzeczywiście ostatnio ubrania wydają się jakby ciaśniejsze, ale wiesz, ja myślę, że to wina producentów, bo nie stosują tej samej rozmiarówki. No wiesz, kupujesz ten sam rozmiar co zawsze i nagle on nie pasuje. Zaczynam się zastanawiać, czy to jakieś knowania, rodzaj konspiracji, który ma zmylić kobiety, sprawić, żeby się czuły bezbronne i bezradne, bo już nie mogą polegać na metkach. I wtedy musisz wszystko przymierzać, a to zabiera dużo

czasu i mężczy. Tak nie powinno być. Powinno się wejść do sklepu i wziąć spodnie, powiedzmy, że chcesz parę spodni i zawsze nosisz rozmiar sześć czy osiem, bo przecież nie ma nic złego w tym, że nosisz ósemkę czy dziesiątkę, a nawet dwunastkę, czternastkę czy też szesnastkę. Nie ma w tym nic złego. Złe jest to, że producenci celowo wprowadzają nas w błąd, mieszają nam w głowach, wodzą za nos, sprawiają, że czujemy się grube, chociaż mamy ten sam rozmiar co zawsze. Wcale nie jesteśmy grube. Myślisz, że wyglądam grubo?

– Myślę, że wyglądasz pięk...

– Martwię się o Judith. Wydaje mi się, że przybyło jej kilka kilogramów. Ma wspaniałe nogi, ale także skłonność do tycia.

– Nie, ona...

– Jestem pewna, że przytyła. W biodrach i w udach. I to już nie jest żaden dziecięcy tłuszcz. Przecież ona ma czternaście lat. Nie robi jej się przysługi, mówiąc, że z tego wyrośnie. Trzeba powiedzieć prawdę. Uprzedziłam ją, że niestety ma ten sam typ urody co jej babka, nie moja matka, tylko teściowa, bo moja matka zawsze była szczupła i elegancka, a kobiety w rodzinie ojca miały skłonności do tycia, szczególnie w okolicy bioder i ud i Judith, biedactwo, odziedziczyła figurę po nich, musi więc szczególnie uważać i nie może się zaniedbywać, bo społeczeństwo jest okrutne dla kobiet, które o sobie nie dbają. Zawsze należy jak najlepiej wyglądać. Projektanci nie robią ubrań dla grubasów, tak właśnie jej powiedziałam. A producenci zmagają się, żeby zwodzić kobiety, a to nie jest w porządku. Po prostu nie jest w porządku.

Teraz matka naprawdę się rozplakała. I przechadza się tam i z powrotem przed Marcy.

– Mamo, co z tobą? Co się dzieje? Czemu płaczesz?

– Płaczę, bo mi smutno. Świat jest takim okrutnym miejscem. I czasami ogarnia mnie rozpacz. Ze względu na ciebie. Na Judith. Na nas wszystkich. – Zatrzasnęła drzwi szafy, po czym natychmiast je otworzyła, potem zamknęła je i znów otworzyła.

– Idę po tatę.

– Nie. Nie rób tego.

– Ale ja się boję. Przerazasz mnie.

– Och, skarbie, nie ma się czego bać. Wszystko się ułoży. Wczoraj słyszałam w telewizji wspaniałą rzecz. W wiadomościach był jakiś lekarz i mówił, że oni są już bardzo blisko odkrycia lekarstwa na raka. Zobaczysz, to się stanie jeszcze za twego życia. Zapewne za mojego jeszcze nie. Ale w stu procentach za twojego. Ludzie będą o wiele dłużej żyli niż dzisiaj. Można żyć ze dwieście lat, a może nawet całą wieczność. To wcale nie jest wykluczone. A ty, Marcy, jesteś taką kochaną dziewczynką. Kochaną i śliczną. Zaslugujesz,

*by żyć wiecznie. Gdybyś tylko mogła coś zrobić z tymi włosami. Tyle włosów przy takiej drobnej buzi.*

Marcy odgarnęła włosy z czoła, usiadła na łóżku w Doyle Cork Inn i z uporem wpatrując się w radiobudzik na małym nocnym stoliku, starała się odpędzić widok zbolącej twarzy matki. Prawie czwarta. Jeszcze kilka godzin, zanim zrobi się jasno. Opadła na poduszkę i przewracała się z boku na bok, ciągle mając w uszach odgłos zamykanych i otwieranych drzwi szafy.

– *Z niczym sobie nie radzę* – mówiła matka, nie panując nad szlochem. – *Wszystkich zawiodłam.*

– *Nie, to nieprawda.*

– *Prawda. Popatrz tylko na mnie. Co ja osiągnęłam? Nic. Nie mam niczego.*

– *Masz tatę. Masz mnie i Judith.*

Matka patrzyła na nią, jakby była przezroczysta, jakby nie istniała.

– *Miałam cesarskie cięcie przy Judith* – oznajmiła. – *Mówiłam ci?* – kontynuowała, nie czekając na odpowiedź. – *To było okropne. Zrobili mi zastrzyk taką wielką igłą, którą wbija się prosto w kręgosłup, i to cię ma znieczulić od pasa w dół, tylko że oni dali mi tego czegoś za dużo i znieczulili aż po piersi i nie mogłam oddychać, płakałam, mówiłam lekarzom, że nie mogę oddychać, ale oni twierdzili, że całkiem normalnie oddycham, chociaż ja czułam, że umieram. Rozumiesz? Myślałam, że już po mnie. I tak się bałam. Tak bardzo się bałam* – powtarzała, szlochając roztrzęsiona.

Potem niespodziewanie osunęła się na podłogę, zwinęła w kłębek i zapadła w głęboki sen. Spała tak przez resztę dnia, a następnego ranka nie było jej w domu.

– *Gdzie mama?* – Marcy pamiętała, jak zadała tamto pytanie, gdy zeszła na śniadanie.

Judith wzruszyła ramionami, krojąc na małe kawałki omlet zrobiony przez ojca, a potem nabrała porcję na widelec, podniosła do ust i opuściła z widelcem na talerz.

– *Wyjechała.*

– *Dokąd?*

– *Tam, gdzie zawsze* – odparła Judith.

Czyli w jakieś nieznane im miejsce. Matka co pewien czas po prostu zniknęła. Zazwyczaj na kilka tygodni. Czasami na krócej, a czasem na dłużej. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Ojciec po kilku pierwszych razach przestał jej poszukiwać, przestał zgłaszać zaginięcie na policji, przestał najmować detektywów, zrezygnował z poszukiwań w noclegowniach dla bezdomnych i nie

przyglądał się brudnym ciałom w łachmanach, śpiącym na kratkach ściekowych w centrum miasta. Któregoś razu Marcy, wtedy nastoletnia, chodząc po mieście z grupą koleżanek ze szkoły, odniosła wrażenie, że widzi matkę grzebiącą w śmietniku przed oknem wystawowym. Jednak odwróciła się, zanim nabrała pewności, i czym prędzej skierowała swe towarzyski w inną stronę.

Ojciec próbował tłumaczyć to, co się działo, używając przyjętych terminów medycznych:

– *Wasza matka ma zespół maniakalno-depresyjny. Nie ma powodu do zmartwień. Nie umrze od tego. Nie jest niebezpieczna. Po prostu wpada w ekscytację, a potem w depresję. Może normalnie funkcjonować, jeśli będzie brała lekarstwa.*

Niestety, matka nienawidziła swoich lekarstw. Mówiła, że czuje się po nich, jakby pływała motylkiem w kadzi z melasą. I przestawała je brać. A wtedy cała historia powtarzała się od początku: huśtawka nastrojów, gorączkowa mowa, rozkojarzenie, ciągła ekscytacja przy najbardziej prozaicznych czynnościach, napady histerycznego śmiechu, przerażające wybuchy płaczu, nagle zapadanie w sen i na koniec znikanie z domu.

Marcy w miarę szybko nauczyła się rozpoznawać oznaki nadchodzącego załamania. Bardzo dobrze umiała przewidzieć, kiedy matka „odleci”. *To się znowu zaczyna* – mawiała do Judith. I zawsze miała rację.

Pomyliła się tylko raz.

– No, dość już tego – mruknęła Marcy, wstając z przesadnie miękkiego łóżka i zapalając górne światło. Powinna była zabrać z sobą coś do czytania. Kto jedzie na wakacje bez książki? Czegóż, czegokolwiek, na czym można skupić myśli, żeby odpędzić upiory z przeszłości. Kupi sobie jakąś książkę, gdy tylko otworzą sklepy. No i nową komórkę, postanowiła, podchodząc do okna i patrząc przez poszarzałą firankę na zamknięte żaluzje w pokoju naprzeciw. Stała tak zapatrzona, aż niebo zaczęło jaśnieć, a karylion kościoła Świętej Anny obwieścił początek nowego dnia.

Zaraz po otwarciu sklepów Marcy kupiła komórkę i zadzwoniła do Liama.

– Obudziłam pana? – spytała, słysząc jego zaspany głos. Co z nią? Dlaczego niepokoi go tak wcześniej? Rany boskie, po co w ogóle dzwoni? Powiedział, żeby dzwoniła do niego od czasu do czasu, a nie z samego rana. Co ona wyprawia? To, że wczoraj po południu przysiadł się do niej na dwadzieścia minut, nie oznacza jeszcze, że szczerze się przejął jej problemami. To był niewinny flirt, chciał jej

zrobić przyjemność, okazując względy. W gruncie rzeczy ani ona, ani jej córka tak naprawdę go nie obchodzą. Po prostu zrobiło mu się jej żal.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę – powiedziała.

– Czy coś się stało? Znalazła pani Audrey?

– Nie. Ja... ja... kupiłam komórkę – wydukała i szybko podyktowała numer. – Przepraszam, że pana niepokoję. Pomyślałam, że teraz będzie pan mógł zadzwonić do mnie...

– Gdy tylko ją zobaczę – dokończył za nią. – Obiecuję – dodał, jakby wyczuwając, że ona oczekuje potwierdzenia. – To jakie ma pani plany na dzisiaj?

Powiedziała, że zamierza zajrzeć na uniwersytet.

– Życzę powodzenia – odparł i rozłączył się, zanim zdążyła po raz kolejny go przeprosić.

Będzie mi potrzebne, pomyślała, po czym wrzuciła komórkę do torebki i udała się do kampusu.

Według folderów wyłożonych w Centrum dla Zwiedzających University College Cork został założony w 1845 roku, a obecnie miał renomę wiodącego irlandzkiego ośrodka badawczego. Z kampusu na wzgórzu rozciągał się widok na dolinę przeciętą rzeką Lee. Sam kampus stanowił miłe dla oka połączenie starego z nowym. Na połaci zieleni, pośród wielobarwnych ogrodów i zadrzewionych połaci stały zabytkowe gotyckie budowle i nowoczesne budynki z betonu i szkła. Ponad siedemnaście tysięcy młodych ludzi studiowało w czterech college'ach: w jednym mieściły się wydziały humanistyczne, studia celtyckie i nauki społeczne; w drugim wydział ekonomii oraz prawa, w trzecim medycyna i nauka o zdrowiu, a w czwartym nauki ścisłe, technologia żywności i kierunki inżynierskie.

Na uniwersytecie znajdował się również Irlandzki Instytut Sinologii i stąd, jak Marcy podejrzewała, wzięła się duża liczba studentów z Azji, na których co rusz się natykała, odkąd znalazła się w kampusie.

Postanowiła skupić uwagę na studentach wydziałów humanistycznych, ponieważ uznała za raczej mało prawdopodobne, aby Devon zapisała się na jakikolwiek kierunek związany z medycyną, ekonomią, prawem czy naukami ścisłymi. Jej córkę zawsze ciągnęło do teatru. Od dziecka chciała zostać aktorką. Jako nastolatka mówiła o wyjeździe do Hollywood. Marcy usiłowała wybić jej ten pomysł z głowy. *To życie w ciągłym strachu przed odrzuceniem* – tłumaczyła.

Powinam była bardziej ją wspierać, pomyślała teraz, idąc ceglanym chodnikiem biegnącym przez kampus i przyglądając się grupkom studentów okupujących białe betonowe ławki, ustawione po obu stronach ścieżki. Czy zabiłoby mnie parę słów zachęty?

– *Czemu ty zawsze jesteś nastawiona negatywnie?* – usłyszała pytanie Devon.

– *Po prostu staram się ciebie chronić.*

– *Ja nie chcę ochrony. Mnie potrzebne jest wsparcie.*

– Przepraszam! – zagadnęła Marcy do trzech młodych kobiet, które akurat mijają, zagłuszając gniewny głos Devon. – Czy może któraś z pań rozpoznaje tę dziewczynę? – zapytała, podsuwając im zdjęcie.

Studentki po kolei obejrzały zdjęcie.

– Nie – powiedziała pierwsza, a pozostałe zaprzeczyły ruchem głowy.

– Nie znam jej – powiedziały niemal chórem.

– Dziękuję. Przepraszam! – zawołała na następnym oddechu, szybko podchodząc do młodego mężczyzny, balansującego ze stosem książek w ramionach. – Czy widział pan może tę dziewczynę? Ma na imię Devon...

– Nie, przykro mi.

– Być może pan ją zna jako Audrey.

– Przykro mi, nie.

Każda pytana osoba odpowiadała mniej więcej tak samo.

– Przepraszam, ale nie potrafię pani pomóc.

– Chyba nie.

– Nie znam jej.

– Nie, *sorry*.

– Pytała pani w dziekanacie? – podsunął jej ktoś.

Chwilę później była już w dziekanacie.

– Czy jej twarz nie wydaje się pani znajoma? – zapytała pracownicę biura.

– Nie, nie powiem, żebym ją znała. Na pewno u nas studiuje?

Marcy wyznała, że wcale nie jest tego pewna.

Kobieta wpisała coś do komputera.

– Mówiła pani: Audrey, tak?

– Tak, tak.

– A nazwisko?

Marcy się zawahała. Jakiego nazwiska może używać jej córka?

– Nie wiem.



Sekretarka, ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt ciut na lewo od nosa Marcy, niecierpliwie pokręciła głową:

– Obawiam się, że bez nazwiska nie będę w stanie pani pomóc.

– Proszę spróbować wpisać: Taggart. – Marcy przeliterowała nazwisko. – A jeżeli nie będzie Audrey Taggart, niech pani jeszcze sprawdzi: Devon.

– Audrey i Devon Taggart. – Urzędniczka z westchnieniem wystukała obie opcje na klawiaturze. – Nie, nie mam tu żadnej z nich. Przykro mi. Pytała pani w innych college'ach?

Do czwartej Marcy obeszła wszystkie wydziały. Wsadziła głowę do każdego biura i do każdej sali wykładowej, sprawdziła wszystkie korytarze, zajrzała w każdy zakamarek i pod każde drzewo, podsuwając zdjęcie napotkanym po drodze studentom.

– Już mnie pani pytała – burknął jeden z nich, obchodząc ją kołem niczym żebraczkę.

Zobaczyła ją, wychodząc z kampusu.

Stała na mostku łączącym Bachelor's Quay z North Mall i pogrążona w myślach patrzyła na płynącą wodę. Wiatr zawiewał jej włosy na twarz i co rusz odgarniała niesforne pasma od ust.

– Devon! – krzyknęła, lecz jej wołanie zagłuszył przejeżdżający samochód. Puściła się biegiem w stronę mostu, z każdym krokiem zbliżając się do córki, którą, jak sądziła, już na zawsze utraciła. – O Boże! Boże! – Błagam, niech się ucieszy na mój widok – modliła się, biegnąc. – Niech się nie rozgniewa. Niech pozwoli mi znowu się objąć.

I wtedy usłyszała krzyk. Odwróciła się i zobaczyła rower, który wyrósł za nią nie wiadomo skąd i przerażoną twarz rowerzysty, który próbował ją ominąć. Jednak on jechał za szybko, a jej zabrakło refleksu i przednie koło uderzyło ją w łydki. Obróciła się wokół własnej osi i runęła na ziemię jak długa. W następnej sekundzie, leżącą na chodniku jak szmaciana lalka otoczyła grupka ludzi.

– Nic się pani nie stało? – pytał ktoś. – Nie złamała pani sobie czegoś? Może pani wstać?

Poczuła, jak biorą ją pod ramiona, podciągają do góry i stawiają na nogi.

– Nic mi nie jest – powiedziała, ledwo rozpoznając własny głos. Cholera! Co się właściwie stało?

– Na pewno? Może zawieźć panią do szpitala? – pytał młody człowiek, wysuwając się przed tłum.

– Niepotrzebny mi szpital. – Potrzebuję odnaleźć córkę, pomyślała, dochodząc do siebie. Widok bladej jak ściana twarzy mężczyzny podpowiedział jej, że to on musiał na nią najechać. Obejrzała się rozpaczliwie na mostek. Zasłaniały go głowy ludzi, którzy usiłowali jej pomóc.

– Przepraszam, muszę iść.

– Nie – zaproponował rowerzysta, przytrzymując ją za ramię. – Przez chwilę nie powinna się pani ruszać. Mogło dojść do wstrząśnienia mózgu.

– Nie uderzyłam się w głowę. Nie mam wstrząsu mózgu. Bardzo proszę, przepuście mnie państwo...

– Słyszycie, co pani mówi – zwrócił się rowerzysta do zbitej gromadki. – Rozstąpcie się. Pani potrzebuje powietrza.

Ludzie natychmiast zaczęli się rozchodzić i po chwili zostali już tylko we dwoje.

– Przepraszam – mówił. Małe ciemne oczy omiatały nerwowo jej rysy, jakby szukał w nich zapowiedzi omdlenia. Jego twarz, bardziej szorstką niż przystojną, okalała burza brązowych loków.

Wygląda na dwadzieścia parę lat, pomyślała Marcy, wyteżając wzrok w stronę mostka. Jest w wieku Devon.

– Nic się nie stało – powiedziała bezbarwnym głosem. – To był wypadek.

– Jechałem zamyślony i niespecjalnie uważałem, a pani nagle wyrosła mi na drodze – tłumaczył się z silnym irlandzkim akcentem. – Próbowałem skrócić...

– To nie pańska wina – zapewniła go, przyjmując do wiadomości to, co odnotował wzrok: Devon nie było na moście. Nie stała tam zamyślona, patrząc w wodę, z włosami zawiewanymi na twarz.

Córka znikła.

Znowu ją zgubiła.

## 9

Dorastały, bacznie się sobie przyglądając w poszukiwaniu zapowiedzi depresji. Wypatrywały zbyt głośnego czy natrętnego śmiechu, westchnień przepelnionych melancholią, uśmiechu, który szybko przeradzał się w grymas, i huśtawki nastrojów od euforii po rozpacz w tempie przypominającym jazdę kolejką górską, która w dzieciństwie sprawiała im radość.

Właściwie one nigdy nie miały prawdziwego dzieciństwa, a jazda kolejką górską szybko przestała je bawić, bo codzienne życie okazało się znacznie mniej przewidywalne i o wiele bardziej przerażające od atrakcji, jakich dostarczała jazda na nawet najbardziej szalonych karuzelach.

– *Co z tobą? Coś cię zdenerwowało?* – pytała Marcy za każdym razem, gdy Judith nie miała humoru.

– *Czemu ty jeszcze chichoczesz?* – denerwowała się Judith, gdy siostra według niej za długo się śmiała ze średnio zabawnego kawału, który przed chwilą od niej usłyszała. – *To nie było aż takie śmieszne.*

– *Dobrze się czujesz?* – pytała Marcy.

– *Masz jakieś problemy?* – indagowała Judith.

– *Jesteś przygnębiona?* – nie dawała za wygraną Judith.

– *Coś cię trapi?* – sondowała Marcy.

– Marcy! Cholera jasna, gdzie ty właściwie jesteś? – piekliła się teraz Judith.

Marcy odsunęła telefon od ucha, już żałując, że do niej zadzwoniła.

– U mnie wszystko w porządku.

– Nie pytałam, jak się czujesz – odwarknęła natychmiast Judith. – Wiem, że jesteś bardziej porąbana od drewna. Ja pytałam, gdzie jesteś. Wiesz, że masz coś nie tak z komórką? Bez przerwy do ciebie wydzwaniam i nic. W końcu zadzwoniłam do Petera i on mi podał nazwę hotelu, w którym się zatrzymałaś, i przedzwoniłam tam, ale podobno się wymeldowałaś. Matko jedyna, co cię tak bawi?!

Marcy stłumiła chichot, który jeszcze łaskotał ją w gardle. Judith zawsze

znajdowała malownicze określenia, pomyślała, zachwycona zwrotem: „bardziej porąbana od drewna”.

– Zawsze podziwiałam twoją łatwość wysławiania się.

– Moją łatwość wysławiania się? O czym ty, do diabła, mówisz?!

– Jak zwykle walisz prosto z mostu – stwierdziła Marcy, oczami duszy widząc gniewnie wygięte, cienkie brwi Judith i grymas zniecierpliwienia wokół ust. – Uwielbiałam to w tobie.

– Naćpałaś się? – spytała Judith.

– Nie, absolutnie nie. – Marcy zawsze za bardzo się bała, żeby spróbować narkotyków.

– Gdzie jesteś? – zapytała powtórnie Judith.

Marcy rozejrzała się po swej miniaturowej łazience w Doyle Cork Inn. Siedziała, naga, na brzegu białej emaliowanej wanny. Smużki pary, wijąc się nad gorącą wodą, jakby kiwały na nią, zachęcając do kąpieli.

– Co to za różnica?

– Co za różnica?! Jak mam po ciebie przyjechać, skoro nie wiem, gdzie jesteś?

– Nikt cię nie prosi, żebyś po mnie przyjeżdżała. Nie chcę wracać do domu.

– Marcy, posłuchaj. Musisz się uspokoić...

– Ja jestem spokojna. To ty się denerwujesz.

– Przechodzisz głębokie załamanie nerwowe, co, nie zrozum mnie źle, jest całkiem oczywiste, biorąc pod uwagę okoliczności. Uwierz mi, wiem, co czujesz. – Tu szybko i zupełnie niepotrzebnie wyliczyła: – Twoja córka nie żyje, mąż odszedł do innej kobiety. Nie wspominając już naszej historii rodzinnej...

– Judith, ja nie zwariowałam.

– Na miłość boską, Marcy, jesteś w Irlandii. Pojechałaś sama na powtórny miesiąc miodowy. Uważasz to za normalne?

– Może trochę niezwykle, ale...

– Tak samo tylko trochę niezwykle jak to, że zobaczyłaś swoją nieżyjącą córkę na ulicy w Dublinie?

W Cork, Marcy o mało jej nie poprawiła i na wszelki wypadek przygryzła wargę.

– Nie widziałam jej – oznajmiła.

– Naturalnie, że jej nie widziałas – powtórzyła Judith i natychmiast się zreflektowała. – Jak to: nie widziałas jej?

– Nie widziałam. Myliłam się.

– Jak to? – Judith ponowiła pytanie.

Marcy wyczuwała, że siostra się pogubiła.

– Teraz wiem, że dziewczyna, którą wzięłam za Devon, wydawała się do niej trochę podobna, lecz to nie była ona. Widziałam, co chciałam zobaczyć... – Przed oczami stanęła jej dziewczyna na moście łączącym Bachelor's Quay z North Mall.

– Nie widziałas jej?

– To nie była Devon.

Westchnienie Judith niemal połaskotało Marcy w ucho.

– Skąd wiesz, że to nie była ona? – zapytała podchwytliwie.

– Przecież Devon nie żyje – odparła Marcy.

– I nie mówisz tak, bo wiesz, że to właśnie chciałabym usłyszeć? – nie ustępowała Judith.

Dokładnie dlatego to mówię, przyznała w duchu Marcy.

– Devon nie żyje – powtórzyła, a każde z tych słów było jak dźgnięcie nożem w gardło, po którym zostaje duża, otwarta rana.

Podejrzewała, że siostra z ulgą kiwa głową.

– No dobrze – odezwała się Judith. – Dobrze – powtórzyła. – No to gdzie jesteś i kiedy wracasz do domu? – zapytała po przerwie.

– Jestem w Paryżu – poczęstowała Judith tym samym kłamstwem, co wcześniej Vica Sorvina.

– Nie wierzę.

Marcy westchnęła. Vic także jej nie uwierzył.

– Będę w domu pod koniec przyszłego tygodnia.

– Poczekaj! Jeżeli rzeczywiście jesteś w Paryżu, mam świetny pomysł – rzuciła pospiesznie Judith. – Może zarezerwuję bilet na następny lot i spotkamy się tam? Jestem pewna, że Terry nie będzie miał nic przeciwko, jeżeli zostawię go samego na kilka dni. Myślę, że nawet będzie zadowolony. Mogłybyśmy pochodzić po sklepach i coś pozwiedzać. Tylko my dwie. No, Marcy, zgódź się. Będzie fajnie.

Jak za dawnych czasów, najchętniej dopowiedziałyby Marcy, tyle że w dawnych czasach wcale nie chodziły razem po sklepach ani niczego nie zwiedzały. W ich dawnych czasach nie było miejsca na radość.

– Zastanowię się.

– Nad czym tu się zastanawiać?

– Zadzwoń.

– Powiedz mi tylko, w którym jesteś hotelu i...

– Zadzwoń – powtórzyła z naciskiem i czym prędzej się rozłączyła.

Podniosła się z brzegu wanny i przeszła nago do sypialni, przestępując nad częściami garderoby rozwłóczonymi na podłodze. Rzuciła komórkę na łóżko, zła na siebie, że okłamała siostrę. Lecz jaki miała wybór?

Mogłaś powiedzieć jej prawdę, wyrzucała sobie, wracając do łazienki i usiłując zobaczyć swe odbicie w zaparowanym lustrze nad umywalką.

– Kogo tam widzę? – zapytała na głos i wytarła szklaną tafłę przedramieniem, obserwując, jak pod kolejną warstewką pary rozmazują się jej rysy i niknie twarz.

Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy nie była aż tak przekonana, że Devon żyje i że dziś po południu to ją właśnie widziała. To tylko kwestia czasu, zanim się na siebie natkną. W końcu Cork nie było jakimś wielkim miastem. Jutro wróci pod dom O'Connorów, poczeka, aż Shannon stamtąd wyjdzie, i przez cały dzień będzie chodzić za nią krok w krok. Ta dziewczyna na pewno prędzej czy później doprowadzi ją do Devon.

Gdyby nie ten cholerny rower, który pojawił się na ścieżce nie wiadomo skąd, i upadek, myślała, ostrożnie wchodząc do wanny, już mogłybyśmy być razem. Syknęła z bólu, zanurzając w gorącej wodzie poobcierane ramiona i nogi.

– *To niezdrowo kąpać się w takiej gorącej wodzie* – zadźwięczała jej w uszach reprimenda siostry.

– Spadaj, Judith – warknęła zniecierpliwiona, wyciągając się w wannie. Woda sięgnęła podbródka i połaskotała w usta. Przymknęła powieki i zanurzyła głowę, czując, jak woda obmywa czoło, a włosy unoszą się na powierzchni niczym wodorosty.

*Pozostaliśmy w komnatach tego morza* – wyrecytowała w myślach końcowe wersy ulubionego poematu T.S. Eliota[4].

*Z nimfami w girlandach alg z brązu i czerwieni. / Aż zbudzi nas głos ludzki, i tak zatoniemy.*

Gdy odnaleziono wywrócony kajak Devon, usiłowała wyobrazić sobie, jak to jest, gdy się tonie. Przez wiele tygodni, dzień w dzień wchodziła do wanny w łazience przylegającej do ich sypialni i zanurzając się, pozwalała, by woda wsysała ją w głąb. Potem powoli, po cichu osuwała się pod powierzchnię i otwierała usta.

Któregoś razu nakrył ją na tym Peter.

Wszedł do łazienki umyć się przed snem i znalazł Marcy z głową pod wodą. Chwycił ją za włosy i wyciągnął jak jakiś cholerny troglodyta. Pamięta, że tak o nim wtedy myślała, gdy wywrzaskiwał: *Co ty, do diabła, wyprawiasz?! Co ty wyprawiasz?!*

A potem przyniósł klucz francuski oraz obcęgi i na siłę zdjął drzwi z zawiasów. Przez dobre półtora roku nie mieli drzwi do łazienki. Założył je z powrotem parę tygodni przed wyprowadzką, jakby chciał dać w ten sposób do zrozumienia, że jej los dłużej go nie obchodzi.

Niepotrzebnie się przejmował. Nie posunęłaby się za daleko. Wytrzymała pod wodą zaledwie kilka sekund, bo ogarniało ją uczucie panicznego strachu, gdy woda wypierała powietrze z ciała.

Często się zastanawiała, czy Devon też wpadła w panikę. Czy walczyła o życie, gdy lodowata woda wdzierła się do płuc? Czy, zanim umarła, wołała matkę na pomoc?

Przecież ona nie umarła, teraz Marcy to wiedziała.

– Moja dziewczynka żyje – wyszeptała, gdy woda pieszczotliwie muskała jej uszy. – Nie umarła. Nie umarła – powtarzała, a miły dźwięk tych słów odbijał się od bębenków i delikatnie wibrował w uszach.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że to nie słowa słyszy. Dzwoniła komórka. Na pewno siostra, stwierdziła, usiłując zignorować natrętny dźwięk. Nagle uświadomiła sobie, że Judith nie zna jej numeru, bo przecież go zastrzegła. Nie, to mógł być jedynie Liam, a skoro dzwonił, musiał widzieć Devon.

Może ona nawet jest teraz z nim?

Wyskoczyła z wanny jak oparzona i z poślizgiem bosych stóp na kafelkach wylądowała z impetem na drzwiach.

– Cholera! – zaklęła, dopadając do łóżka, bo już czuła, jak rosą kolejne guzy. Będę miała szczęście, jeśli wyjadę żywa z Irlandii, pomyślała, odsuwając klapkę. – Halo?! Halo?!

– Halo? – odezwał się Liam. – Marcy, to ty?

– Liam?

– Co się dzieje? Masz jakiś dziwny...

– Widziałeś Devon?

– Nie – zaprzeczył. – A ty?

Marcy rozplakała się.

– Marcy, co z tobą?

– Nic, nic. Już dobrze. Ja tylko myślałam...

– Że skoro dzwonię, musiałem ją widzieć – odgadł. – Przepraszam. Naturalnie, że tak musiałaś pomyśleć.

– Nie masz za co przepraszać. Nie powinnam wyciągać pochopnych wniosków.

– Opowiedziała mu, jak przed południem natknęła się na Devon.

– Poczekaj – odezwał się, gdy skończyła. – Mówisz, że wpadłaś pod rozpędzony rower? Bardzo jesteś poturbowana?

– Nic mi nie jest. Mam tylko parę siniaków. To była moja wina. Nie patrzyłam na drogę.

– Na pewno nic ci nie jest? Możesz mieć wstrząs mózgu.

– Nic mi nie jest – zapewniła go znużonym, zrezygnowanym tonem, adekwatnym do samopoczucia.

– I jak się podniosłaś z ziemi...

– To jej już nie było – dopowiedziała.

– Szkoda, że nie dzwonię z informacją o Devon...

– A dlaczego dzwonicz?

– Ktoś tu o ciebie pytał. – Domyśliła się, że Liam się uśmiecha.

– Co takiego? Kto?

– Mężczyzna.

– Jaki mężczyzna? – Czy możliwe, że Peter ją namierzył? Porzucił swoją nową miłość na polu golfowym i przyleciał taki kawał drogi do Irlandii, żeby zabrać ją do domu?

– Jestem pewien, że to ten sam facet, z którym tu wcześniej byłaś – doszły ją słowa Liama.

Facet, z którym była? Z jakim facetem ona była?

– Masz na myśli Vica? Vica Sorvina? – zapytała z niedowierzaniem.

– No, dokładnie. Mam przed sobą jego wizytówkę.

– Powiedział, o co mu chodzi? – Co Vic tu robi?

– Tylko tyle, że ciebie szuka i myślał, że może zajrzał do pubu.

– I co mu powiedziałaś?

– Hmm, nie byłem pewien, co byś chciała, żebyś mu powiedział, i dlatego skłamałem, że nie widziałem ciebie.

Marcy nie potrafiła określić, co właściwie czuje: ulgę czy rozczarowanie? Co Vic robił w Cork? Czy nie powiedziała mu wyraźnie, że ona musi być tutaj sama?

– Dobrze zrobiłem? – zapytał Liam.

– Tak. Dziękuję ci.

– Chcesz numer do niego?

– Mam jego numer. – Marcy wyłowiła z torebki wizytówkę Vica i drąc ją, patrzyła, jak drobne kawałki kartonika sfruwają na kapę niczym konfetti.



– No to co mam mu powiedzieć – dopytywał się Liam – gdyby przypadkiem znowu tu zajrzał?

– Powiedz, że mnie nie widziałeś.

– Na pewno?

Marcy poczuła na ustach delikatne muśnięcie warg Vica i pieszczotliwy dotyk palców sunących wzdłuż kręgosłupa; usłyszała ciche: *Jesteś piękna*, łagodnie przenikające przez skórę. Jak to miło znowu poczuć się pożądaną; być z mężczyzną, który nie patrzył na nią z litością czy z niechęcią. Albo jeszcze gorzej – traktował ją jak powietrze. Jednak nie zasługiwała na dobre samopoczucie. Jeszcze nie. Nie, do czasu, kiedy odnajdzie Devon. Nie, dopóki nie uda jej się wszystkiego naprawić.

– Na pewno.

– No i dobrze.

– Dobrze?

– Coś w tym facecie mnie zaniepokoiło – wyznał Liam.

– Zaniepokoiło?

– Nie wiem, jak inaczej to ująć. Był trochę dziwny. Wiesz, co mam na myśli?

Marcy zaprzeczyła ruchem głowy. Nie miała pojęcia, o czym Liam mówi. Vic Sorvino absolutnie nie wydał jej się dziwny. Z drugiej strony nigdy nie potrafiła trafnie oceniać charakterów, jeśli chodzi o mężczyzn.

– Marcy? – odezwał się Liam. – Jesteś tam?

– Och, przepraszam.

– Chyba się nie obraziłaś, co?

– A czemu niby miałabym się obrazić?

– No wiesz, skoro ten Vic jest twoim przyjacielem...

– Nie jest. – To tylko znajomy z autokaru, pomyślała, tłumiąc wspomnienie ciepła przytulonego do niej ciała i odgłosu pochrapywania, dającego poczucie bezpieczeństwa.

– Nie zasługiwała na poczucie bezpieczeństwa.

– Nie jesteś głodna? – zapytał Liam.

Natychmiast poczuła, jak żołądek skręca jej się z głodu.

– No, może trochę.

– Wpadnę po ciebie za pół godziny – obiecał.

4 Fragment *Pieśni miłosnej Alfreda Prufrocka* w przekładzie Przemysława Łośki.

## 10

– Hmm, niech pomyślę. Mąż numer jeden był muzykiem – wyliczała Marcy, a cichy głos w tyle głowy podpowiadał, że prawdopodobnie nie powinna w taki sposób omawiać prywatnych spraw siostry.

– Nie musisz mi o tym mówić – powiedział Liam, jakby wyczuwając jej rozterki. – To nie moja sprawa. Właściwie nie powinienem o takie rzeczy pytać.

– Nie ma problemu. Judith nie miałaby nic przeciwko. – Ileż to razy słyszała, jak siostra przechwalała się swoim „absolutnym brakiem dyskrecji”? Poza tym czy kobieta, która pięć razy wychodziła za mąż, może oczekiwać, że nie będzie się o niej mówić?

– Chciałem tylko, żebyś oderwała myśli od innych spraw.

– Wiem.

Mówiąc o „innych sprawach”, miał na myśli fakt, że chociaż zaprosił ją do najmodniejszego w Cork miejsca spotkań młodych ludzi, nie znaleźli tam Devon. I ani jeden z bywalców gwarne go lokalu nie rozpoznał jej ze zdjęcia, które Marcy wszystkim pokazywała.

– No cóż. Jest jeszcze wcześniej – stwierdził Liam, gdy usadowili się w narożnym boksie zatłoczonej knajpki na Grattan Street. – Może później się pojawi – zastanawiał się na głos, gdy złożyli zamówienie u kelnerki z różowymi włosami. – Tutaj jest ruch przez całą noc – wspominał, kiedy dopili pierwszą kawę po irlandzku. – Jeżeli nie dziś – pocieszał ją po zamówieniu drugiego dania – to jutro. Pojawi się. Zobaczysz. Znajdziemy ją.

Marcy się uśmiechnęła, słysząc owo: „znajdziemy”. Używając liczby mnogiej, podniósł ją na duchu.

„Jedno ciało, jedna dusza”, przeszło jej przez głowę i momentalnie poczuła dezaprobatę Petera.

– Skrzywiłaś się – zauważył natychmiast Liam. – Żałujesz, że wyciągnąłem cię do restauracji?

Nic mu nie umyka, pomyślała, rozglądając się po jasno oświetlonej sali.

– Wcale nie. Cieszę się, że tu przyszłam. Dlaczego zaprosiłeś mnie na kolację? – rzuciła pytanie na następnym oddechu. – Na pewno dziesiątki młodych kobiet chętnie by z tobą tu przyszły, gdybyś do nich zadzwonił.

– Skąd wiesz, czy nie dzwoniłem? Może wszystkie mi odmówiły – uśmiechnął się. – A może młode kobiety nie wydają mi się interesujące.

– Według ciebie ja jestem interesująca?

– Być może. – Teraz uśmiech dotarł także do jego oczu.

Marcy zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

Właśnie wtedy zapytał ją o rodzinę.

– Mam starszą siostrę – powiedziała, zadowolona, że może odwrócić uwagę od siebie. – Judith. Pięć razy wychodziła za męża.

– Optymistka! – zaśmiał się.

– Ładnie to ująłeś.

Długimi, smukłymi palcami manipulował przy kołnierzyku swej czarnej koszuli, zanim po paru chaotycznych ruchach przy twarzy oparł podbródek na dłoni.

– A ty jak byś to określiła?

Zastanawiała się chwilę nad tym pytaniem.

– Według mnie ona się boi samotności.

– Moja matka zwykła mawiać, że najbardziej samotnym jest się w nieudanym małżeństwie.

– Twoja mama jest bardzo mądrą kobietą. – Marcy pokiwała głową.

– Nie jestem tego taki pewien – powiedział Liam, sącząc kawę po irlandzku. – A więc... pięciu mężów.... Numer jeden był muzykiem. Na czym grał?

– Na perkusji.

– Och nie! Najgorsze, co może być.

Roześmiał się, a Marcy mu zawtórowała, decydując się popłynąć z prądem. – To naprawdę było okropne. Lecz ona miała zaledwie dziewiętnaście lat i chyba pociągał ją ten hałas. W pewnym sensie odgradzał ją od tego, co się wtedy działo.

– To znaczy?

– To zbyt skomplikowane sprawy, aby w tej chwili się w nie zagłębiać – ucięła. – W każdym razie nic dziwnego, że to małżeństwo nie przetrwało nawet roku.

– Co się stało?

– Kapela się rozpadła.

– Aha, rozumiem. Koniec z hałasem.

- Koniec z hałasem – przytaknęła Marcy.
- A mąż numer dwa?
- Mężem numer dwa był fotograf, którego poznała, gdy próbowała zostać modelką.
- Twoja siostra była modelką?
- Przez jakieś dziesięć minut. Judith szybko traci entuzjazm.
- Małżeństwo trwało...?
- Dwa tygodnie.
- Teraz rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc o szybkiej utracie entuzjazmu.
- Właściwie nie dlatego się rozeszli – uściśliła. – Facet okazał się gejem.
- Liam pokiwał głową.
- Mogę zapytać o męża numer trzy?
- Specjalista od reklamy. Cztery lata.
- No, jest poprawa.
- Często wyjeżdżał w sprawach służbowych.
- A rozstali się, bo...?
- Zaczął przesiadywać w domu.
- Liam skwitował jej słowa śmiechem.
- Numer cztery?
- Makler giełdowy, poznany w klubie fitness. Miły facet, dopóki nie zaczął brać sterydów.
- Byli z sobą...?
- Osiem lat.
- Godne podziwu – podsumował Liam. – No i dochodzimy do męża numer pięć.
- Prawnik. Specjalista od błędów w sztuce lekarskiej. Bardzo dobry fachowiec.
- Są małżeństwem od niemal piętnastu lat.
- Facet łatwo nie odpuszcza, co?
- To się jeszcze okaże.
- Mają dzieci?
- Nie. Judith nigdy nie chciała mieć dzieci.
- W przeciwieństwie do ciebie. – W ustach Liama te słowa zabrzmiały bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.
- W przeciwieństwie do mnie.
- Hmm, a ty ilu miałaś mężów?
- Marcy wzięła głęboki oddech i powoli go wypuściła.

– Tylko jednego.

Liam przechylił głowę na bok, wyraźnie zaaferowany.

– W takim razie... wdowa, rozwódka, szczęśliwie zamężna?

– W separacji – powiedziała Marcy. – Rozwód uprawomocni się mniej więcej za miesiąc.

– I jak się z tym czujesz?

– A jak mam się czuć? – Do głosu Marcy wkradło się rozdrażnienie.

– Przepraszam. Zdecydowanie nie powinienem o to pytać.

Marcy wysączyła długi łyk kawy, nie dlatego że miała na to ochotę, lecz żeby dać sobie czas do namysłu.

– Nie, w porządku. Widzisz, ja dotąd właściwie z nikim o tym nie rozmawiałam.

– Chcesz teraz o tym porozmawiać?

– Nie – odparła. – Może – wahała się. – Tak, chyba chcę – zdecydowała.

Liam patrzył na nią wyczekująco.

– Niewiele jest do opowiadania – zaczęła po chwili. – O czym tu mówić? Mój mąż zostawił mnie dla innej. To takie banalne. – Zaczerpnęła oddechu, podniosła kubek z kawą do ust i natychmiast go odstawiła. – Zapytałeś mnie, jak się z tym czuję. Powiem ci. Jestem wkurzona. Nie, nieprawda, jestem wściekła. Czuję się zdradzona. Porzucona. Jest mi wstyd. On mnie zostawił dla golfistki z Country Clubu, rozumiesz? Od lat nie widzieli tam takiego skandalu... A wszyscy moi znajomi... – Roześmiała się krótkim, ostrym warknięciem. – Moi znajomi. Jacy znajomi? Zacznijmy od tego, że nigdy nie mieliśmy wielu znajomych, a po tym, co stało się z Devon... – Zamilkła. – Nie mam do nich pretensji. Ludzi paraliżują takie tragedie. Nie wiedzą, co powiedzieć. Jak się zachować. Zamiast więc zrobić czy powiedzieć coś niewłaściwego, wolą nic nie robić i nic nie mówić. I bardzo szybko urywają się telefony i wizyty. A wtedy zostajecie tylko we dwoje. I też nie wiecie, o czym rozmawiać, bo każdy temat jest potencjalnym polem minowym i bardzo łatwo o wybuch, a w takich warunkach małżeństwo praktycznie nie ma szans na przetrwanie. – Marcy mówiła jak nakręcona, słowa potokiem płynęły jej z ust. – Od kilku lat mieliśmy problemy, od chwili gdy stało się jasne, że Devon, że Devon, że Devon... – Jej głos utknął na imieniu córki, jakby płynął z zarysowanej płyty.

– Opowiedz mi o córce – poprosił cicho Liam.

Zawahała się, usiłując ustalić, co może powiedzieć, a co lepiej pominąć. Nie chciała naruszyć tego, co zostało z prywatności córki. W przeciwieństwie do Judith Devon nigdy dobrowolnie nie obnosiła się ze swoimi sprawami. Była skryta, co

niewątpliwie przyczyniło się do jej problemów.

– Moja córka cierpi na zaburzenia afektywne dwubiegunowe – zaczęła, a słowa dzielone na sylaby opornie wydobywały się z ust. – Wiesz, co to jest?

– To samo co schizofrenia?

– Nie. Devon nie słyszy głosów. Nie ma urojeń. Jej problem wynika z braku równowagi chemicznej w mózgu – tłumaczyła, starając się dokładnie przytoczyć diagnozę lekarza, po czym dała upust frustracji: – Kiedyś nazywano to depresją maniacką.

– W jednej chwili rozsadza cię radość, a w drugiej płaczesz jak bóbr – podsumował Liam.

– Tak, myślę, że trafnie to ująłeś.

– Przepraszam, nie chciałem się wymądrzać – natychmiast się usprawiedliwił.

Odpowiedziała na przeprosiny skinieniem głowy.

– To często bywa dziedziczne. Moja matka też na to chorowała. Popełniła samobójstwo, kiedy miałam piętnaście lat.

Jeżeli Liam doznał szoku, nie dał tego po sobie znać.

– Czy dlatego twoja siostra postanowiła nie mieć dzieci?

– Próbowała mnie przekonać, żebym też z nich zrezygnowała. Mówiła, że będę ciągle czekać, wypatrywać objawów. Miała rację.

– Kiedy zauważyłaś, że coś nie gra?

– Kiedy skończyła siedemnaście lat. – Marcy wróciła myślami do tamtej okropnej nocy, gdy znalazła Devon w kuchni z rozbitym wazonem u stóp i z garścią soli przy ustach. Widziała tę scenę tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. – Już wcześniej coś podejrzewałam – wyznała. – Devon coraz częściej chodziła przygnębiona. Wpadała w zmienne nastroje. Czasami mówiła tak szybko, że ledwo ją rozumiałam. Jednak po pewnym incydencie nie mogłam już dłużej udawać, że nic złego się nie dzieje.

– I co zrobiłaś?

– Zdecydowanie za mało. Och, naturalnie zaprowadziłam ją do lekarza, pilnowałam, żeby brała leki i chodziła na terapię, pocieszałam, jak potrafiłam najlepiej...

– Nic nie pomagało?

– Źle znosiła lekarstwa. – *Jakbym pływała motylkiem w kadzi z melasą*, przypomniała sobie słowa matki. – Nienawidziła swojej terapeutki. – Marcy zamilkła i przełknęła kluczę, która dławiła ją w gardle. – A mnie jeszcze bardziej

nienawidziła.

– Na pewno tak nie było.

– Jak można nie czuć nienawiści do kogoś, kto patrząc ci w oczy, wcale cię nie widzi?

– Myślę, że jesteś dla siebie zbyt surowa.

– Dzień po dniu ją okłamywałam.

– Okłamywałaś? W jakim sensie?

– Mówiłam, że wszystko będzie dobrze. Zapewniałam, że jej problemy się skończą, jeżeli podda się terapii i będzie regularnie brała leki. Przekonywałam, żeby była cierpliwa, bo haloperidol prędzej czy później zadziała.

– Każdy mówiłby to samo w takiej sytuacji.

– Nie, nie rozumiesz. – Łzy popłynęły po policzkach Marcy. Kilka z nich potoczyło się do ust, lądując na języku. – Brakowało mi cierpliwości. Źle znosiłam wybuchy płaczu i napady szału, wizyty facetów, których sprowadzała do domu, i kłopoty, w jakie się pakowała. Po tym wszystkim, co przeszłam ze swoją matką, powinnam była okazać większą wyrozumiałość. A tymczasem było odwrotnie. Nie tolerowałam jej wybryków. Cały czas czułam się winna, bezradna i zła. Nie cierpiałam tego, że muszę z jej powodu przechodzić przez to wszystko jeszcze raz.

– Jakiego rodzaju miała kłopoty? – zapytał Liam.

Która matka nie cierpi własnego dziecka, myślała Marcy.

– Co?

– Powiedziałaś, że Devon pakowała się w kłopoty. Jakiego rodzaju? – powtórzył pytanie.

– Doszło do kilku przykrych incydentów – westchnęła, przypominając sobie tamte sytuacje. – Któregoś razu wdała się w awanturę z sąsiadką, bo zwróciła jej uwagę, że za głośno słucha radia na podwórku. Devon obrzuciła ją wyzwiskami i cisnęła w nią butem, o mało nie trafiając w głowę. Innym razem ukradła cenną bransoletkę matce koleżanki i ta kobieta zagroziła, że pójdzie z tym na policję. Znalazła sobie bardzo dziwnego chłopaka, a kiedy tłumaczyłam jej, że nic dobrego z tego nie wyniknie...

– Nie chciała słuchać.

– Nie miałam oparcia w Peterze. Nie wiedział, co robić, jak sobie z tym wszystkim radzić. Devon zawsze była ukochaną córeczką tatusia, jego słodkim aniołkiem. I temu aniołkowi, który wielbił go przez całe dzieciństwo, nagle wyrosły rogi. Nie potrafił jej pomóc. Czuł się bezsilny. Pewnie dlatego pojawiła się Sarah.



Kobieta, do której odszedł – wyjaśniła na wszelki wypadek, a Liam pokiwał głową na znak, że się domyślił. – Peter uważał, że to ja jestem temu wszystkiemu winna. Co prawda mówił, że wcale tak nie myśli, ale ja to czułam. I miał rację. To była moja wina.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu moich genów. – Wzruszyła ramionami.

*W mojej rodzinie nie było chorób psychicznych* – wytknął jej kiedyś Peter. Co prawda później ją za to przeprosił.

Marcy opowiedziała Liamowi o „wypadku” Devon, o tym, jak upozorowała swoją śmierć i znikła.

– A ty myślałaś, że ona nie żyje, dopóki...

– Nigdy tak naprawdę nie uwierzyłam w jej śmierć. Tak na poważnie – zapewniła go. – I nagle zobaczyłam, jak przechodzi przed twoim pubem.

– A ja cię wziąłem za glinę – wyznał Liam, kręcąc głową.

– Co?

– Kiedy ponownie pojawiłaś się w Grogan’s i pokazałaś mi zdjęcie, pytając, czy znam tę dziewczynę, pomyślałem, że jesteś policjantką albo prywatnym detektywem. Nie uwierzyłem ci nawet wtedy, kiedy powiedziałaś, że to twoja córka. Podejrzewałem, że Audrey dopadła jej przeszłość.

– Jej przeszłość?

– Hmm, tak jak ci mówiłem, rozmawiałem z nią zaledwie kilka razy. Słabo ją znam. Ale wiesz, słyszałem różne pogłoski.

– Nie, nie wiem. Powiedz mi.

– Podobno wdała się w coś w Londynie i przyjechała do Irlandii, żeby się tu ukryć. Takie tam historie. Nic konkretnego. Tak jak powiedziałem, to tylko pogłoski. I dlatego, kiedy przyszłaś i zaczęłaś o nią wypytywać, pomyślałem, że jesteś ze Scotland Yardu albo z Interpolu.

– A teraz?

– Teraz wiem, że mówisz prawdę. – Uśmiechnął się i nakrył ręką jej dłoń. – Nikt nie wymyśla takich historii.

– Mój mąż uważa inaczej. Według niego jestem szalona. – Uśmiechnęła się.

– Wkrótce były mąż – poprawił ją Liam. – A ja myślę, że to on jest szalony, pozwalając odejść takiej kobiecie jak ty.

Marcy powoli wysunęła rękę spod jego dłoni i opuściła ją na kolano.

– Powinieneś uważać, mówiąc takie rzeczy, bo mogą zostać niewłaściwie

zrozumiane.

Oczy Liama rozbłysły swawolnie.

– Czyli jak?

– Niektóre kobiety mogłyby pomyśleć, że je podrywasz.

– A ty co myślisz?

– Że po prostu starasz się być miły.

– Pierwszy raz ktoś mi coś takiego zarzuca. – Roześmiał się.

– Podrywasz mnie? – zapytała Marcy, zdziwiona, że to pytanie przeszło jej przez usta.

– Nie wiem. Jeszcze tak do końca się nie zdecydowałem.

– Liam, ile ty masz lat? – Marcy z uśmiechem pokręciła głową.

– Wkrótce skończę trzydzieści cztery.

– Ja mam pięćdziesiąt.

– Pięćdziesiątka to nie starość.

– Ale też nie trzydzieści cztery.

– To tylko liczba. I jak powiedziałem, nie przepadam za kobietami w moim wieku. Kiedy miałem dwanaście lat, rozprawczyła mnie pewna rozwiązała szesnastolatka. Od tamtej pory kręcą mnie starsze kobiety.

Marcy potarła czoło, bo miała wrażenie, że jej głowa wiruje. Niewątpliwie ta cała rozmowa jest wytworem jej wyobraźni. Może jednak doznała wstrząśnienia mózgu.

– O czym myślisz? – zainteresował się Liam.

– Myślę o tym, że przez dwadzieścia pięć lat sypiałam tylko z jednym mężczyzną. Moim mężem – odpowiedziała szczerze, uznając, że, co tam, nie będzie udawać. – I prawdę mówiąc, w ostatnich latach prawie w ogóle nie uprawialiśmy seksu. Przynajmniej ja nie uprawiałam. Bo jak się okazało, on sobie nie żałował. Zresztą nieważne. Rzecz w tym, że przez te wszystkie lata nie wzbudziłam zainteresowania w żadnym innym mężczyźnie, a teraz, gdy stuknęła mi pięćdziesiątka, mam uderzenia gorąca i siano na głowie...

– Masz śliczne włosy.

– ...przyjeżdżam do Irlandii – ciągnęła, ignorując jego uwagę – i zmieniam się w jakąś femme fatale. Nagle lecą na mnie faceci. Nie wiem, może dodają tu coś do piwa albo wysyłam jakieś sygnały kiepsko ukrywanej desperacji...

– A może po prostu jesteś piękną kobietą.

– Mógłbyś mieć każdą kobietę na skinienie – powiedziała mu, starając się nie

okazać, jaką radość sprawił jej tym komplementem.

– A jeżeli ty jesteś tą kobietą?

– Ty mnie nie chcesz. – Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie?

– Jest ci mnie zwyczajnie żal.

– Czemu miałoby mi być ciebie żal? – zapytał. – Jesteś piękną kobietą z burzą loków, która właśnie odnalazła córkę, dotąd uważaną za zmarłą. Powiedziałbym, że to okazja do świętowania, a nie do żalu.

– Jeszcze jej nie odnalazłam.

– Ale odnajdziesz ją.

– Może wtedy będę miała ochotę świętować.

– Niech będzie – zgodził się Liam, a wyraz jego zielonych oczu sygnalizował wymownie niezwerbalizowane możliwości. – Wygląda na to, że muszę kręcić się w pobliżu i pomóc ci jej szukać.

## 11

Następnego ranka Marcy wróciła pod dom na Adelaide Road.

Była tam już przed ósmą rano, ale przedtem pochłonęła sute śniadanie, jakie codziennie serwowała Sadie Doyle. Składało się z dwóch jajek usmażonych na bekonie, miseczki płatków z rodzynkami i brązowym cukrem oraz dwóch grzanek z ciemnego pieczywa, do których Sadie podawała domowej roboty marmoladę i konfiturę z truskawek. Judith byłaby przerażona, przemknęło Marcy przez głowę w trakcie posiłku, bo siostra niewątpliwie zamówiłaby jedynie miseczkę owoców i przynajmniej ze trzy filiżanki czarnej kawy. Marcy tym razem całkowicie zrezygnowała z płynów. Kawa zbyt szybko przez nią przelatywała, a nie miała pewności, kiedy nadarzy się okazja do skorzystania z toalety.

To może być bardzo długi dzień, pomyślała teraz, spoglądając na zegarek po raz trzeci w ciągu trzech minut. Wpół do jedenastej i nic się nie wydarzyło od chwili, gdy dwie godziny wcześniej pan O'Connor wyszedł do pracy. Szczęśliwie udało jej się znaleźć w miarę ustronne miejsce z boku domu po przeciwnej stronie ulicy, skąd mogła swobodnie obserwować posesję O'Connorów.

Jednak na razie nie było czego obserwować.

Dobrze, że przynajmniej świeci słońce, westchnęła, celowo ignorując widok groźnie wyglądających chmur, kłębiących się na horyzoncie. Na szczęście nie było już tak zimno jak ostatnimi dniami. Może uda jej się wreszcie zdjąć trencz, który od przyjazdu do Irlandii stanowił coś w rodzaju jej uniformu. – Na dworze jest prawie dwadzieścia jeden stopni – powiedziała Sadie Doyle do jednego z gości podczas śniadania. Czyli siedemdziesiąt w skali Fahrenheita, przeliczyła w myślach Marcy. Nieźle.

– Nieźle – powtórzyła teraz, podsumowując swoje zachowanie w ostatnich dniach. *Bardziej porąbana od drewna* – stwierdziła Judith. A nie знаła nawet połowy prawdy. Nie wiedziała ani o Vicu, ani o Liamie, ani o tym, że Marcy przespała się z tym pierwszym i całkiem serio się zastanawiała, czy nie wskoczyć do łóżka temu drugiemu. Rany boskie, co się z nią dzieje?! Do reszty straciła rozum? Czyżby

naprawdę miała zamiar paradować nago przed facetem o ponad piętnaście lat od niej młodszym?

A czemu nie? – pomyślała zaraz. Mężczyźni cały czas tak robią. I nie starają się dorównać wyglądem swoim młodszym partnerkom. Nie krępują ich obwisłe pośladki i sflaczałe mięśnie. Pomimo przerzedzonych włosów i pasków przy spodniach wrzynających się w brzuch bardzo dobrze się czują we własnej skórze i są przekonani o swej atrakcyjności, chociaż ta pewność jest co najmniej bezpodstawna. Czy Peter nie jest tego doskonałym przykładem?

Trzeba przyznać, że Peter nadal dobrze wygląda, Marcy oddała mężowi sprawiedliwość. Jest wysoki, szczupły i bardzo o siebie dba. Został również „szczodrze wyposażony przez naturę”, jak ujmowała to Judith, mówiąc o mężach numer jeden i trzy. Nic więc dziwnego, że okazał się pociągający dla takiej Sarah, kobiety zaledwie trochę starszej od Liama. Niemniej kiedy wielkoduszność ją opuszczała, Marcy wątpiła, czy Peter wydałby się Sarah aż tak atrakcyjny, gdyby nie zawartość jego portfela.

Po co ja się tak objadłam? – pomyślała teraz, czując, jak guzik jeansów wpija się w jej brzuch. Jeżeli dalej będzie tyle jeść... i pić, co w ostatnich dniach, przytyje i Devon może jej nie rozpoznać.

O ile ją odnajdę, dodała w myślach. I natychmiast się poprawiła: naturalnie, że ją odszukam.

To tylko kwestia czasu.

Może stanie się to nawet już dziś.

– Przepraszam, co właściwie pani tu robi?

W głosie w równym stopniu pobrzmiwała ciekawość, jak i oburzenie. Marcy odwróciła się i na schodkach sąsiedniego domu zobaczyła kobietę w kwiecistej podomce, z lokówkami na głowie. Stała z rękami opartymi na rozłożystych biodrach. Brakuje jej tylko wałka do ciasta, pomyślała Marcy i uśmiechnęła się do kobiety, po cichu rozważając, czy nie wziąć nóg za pas. Zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę kobiety.

– Przepraszam – zaczęła i zamilkła, bo nic więcej nie przychodziło jej do głowy.

– Co pani tu robi? – powtórzyła pytanie kobieta.

– Chyba się zgubiłam – odpowiedziała Marcy słabym głosem.

– Zgubiła się pani?

– Poszłam na spacer i...

– Amerykanka? – weszła jej w słowo kobieta.

– Kanadyjka. Matka mojego męża pochodziła z Limerick – dodała z nadzieją, jakby to miało jakieś znaczenie.

Rodowód Petera wyraźnie nie zrobił wrażenia na jej rozmówczyni.

– Czemu pani się przyczaiła za domem Murrayów?

– Ja... się nie czaję.

– Według mnie pani się czai.

– Nie. Wyszłam na spacer...

– To nie jest miejsce popularne wśród turystów.

– No właśnie – improwizowała Marcy. – Z zasady staram się unikać turystycznych atrakcji.

– No to przeoczy pani wiele ciekawych miejsc. – Kobieta z niedowierzaniem uniosła bujne brwi.

– Tak, prawdopodobnie.

Kobieta przechyliła głowę na bok, jakby liczyła na dalsze wyjaśnienia. Albo jakby czekała, aż Marcy zacznie mówić z sensem.

Jeśli tak, to długo tu sobie postoją, skostatowała Marcy.

– Bo, wie pani, ja lubię na swój sposób odkrywać miasta, które odwiedzam, przyglądać się, jak żyją w nich ludzie. Rozumie pani, co mam na myśli?

– Nie, nie sędzę. Według mnie to pani tu węszy.

– Nie. Szczerze. Po prostu musiałam odpocząć. To wzgórze jest zabójcze.

– Wie pani, co ja myślę? – zapytała retorycznie kobieta. – Ja myślę, że pani tu szpieguje. Chyba powinnam wezwać policję.

– Niech pani tego nie robi – poprosiła szybko Marcy. – Nie ma takiej potrzeby. Już sobie idę. – Zaczęła się wycofywać. Sekundę później puściła się biegiem ze wzgórza.

– Niech ja cię tu jeszcze raz zobaczę! – zawołała za nią kobieta. – Słyszysz mnie?! Wezwę policję, jak tylko ujrzę twoją kędzierzawą czuprynę!

– Cholera! – wysapała Marcy, zginając się wpół i łapiąc z trudem piekący oddech, gdy znalazła się u stóp stromego wzgórza. – Przeklęte włosy – mruknęła, odgarniając z czoła kilka wilgotnych od potu loków. – I co teraz? – skierowała pytanie do ziemi u stóp.

*Spakuj pieprzone manatki – usłyszała głos Judith. – I natychmiast wracaj do domu. Zanim cię przymkną.*

– Nie ma mowy – odwarknęła Marcy, bezradnie drepzcząc w koło jak pies, który szuka miejsca, gdzie mógłby się wygodnie ułożyć. Pamiętała, że kilka przecznic

dalej widziała niewielki skwer. Na pewno znajdzie się tam ławka, na której mogłaby przysiąść, pozbierać myśli i opracować jakąś strategię.

*Ty się wykończysz* – ostrzegła Judith, kiedy Marcy maszerowała w kierunku widocznego z daleka szpaleru krwistoczerwonych fuksji.

Marcy potrząśnięciem głowy uciszyła zrzęczenie Judith i celowo przyspieszyła kroku. Kilka minut później siedziała już na zielonej drewnianej ławce pośród krzewów różowych i niebieskich hortensji, kęp trybuli z koronkowymi baldachami białych kwiatków i rzędów naparstnic o bladofioletowych dzwonkach. To naprawdę jest piękny kraj, pomyślała i przymykając powieki, westchnęła głęboko. Może kiedy odnajdzie Devon, razem zwiedzą resztę Irlandii, zrobią sobie wycieczkę, na którą Devon tak bardzo pragnęła wybrać się z ojcem, odwiedzą Limerick i, kto wie, może nawet odnajdą dom, w którym dorastała jej babka. Mogłyby zajechać do Killarney i Kilkenny, a nawet zrobić wypad na słynne Klify Moherowe w odległym hrabstwie Clare. Pojadą wszędzie, gdzie tylko Devon zechce. I będą robić to wszystko, na co Devon będzie miała ochotę. Wszystko, na co będzie miała ochotę, powtórzyła Marcy w myślach, słysząc płacz niemowlęcia przebijający się przez szum przejeżdżających samochodów.

Uniosła powieki i zobaczyła chudą, młodą kobietę z jasną cerą i rudawymi włosami, idącą z wózkiem w jej stronę. Dziewczyna miała na sobie obcisłe niebieskie jeansy i luźny podkoszulek, a włosy zebrane w koński ogon podrygiwały na boki w rytm kroków. Shannon, odgadła natychmiast, po czym równie szybko zwątpiła. Nie, niemożliwe. Musiała przysnąć. To tylko sen.

– Mogę się przysiąść? – zapytała nieśmiało kobieta i dopiero gdy Marcy kiwnęła głową na zgodę, przycupnęła na drugim końcu ławki.

Marcy ze wszystkich sił starała się jej nie przyglądać. Czy to naprawdę Shannon? Dziewczyna szybkim gestem ściągnęła gumkę z końskiego ogona, pozwalając gęstym włosom rozsypać się na ramiona.

– Uff, znacznie lepiej. Za ciasno je ściągnęłam. Aż mnie głowa rozboleła – odezwała się takim tonem, jakby chciała przeprosić Marcy za ten spontaniczny komentarz. Zarumieniła się leciutko. – Przepraszam, nie chciałam pani przeszkadzać.

– Wcale mi pani nie przeszkadza. Śliczne włosy.

Marcy przyjrzała się jej twarzy. Miała niemal przezroczystą cerę, małe zielone oczy i długi, wąski nos. Pewnie była jedną z tych dziewczyn, które pozostają nieświadome swej urody, bo najprawdopodobniej nigdy nie usłyszały pochwały od

matki.

Marcy natychmiast stanęła przed oczami Devon, która z uporem ukrywała swe naturalne piękno pod grubą warstwą podkładu i czarnego cienia do powiek.

– Dziękuję – odparła dziewczyna i skrzępowana komplementem założyła kosmyk włosów za ucho. Dziecko w wózku nie przestawało się zanosić płaczem.

– Przepraszam za hałas. Pójdę stąd, jeżeli ona się nie uspokoi.

Pochyliła się i zaczęła poruszać wózkiem.

– Nie, nie ma problemu. Mnie to nie przeszkadza. – Marcy podniosła się z ławki i zajrzała do wózka. – Dziewczynka, tak?

– Malutka dziewczynka z wielką kolką, niestety. Płacze tak od północy. Wszyscy odchodzimy od zmysłów.

– To pani pierworodna? – spytała Marcy, mając nadzieję, że nie zdradzi jej lekkie drżenie głosu.

– Och nie. To nie jest moje dziecko. – Rumieniec na twarzy dziewczyny nabrał ciemniejszego odcienia. – Jestem opiekunką.

Marcy wzięła głęboki oddech, chcąc zapanować nad narastającą ekscytacją.

– Jak malutka ma na imię?

– Caitlin. Caitlin Danielle O'Connor.

Oddech Marcy uwiązał w piersi i tłukł się o żebra.

– Ile ma miesięcy?

– Prawie pięć.

– Jest śliczna.

– Tak. A jeszcze śliczniejsza, gdy nie płacze.

Marcy wyciągnęła do dziewczyny rękę.

– Jestem Marylin – przedstawiła się, zastanawiając się, czy dobrze robi, kłamiąc, a jednocześnie bojąc się podać Shannon prawdziwe imię.

– Shannon. – Uścisnęła dłoń Marcy i opadła plecami na oparcie ławki. – Jesteś Amerykanką?

Marcy przytaknęła skinieniem głowy. Czasami łatwiej jest kłamać. Płacz Caitlin przybrał na sile, jakby miała protestować przeciwko oszustwu.

– O matko! – westchnęła Shannon z rezygnacją.

– Jeżeli mi pozwolisz, mogę ją potrzymać przez parę minut – zaproponowała Marcy.

– Nie mam nic przeciwko temu – zgodziła się Shannon, a Marcy ostrożnie wyjęła zanoszące się od płaczu niemowlę z wózka. – Biedna pani O'Connor przez



pół nocy nosiła ją na rękach. Rano ślaniała się ze zmęczenia. Nakarmiłam małą i przewinęłam, a potem jeszcze kołysałam. Nic z tego. Pomyślałam, że wezmę ją na spacer, to pani O'Connor przynajmniej się trochę zdrzemnie.

– Na pewno będzie ci wdzięczna. – Marcy przytuliła niemowlę i lekko kołysała, całując czubek główki przez różowy czepeczek. Po paru sekundach mała nagle przestała płakać.

– O Boże, tylko popatrz! – zawołała Shannon z niedowierzaniem. – Marylin, to chyba czary. Jak ty to zrobiłaś?

– Praktyka – odparła Marcy, czując przyływ dumy. Zawsze miała podejście do dzieci. Jeżeli któryś z jej maluchów płakał, wystarczyło, że wzięła go na ręce i mocno przytuliła.

Dlaczego ta magia przestała działać, gdy Devon podrosła? Kiedy opuściła ją umiejętność pocieszania i niesienia pomocy dziecku, które kochała nad życie?

– Ile masz dzieci? – zaciekała się Shannon.

– Troje. – Stwierdziła, że kolejne kłamstwa coraz łatwiej przechodzą jej przez usta. – Dwóch synów i córkę.

– Założę się, że z córką było najtrudniej.

– O, tak – przyznała, myśląc, że nareszcie powiedziała prawdę. – Jak to zgadłaś?

– Mam pięciu braci i dwie siostry. Moja matka mówiła, że z chłopakami nie miała kłopotu, a dziewczynki o mało jej nie wykończyły.

– Mieszkasz gdzieś w okolicy?

– Och nie. Jestem z Glengariff. To wieś nad zatoką Bantry. Na zachodnim brzegu. Blisko gór Caha. Znasz tamte okolice?

– Niestety, nie.

– Nic dziwnego. To nie jest miejscowość turystyczna. Nie mogłam się doczekać, kiedy się stamtąd wyrwę – wyznała, oglądając się przez ramię, jakby się bała, że ktoś to może usłyszeć. – Gnało mnie do dużego miasta. Gdy tylko skończyłam osiemnaście lat, dałam stamtąd nogę.

– Nie wyglądasz na więcej niż osiemnaście lat.

– W przyszłym miesiącu skończę dziewiętnaście – oznajmiła Shannon, rumieniąc się aż po cebulki włosów.

– Mieszkasz tu już prawie od roku?

– Najpierw pojechałam do Dublina. Ale to miasto trochę mnie przerażało. – Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. – Jest takie duże. Nie umiałam się tam odnaleźć. Mało brakowało, a wróciłabym do domu. Ale w końcu przyjechałam

tutaj. – Westchnęła z zadowoleniem. – Tu jest o wiele lepiej.

– Cork nie jest takie rozległe – zgodziła się z nią Marcy. – Wygodnie tu się mieszka.

– Tak, to prawda.

– Znacznie łatwiej w takim miejscu zawierać znajomości, tak przynajmniej mi się wydaje – zauważyła, postanawiając ostrożnie naprowadzić Shannon na interesujący ją temat.

Shannon przytaknęła skinieniem głowy i znowu oblała się rumieńcem.

– Zawsze miałam z tym trudności. Jestem raczej nieśmiała, chociaż może mi nie uwierzysz.

– Jak długo tutaj mieszkasz? – spytała Marcy.

– Nieco ponad pół roku. A od czterech miesięcy pracuję u państwa O’Connorów.

– Hmm, założę się, że przez tyle czasu zdążyłaś się zaprzyjaźnić przynajmniej z jedną osobą – drażyła dalej Marcy, starając się nadać głosowi lekki i obojętny ton.

– Chyba tak.

– To bardzo dobrze.

– No pewnie.

To mnie do niczego nie doprowadzi, myślała Marcy, kołysząc śpiące niemowlę w ramionach.

– Pracujesz gdzieś w pobliżu? – spytała, postanawiając trochę pokrążyć, zanim powróci do tematu nowych znajomości Shannon.

– Na końcu tej ulicy.

– Okolica sprawia przyjemne wrażenie.

– Och, tak, to bardzo dobra dzielnica. Ekskluzywna. A dom państwa O’Connorów jest największy na całym osiedlu. Stoi prawie na szczycie wzgórza. – Machnięciem dłoni wskazała z grubsza kierunek. – Nie da się go przeoczyć. Jest ogromny. Nawet mój pokój jest wielki. Prawie taki jak cały dom, w którym się wychowałam. Mam też własny telewizor.

– Brzmi nieźle.

– Miałam szczęście, że trafiła mi się ta praca. – Entuzjastycznie pokiwała głową.

– Dowiedziałaś się o niej od koleżanki? – Marcy ugryzła się w język. Już bardziej nie mogła się odsłonić.

Na szczęście Shannon nie okazała czujności.

– Nie, poszłam do agencji. O’Connorowie akurat zwolnili pierwszą opiekunkę, bo im nie odpowiadała, i szukali kogoś na jej miejsce. Doradzono mi, żebym się

skromnie ubrała i nie odzywała się niepytana. Widocznie pani O'Connor nie podobała się tamta dziewczyna, bo była pyskata i nosiła za krótkie spódniczki.

Marcy oczami duszy zobaczyła ogłoszenie, jakie mogli dać O'Connorowie.

*Potrzebna opiekunka do dziecka na stałe.  
Szukamy skromnej, cichej osoby,  
o przyjemnej aparycji.  
Własny pokój. Wizyty gości wykluczone.*

Shannon pasowała idealnie.

– A czym zajmuje się pan O'Connor?

– Pracuje w branży budowlanej. Między innymi zaprojektował ten dom, w którym mieszkają.

Marcy pokiwała głową, zastanawiając się, jak wpleść osobę Audrey w tę rozmowę.

– Jego ojciec był jakimś dyplomatą. Zabili go ludzie z IRA, kiedy pan O'Connor miał kilkanaście lat – ciągnęła dalej Shannon bez zachęcania.

– Okropne.

– To były straszne czasy – podsumowała Shannon.

Marcy przytaknęła jej skinieniem głowy.

– A co robisz w wolne dni? – spytała po chwili.

– Nic szczególnego. Czytam, chodzę po sklepach albo do kina.

– A jakie filmy ty i twoi znajomi lubicie?

– Różne.

Świetnie, pomyślała Marcy. Kolejna ślepa uliczka. Co teraz? Kończyły jej się pomysły. Nie mówiąc już o cierpliwości. Na dodatek pod ciężarem dziecka zaczęły omdlewać Marcy ramiona.

– Masz chłopaka? – podjęła ostatnią próbę.

Shannon pokręciła przecząco głową. Jednocześnie jej twarz od ucha do ucha oblała się purpurą.

– Audrey mówi, że mam szczęście. Według niej przez nich są same zmartwienia.

Marcy oddech uwiązł w gardle na dźwięk tego imienia.

– Audrey? – powtórzyła szeptem. Czy dobrze usłyszała?

– Moja koleżanka. Tak jakby. Właściwie bardziej znajoma.

– Jak to?

– No bo ja nie znam jej zbyt długo. Jakieś kilka miesięcy. I raczej rzadko się widzimy. Moja praca mi na to nie pozwala.

– Ta Audrey też jest opiekunką dziecka?

– Och, nie! Nie wyobrażam sobie Audrey jako opiekunki. – Shannon prychnęła śmiechem.

– A czemuż to?

– Szczerze mówiąc, ona nie za bardzo przepada za dziećmi. Chociaż rozplęwa się na widok Caitlin. Niemniej...

– Niemniej...?

– No nie wiem. To tylko takie moje wrażenie. – Shannon zerknęła na zegarek.

– W takim razie co ta Audrey robi?

– Stara się robić jak najmniej. – Shannon oblała się rumieńcem, jakby właśnie powiedziała najgorszą rzecz, jaką można sobie wyobrazić. – Łapie różne dorywcze prace. Takie tam fuchy. O matko, która to godzina? Naprawdę muszę się zbierać.

Marcy pochyliła się nad wózkiem i ostrożnie ułożyła Caitlin na pleckach. Jeszcze tyle pytań chciała zadać Shannon: Gdzie Audrey mieszka? Skąd pochodzi? Czy mówiła cokolwiek o swojej przeszłości, o matce? Gdzie można ją znaleźć?

– Dziękuję za pomoc przy Caitlin – mówiła Shannon. – Miło mi się z tobą gawędziło. Może jeszcze kiedyś na siebie wpadniemy.

Marcy odprowadziła wzrokiem chudą sylwetkę dziewczyny, gdy ta opuściła skwer i popychając wózek w górę wzniesienia, w końcu znikła jej z oczu.

– Możesz być tego pewna – odpowiedziała szeptem.

## 12

Przez następne trzy dni bacznie obserwowała wszystkie wyjścia Shannon. Powtórna wyprawa na Adelaide Road mogła okazać się zbyt ryzykowna, gdyby wścibska sąsiadka O'Connorów namierzyła Marcy, i dlatego wysiadywała na skwerze, dopóki nie zobaczyła Shannon z dzieckiem w wózku. Dziewczyna zazwyczaj dwukrotnie w ciągu dnia wychodziła na spacer: raz około jedenastej, a potem mniej więcej o drugiej. Pojawienie się wózka niezawodnie wyprzedzał płacz Caitlin, donośny jak dzwony Świętej Anny.

Rano Marcy podążała za Shannon krętymi uliczkami nowego osiedla, zawsze trzymając się w bezpiecznej odległości i na wszelki wypadek od czasu do czasu kryjąc się we framudze najbliższych drzwi. Popołudniowy spacer zawsze trwał dłużej. Wczoraj Shannon zawędrowała aż do centrum, dzielnie popychając wózek po wyboistym bruku, rzucając przy tym tęskne spojrzenia na wystawy mijanych sklepów. O trzeciej przysiadła w ogródku przed małym pubem, a Marcy z przeciwnej strony ulicy obserwowała, jak próbowała, zazwyczaj z umiarkowanym sukcesem, balansować kubkiem z gorącą herbatą i jednocześnie kołysać płaczące niemowlę w ramionach. Zastanawiała się, czyby nie ruszyć dziewczynie z odsieczą, lecz szybko się rozmyśliła. Drugie przypadkowe spotkanie mogłoby wzbudzić podejrzenia nawet u takiej naiwnej osoby jak Shannon. Nie, lepiej mieć ją na oku, patrzeć, dokąd chodzi, i zapamiętywać ludzi, z którymi rozmawia.

Problem w tym, że ona z nikim nie rozmawiała.

– Tracę nadzieję – wyznała Marcy Liamowi podczas rozmowy telefonicznej ubiegłego wieczoru.

– Trzymaj się. To nie jest wielkie miasto. Ona prędzej czy później doprowadzi cię do Audrey.

– Wolalabym prędzej.

– Jak ci mogę pomóc?

– I tak już dużo dla mnie zrobiłeś.

– Chcesz, żebym jutro dotrzymał ci towarzystwa? Wezmę wolny dzień...

– Nie, nie mogę cię o coś takiego prosić.

– Nie musisz mnie prosić.

– Nie – odmówiła stanowczo. – Lepiej, żebyś był w Grogan's. Na wypadek, gdyby Audrey tam wstąpiła.

– W porządku. Jak uważasz – zgodził się, a po chwili zaproponował: – Mogę teraz do ciebie wpaść...

– Nie – powiedziała szybko. Bardzo chciała go widzieć, bardzo ją pociągał i bardzo chciałyby wierzyć, że ona też go pociąga, lecz nie mogła pozwolić, aby inne sprawy ją rozpraszały. Nie teraz, kiedy jest tak blisko odnalezienia córki. – Jutro się do ciebie odezwę – obiecała.

– Będę na posterunku.

Teraz Marcy obserwowała, jak Shannon przechodzi z wózkiem po moście dla pieszych nad South Channel i idzie wzdłuż Mary Street w kierunku St. Patrick's Street, bardzo ruchliwej arterii miasta. Chociaż niebo pozostawało zasnuwane i znajome chmury zbierały się na horyzoncie, było naprawdę ciepło i Marcy zaczynał ciążyć trenz, który od godziny nosiła przewieszony przez ramię. Może jutro uda jej się wyjść bez płaszcza, pomyślała z nadzieją, spoglądając na wiatrowskaz na wieży kościoła Świętej Anny.

– Niech zgadnę – mruknęła w kołnierzyk niebieskiej bluzki. – Według prognozy ma padać.

W tej samej chwili zorientowała się, że Shannon znikła.

Obróciła się, rzucając nerwowe spojrzenia we wszystkie strony. Widziała jedynie witryny sklepów i przechodniów. Nigdzie ani śladu Shannon.

Dokąd mogła pójść?

– Dobra, uspokój się – powiedziała na głos. – Pojawi się.

Przecież Shannon wielokrotnie znikła jej z oczu w popołudniowym tłumie, lecz po chwili znowu widziała jej koński ogon podrygujący w rytm kroków. Raz ją widzisz, a raz nie.

Poza tym co takiego się stanie, jeśli jej teraz nie odnajdzie? Przecież wiedziała, gdzie mieszka. Shannon nie była specjalnie pomysłowa, zazwyczaj trzymała się utartej rutyny. Jutro znowu będzie ją śledzić.

Zacznie wszystko od początku, pomyślała, walcząc z łzami.

– Myślałaś, żeby pójść na policję? – zapytał ją wczoraj Liam.

Nie, nie chciała wciągać w to policji. A jeśli Devon wpakowała się w jakieś

kłopoty? Może wskazując policji miejsce jej pobytu, sprawi, że ona jeszcze skuteczniej się ukryje? A co by się stało, gdyby jej rozpaczliwe wysiłki połączenia się z córką doprowadziły jej dziecko za kratki? Nie, nie mogła ryzykować.

– Mogłabym wynająć prywatnego detektywa – powiedziała Liamowi.

Podszedł do tego pomysłu bez szczególnego entuzjazmu.

– Pewnie byś mogła to zrobić. Ale to nie wygląda tak jak w filmach. Na pewno nie tu, w Cork. U nas nie ma zbyt wielkiego popytu na tego rodzaju usługi. Lepiej już sama się tym zajmuj. Przynajmniej na razie.

Niestety z odgrywaniem roli detektywa radziła sobie równie kiepsko, jak z większością ról w swoim życiu, zaczynała utwierdzać się w tym przekonaniu, wyliczając w myślach wszystkie klęski, jakby odhaczała pozycje na liście zakupów. Jako córka – porażka. Jako siostra – porażka. Jako żona – porażka. Jako matka – totalna klęska.

Nigdy nawet nie próbowała rozwinąć się zawodowo. Owszem, po studiach pracowała w dziale marketingu niewielkiej agencji reklamowej, lecz traktowała to zajęcie jako coś tymczasowego, a kilka lat później stanowisko znikło wraz z całą firmą. Już przed ślubem planowali z Peterem założyć rodzinę. Bardzo szybko zaszła w ciążę z Devon, a potem urodził się Darren, nie było więc mowy o pracy. I tak miała ręce pełne roboty.

Dobiegł ją głos Devon, przyniesiony z przeszłości przez śmiech mijającej ją grupki nastolatków.

– *Po co mi studia?* – stawiała się Devon. Właśnie poinformowała Marcy, że zamierza z nich zrezygnować jeden semestr przed uzyskaniem dyplomu.

Marcy usiłowała z nią dyskutować, mimo że cichy głos w jej głowie doradzał, aby odpuściła.

– *Bo wykształcenie jest ważne.*

– *A czemu niby jest takie cholernie ważne?*

– *Bo jest i tyle. Uważaj na język.*

– *Wkurza cię, że powiedziałam „cholernie”? Kurwa mać, co jest takiego złego w słowie „cholernie”?!*

– *Devon...*

A ona w odpowiedzi puściła całą wiązaną przekleństw.

– *Gównno, pierdolić, chuj, pizda, skurwiel.*

– *To idiotyczne.*

– *Kutas, skurnol, pojob, cipa, skurwysyn...*

- Nie będziemy w ten sposób rozmawiać.
  - To ty zaczęłaś.
  - I ja skończę. – Marcy odwróciła się, zanim Devon zdążyła zobaczyć, że płacze.
  - Jasne, mamus. Najlepiej wyjdź. Tak właśnie rozwiązujesz wszystkie problemy.
  - Nie chodzi o mnie – powiedziała, zaskoczona, że córka nadal mówi do niej „mamus”. Na jednym oddechu „skurwieli” i „mamus”, podsumowała w myślach.
  - Nie chcesz skończyć studiów? Nie ma sprawy. To twoje życie, nie moje. Zostało ci tylko kilka przedmiotów do zaliczenia. Zrób dyplom, a potem się zastanów, co dalej.
  - Co dalej? A jaki ja mam wybór? Gdybyś przypadkiem nie zauważyła, jestem dokładnie popieprzona. I czasem mi nie mów, że mam uważać na język.
  - Bierzesz lekarstwa?
  - A co to ma do rzeczy?
  - Bo tak się zawsze dzieje, kiedy odstawiasz leki.
  - Czyli jak?
  - Przeklinasz, miewasz huśtawkę nastrojów. Jest gorzej.
  - Może gorzej dla ciebie. Nie dla mnie.
  - Devon, proszę cię.
  - Mamus, proszę cię – przedrzeźniała ją.
  - Dobrze, dość tego. Nie będziemy o tym teraz rozmawiać.
  - Nigdy nie potrafiłaś.
  - Próbowałam.
  - Tak jak próbowałaś ze swoją matką?
  - Co?
  - Wiesz, że mogłaś ją powstrzymać – wycedziła Devon. – Nie dopuścić, żeby skoczyła z tamtego budynku.
  - Nic nie było w stanie jej powstrzymać – zaprotestowała słabo Marcy.
  - Judith mi powiedziała, jak było.
- Marcy pokiwała głową, a jej ciężkie, przeciągłe westchnienie, które z drzeniem poniosło się w przestrzeń pomiędzy nimi, potwierdziło poczucie klęski.
- Zawsze pragnęłam jedynie, żebyś była szczęśliwa.
  - Zawsze pragnęłaś jedynie, żebyś była „normalna” – odpaliła Devon.
  - Tak! – naskoczyła na córkę, jeszcze dziś mając w uszach pogłos tego słowa. – Tak! Chciałam, żebyś była normalna. Czy to takie egoistyczne z mojej strony? Czy to robi ze mnie jakiegoś potwora?
- Devon z chłodem w oczach patrzyła na łzy toczące się po policzkach matki.



– *Ja jestem potworem* – powiedziała.

– Przepraszam – odezwał się ktoś. Marcy odwróciła głowę i zobaczyła, jak twarz Devon zastępuje inna, nieznana, w oprawie siwych włosów. Starsza kobieta lawirowała pomiędzy przechodniami, podpierając się laską.

– Nie mogę pani ominąć – wyjaśniła z łagodnym uśmiechem, a wtedy jej twarz pokryła się siateczką zmarszczek biegnących od ust w okolice wodnistoniebieskich oczu.

– Och, przepraszam. – Marcy natychmiast ustąpiła jej z drogi. Jak długo stoi tak na środku chodnika? Spojrzała na zegarek. Dostatecznie długo, by na dobre stracić Shannon z oczu, stwierdziła, postanawiając na dziś zakończyć zabawę w detektywa. Jutro z rana wróci na Adelaide Road. Jeżeli do końca tygodnia Shannon nie doprowadzi jej do Audrey, zaciśnie zęby i odkryje przed nią karty. Powie, że dziewczyna, którą ona zna jako Audrey, w rzeczywistości ma na imię Devon i jest jej córką. I poprosi o adres.

Być może powinna była od razu tak właśnie postąpić. Co właściwie sobie myślała?

Judith niewątpliwie wytknęłaby jej natychmiast, że w ogóle nie myślała, bo przestała logicznie myśleć tamtego dnia, gdy Devon utonęła w lodowatych wodach Georgian Bay.

– *Dlaczego nie bierzesz tabletek, które zapisał ci lekarz?* – prosiła ją całymi tygodniami, a nawet miesiącami po tamtej tragedii.

– *Bo nie potrzebuję antydepresantów.*

– *Chcesz powiedzieć, że nie jesteś przygnębiona?*

– *Naturalnie, że jestem. Jestem przybita. Mam depresję z konkretnego powodu. Zważywszy na okoliczności, wręcz powinnam ją mieć. Czemu mam się otumaniać? To tylko przedłuży cierpienie.*

– *Łykaj te tabletki. Przynajmniej przez jakiś czas. Żeby jakoś przebrnąć przez najgorszy okres.*

– *No dobrze* – uległa w końcu.

W rezultacie depresję zastąpiło ogłupiające odrętwienie, co wydawało się jeszcze gorsze, i Marcy odstawiła tabletki. Matka miała rację – lekarstwa sprawiają, że człowiek czuje się, jakby pływał motylkiem w kadzi z melasą. Doszła do tego wniosku, gdy odzyskała jasność myślenia, a jej zmysły – dotyk, smak i wzrok – zaczęły powracać mniej więcej do normalności.

Wtedy dopiero zrozumiała, dlaczego Devon woli rozpacz od obojętności.

Oczywiście to zrozumienie niczego nie mogło już zmienić. Kolejny przykład na za mało, za późno.

Devon w jeszcze jednej sprawie miała rację, przyznała teraz, po raz ostatni rzucając okiem w głąb St. Patrick's Street. Marcy mogła powstrzymać matkę od śmiertelnego skoku. Judith o tym wiedziała. Wszyscy wiedzieli.

Odwracała się już, żeby ruszyć w dół ulicy, kiedy dostrzegła wózek wyłaniający się ze sklepu blisko narożnika. Sekundę później w pole widzenia wkroczyła Shannon; jedną ręką popychała wózek, w drugiej trzymała butelkę z wodą mineralną. Wyjechała z wózkiem na chodnik i popijając wodę przez słomkę, ruszyła w kierunku Merchant's Quay.

– No dobra, dość już czasu zmarnowałaś – powiedziała na głos Marcy i rozejrzała się ukradkiem, żeby sprawdzić, czy ktoś tego nie usłyszał. A nawet jeśli usłyszał, prawdopodobnie założył, że rozmawia przez komórkę. W obecnych czasach o wiele łatwiej jest maskować szaleństwo. – Powiesz jej prawdę – dodała, a dźwięk własnego głosu podziałał na nią kojąco. – Wyjaśnisz, kim jesteś. Poprosisz o pomoc. Ułagasz ją.

Gdy dzieliło ją od Shannon zaledwie pół przecznicy, zobaczyła, jak ktoś podjeżdża do niej na rowerze. Dziewczyna uśmiechnęła się, a policzki przybrały kolor czerwonego światła na sygnalizatorze. Chłopak zsiadł z roweru i dotykając jej ramienia, pochylił się nad wózkiem, żeby, tak jak wypada, pozachwycać się dzieckiem. Sympatyczny gest, pomyślała Marcy, torując sobie drogę pośród snujących się tu i tam przechodniów. Kiedy niemal zrównała się z Shannon i jej znajomym, odkryła, że ma przed sobą tego samego młodego człowieka, który kilka dni wcześniej najechał na nią rowerem.

– Nie, to niemożliwe! – wykrzyknęła, przystając gwałtownie, przez co mężczyzna, który szedł za nią, wylądował jej na plecach.

– Bardzo przepraszam. Nie przewidziałem... – zaczął.

– Nie szkodzi. To moja wina – odparła. – Wydawało mi się... To moja wina. – Najwyraźniej ma zwidy. To nie może być ten sam chłopak.

A jeżeli?

Podeszła parę kroków bliżej.

– Czy ona kiedyś przestaje płakać? – zwrócił się do Shannon rowerzysta, przekrzykując żalosne zawodzenie Caitlin.

– Lekarz mówi, że ona ma kolki – wyjaśniła.

– Powiedział, jak to długo jeszcze może trwać?

– Twierdzi, że powinno jej wkrótce przejść, ale według mnie on sam tego nie wie.

– Boże, ale to cię musi wkurzać! Nie można nic z tym zrobić?

– Możesz mi wierzyć, wszystkiego próbujemy. Nosimy ją, wozimy na długie spacery, robimy przejażdżki samochodem. Ona wypluwa smoczek. Nic nie działa. Tylko jednej kobiecie, którą przypadkiem spotkałam na skwerku, udało się ją uciszyć. Wzięła ją na rękę i Caitlin natychmiast się uspokoiła. Mówię ci, to był jakiś cud.

– Bardziej wygląda na czary. – Zaśmiał się i splunął na chodnik przez ramię, jakby chciał odgonić zły urok. – Jesteś pewna, że to nie była czarownica?

Słyszałam już gorsze określenia pod swoim adresem, pomyślała Marcy i przysunęła się bliżej.

– To on! – wyszeptała.

Co to mogło oznaczać? Czy to czysty przypadek, czy coś bardziej niepokojącego? Co go łączyło z Shannon? A jeśli był w jakiś sposób powiązany z Shannon, czy koniecznie to musiało oznaczać, że z Devon też go coś łączy? Dobrze, uspokój się. Zastanów się przez chwilę. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Łatwo mówić. Szukała Devon i kiedy jakimś cudem zauważyła ją na tamtym mostku, a właściwie już do niej biegła, wyjechał nie wiadomo skąd na tym swoim rowerze i przewrócił ją na ziemię. Przedłużające się przeprosiny tylko pogorszyły sprawę, a kiedy wreszcie uwolniła się od jego niezbornej paplaniny, Devon już nie było. Wtedy zakładała, że po prostu miała pecha znaleźć się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie. A może w grę wchodziło celowe działanie? Może ten wypadek wcale nie był wypadkiem? Może on specjalnie na nią najechał, żeby ostrzec Devon i dać jej czas na ucieczkę?

A to by oznaczało, że...? Czy Devon wiedziała, iż ona tu jest?

Czy to możliwe?

A może ponosi ją wyobraźnia? W końcu Cork nie jest wielkim miastem. Przecież Shannon i ten chłopak mogą się znać, a ich powiązania, o ile w ogóle można tak określić pogawędkę na rogu ruchliwej ulicy, są całkiem niewinne i nieszkodliwe. To, że Shannon koleguje się również z Audrey, nie musi jeszcze niczego oznaczać. A ten chłopak może jej w ogóle nie znać.

A może ją zna.

A to by znaczyło...?

– Co to by mogło znaczyć? – skierowała to pytanie do chodnika u stóp. –

Cholera, co by to mogło znaczyć?

– Marylin?! – usłyszała wołanie. A potem jeszcze raz, gdzieś bliżej: – Marylin?!  
Hop! Hop!

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Shannon przechodzi przez jezdnię. Machając ręką, zmierzała wyraźnie w jej kierunku.

– To ja! Shannon! Ze skwerku! – próbowała przekrzyczeć głośny płacz Caitlin. – Tak myślałam, że to ty.

Marcy z całej siły starała się zapanować nad emocjami. Miała chęć złapać Shannon za łokcie i zarzucić pytaniami: Kim jest ten chłopak, z którym przed chwilą rozmawiała? Co go łączy z Audrey? Czy w ogóle coś go z nią łączy? Co wiesz o mojej córce? Tymczasem powiedziała:

– Shannon, no jasne! Miło cię znowu widzieć.

– Co za niesamowity zbieg okoliczności! Właśnie o tobie rozmawiałam i nagle ciebie widzę.

– Rozmawiałaś o mnie?

– Tak, z kolegą. A właściwie ze znajomym. Opowiadałam mu, jak wspaniale poradziłaś sobie z małą. – Spojrzała na puste miejsce, gdzie przed chwilą oboje stali, i przeniosła wzrok z powrotem na Marcy. – Dobrze się czujesz? Jesteś trochę blada.

– Pewnie dlatego, że się zmęczyłam. – Uzmysłowała sobie, że tym razem absolutnie nie skłamała. – Dużo się dziś nachodziłam.

– Zwiedzałaś?

– Nie miałam pojęcia, że Cork jest takim ciekawym miastem.

– Ludzie zawsze się dziwią, że mamy tu tyle atrakcji. Masz ochotę na herbatę?

– Świetny pomysł.

– Zostało mi jeszcze trochę czasu do powrotu do domu. Może zajrzymy do Grogan's? – zaproponowała Shannon, spojrzawszy na zegarek.

– Grogan's? – To słowo przyłgnęło Marcy do podniebienia jak przezuty kawałek gumy balonowej.

– To tu, niedaleko, po drugiej stronie St. Patrick's Bridge. Mają tam sympatyczny ogródek. Łatwiej zmieścić się z wózkiem i w ogóle.

Marcy uśmiechnęła się, starając się pozbiierać spłoszone myśli. Niestety zadanie okazało się niewykonalne i szybko się poddała. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, pokazując dwa rzędy idealnie równych i białych zębów, którymi kiedyś uwiodła Petera.

– Prowadź! – powiedziała.

Jeżeli Liama zaskoczył jej widok, nie okazał tego po sobie. Ani też żadnym gestem nie zdradził, że zna którąś z nich.

– Jak się panie dzisiaj mają? – zapytał, podchodząc do miniaturowego, okrągłego stolika. Na niewielkiej, wygospodarowanej przed wejściem przestrzeni tłoczyło się z dziesięcioro klientów. Dzikie, różowe rododendrony i zalotne kampanule, zasadzone wzdłuż ogrodzenia z kutego żelaza, mieniły się kolorami na słonecznej plamie.

Marcy nie mogła się nadziwić, że nie zauważyła tych ślicznych kwiatów podczas poprzednich wizyt. Czy zawsze była tak mało spostrzegawcza?

– Bardzo dobrze, dziękujemy.

– Piękny dzień, prawda? – kontynuował Liam.

– No – nieśmiało przytaknęła Shannon. – Taki ciepły.

– Miła odmiana. – Marcy próbowała ustalić, czy jej serce reaguje trzepotem na obecność Shannon, czy też Liama.

Caitlin w wózku zaczęła zanosić się płaczem.

– Niestety, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – szepnęła Shannon, rozglądając się skruszona po twarzach gości, których większość zdawała się w ogóle nie słyszeć zawodzenia dziecka.

– W takim razie co podać? – Liam zajrzał do wózka. – Och, kogoś tu wyraźnie nie cieszy słońce.

– Tego kogoś nic nie cieszy – powiedziała Shannon.

– Może ona ma ochotę na buteleczkę beamisha?

Shannon parsknęła śmiechem, a rumieniec, który wypłynął na jej policzki, miał odcień kwiatów rododendronu. – Ja bym miała.

– Dwa beamishe? – Liam spojrzał na Marcy wyczekująco.

– Chyba jednak wezmę herbatę – zdecydowała.

– W takim razie poprosimy dwie – dodała szybko Shannon. – Pani O'Connor mogłaby dostać zawału, gdyby wyczuła ode mnie piwo. Ona mówi, że Irlandia

ponosi wysoką cenę za to, jak tu się pije, i że w ostatnich dwudziestu latach spożycie alkoholu wzrosło niemal o pięćdziesiąt procent, a pijaństwo wśród nastolatków i studentów przybiera dramatyczne rozmiary.

– Naprawdę tak uważa? – zdziwił się Liam.

– Mówi, że według ostatnich badań w Irlandii ponad połowa młodzieży szkolnej próbuje alkoholu przed ukończeniem dwunastego roku życia, a pośród nastolatków połowa dziewcząt i dwie trzecie chłopców już regularnie popija.

– Szok! – W kącikach ust Liama błąkał się przewrotny uśmiech. – Jak rozumiem, pracuje pani dla klanu O’Connorów na Adelaide Road?

– Tak! Zna ich pan? – Małe zielone oczy Shannon przyćmił niepokój.

– Ze słyszenia – uściślił Liam. – Kto ich nie zna? To jedna z najzamożniejszych rodzin w Cork – wyjaśnił, zwracając się do Marcy. – Czy ojciec O’Connora nie został przypadkiem zamordowany przez członków Sinn Féin?

– Zastrzelono go podczas wizyty w Belfaście w osiemdziesiątym szóstym – powiedziała cicho Shannon.

– Och, byliśmy wtedy nieźle nakręceni – zauważył Liam.

Marcy miała ochotę mu przypomnieć, że wtedy to on był dzieckiem, ale szybko się rozmyśliła. Jaki sens miało podkreślanie różnicy wieku między nimi?

– A więc dwie herbaty i odrobina ciepłego mleka?

– Ja dziękuję, mam butelkę z sokiem jabłkowym – powiedziała Shannon, zanim Liam zdążył odejść od stolika. – Ona go nie wypije. Chyba że ty spróbujesz dać jej butelkę? – Spojrzała z nadzieją na Marcy.

W odpowiedzi Marcy wyciągnęła ramiona, a Shannon szybko wyjęła płaczące niemowlę z wózka i podała Marcy wraz z butelką.

– Witaj, słoneczko – zagruchała Marcy, scałowując łzy z wilgotnych policzków Caitlin i odgarniając z czółka parę jedwabistych pasemek rudawych włosów. – Kim jest ta śliczna mała dziewczynka? – Sekundę później dziecko leżało spokojnie, przytulone do piersi Marcy, i z zadowoleniem ciągnęło sok z butelki.

– Niesamowite – nie mogła nadziwić się Shannon. – Nie wiem, jak ty to robisz.

Marcy wzruszyła ramionami, zastanawiając się jednocześnie, kiedy opuściła ją umiejętność pocieszania własnych dzieci. Syn akurat nie wymagał zbyt wiele uwagi. Był niesamowicie spokojnym chłopcem, który wyrósł na samodzielny, pogodny młody mężczyzną. Darren pod każdym względem stanowił przeciwieństwo swej siostry. Marcy nieraz się zastanawiała, czy był taki z natury, czy też w jakiś sposób wyczuwał, że matka nie była w stanie więcej udźwignąć.

Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio syn zwrócił się do niej z jakimś problemem. Czy w ogóle coś takiego miało miejsce? A może była zbyt skupiona na Devon, żeby zwracać uwagę na problemy Darrena?

– Powinnaś nas odwiedzić – mówiła Shannon – I przeskolić panią O'Connor.

– Sądząc z tego, co od ciebie słyszałam – odezwała się Marcy, odsuwając myśli o Darrenie – chyba łatwo by mi z nią nie poszło. – Patrzyła, jak młody mężczyzna w narożniku ogródka odrzuca głowę do tyłu i wybucha radosnym śmiechem. Jak dobrze byłoby roześmiać się tak beztrosko, pomyślała. W tej samej chwili stanął jej przed oczami chłopak, z którym rozmawiała Shannon. Musi być jakiś sposób, żeby, nie budząc podejrzeń, skierować na niego rozmowę.

Shannon spoważniała i rozejrzała się niepewnie na boki, jakby sprawdzała, czy nikt ich nie szpieguje.

– Ona nie jest taka zła. Naprawdę się stara z Caitlin.

– Nie wątpię.

– Według mnie pewnie myślała, że będzie łatwiej.

Marcy pokiwała głową. Wszyscy tak myślimy, stwierdziła w duchu, zatrzymując spojrzenie na Liamie, który zbliżał się z herbatami.

– Oho, widzę, że ktoś tu ma cudowny dar – zauważył, stawiając na środku stolika ceramiczny imbryk i ustawiając na spodeczkach dwie filiżanki z białego fajansu.

– Niesamowite, co? – przytaknęła Shannon.

– A w dodatku urocze – powiedział Liam z uśmiechem. – Podać paniom coś jeszcze? Może skusicie się na herbatniki?

– Nie, dziękuję – odparła Shannon.

– A ja z chęcią przegryzę coś słodkiego – powiedziała Marcy w tej samej chwili.

– Słodkości dla słodkości. – Liam puścił oko.

Shannon pochyliła się nad stolikiem.

– Chyba mu wpadłaś w oko – powiedziała konspiracyjnym szeptem, gdy się oddalił.

Marcy poczuła, że się czerwieni.

– Zarumieniłaś się! – zawołała Shannon ze śmiechem.

– To uderzenie gorąca – sprostowała Marcy.

– Co takiego?

– To się dzieje... ach, nieważne. – Brakowało jej cierpliwości na wyjaśnianie zaciekawionej młodej kobiecie uroków menopauzy. – Masz rację, zaczerwieniłam



się.

– Dobrze wiedzieć, że nie tylko mnie jednej się to przydarza. Ja się bez przerwy rumienię. Nie cierpię tego.

– Do twarzy ci z kolorami.

Na policzkach Shannon wykwitł rumieniec niemal w odcieniu fuksji.

– Naprawdę tak uważasz?

– Jasne. Jestem pewna, że tamten chłopak, z którym rozmawiałaś, zgodziłby się ze mną. – Raz kozie śmierć, lepsza okazja się pewnie nie trafi. Shannon, zdezorientowana, zaczerwieniła się aż po koniuszki uszu. Przechyliła głowę na bok jak zaciekawiony cocker-spaniel.

Czy możliwe, że tamta scena była wytworem jej wyobraźni? – przemknęło przez myśl Marcy. To nie byłby pierwszy raz, kiedy widziała coś, czego w rzeczywistości nie było. Przynajmniej według Petera i Judith.

– Och. No tak, oczywiście! – ucieszyła się Shannon. – Chodzi ci o Jacksona.

– Jacksona?

– Mogę nalać? – spytała Shannon z imbryczkiem w ręce.

– Poproszę.

– Pachnie wspaniale. Lubię wypić filiżankę dobrej herbaty, a ty?

– Tak, ja też. Ciekawe imię... Jackson – zauważyła Marcy.

– Każe na siebie mówić Jax. Z „x” na końcu – zachichotała Shannon. – Twierdzi, że to bardziej z amerykańska.

– Jest Amerykaninem? – Puls Marcy wyraźnie przyspieszył.

– Nie. Ogląda dużo amerykańskiej telewizji. – Wypiła łyk herbaty. – Mmmm. Pycha. Spróbuj.

Marcy natychmiast podniosła filiżankę, czując, jak gorący, kojący napar wypełnia jej usta i spływa do gardła.

– Dużo tu macie amerykańskiej telewizji?

– Sporo. Pani O'Connor za nią nie przepada. Mówi, że jest tam za dużo przemocy, a powrót do przemocy jest ostatnią rzeczą, jakiej Irlandii potrzeba.

– Pani O'Connor jest kobietą o bardzo zdecydowanych poglądach.

– Tak. To prawda. Ale jest miła – dodała szybko Shannon, ponownie rzucając na boki ukradkowe spojrzenia.

– A ten Jackson jest dla ciebie kimś ważnym? – spytała Marcy po chwili. Uśmiechnęła się przy tym i lekko wzruszyła ramionami, co miało sugerować, że pytanie jest całkiem niewinne i bez żadnych podtekstów.

– Och nie. Ledwo go znam. – Shannon o mało nie zakrztusiła się herbatą.

– Bardziej znajomy niż przyjaciel? – drażzyła Marcy dalej, starając się utrzymać lekki ton.

Jej rozmówczyni wyglądała na nieco zmieszana; zmrużyła zielone oczy w szparki, przez co stały się niemal niewidoczne, lecz za moment z powrotem szeroko je otworzyła.

– O proszę! Idą nasze herbatniki.

– Dołożyłem kilka – powiedział Liam, stawiając na stole talerz z posypanymi cukrem ciasteczkami i przy okazji muskając wierzchem dłoni rękę Marcy, a ona poczuła, jak elektryzujący dreszcz przebiega ją od ramienia aż po nasadę szyi. – Na mój koszt.

– Mówiłam ci, że mu się podobasz – wyszeptała Shannon, kiedy się oddalił. – Och, kruche ciasteczka! Moje ulubione.

– W takim razie poczęstuj się.

– Nie mogę. Pani O'Connor nie aprobeuje podjadania między posiłkami... Ciągle od niej słyszę, że obecnie młodzi ludzie beznadziejnie się odżywiają, że otyłość na świecie stała się plagą i że trzeba mieć siłę woli, bo charakter osoby poznaje się po tym, co ona je.

– Zabawna ta pani O'Connor – powiedziała Marcy, a w myślach dodała: nic dziwnego, że jej maleństwo wiecznie płacze. Lecz zaraz się zreflektowała. Jasne. Najlepiej składać winę na matkę.

Policzki Shannon spłonęły żywym ogniem. Położyła dłoń na piersi jak do przysięgi.

– Nie chciałabym, żebyś myślała, że ja źle mówię o pani O'Connor.

– Wcale nie mówisz o niej źle.

– To naprawdę miła osoba.

– Nie wątpię. Poczęstuj się ciastkiem.

Shannon szybkim ruchem podniosła herbatnik z talerza i nerwowo odgryzła kawałek.

– A więc ten Jax przyjaźni się z Audrey? – zaryzykowała Marcy, rezygnując z ostrożności, bo widziała, że kluczenie wokół tematu do niczego nie doprowadzi.

– Skąd wiesz? – Shannon odgryzła kolejny kęs i popiła go herbatą. – Jesteś jasnowidzką?

Marcy wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Szczęśliwy traf”.

– To tamta dziewczyna, która mówi, że przez mężczyzn są same zmartwienia,

tak?

– No, rzeczywiście tak mówi – zachichotała Shannon.

– Pewnie wie to z doświadczenia.

– Oni kiedyś byli parą.

Marcy poczuła, jak gorąca herbata zmienia się w gardle w kostkę lodu, która wrzyna się w krtań.

– Kiedyś byli? – wydusiła z trudem.

– Zerwali na dobre. Powiedziała, że jak chcę, to mogę go sobie wziąć. – Policzki Shannon z czerwonych zrobiły się purpurowe.

– A chcesz?

Dziewczyna zbyła to pytanie nerwowym machnięciem palców.

– Och, nie sądzę, aby pani O'Connor zaakceptowała kogoś takiego jak Jax.

– Niby czemu?

– On jest trochę pokręcony.

– Taak?

– Ma na koncie parę wyskoków. Nic znowu takiego złego, ale takich jak on raczej nie przyprowadza się do domu, żeby przedstawić mamie.

Po plecach Marcy przebiegł dreszcz, ponieważ w wyobraźni zobaczyła mężczyznę, z którym Devon trzymała się przez parę miesięcy na krótko przed sfingowanym samobójstwem.

– *Nie wiesz, w co się pakujesz* – ostrzegła wtedy córkę.

– *A ty nie wiesz, o czym mówisz* – usłyszała w odpowiedzi.

– Zresztą ja mu się nie podobam – wyznała Shannon i kolejny rumieniec zaalał jej policzki.

– Czemu miałabyś mu się nie podobać?

– A widzisz chłopaków ustawiających się do mnie w kolejce? – Shannon zachichotała nerwowo.

– Myślę, że każdy chłopak byłby szczęśliwy, mogąc cię poderwać – zawyrokowała Marcy, a tymczasem jej umęczony umysł galopował w tempie jednej mili na minutę. Jeżeli Audrey i Jax się znają, zastanawiała się, jeśli kiedyś byli parą, to do wypadku z rowerem nie doszło przypadkiem. Jax rozmyślnie na nią najechał.

A to by oznaczało...?

Czy Devon wie, że ona tu jest? A może ktoś za wszelką cenę stara się nie dopuścić do ich spotkania?

– Naprawdę tak myślisz? – zapytała Shannon z nadzieją w głosie.

– Pewnie. – Marcy uśmiechnęła się do niemowlęcia w swoich ramionach. – Zaspia – stwierdziła i jednym tchem zapytała: – A właściwie jak długo znasz się z Audrey?

– Poznałam ją jakiś czas po tym, jak zaczęłam pracować u O’Connorów.

– Ona jest stąd?

– Nie. Zdaje się, że pochodzi z Londynu. – Shannon niespodziewanie parsknęła śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło?

– Szkoda, że nie słyszałaś, jak ona parodiuje panią O’Connor. Można pęknąć ze śmiechu. Idealnie naśladuje jej akcent.

Marcy musiała zakasłać, żeby stłumić krzyk.

– Potrafi naśladować też inne akcenty?

– Och tak. Niemiecki, włoski, amerykański. Jest naprawdę niesamowita. Mogę się jeszcze poczęstować ciastkiem?

– Proszę bardzo.

Shannon sięgnęła po herbatnik z talerza, przełamała go i połowę wsunęła do ust.

– To się jej może przydać w Kalifornii.

– Wybiera się do Kalifornii?

– Tak mówi. – Shannon pokiwała głową, zlizując okruszki z ust.

– A mówiła, kiedy tam pojedzie?

– Myślę, że wkrótce. – Odłożyła połowę herbatnika na swój talerzyk i czujnie spojrzała na Marcy. – Czemu ta Audrey tak cię interesuje?

– Tak sobie tylko rozmawiamy. – Marcy wzruszyła ramionami. – Te ciastka są naprawdę smaczne. Proszę, ostatnie jest dla ciebie.

– Nie, dzięki. Powinnam się zbierać. – Shannon odsunęła krzesło i zaczęła podnosić się od stolika.

– Nie szkoda ci budzić małej? – zapytała szybko Marcy.

– Ty rzeczywiście świetnie sobie z nią radzisz. – Shannon z ciężkim westchnieniem popatrzyła na uśpione niemowlę w jej ramionach.

– Przepraszam, że tak cię wypytuję – usprawiedliwiła się Marcy i po odpowiednio wyliczonej przerwie wyznała: – Chyba trochę doskwiera mi samotność, podróżuję w pojedynkę.

– Och, wiem, jak się czujesz. – Shannon natychmiast zmiękła i sięgnęła po niedojedzony herbatnik. – Kiedy przyjechałam do Dublina, czułam się taka

samotna. Nikogo tam nie znałam. Nawet tu, w Cork, na początku nie było mi łatwo. Nie miałam do kogo ust otworzyć. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile razy, zasypiając, popłakiwałam w poduszkę.

A potem poznałaś Audrey, cisnęło się na usta Marcy, lecz zamiast tego dopowiedziała:

– I wtedy dostałaś pracę u O’Connorów.

– Tak. I poznałam Audrey – dodała niepytana.

– I Jaksą.

– I Jaksą – przytaknęła. – Ale rzadko się z nimi widuję. Pani O’Connor zawsze ma dla mnie jakieś zajęcie.

– Nie wątpię.

– Nie zrozum mnie źle. To wspaniała kobieta. Traktuje mnie sprawiedliwie i uczciwie płaci.

– Na pewno.

– Mam nadzieję, że nie zrozumiałaś mnie opacznie.

– Absolutnie nie.

– Udało mi się z tą pracą. – Shannon spojrzała na drzwi pubu. – Napiłabyś się jeszcze herbaty? – Pomachała w stronę witryny.

– Dobry pomysł. – Kolejna herbata to szansa na kolejne pytania.

Nagle otwarły się drzwi pubu. Stukot kroków zbliżył się do stolika.

– Możemy prosić o jeszcze jeden dzbanuszek herbaty? – zapytała uprzejmie Shannon.

Marcy podniosła głowę i uśmiechnęła się, spodziewając się ujrzeć Liama, tymczasem zobaczyła Kelly.

– Hej, witam! – rozpromieniła się kelnerka, z miejsca ją rozpoznając. – Widzę, że odnalazłaś Shannon.

– Co? – Twarz Shannon w jednej chwili zrobiła się blada jak ściana.

– Zaraz przyniosę herbatę – powiedziała Kelly, zakręciła się na pięcie i znikła w drzwiach pubu.

Shannon poderwała się z krzesła, a intensywny rumieniec wrócił jej na policzki i rozlał się na szyję i dekolt.

– Co ona miała na myśli, mówiąc, że odnalazłaś Shannon? Wypytywałaś o mnie?

– Nie, oczywiście, że nie. Musiała mnie wziąć za kogoś innego.

– A ty bierzesz mnie za idiotkę. Myślisz, że jestem głupia?

– Proszę, usiądź. Wszystko ci wytłumaczę.

– Zadajesz te wszystkie pytania o mnie i o moich znajomych! To pani O'Connor cię nasłała? – jęknęła Shannon ze łzami w oczach.

– Co?

– To ona cię przysłała. Żebyś mnie sprawdziła. Dowiedziała się, jakich mam znajomych, z kim się widuję i co robię. Powtórzysz jej wszystko, co o niej mówiłam...

– Nie mówiłaś nic...

– I stracę robotę...

– Nie zamierzam niczego mówić pani O'Connor.

– W takim razie o co ci chodzi? Kim ty jesteś?

Marcy zauważyła, że hałaśliwe zachowanie Shannon zaczyna przyciągać uwagę niektórych gości, celowo więc mówiła półgłosem, licząc, że dziewczyna również zniży głos.

– Mam na imię Marcy...

– Nie Marylin?! – naskoczyła na nią Shannon, jakby podanie fałszywego imienia stanowiło jej najcięższą przewinę. – Oddaj mi dziecko! – zażądała nieco histerycznym tonem. – Natychmiast mi je oddaj!

Tęgi mężczyzna w średnim wieku podniósł się od pobliskiego stolika.

– Jakież problemy?

– Ona nie chce mi oddać dziecka!

Caitlin, jak na zawołanie, otworzyła oczy i zaczęła kwilić. Kwilenie zmieniło się w płacz, a płacz przeszedł w rozpaczliwe zawodzenie.

– Niech pani odda dziecko tej dziewczynie! – polecił mężczyzna, tymczasem inni goście już zaczęli podnosić się z krzesel.

– Naturalnie, że oddam dziecko – obruszyła się Marcy. – Na litość boską, przecież nie zamierzam porwać niemowlęcia!

Shannon doskoczyła do Marcy z Caitlin płaczącą wniebogłosem na jej rękach, a tłum gości otoczył je ciasnym wianuszkim. Pomiedzy dwoma niedoszłymi sir Galahadami<sup>[5]</sup> wywiązała się szarpanina. Pięści poszły w ruch. Źle obliczony cios trafił Marcy w policzek.

W jednej chwili zapanował ogólny zamęt.

---

<sup>5</sup> Jeden z rycerzy Okrągłego Stołu.

– Zechce nam pani powiedzieć, co się właściwie stało? – dopytywał się policjant.

– Już mówiłam.

– Proszę jeszcze raz opowiedzieć.

Marcy spuściła głowę. Lewa połowa twarzy nadal pulsowała, kiedy wbiła wzrok w szarą cementową posadzkę. Czy naprawdę musiała jeszcze raz opowiadać tę smutną historię? Co więcej zostało do powiedzenia? Że doszło do potwornego nieporozumienia? Że jest jej przykro? Że marnują cenny czas? Niewątpliwie Shannon zdążyła już skontaktować się z Audrey i powiedzieć jej, że jakaś szalona kobieta imieniem Marcy dopytywała się o nią, a teraz siedzi w komisariacie przy South Mall?

– Nie próbowałam porwać tego dziecka – oznajmiła jedynie, pewna, że dokładnie w tej chwili Devon pakuje walizki, gotowa wyjechać z miasta. Objęła spojrzeniem dwóch mężczyzn i kobietę ubranych w starannie wyprasowane, ciemnoniebieskie mundury i szybko odwróciła głowę. Nienawidziła mundurów.

– Tyle wiemy – potwierdził po chwili starszy z policjantów. Nazywał się Christopher Murphy, miał około czterdziestu lat, jasne włosy obcięte na jeża i szeroki nos, który zapewne przynajmniej raz złamany, musiał zostać źle poskładany i dlatego wyraźnie uciekał na prawo. Murphy siedział na krawędzi dużego dębowego biurka, które zajmowało większą część pomieszczenia, i uśmiechał się do niej zachęcająco.

*Powinien dokładniej myć zęby* – zabrzmiał w jej w uszach głos Petera.

– Tyle wiecie? – Marcy powtórzyła za Murphym.

– Ta dziewczyna, Shannon Farrell, składając zeznanie, oświadczyła, że pragnie jak najszybciej zapomnieć o całym incydencie.

– W takim razie co ja tu jeszcze robię? – Marcy zaczęła podnosić się z krzesła. – Gdybyście łaskawie oddali mój paszport... – Skinieniem głowy wskazała stertę papierów na biurku. Otwarty paszport leżał na samej górze.

– Proszę usiąść, pani Taggart.

Marcy obiegła wzrokiem pozbawione okiem pomieszczenie. Uderzyło ją, jak bardzo wydaje się jej znajome. Dlaczego w każdym miejscu na świecie komisariaty wyglądają tak samo? Czy wszędzie korzystają z usług tego samego dekoratora wnętrz? A może istnieje specjalny podręcznik, który władze więzienne wręczają potencjalnym projektantom? Oczywiście wnętrza komisariatów znała z filmów w telewizji.

Oprócz jednego, pomyślała i przebiegł ją dreszcz, czym prędzej więc odsunęła od siebie to wspomnienie, zanim na dobre zagnieździło się w głowie.

Niemniej po takim kraju jak Irlandia, z jej przywiązaniem do historii i naturalnymi skłonnościami do melodramatyzowania, spodziewała się czegoś bardziej barwnego. Zabytkowe więzienie Cork City Gaol, które zwiedzała podczas wycieczki, było odpowiednio majestatyczną dwupiętrową budowlą bardziej podobną z wyglądu do zamku. W celach na ścianach nadal znajdowały się oryginalne napisy, chociaż obecnie osadzeni tam więźniowie byli odlani z wosku. Dla kontrastu współczesna komenda policji, Bridewell Garda Station, mieściła się w stosunkowo nowoczesnym budynku, usytuowanym przy murach obronnych nad północną odnogą rzeki Lee. Niestety komisariat, w którym ją przetrzymywano, stanowił nieciekawe połączenie architektury pseudozabytkowej z nowoczesną, gdzie części starej brakowało monumentalności, a nowoczesnej – lekkości. W rezultacie przez to pomieszczenie kontrastujących trendów budynek był całkowicie pozbawiony stylu. Sprawiał przygnębiające wrażenie i pachniał ludzkimi wyziewami oraz rozczarowaniem.

– Nie rozumiem. Skoro macie już zeznanie Shannon... – Marcy zwróciła się do funkcjonariusza, czy też *gardy*, bo tak w Irlandii nazywano policjantów. Przeniósła spojrzenie na policjantkę, stojącą pod ścianą w mdłozielonym kolorze. Nazywała się Colleen Donnelly – same „l”, „n” i „e”, przeszło przez myśl Marcy, kiedy policjantka się przedstawiła. Oceeniła ją na jakieś dwadzieścia pięć lat. Kobieta miała zaskakująco delikatny wygląd, bladą cerę upstrzoną piegami i komplet drobnych, spiczasto zakończonych zębów.

*Kilka dobrych licówek działałoby tu cuda* – odezwał się Peter, patrząc oczami Marcy.

Ostatni *garda* przedstawił się jako John Sweeny. Marcy zauważyła, że koledzy mówili na niego Johnny. Miał około trzydziestu lat, był niewysokiego wzrostu i średniej budowy ciała, a znad paska wystawał mu zdumiewająco duży brzuch, jak na kogoś w tak młodym wieku. Jego rumiana cera dominowała nad niezbyt



wyrazistymi rysami, a zęby pozostawiały wiele do życzenia, co z kolei wyzwoliło wiele nieproszonych komentarzy w zakamarkach umysłu Marcy.

Tak jak większość policjantów w Irlandii cała trójka także nie była uzbrojona i dlatego Marcy przez jeden szalony moment rozważała ucieczkę.

– Nadal możemy panią oskarżyć o zakłócenie spokoju – oznajmił Christopher Murphy.

– O zakłócenie spokoju? Chyba pan żartuje.

– Przewrócony stół, stłuczony dzbanek, pobite talerze.

– To ja mam podbite oko.

– Godny ubolewania wypadek.

– No właśnie.

– Pani Taggart, jak niemowlę znalazło się u pani na rękach? – zapytał Murphy.

– Już panu mówiłam...

– Shannon poprosiła, żeby je pani pottrzymała – odpowiedział za nią, zaglądając do notatek.

– Tak. Dziecko miało kolkę. Z jakiegoś powodu przestaje płakać, gdy biorę je na ręce.

– Skąd pani zna Shannon Farrell? – spytała Colleen Donnelly.

– Poznałam ją na skwerze parę dni temu. Przypadkiem wpadłyśmy na siebie na St. Patrick's Street. Zapytała mnie, czy nie poszłabym z nią na herbatę. Jak idiotka zgodziłam się.

– Jak idiotka? – podchwycił Murphy.

– W świetle tego, co zaszło, tak.

– Co pani robi w Irlandii? – zainteresował się John Sweeny.

– Słucham?

– Co sprowadziło panią do Irlandii? – ponowił pytanie, jakby byli dwojgiem ludzi prowadzących niewinną, towarzyską rozmowę.

– Czy to istotne?

– Proszę zaspokoić moją ciekawość.

– To długa historia.

– Mamy mnóstwo czasu.

– Spędzam tu wakacje. – Marcy westchnęła zrezygnowana.

– Samotnie?

– Tak, samotnie. Czy to jakieś przestępstwo? – Zauważyła spojrzenie, które policjanci wymienili między sobą. To spojrzenie ostrzegło ją, że powinna uważać

na ton. – Przepraszam, ale nie rozumiem, jaki sens mają te pytania.

– Mąż pani nie towarzyszy? – odezwał się starszy *garda*. W jego ustach zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Nie.

– Mogę zapytać dlaczego?

– Nie, nie może pan.

Kolejna wymiana spojrzeń.

– Jesteśmy w trakcie rozwodu – zdecydowała się w końcu wyjaśnić, czując, że ta informacja jeszcze bardziej ją pomniejszy w ich oczach. Teraz, oprócz obcokrajowca sprawiającego kłopoty, widzieli w niej żalostną kobietę, która niewątpliwie przez swe niezrównoważone zachowanie straciła miłość statecznego ortodonta. Nagle zakręciły jej się w oczach łzy i podniosła rękę do twarzy, jakby w ten sposób chciała je powstrzymać.

– Policzek nadal boli? – zainteresowała się Donnelly. – Przynieść jeszcze lodu?

– Nie, dziękuję, już jest lepiej. – Policzek bolał jak diabli i wcale nie było lepiej, ale niech tam. Później się zajmie podbitym okiem. Dość czasu już zmarnowała. Chciała jedynie jak najszybciej stąd wyjść.

– Jak widzę, jest pani Kanadyjką.

– Tak.

– Toronto to piękne miasto.

– To prawda.

– Kiedy pani planuje powrót?

Marcy o mało nie parsknęła śmiechem. Jak zdążyła odkryć, Irlandczycy mieli wiele zalet, lecz delikatność do nich nie należała.

– Mam zarezerwowany lot na koniec przyszłego tygodnia.

Policjanci po raz kolejny wymienili spojrzenia.

– To wszystko? Skończyliśmy? Mogę już iść?

– Kim jest Audrey? – zwrócił się do niej Murphy, jakby w ogóle jej nie słuchał.

– Co?

– Według słów Shannon Farrell wydaje się pani ogromnie interesować jej koleżanką o imieniu Audrey.

Marcy wzruszyła ramionami, uniosła do góry otwarte dłonie i opuściła je z powrotem na kolana.

– Shannon o niej wspomniała. Po prostu rozmawialiśmy.

– Podobno zadawała pani mnóstwo pytań o Audrey i młodego człowieka

imieniem Jackson. – Spojrzał w notatki. – Jax – przeczytał, kładąc akcent na „x”.

– Wymawia pan jego imię, jakby pan go znał – zauważyła Marcy z nadzieją, starając się nadać głosowi neutralne brzmienie. Przecież Shannon wspominała, że ten Jax ma co nieco za uszami. Czy możliwe, aby miał kłopoty z prawem i że ci policjanci go znali?

– Nie powiem, abym go kojarzył – odpowiedział na jej bezgłośnie pytania Christopher Murphy. – A ty, Johnny? Znasz jakiegoś Jakska?

Młodszy *garda* przecząco potrząsnął głową.

– Moja kuzynka dała dziecku na imię Jax – wtrąciła Donnelly.

– Jak już mówiłam – odezwała się Marcy – rozmawiałam z nią, bo tego wymaga uprzejmość.

– To oznaka uprzejmości? – Murphy machnął dłonią w kierunku jej policzka.

– Wie pan co? To nie moja wina. Ja tu jestem ofiarą. To mnie zaatakowano.

– Jeśli pani chce, może pani wnieść oskarżenie.

– Nie chcę wnosić oskarżenia. Już to mówiłam. Chcę stąd wyjść.

– Pani Taggart, w takim razie proszę nam powiedzieć, o co naprawdę w tym wszystkim chodzi – odezwała się Colleen Donnelly. – Być może będziemy w stanie pani pomóc.

Marcy powiodła oczami po twarzach trzech funkcjonariuszy i zobaczyła, że każdy z nich patrzy na nią z różną dozą współczucia oraz zaciekawienia. Czy oni mogą jej pomóc, zastanawiała się. Czy może im zaufać?

– Audrey jest moją córką – oznajmiła po przedłużającym się milczeniu, uznając, że nie ma wyboru i musi powiedzieć im prawdę.

– Pani córką – powtórzyli niemal chórem.

– Zaginęła niecałe dwa lata temu.

Czekali na dalszy ciąg. Christopher Murphy uniósł jedną cienką brew i ściągnął usta, jakby zamierzał zagwizdać.

Ile może im powiedzieć?

– Myśleliśmy z mężem, że ona nie żyje.

– Dlaczego tak myśleliście? – wtrącił John Sweeny.

– Bo ona chciała, żebyśmy tak myśleli. Ponieważ się pogubiła i wpadła w depresję – odpowiedziała na ich następne pytanie, zanim zdążyli je zadać. Opowiedziała im o wyjeździe Devon do domku letniskowego i późniejszym odnalezieniu wywróconego kajaka na środku zatoki. O rozpadzie swego małżeństwa i odejściu męża. O przyjeździe do Irlandii i o tym, że zobaczyła, jak

Devon przechodzi przed oknem pubu Grogan's House. Później pokazała zdjęcie córki Liamowi i Kelly, a oni rozpoznali w niej Audrey, znajomą dziewczynę o imieniu Shannon, która pracuje jako opiekunka dziecka u zamożnej rodziny.

– Czy ja dobrze rozumiem? – odezwał się Murphy, kiedy skończyła. – Chce pani powiedzieć, że zaczęła się pod domem O'Connorów i poszła za Shannon na skwer...

– Nie poszłam za nią. Ja tam byłam przed nią...

– Jednak wcześniej, przed spotkaniem na skwerze, śledziła ją pani?

– Miałam nadzieję, że doprowadzi mnie do córki.

– Dlaczego pani wprost nie zapytała Shannon, gdzie ją można znaleźć? – padło następne logiczne pytanie.

Ileż to razy zadawała sobie to samo pytanie?

– Bo się bałam, że kiedy Devon się dowie, że tu jestem i że ją widziałam, znowu gdzieś zniknie. Nie mogłam ryzykować.

– Kim jest Devon? – zapytał Johnny, ścigając nieregularne brwi.

– Moją córką.

– Przepraszam, zdawało mi się, że pani mówiła, iż córka ma na imię Audrey.

– Posługuje się tym imieniem.

– Dlaczego miałyby używać pseudonimu?

– Najwyraźniej nie chce, żeby ją odnaleziono – wyjaśniła z irytacją.

– Pani sądzi, że nie ucieszyłaby się na pani widok? – zapytała Colleen.

– Nie.

– A dlaczego, pani Taggart?

– Ponieważ wynikły pewne problemy...

– Jakiego rodzaju?

– To skomplikowane. Nasze stosunki były...

– ...skomplikowane – podsunął Johnny.

– Właśnie. Devon przechodziła trudny okres. Obwiniła mnie o wiele spraw...

– A mianowicie?

– Wolalabym to zostawić dla siebie.

– Chyba powinniśmy poznać wszystkie fakty, jeżeli pani chce, żebyśmy pomogli?

– Ja nie proszę was o pomoc – odparła Marcy.

– Czemu nie?

– Słucham?

Christopher Murphy postanowił zaznaczyć swoją pozycję lidera:

– Wspomniała pani o zdjęciach córki. Mogę je zobaczyć?

Marcy sięgnęła do torebki po zdjęcia Devon i położyła je na jego wyciągniętej dłoni. Dwójka policjantów natychmiast skupiła się wokół niego i wymieniała się zdjęciami na wysokości jego pasa.

– Ładna dziewczyna – zauważył Johnny.

– Nie powiem, abym ją kojarzyła – stwierdziła Colleen.

– Nie. Nie znam jej – zgodził się z nią Murphy. – Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani od razu do nas nie przyszła po tym, jak ją zobaczyła?

Marcy popatrzyła na niego beznamiętnym wzrokiem. Kolejne pytanie, na które nie miała zadowalającej odpowiedzi.

– Wie pani, ja rozumiem, że mogła pani nie mieć ochoty na konfrontację z Shannon – tłumaczył łagodnie – lecz, być może, my bylibyśmy w stanie pomóc w odnalezieniu Audrey.

– W jaki sposób moglibyście mi pomóc?

– Hmm, na tym polega nasza praca, pani Taggart. Pomagamy ludziom. A przynajmniej próbujemy pomagać. Moglibyśmy rozesłać te zdjęcia do innych komisariatów, oficjalnie porozmawiać z Shannon, popytać tu i ówdzie, sprawdzić tę Audrey, upewnić się, czy to rzeczywiście jest pani córka.

– Co pan sugeruje? Mam rozumieć, że pan mi nie wierzy?

– Niczego nie sugeruję. Jak rozumiem, widziała ją pani przez ułamek sekundy przez szybę w oknie Grogan's House – przypomniał Marcy starszy rangą *garda*. – O ile się nie mylę, witryna jest oblepiona reklamami.

– Wiem, kogo widziałam.

– O kim pani myśli, że go widziała.

– Teraz pan mówi jak mój mąż – odparowała Marcy z drwiącym uśmiechem i natychmiast pożałowała tych słów.

– Mąż uważa, że pani mogła się mylić?

– Przestało mnie obchodzić, co uważa mój mąż.

– Rozmawiała pani z nim o tym?

– Tak. Prawdę mówiąc, rozmawiałam.

– I co?

Marcy walczyła z narastającym zniechęceniem.

– On woli wierzyć, że córka nie żyje.

– Dlaczego jakikolwiek ojciec chciałby wierzyć w śmierć dziecka?

– Bo czasami tak jest łatwiej. A Peter należy do ludzi, którzy zawsze wolą łatwiejsze wybory.

– Zawsze? – podchwycił Christopher Murphy, ściągając brwi do grzbietu nosa. – Chce pani powiedzieć, że wcześniej też tak bywało?

– Nie, nic takiego nie chcę powiedzieć.

– Pani Taggart, czy coś takiego już wcześniej miało miejsce?

– „Co” miało miejsce? – postawiła się. – Proszę posłuchać – zmieniła temat, zanim zdążył jej odpowiedzieć. – Mam tego dość. Doceniam pańską chęć udzielenia mi pomocy, ale naprawdę jej nie potrzebuję. Oddajcie mój paszport i natychmiast będziecie mnie mieli z głowy. – Odruchowo podniosła rękę do głowy, zanurzając palce w masie splecionych loków. Muszę wyglądać jak wariatka, pomyślała. Nic dziwnego, że uważają mnie za pomyloną.

– Pani Taggart, nie pierwszy raz zdarzyło się pani widzieć córkę, prawda? – drażył dalej Murphy.

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. – Ile razy to powtarzała? A może to już nic nie znaczy.

– Pani Taggart, czy coś takiego już wcześniej się zdarzało? – powtórzył po raz czwarty.

Jeśli jeszcze raz mnie zapyta, pomyślała, przyłożę mu pięścią prosto w twarz. Przymknęła oczy i skinęła głową.

– Tak, zdarzało się. – Podniosła powieki akurat w chwili, gdy trójka policjantów wymieniała porozumiewawcze spojrzenie. Wydaje się wam, że jesteście tacy mądrzy, zaatakowała ich w myślach. Guzik wiecie.

– Możliwe więc, że i tym razem się pani pomyliła?

– Nie, niemoż... Tak, myślę, że mogło tak być – szybko zmieniła zdanie, uznając, że równie dobrze może im mówić to, co chcą słyszeć. Była głupia, sądząc, że może im zaufać albo liczyć na ich pomoc. Łzy zakreśliły się jej w oczach i popłynęły po policzkach. Zapięły w miejscu, gdzie miała otartą skórę, strząsnęła je więc wierzchem dłoni. – To wszystko?

– Tak – odparł Murphy z westchnieniem. – Chyba tak.

– Dobrze. Mogę już iść?

– Naturalnie. – Sięgnął do sterty papierów po paszport i podał go jej wraz ze zdjęciami Devon.

Marcy schowała wszystko do torebki i podniosła się z krzesła.

– Dziękuję.

– Czy mamy zadzwonić do kogoś, kto mógłby po panią przyjechać? – zapytała łagodnie Colleen.

Marcy przyszedł na myśl Liam. Przydałby się widok czyjejś przyjaznej twarzy.

– Nie – pokręciła głową. – Nie ma nikogo takiego.

– Zdaje się, ktoś czeka na panią w korytarzu – odezwał się Christopher Murphy i sięgnął po słuchawkę staromodnego, czarnego telefonu z tarczą. – Sarah, czy ten pan nadal czeka na panią Taggart? – zapytał. – Tak? Proszę przekazać, że ona już wychodzi.

Marcy usiłowała przygładzić włosy, kiedy John Sweeny otwierał drzwi na korytarz. Boże, dzięki Ci za Liama, westchnęła w duchu, mając nadzieję, że nie będzie miał kłopotów za urwanie się z pracy ani z powodu szkód, do których się przyczyniła. A przede wszystkim miała nadzieję, że nie wygląda aż tak fatalnie.

Wyszła na wąski korytarz i rozejrzała się za Liamem.

Najpierw zobaczyła niebieskie oczy, a reszta stopniowo wyłoniła się z mroku, gdy podniósł się z jednego ze składanych krzeseł stojących pod ścianą.

– Marcy! – zawołał Vic Sorvino, podbiegając do niej. – Mój Boże, jak ty wyglądasz!

– Co się stało? – dopytywał się, ogarniając spojrzeniem zasinione oko, otarty policzek i podeptane buty. – Dobrze się czujesz? – zapytał, zatrzymując wzrok na jej twarzy.

– Vic! Co ty tu robisz?

– Znikłaś bez pożegnania. – Uśmiechnął się zażenowany.

– Co? – Czy on jest poważny? Co on mówi?

– Martwiłem się o ciebie. Odeszłaś w taki sposób... – Zamilkł i wziął głęboki oddech. – Nie mogłem przestać o tobie myśleć.

– Jak mnie znalazłeś?

– Powiedzieli mi, że wmieszałaś się w awanturę...

– Kto ci powiedział? Nic nie rozumiem. Co tu robisz? – powtórzyła.

– Zajrzałem do Grogan's House. Kelnerka powiedziała mi, co się sta... – Obejrzał się. Sweeny i Donnelly stali w otwartych drzwiach i przysłuchiwali się ich rozmowie. – Wiesz co, poszukajmy jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy zostać sami.

Marcy nie była pewna, czy to dobry pomysł, biorąc pod uwagę, co się wydarzyło, kiedy ostatnim razem byli sami, lecz pozwoliła mu wziąć się pod łokieć i wyprowadzić z komisariatu na ruchliwą South Mall.

– Proszę na siebie uważać! – zawołała za nią Colleen Donnelly.

– Czy oni użyli przemocy? – spytał. – Jeżeli podnieśli na ciebie rękę, pójdziemy z tym do ambasady amerykańskiej...

– Jestem Kanadyjką – przypomniała mu. – Nie, policjanci bardzo grzecznie się zachowywali. Nic nie rozumiem. Co ty tu robisz? – zapytała po raz trzeci, zatrzymując się na środku zatłoczonej ulicy. – Nie powinieneś być teraz we Włoszech?

– Uznałem, że Włochy mogą poczekać kilka dni.

– Ale dlaczego?

Rumieniec zakłopotania, widoczny mimo zmroku, wypłynął mu na policzki.



– To chyba oczywiste.

Co on mówi?

– Nigdy nie radziłam sobie zbyt dobrze z tym, co oczywiste – wyznała, gdy stali w strumieniu obchodzących ich przechodniów. – Obawiam się, że będziesz musiał mi to wyłożyć.

Vic rozejrzał się na boki.

– Posłuchaj, może byśmy skoczyli na piwo albo coś przekąsili? Jest prawie szósta.

Jak na zawołanie karylion kościoła Świętej Anny zaczął wydzwaniać godzinę.

– Jestem potwornie zmęczona. To był długi dzień.

– Gdzie się zatrzymałaś?

Czy powinnam mu powiedzieć? – zastanawiała się. Vic Sorvino jest troskliwym, porządnym człowiekiem i okazał jej tyle serca. Czemu się waha? Usiłowała odsunąć wspomnienie czułego dotyku rąk pieszczących jej ciało. Tak, było im z sobą dobrze. Może nawet świetnie. Ale to była tylko przelotna przygoda, nic więcej. Czemu nie zostawi jej w spokoju?

– W małym pensjonacie na Western Road – powiedziała.

– W takim razie prowadź.

Miała piętnaście lat. Tamtego dnia weszła do sypialni rodziców i natrafiła na znajomy obrazek; matka stała naga na środku pokoju, na łóżku piętrzyła się zawartość szaf, otwarte szuflady komody były puste, a na dywanie, rozwłóczony niczym śmieci, leżały dziesiątki delikatnych koronkowych staników i majtek. Z nadgarstków wyciągniętych rąk matki zwisała biżuteria. Oczy miała opuchnięte i czerwone od płaczu.

– *Co ty robisz?* – spytała Marcy, chociaż na tyle dobrze znała odpowiedź, że mogłyby wypowiedzieć ją chórem.

– *Nie mam co na siebie włożyć.*

Marcy wzruszyła ramionami i odwróciła się do drzwi. Znowu się zaczyna, pomyślała, czując serię nerwowych skurczów w żołądku. Po co weszła na górę? Mogła spokojnie zjeść śniadanie i pójść do szkoły, wykrzykując grzecznościowe „pa!” w stronę schodów, tak jak każdego ranka robi to Judith. Ona nigdy nie znajdzie się w takiej sytuacji. Nie musi z drzwi sypialni rodziców patrzeć na nagą matkę z dziesiątkami sznurów koralu zwisających z nadgarstków jak anielskie

włosy z wyschniętej choinki.

Od ostatniego razu minął prawie rok, rok, w którym matka sumiennie przestrzegała zaleceń lekarza i brała lekarstwa, rok bez poważniejszych incydentów, rok względnego spokoju. Rok, który uspił czujność Marcy i dał jej fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Rok, kiedy wmawiała sobie, że są normalną rodziną, że mogą być szczęśliwi, a ona nareszcie może się odprężyć.

Wszystko poszło w diabły, zrozumiała to teraz, gdy zobaczyła matkę stojącą nago na środku pokoju – wystarczył moment nieuwagi.

– *Kochanie, może byś mi pomogła* – odezwała się matka i kilka długich sznurów koralu zsunęło jej się z nadgarstka, kiedy chciała przywołać Marcy skinieniem ręki. Potoczyły się po dywanie i zatrzymały u stóp córki, zwijając się jak wielobarwne węże.

Jadowite węże, pomyślała, odsuwając się o krok.

– *Spóźnię się do szkoły.*

– *To zajmie ci tylko minutę.*

– *Powinnaś się ubrać.* – Marcy patrzyła ponad jej głową na pomarańczowo-czarną litografię na przeciwległej ścianie. Widok nagiej matki ją krępował; jej kiedyś szczupłe ciało stało się obwisłe i poznaczone nieestetycznymi żyłkami. – *Przeziębisz się i złapiesz grypę*

Matka zaśmiała się, a jednocześnie popłynęły jej z oczu łzy.

– *Głuptasku, nie łapie się grypy od chodzenia nago. Przenoszą ją wirusy. Wszyscy to wiedzą.*

– *Muszę już iść.*

– *Nie. Proszę, nie odchodź.*

– *Wezwę tatę.*

– *Nie. Nie możesz tego zrobić. Dziś cały dzień siedzi w sądzie. Ma bardzo ważną rozprawę. Nie wolno mu przeszkadzać.*

– *W takim razie ściągnę lekarza.*

– *Jest na urlopie.* – Nutka triumfu zakradła się do głosu matki, jakby planowała to wszystko od dłuższego czasu.

Marcy przeszła przez sypialnię do przyległej łazienki, otworzyła szafkę nad umywalką i zaczęła przestawiać kremy i różne kosmetyki w poszukiwaniu lekarstw.

– *Mamo, gdzie są twoje tabletki?*

– *Wyparowały.*

– Co znaczy „wyparowały”?

– Wyrzuciłam je do muszli. – Znowu ten denerwujący triumfalny ton.

– Proszę, powiedz, że żartujesz. – Marcy uniosła klapę i zajrzała do pustej muszli.

To ze mnie zażartowano, pomyślała.

– Przestałam je brać wiele tygodni temu. Już ich nie potrzebuję. Szkodzą mi.

– One ci pomagały.

– To już wolę być chora – stwierdziła matka z uporem.

– Muszę iść. – Marcy energicznym krokiem wyszła z łazienki, kierując się do drzwi. – Spóźnię się do szkoły.

Matka przytrzymała ją za ramię. Kolejny sznur koralik zjechał z nadgarstka i spadł na podłogę. Żyłka pękła i delikatne pomarańczowe koraliki poturlały się we wszystkie strony.

– Skarbie, dlaczego ty się nie malujesz? Odrobina różu czy tuszu do rzęs działałaby cuda. Odwróciłyby nieco uwagę od twoich włosów.

Marcy w odpowiedzi ściągnęła z łóżka bezkształtne szare spodnie od dresu i przytknęła je matce do piersi.

– Mamo, ubierz się!

– Pobędziesz ze mną trochę?

– Nie mogę. Później się zobaczymy.

– Tyle jest okrucieństwa na tym świecie – ubolewała matka, po raz kolejny zalewając się łzami. – Te wszystkie biedne, maltretowane dzieci i zwierzęta, ludzie umierający z głodu. – Osunęła się na podłogę. – Czasami ogarnia mnie rozpacz.

Nie mam cierpliwości na twoją rozpacz, pomyślała Marcy.

– Muszę iść. Mam sprawdzian z francuskiego z pierwszego semestru.

– W takim razie biegnij – odparła, momentalnie przeskakując myślami na inne tory, i ponaglająco pomachała obiema rękami, przy czym pozostałe sznury koralik stoczyły się na dywan.

Marcy odwróciła się i szybko wyszła z sypialni.

– Powodzenia na teście! – Usłyszała jeszcze.

– I zostawiłaś ją w takim stanie?! – naskoczyła na nią Judith, kiedy jakiś czas później mijala się z siostrą na szkolnym korytarzu.

– A co miałam zrobić? Nie widziałam, żebyś się pchała z pomocą.

– Obojętnie co. Zadzwoń do taty?

– Jest w sądzie. Zostawiłam mu wiadomość.

– Jakoś to będzie – stwierdziła Judith. – Zawsze jakoś jest.

– No – przytaknęła Marcy, planując zajrzeć do domu w przerwie na lunch i sprawdzić, co słychać.

Jednak na przerwie zamiast do domu poszła z grupką koleżanek do pobliskiej knajpki. Doświadczenie ostatnich piętnastu lat nauczyło ją, że cokolwiek by zrobiła, i tak niczego nie zmieni. Matka przez następnych parę tygodni będzie coraz częściej wpadać w histerię i mówić bez sensu, aż w końcu zniknie na kilka dni, a nawet tygodni, i będzie mieszkać na ulicy i grzebać w śmietnikach, dopóki ktoś jej nie rozpozna i nie sprowadzi do domu.

A potem cały cykl zacznie się od nowa.

Niestety, nie tym razem.

O drugiej obie z Judith zostały wezwane do gabinetu dyrektora, gdzie czekało już dwóch policjantów w mundurach, aby je poinformować, że matka popełniła samobójstwo, skacząc z dachu dziesięciokondygnacyjnego budynku w pobliżu ruchliwego skrzyżowania Yonge i St. Clair.

– *Nie czuj się winna* – powiedziała Judith, kiedy czekały na ojca, żeby zabrał je ze szkoły do domu.

Marcy pokiwała głową. Nie czuła się winna. Czuła ulgę.

I z tego właśnie powodu od tamtego dnia towarzyszyło jej poczucie winy.

\*

– Marcy?! – zawołał cicho Vic z łóżka. – Co robisz?

Dobre pytanie, pomyślała, odwracając się od okna, przez które wpatrywała się w zaciągnięte zasłony okna na piętrze pensjonatu vis-à-vis, starając się ogarnąć rozumem to wszystko, co się działo podczas ostatnich dwudziestu czterech godzin. Do diabła! Właściwie dlaczego ma poprzestać na dobie? – zachnęła się. A co z ostatnimi dwudziestoma czterema latami? A z całą pięćdziesiątką? Kiedy w jej życiu można było doszukać się jakiegokolwiek sensu?

– Która godzina? – zapytała, owijając się szczelniej różowym szlafrokiem. Co Vic Sorvino robi w jej łóżku? Cholera, jak mogła do tego dopuścić? Ponownie. Co ona wyprawia? Owszem, Vic jest przystojny i niewątpliwie dzięki niemu poczuła się pożądana i atrakcyjna, a nawet piękna. Ale, na miłość boską, nie jest już nastolatką, którą łatwo zaciągnąć do łóżka za pomocą kilku sprytnie wybranych słów. Czy ona już całkiem straciła samokontrolę?

Vic sięgnął po zegarek z malutkiej nocnej szafki przy łóżku.

– Minęła dziewiąta – powiedział i odłożył zegarek, siadając na łóżku.

Prześcieradło zsunęło się z jego nagiego torsu. – Zgłodniałaś?

Marcy przecząco potrząsnęła głową.

– A ty?

– Nie bardzo. Jak policzek?

– Już dobrze.

– Może warto byłoby przyłożyć lód na oko?

– Nie. Podobno tej jesieni stylizacja na szopa pracza jest trendy.

Zaśmiał się i poklepał wolne miejsce obok siebie.

– Wracaj do łóżka.

– Nie sądzę, aby to był dobry pomysł.

– Czemu nie?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – W ogóle nic już nie wiem.

Jak do tego doszło?! – miała ochotę wykrzyknąć. Jakim cudem znalazłeś się w moim łóżku?!

Naturalnie знаła odpowiedź. Sama to zainicjowała. Gdy tylko pokonali schody, łapczywie sięgnęła do jego ust. To ona zdierała z niego koszulę, zanim zdążyła porządnie zamknąć drzwi.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Nic się z tobą nie dzieje – odparł.

– Rany boskie, przecież ja się praktycznie na ciebie rzuciłam!

– Nie pamiętam, abym protestował.

– Normalnie tak się nie zachowuję. – Zaśmiała się. – Z wyjątkiem ostatniego razu, kiedy byliśmy z sobą.

– I ty mnie pytasz, co ja tu robię? – podchwycił z sardonycznym uśmiechem.

– Vic, co tu robisz?

Nagle atmosfera zrobiła się poważna.

– Już ci mówiłem. Niepokoiłem się o ciebie.

– Nie musisz się o mnie martwić.

– Nic na to nie mogę poradzić. Chyba się do ciebie przywiązałem.

– To raczej nie najlepszy pomysł.

– Wręcz przeciwnie. To najlepszy pomysł, na jaki wpadłem od lat.

– A to czemu?

– „Czemu”? – powtórzył, kręcąc głową. – Nie jestem pewien, czy potrafię

odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem. Może wyczuwam w tobie pokrewną duszę.

– A może po prostu jest ci mnie żal.

– Budzisz we mnie wiele uczuć – odparł prędko. – Lecz żal na pewno do nich nie należy.

Marcy uśmiechnęła się wbrew chęci.

– Chodź do łóżka – ponowił zaproszenie.

Ach, co tam, pomyślała. Dlaczego nie? I tak nie ma nic lepszego do roboty. Było już po dziewiątej, na dworze panowały ciemności, wszystko ją bolało, miała podbite oko i otarty policzek, a szanse, że wychodząc na miasto dziś wieczorem, odnalazłaby Devon, niemal równały się zeru. Wyciągnęła się na łóżku, a Vic natychmiast objął ją ramionami i ich ciała przyłgnęły do siebie, idealnie dopasowane.

– Jeżeli chcesz, możemy wyjść. Zrobić rundkę po pubach – zaproponował, jakby czytając w jej myślach. – Może gdzieś się na nią natkniemy.

Marcy pokręciła głową, czując na karku ciepły oddech Vica.

– Nie, nie zobaczymy jej.

– A może.

– Nie. Ona wie, że tu jestem. Nie chce, abym ją odnalazła.

– Nie wiesz tego na pewno.

– Niewiele wiem, lecz to jedno jest pewne.

– Powiedz mi, jakie ona miała kłopoty – poprosił.

– Co?

– W Dublinie powiedziałaś mi, że Devon wpadła w jakieś kłopoty.

– Tak. – Rzeczywiście mu o tym mówiła?

– Z policją?

– Była związana z jakimś mężczyzną, który brał kokainę; oczywiście to była ostatnia rzecz, jakiej Devon potrzebowała. Narkotyki tylko pogłębiały jej depresję.

– Co się stało?

– Któregoś wieczoru poszli na domówkę. Zrobiło się dość głośno. Sąsiad wezwał policję. Znaleźli narkotyki. Wszystkim, łącznie z Devon, postawiono zarzuty. Nasz prawnik umówił się na spotkanie z prokuratorem okręgowym. Liczył, że ze względu na jej stan uda mu się go przekonać, aby wycofano zarzut, o ile ona się zgodzi skorzystać z pomocy terapeuty.

– I?

– W weekend przed wyznaczonym terminem spotkania Devon pojechała do

domku letniskowego. – Głos Marcy uwiązł w gardle. – Nigdy stamtąd nie wróciła.

– Znajdziesz ją, Marcy. Sprowadzisz do domu.

Zapadła długa cisza.

– A jeżeli to nie ona? – przerwała ciszę pytaniem, którego do tej pory nie stawiała nawet w myślach. – Jeżeli Peter, Judith i policjanci mają rację? Widziałam ją tylko przez ułamek sekundy, przez szybę oklejoną reklamami piwa. Może to nie ona. Może nie była nią także tamta dziewczyna na moście. Może rzeczywiście jestem szalona, tak jak wszyscy dokoła myślą.

– Według mnie wcale nie jesteś szalona.

– Ożeniłeś się z pośredniczką w handlu nieruchomościami – przypomniała mu. Vic się roześmiał.

– Mam wrażenie, że czasami popełniamy szaleństwa, bo tak bardzo pragniemy przestać cierpieć.

– Czy tak jest ze mną?

– Nie wiem – odparł. – Ale chciałbym być przy tobie, kiedy ją odnajdziesz.

Marcy położyła się na wznak i odszukała jego oczy.

– Naprawdę jesteś niesamowicie miłym człowiekiem – powiedziała i znowu wyciągnęła do niego ręce.

Obudziło ją bicie dzwonów.

To nie dzwony, zorientowała się, gdy siadając, spojrzała w kierunku torebki leżącej na podłodze przy łóżku. To stamtąd dochodził dźwięk. Dzwoniła komórka.

Ostrożnie, żeby nie budzić śpiącego obok mężczyzny, podniosła torebkę, przeszła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi i przycupnęła na brzegu wanny, czując na skórze chłodny dotyk emalii.

– Halo? – wyszeptała.

– Myślę, że chyba ją odnalazłem – oznajmił Liam bez żadnych wstępów.

– Co? – Czy jej się to śni? – Jak?

– Hmm, jak wiesz, pytałem tu i ówdzie i w końcu coś z tego wyszło. Właśnie odebrałem telefon od znajomego. Mówi, że dziewczyna, która pasuje do rysopisu twojej córki, niedawno wynajęła mieszkanie w pobliżu domu jego byłej żony. Widział ją wczoraj, kiedy pojechał odwiedzić dzieciaki.

– Jest mnóstwo dziewczyn podobnych do mojej córki – powiedziała mu Marcy.

– Ta ma na imię Audrey.

Marcy zakrztusiła się własnym oddechem i szybko zakryła usta, usiłując zapanować nad rosnącym podnieceniem.

– Gdzie ona jest?

– Niedaleko stąd, w małej wiosce Youghal.

– Yawl? – powtórzyła, naśladując jego wymowę.

– Podjadę po ciebie za dwadzieścia minut.



Głos Vica zatrzymał ją w połowie schodów. Zastygła i odwracając głowę, zobaczyła go na podeście w rozchełstany różowym szlafroku niedbale przewiązanym paskiem, spod którego wystawały gołe nogi i bosa stopy. Spał tak smacznie, że nie chciała go zbudzić. Przynajmniej tak to tłumaczyła, ubierając się gorączkowo.

– Marcy, co się dzieje?

– Muszę biec. – Czemu jednak go nie zbudziła? Dlaczego nie powiedziała, dokąd jedzie? Niewątpliwie tyle mu się należało.

– Dokąd? Nie ma nawet wpół do ósmej. – Rozejrzał się, jakby rozważał pogoń za nią w szlafroku i na bosaka.

– Być może znaleźliśmy Devon! – zawołała, pokonując resztę schodów.

– Znaleźliśmy? To znaczy kto?

Czy dlatego nie powiedziała Vicowi, dokąd jedzie? Bo nie chciała, żeby zobaczył Liama? A może, aby Liam nie zobaczył jej z Vikiem?

Niespodziewanie w ciasnym holu pojawiła się Sadie Doyle w jaskrawozielonym fartuchu zakrywającym przód niebieskiej kwiecistej sukienki, z dużą drewnianą łyżką w dłoni.

– Dzień dobry, pani Taggart! Znosi się na ładny dzień. Przyjdzie pani na śniadanie? – Jej spojrzenie powędrowało ku piętru, a na widok półnagiego Vica Sorvina na jej twarzy odmalowało się zdumienie pomieszane z rozbawieniem. – Och, dzień dobry!

– Daj mi minutę, żebym się ubrał! – nalegał Vic, nie zwracając uwagi na wpatrującą się w niego z lubieżnym uśmiechem Sadie. – Pojadę z tobą!

– Nie. Proszę. Nie wiem, czy się zmieścisz.

– Pani rozumie, że za całonocnych gości należy się dodatkowa opłata – Sadie poinformowała Marcy, nie spuszczać oczu z Vica.

– Dobrze. Nie ma problemu. – Marcy już była przy drzwiach.

– Marcy, zaczekaj!

– Nie mogę! – rzuciła. – Później do ciebie zadzwonię. – Otworzyła drzwi

i wybiegła na ulicę.

– Marcy! – usłyszała jeszcze, jak Vic ją woła.

Poranny ruch zdążył już zakorkować jezdnię. Teraz dopiero ją tknęło, że nie ma pojęcia, jakim samochodem jeździ Liam. Wlepiła wzrok w przednie szyby mijających ją aut.

– Liam, gdzie jesteś?! – zawołała, rozglądając się po pełnej ludzi ulicy. Cholera, dokąd ci wszyscy ludzie tak wcześnie idą?!

Sprawdziła godzinę. Od telefonu Liama nie upłynęło nawet dwadzieścia minut. W tym czasie zdążyła wziąć prysznic, umyć zęby, włożyć jeansy i popielaty sweter oraz spiąć nad karkiem nierozczesane włosy. Niesforne pasma wymykały się spod klamry, buntując się przeciwko skrępowaniu. Kilka loków już wyrwało się na wolność, wijąc się we wszystkie strony. Na makijaż zabrakło czasu, więc tylko, wychodząc na palcach z pokoju, pociągnęła usta pomadką.

Jakie to ma znaczenie, mówiła sobie. Odnaleźli Devon. Od spotkania z córką dzieli ją niecała godzina. Znowu ją nurtowało pytanie, czemu nie powiedziała Vicowi o telefonie Liama ani dokąd z nim jedzie. Co ją powstrzymało? Czuli się tak dobrze i bezpiecznie w jego ramionach. Oddychała swobodnie, bez śladu ucisku w piersi po raz pierwszy od miesiący, a może i lat. Zauważyła, że pomimo tego wszystkiego, co przeżyła i czego nauczyło ją doświadczenie, nie czuła się już taka spięta i czujna.

Czy przypadkiem w takich właśnie chwilach nie spada na ludzi nieszczęście?

Może dlatego mu nie powiedziała.

– No, Liam, pospiesz się – wymruczała pod nosem. Liczyła się każda minuta. Od minuty mogło zależeć, czy odnajdzie córkę, czy też ponownie straci ją z oczu. Nie mogą sobie pozwolić na marnowanie czasu.

Może do niego zadzwonić, przeszło jej przez myśl. Zmieniła zamiar, już sięgając po telefon z torebki. Nie, musi się kontrolować. Wyciszyć. Jeżeli coś by się stało, Liam na pewno by zadzwonił.

W miesiącach po domniemanym utonięciu Devon często jej się śniło, że córka dzwoni do niej i chce się umówić – w Starbucks w Spadina Village, w domu towarowym Holt, przed butikiem Carole Tanenbaum z biżuterią vintage, przed wejściem na prom na wyspy Toronto. Do spotkania nie dochodziło, bo zawsze coś stawało na przeszkodzie. Marcy budziła się z takich snów zalana łzami. W końcu Peter przestał ją pytać o sny. A wkrótce potem przestał ją również pocieszać.

Ale próbował, oddała mu teraz sprawiedliwość, wracając przed Doyle Cork Inn.

Przynajmniej przez jakiś czas. Do chwili gdy jej ból stał się dla niego nie do zniesienia. Kiedy rozpacz zdawała się przerastać ich oboje.

Wtedy uciekł.

Tak jak ja teraz, stwierdziła, słysząc za sobą odgłos otwieranych drzwi. Odwróciła się i zobaczyła Vica. W pełni ubrany wyszedł na podest przed pensjonatem i wpatrywał się w nią z niemym pytaniem w niebieskich oczach.

– Marcy – wymówił jej imię. Poczowała, jak coś przyciąga ją do niego.

W tej samej chwili rozległy się niecierpliwe, krótkie sygnały klaksonu i mały czarny samochód zatrzymał się na jej wysokości. Drzwi po stronie pasażera otwały się i wysunęła się z nich ręka, zapraszając ją do środka. Pole widzenia wypełniła przystojna twarz z sennymi zielonymi oczami.

– Wskakuj! – powiedział Liam i ruszył, zanim porządnie się usadowiła, zanim nawet zdążyła zatrzaskać drzwi.

Marcy obejrzała się na Vica. Co on sobie o mnie pomyśli, przemknęło jej przez głowę, lecz szybko stłumiła tę refleksję. Zajmowały ją teraz ważniejsze problemy niż zranione uczucia Vica. Kiedy pogodzi się z córką, będzie mieć mnóstwo czasu na bicie się w piersi.

Myślała o Devon i sylwetka Vica malała i traciła na ostrości z każdą mijaną przecznicą. Znaleźli Devon.

Jak ona zareaguje, stając z matką twarzą w twarz? Rzuci się jej w ramiona czy ucieknie z krzykiem?

– Przepraszam za spóźnienie – tłumaczył się Liam, wyrywając ją z zadumy. – Straszny ruch. O Boże, ale masz śliwę!

Marcy odruchowo podniosła dłoń do twarzy.

– Boli?

– Nie. Już nie. Przykładałam lód. – Zapięła pas i jeszcze raz obejrzała się za siebie. Vica na pewno już nie było na schodkach przed Doyle Cork Inn.

– Mam dla ciebie kawę – oznajmił Liam, podając jej duży papierowy kubek, kiedy w miarę wygodnie się usadowiła. – Podwójna śmietanka, dwie saszetki cukru, tak jak ja lubię. Może być? Nie bardzo wiedziałem, jaką kawę pijesz.

– Brzmi nieźle – powiedziała. Ręka jej się trzęsła, kiedy zdjęła wypukłe wieczko i podniosła kubek z gorącą kawą do ust.

– Denerwujesz się? – spytał Liam.

Skinęła głową.

– Nie denerwuj się. Powinniśmy dojechać do Youghal w pół godziny, o ile uda

nam się w miarę szybko wydostać z miasta. Weź głęboki oddech, odpręż się i napij się kawy.

Zrobiła, jak mówił. Westchnęła głęboko i pociągnęła długi łyk. Cukier natychmiast oblepił jej język.

– Za słodka?

– Może być – skrzywiła się.

– Kiepska z ciebie kłamczucha, nie? – Liam parsknął śmiechem.

– Najwyraźniej – przyznała i aż ją zatrzęsło, a on ponownie się roześmiał.

– Wiesz co, nie musisz mnie okłamywać. I nie musisz pić kawy, jeśli ci nie smakuje. W ogóle nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty.

On jest jeszcze taki młody, westchnęła w duchu.

– Naprawdę nie jest taka zła – pocieszyła go.

– A ty naprawdę nie potrafisz kłamać.

– Niech ci będzie. Prawdopodobnie jest to najgorsza kawa, jaką w życiu piłam. Jak można tyle słodzić? To ulepek.

– Widzisz, tak jest znacznie lepiej, prawda?

– Masz rację. Nie powinno się kłamać. To kosztuje zbyt dużo energii. – Wzięła głęboki oddech i powoli go wypuściła. – Właściwie czemu ludzie kłamią?

– Na pewno masz ochotę na tego rodzaju dyskusję o tak wczesnej porze? – Liam spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem.

– Czemu nie? Z tego co widzę, nigdzie szybko nie dojedziemy. – Spojrzała przez szybę na sznur samochodów przed nimi. Odpręż się, nakazała sobie głosem Liama. Niedługo będą w Youghal. A tam spotka się z Devon. – Myślę, że czasami łatwiej jest skłamać, niż powiedzieć prawdę.

– Powiedzieć czy zaakceptować ją?

Uśmiechnęła się leciutko, przyjmując do wiadomości tę subtelną różnicę.

– Jedno i drugie.

– Czy naprawdę jest tak trudno zaakceptować prawdę?

– Może się tak zdarzyć.

– Według ciebie kłamstwa stanowią coś w rodzaju obrony?

– Czasami.

– Czy to obrona, czy sposób na podtrzymanie iluzji?

– Jedno i drugie – odpowiedziała tak samo jak wcześniej. – Czasem lepiej być okłamywanym.

– Uważasz, że częściej okłamujemy innych ludzi niż samych siebie? – sondował.

– Nie mam pojęcia – pokręciła głową. – Masz rację, jest za wcześnie na tego rodzaju rozmowę.

– Myślę, że skłamałaś w związku z kawą, bo nie chciałaś zranić mych uczuć – zasugerował Liam.

Przytaknęła skinieniem głowy. To prawda. Całe życie miała na względzie uczucia innych ludzi.

– Nie musisz się przejmować.

– Nie?

– Nie. Ja nie mam żadnych uczuć.

Zaśmiała się, nareszcie zaczynało opuszczać ją napięcie. Starła się nie wpatrywać w zarys jego podwiniętych rzęs, a przy okazji zauważyła, że czarny sweter z wycięciem w serek idealnie pasował do czarnej, wzburzonej czupryny. Przypadek czy celowy wybór?

– Nie miałam pojęcia, że jesteś takim badaczem ludzkiej natury.

– Jestem barmanem – odparł. – To jedno i to samo.

Uśmiechnęła się, przy okazji rozciągając poraniony policzek. Skrzywiła się i dotknęła dłonią do twarzy.

– Policzek nadal boli?

– Tylko jak się uśmiecham.

– Cierpisz, kiedy jesteś szczęśliwa – sparafrazował jej odpowiedź.

Tak, pomyślała, lecz przemilczała tę uwagę. Dokładnie tak.

– Przepraszam, że nie przyszedłem wczoraj na posterunek – tłumaczył się Liam.

– Chciałem, ale pan Grogan bardzo się przejął całym zajściem, uznałem więc, że będzie lepiej, jeśli zostanę i pomogę przy sprzątanii. Wiadomość o bójce szybko się rozeszła, co oczywiście przysporzyło nam klientów, no i nie miałem jak się urwać...

– Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień.

– Przyszedłbym, gdybym mógł.

– Uwierz mi, zrobiłeś dla mnie znacznie więcej.

– Udało ci się złapać trochę snu tej nocy?

– Trochę. – Marcy mimo woli poczuła napięcie w podbrzuszu.

– Widzę, że cię znalazł – zauważył Liam, jakby też to poczuł.

– Co? Kto?

– Ten gość, który o ciebie pytał. Vic jakiś tam. Wczoraj znowu zajrzał do pubu i znowu o ciebie wypytywał. Kelly powiedziała mu o awanturze, zanim zdążyłem ją

powstrzymać.

– Tak. Znalazł mnie. – Marcy wykręciła się w fotelu i spojrzała przez tylną szybę na sznur samochodów i taksówek za nimi. Czy Vic jechał w którejś z nich? Czy podążał ich tropem?

– Został na noc, tak?

Zwlekała z odpowiedzią.

– Oczywiście to nie moja sprawa – dodał.

– To nie to, co myślisz – powiedziała.

– Podobno mieliśmy się nie okłamywać. – Figlarny uśmiech wypłynął na usta Liama.

– No dobrze – westchnęła. – To dokładnie to, co myślisz.

– No i dobrze – zaśmiał się.

– Tego nie jestem pewna.

– Czemu? Facet jest przystojny, bogaty i szaleńczo w tobie zakochany.

– Co? Nie. To śmieszne. Ledwo się znamy. Poznaliśmy się w zeszłym tygodniu.

W autokarze!

– No to co, że w autokarze? – podchwycił Liam. – Przeżyłem kiedyś fantastyczną przygodę z kobietą, którą poznałem w autobusie.

– Naprawdę?

Skinął głową.

– No. Siedziałem sobie spokojnie, zajęty własnymi sprawami, a tu wsiada atrakcyjna, starsza ode mnie pani, zajmuje miejsce dokładnie naprzeciw mnie i zaczyna mi się przyglądać. Z początku udawałem, że tego nie widzę. Ale potem pomyślałem, że to niezbyt grzecznie, więc się do niej uśmiechnąłem. No, wiesz, po prostu chciałem być uprzejmy.

– Chyba to sobie wyobrażam – odpowiedziała Marcy, szczęśliwa, że Liam skupił uwagę na sobie.

– Ona też się do mnie uśmiechnęła. I zanim się zorientowałem, usiadła obok mnie. Po chwili zaczęliśmy rozmawiać i żartować, jej ręka znalazła się na moim kolanie, a potem zaprosiła mnie do siebie na poczęstunek, co mi bardzo pasowało, bo przegapiłem swój przystanek i zaczynało mnie ssać w żołądku. Tak to się wszystko zaczęło, a trwało prawie rok.

– Dlaczego się skończyło?

– Jej mąż postawił ultimatum.

– Była mężatką?

– Z sześciorgiem dzieci. Wyglądasz na zszokowaną.

– Jestem zszokowana, bo nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś, kto ma szóstkę dzieci, potrafi znaleźć czas na romans – powiedziała, a w duchu dodała: nie mogę sobie wyobrazić, jak można mieć sześcioro dzieci.

– Ludzie starają się znajdować czas na to, co dla nich ważne. – Skręcili w South Main Street i wlekli się w żółtym tempie przez śródmieście, cały czas jadąc na wschód. – Nigdy nie zdradziłaś męża?

– Nie. Nigdy.

– A on cię zdradzał.

– Tak.

– Głupek z niego, nie?

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Tak czy owak uważam, że to nie jest facet dla ciebie.

– Najwyraźniej on też tak uważał.

– Nie. Nie mówię o twoim mężu – sprostował Liam. – Mam na myśli tego drugiego gościa. Vica. Według mnie on nie jest odpowiedni dla ciebie.

– Czemu tak sądzisz?

– Tak czuję.

– Zdaje się, mówiłeś, że nie masz uczuć.

– Mam. Tylko ich nie pielęgnuję. – Zaśmiała się.

Teraz ona się roześmiała.

– Lubię, jak się śmiejesz – wyznał.

– Ja też.

– Wiesz, jesteś naprawdę piękna. Tylko...

– Tylko?

Zdjął jedną rękę z kierownicy, sięgnął za głowę Marcy i rozpiął klamrę na włosach.

– O tak. Znacznie lepiej. Potrząśnij głową.

– Co?

– Potrząśnij głową. Daj odetchnąć włosom.

– Jesteś zwariowany – zaprotestowała, lecz zrobiła, jak mówił.

– Nie lepiej?

Musiała przyznać, że mimo pulsowania otartej skóry po potrząśnięciu głową rzeczywiście lepiej się poczuła

– Skąd wiesz, że jest bogaty? – spytała.

– Słucham?

– Powiedziałeś, że Vic jest bogaty. Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami.

– Kiedy szukał cię w pubie, powiedział, że zatrzymał się w Hayfield Manor Hotel, a żeby mieszkać w takim miejscu, najpierw trzeba sprzedać farmę. Powiedziałaś mu, dokąd jedziesz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– A ja wiem.

Popatrzyła na niego bez słowa. W takim razie słucham, mówiły jej oczy.

– Myślę, że nie do końca mu ufasz.

– Co? – Czyżby miał rację? Czy rzeczywiście dlatego mu wszystkiego nie powiedziała?

– I wiesz, co jeszcze myślę? – spytał Liam.

– Nie.

– Myślę, że jestem zazdrosny.

Roześmiała się, a Marcy mu zawtórowała.

– Poważnie – przestał się śmiać. – Jestem zazdrosny.

– Niby czemu?

– Bo tej nocy to powinienem być ja – wyjaśnił bez ogródek.

Nie odpowiedziała i tylko serce zabiło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– Naprawdę ci na nim nie zależy? – sondował.

Pokręciła głową i z twarzą odwróconą do okna obserwowała przesuwane się powoli widoki, próbując się wyciszyć. Czy oni nigdy nie wyjadą z tego przeklętego miasta?

– Za kilka minut powinniśmy się znaleźć na drodze na wybrzeże – poinformował ją, jakby czytając w jej myślach. – Może prześpisz się trochę, zanim tam dojedziemy?

– Rzeczywiście, jestem zmęczona – przyznała, czując, że kręci jej się w głowie.

– Oprzyj się wygodnie, przymknij powieki i pomyśl o czymś przyjemnym – poradził, a ona po raz drugi tego ranka go posłuchała. Umościła się w czarnym skórzanym fotelu i zamknęła oczy.

Niemal natychmiast zobaczyła Devon. Szła ku niej z wyciągniętymi ramionami. Chwilę później znalazła się w zdumiewająco mocnym uścisku córki. Dotyk jej



gładkiej skóry na otartym policzku działał kojąco jak balsam. *Mamus* – czule wyszeptała Devon do ucha, a to słowo było jak delikatna pieszczota.

Moje maleństwo.

– Marcy.

– Hmm?

– Marcy – powtórzył Liam i Devon natychmiast wyparowała z jej objęć. – Marcy, obudź się!

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą jego uśmiechniętą twarz. Minęło trochę czasu, zanim się zorientowała, że samochód stoi, że już nie jadą.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Liam.

– Jesteśmy w Youghal?

– Tak. Jak się czujesz?

– Dobrze. Aż mi się nie chce wierzyć, że zasnęłam.

– Byłaś wyczerpana.

– Która godzina?

– Za piętnaście dziewiąta. Był fatalny tłok na drodze. Żeby w ponad godzinę przejechać zaledwie dwadzieścia mil? Paranoja!

Marcy, otrząsając się ze snu, skupiła spojrzenie na ogromnym pasie plaży.

– Gdzie dokładnie jesteśmy?

– Tuż za murami miasta, które, nawiasem mówiąc, pochodzą z trzynastego wieku. Przed sobą masz Blackwater River – Liam wskazał imponująco szeroką rzekę. Oddzielał ją od nich pas zieleni i promenada, po której dreptali już amatorzy kąpieli. – Na wschodzie wpływa do Kanału Świętego Jerzego, na południu do Morza Celtyckiego. To jest plaża Green Park Beach, oddalona od centrum Youghal o parę minut jazdy. – Uśmiechnął się zmieszany. – W każdym Irlandczyku siedzi przewodnik, który tylko patrzy, żeby wydostać się na zewnątrz.

Marcy skwitowała te słowa uśmiechem. Nic dziwnego, pomyślała, że Devon tutaj mogła się schronić. To piękne, emanujące spokojem miejsce, o dziewiczym krajobrazie. Jeden rzut oka wystarczał, żeby się zorientować, że miasteczko stanowiło mekkę wodniaków. Pora była wczesna, a motorówki już cięły wodę, kołysząc płynącymi za nimi bączkami. W oddali majestatycznie sunął jacht. Marcy zauważyła billboardy reklamujące rejsy połączone z obserwacją wielorybów oraz nurkowaniem na wrakach. Mnóstwo rozrywek dla Devon, pomyślała. Mogłaby też wynajmować kajak i godzinami wiosłować wzdłuż wybrzeża w samotności i ciszy.

Z drugiej strony Devon była z natury typową mieszkanką miasta. Czy znalazłaby szczęście, którego tak szukała, w małym rybackim porcie na odludziu?

– Gdzie mieszka moja córka? – zwróciła się do Liama.

– Marcy...

– Nic nie mów.

– Musisz być przygotowana – nie ustąpił. – Może się okazać, że to nie ona.

– Mówiłeś, że tu jest – stwierdziła z uporem.

– Powiedziałem, że ktoś widział w Youghal dziewczynę z opisu podobną do twojej córki...

– Która ma na imię Audrey.

– Tak. Ale nie chcę rozbudzać w tobie zbyt wielkiej nadziei. Musisz być przygotowana na ewentualną pomyłkę.

– Nie ma żadnej pomyłki.

– Miejmy nadzieję.

– Liam, gdzie ona jest?

– Parę kroków stąd.

– To na co czekamy? Chodźmy. – Marcy otworzyła drzwiczki i wyszła na chodnik, a silny wiatr niemal przygwoździł ją do karoserii, nawiewając włosy do oczu i ust. Nadal była zajęta odgarnianiem niesfornych pasem, kiedy Liam obszedł samochód i biorąc ją pod ramię, zaczął prowadzić w stronę miasteczka.

– Przystanie tak wiać, gdy odejdziemy od wody.

– W takim razie opowiedz mi trochę o Youghal – poprosiła, gdy zmierzali ku centrum. Nie była szczególnie zainteresowana miastem, lecz wiedziała, że musi zająć czymś myśli i uspokoić serce. Było jej słabo z podniecenia, nogi uginały się pod nią z tłumionej radości. Najważniejsze, aby udało jej się zapanować nad nerwami, bo jeszcze, nie daj Boże, zemdleje na widok córki.

– Naprawdę? – Zielone oczy Liama rozbłysły z radości. – Mam ci zrobić wykład?

– No, dawaj.

– Dobra. Ale to cię będzie kosztowało.

Uśmiechnęła się, kiedy Liam odchrząknął i wyprostował ramiona.

– Youghal jest ważnym miastem portowym i ośrodkiem turystycznym – zaczął.

– Wcześniej był rybacką osadą, a znany jest od roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego ósmego dzięki swemu burmistrzowi, Walterowi Raleigh, który podobno jako pierwszy w Irlandii zasadził tu kartofle i rozpowszechnił tytoń wśród miejscowych. – Skręcili za narożnik. – Teraz wchodzimy do centrum – kontynuował Liam, modulując głos jak rasowy przewodnik. – Podobnie jak w wielu nadbrzeżnych miejscowościach mieszkańcy Youghal malują domy na jaskrawe kolory, tak jak tu, na tych urokliwych wąskich uliczkach wiodących nad wodę. – Obeszli rząd małych samochodów zaparkowanych wzdłuż krawężnika. – Przed

sobą masz słynną Wieżę Zegarową, wzniesioną w tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym roku, w której znajdowało się więzienie dla katolików renegatów. Ze względu na istniejącą tam izbę tortur przez długi czas to miejsce stanowiło symbol terroru i tyranii.

Marcy popatrzyła na piękną, pięciopiętrową budowlę z szarego kamienia, z ośmioma oknami, ozdobionymi skrzynkami pełnymi różnokolorowych kwiatów. Pod wysoką bramą zakończoną łukiem swobodnie mogły przejeżdżać samochody.

– Już nie budzi strachu, prawda? – spytał Liam.

– Jest piękna.

– Tak, trzeba przyznać. Chodźmy tędy. – Poprowadził ją uliczką z mnóstwem sklepów i barów kanapkowych z frontami w krzykliwych kolorach – z zielonymi boniami na tle niebieskich tynków, z pomarańczowymi okiennicami na środku kanarkowożółtych ścian, z drzwiami w karmelowym kolorze w obramowaniu pomidorowych framug i turkusowych kolumnienek. – Widzisz ten napis? – Wskazał szyld w kształcie strzałki z dużym drukowanym napisem: ZAKUPY. Dokładnie pod spodem znajdowało się irlandzkie słowo: *Siopadóireacht*.

– Co to znaczy? – zainteresowała się Marcy.

– Zdaje się, określa się to powrotem do korzeni. – Wyjaśnił, że chociaż większość mieszkańców Irlandii nadal woli mówić po angielsku, to w ostatnich latach pojawiła się spora grupa entuzjastów odrodzenia języka irlandzkiego.

Marcy przypomniało się, jak z Peterem i z dziećmi wybrali się na krótkie wakacje do Quebecu, gdzie dominuje francuski i wszystkie nazwy sklepów oraz ulic są pisane wyłącznie w tym języku. Darrenowi to nie przeszkadzało, natomiast Devon była oburzona. *To jak, nie jesteśmy już w Kanadzie?* – niecierpliwiła się, usiłując rozszyfrowywać słowa. *Co się stało z angielskim?* Ciekawe, pomyślała teraz Marcy, jak ona sobie radzi w tej małej rybackiej miejscowości, gdzie irlandzki język gaelicki powraca do łask.

Skręcili z głównej ulicy w zaułek tak wąski, że ledwo mieścili się obok siebie. Niemniej samochody przejeżdżały tędy ze zdumiewającą prędkością, jakimś cudem ich omijając.

– Uważaj – ostrzegął ją Liam co rusz.

– Jesteśmy na miejscu?

– Prawie.

Wzdłuż brukowanej ulicy stały małe domki w jaskrawych kolorach. Przeważnie parterowe, z sypialnią pod mansardowym dachem nad wejściem. „Słodkie”, tak

zapewne określiłaby je większość ludzi, pomyślała Marcy. Jednak Devon dorastała w przestronnym domu w Hogg's Hollow, ekskluzywnej dzielnicy Toronto. Prawdopodobnie jej sypialnia miała większą powierzchnię od tutejszych domów. A i tak wciąż narzekała na brak miejsca i prywatności. Czy naprawdę odnalazłaby się w tak ograniczonej przestrzeni?

Jedna wąska stara uliczka niepostrzeżenie przechodziła w następną. Od czasu do czasu to tu, to tam otwierało się okno i ktoś wykrzykiwał coś do sąsiadów. Po jezdni śmigały rowery, manewrując pomiędzy poruszającymi się pojazdami i autami zaparkowanymi tuż przy ścianach domów.

– Uważaj – ostrzegł ją znowu Liam.

– Gdzie teraz? – zapytała, kiedy czekali na zmianę świateł na ruchliwym skrzyżowaniu.

– Tam – wskazał na prawo.

– Ruch tutaj jest zdumiewający.

– Nie macie samochodów w Toronto?

– Och, mnóstwo. Ale ulice są szersze.

– I wybrukowane złotem? – podsunął żartobliwie Liam.

– Naturalnie. Wszystkie ulice w Toronto są ze złota.

– Chciałbym to zobaczyć – stwierdził Liam. – Będiesz moją przewodniczką, kiedy przyjadę do Toronto?

„Kiedy” uderzyło Marcy. Nie „jeżeli”.

– No, jesteśmy na miejscu – oznajmił moment później, stając przed narożnym, bładoniebieskim piętrowym domem.

– To tu?

– Nie. Tam – ruchem podbródka wskazał różowy dom z zielonymi boniami i purpurowymi drzwiami po przeciwnej stronie ulicy.

– Tutaj mieszka? – Devon nie przepadała za różem. Zbyt dziewczęcy, orzekła swego czasu, od dziecka buntując się przeciwko różowym sukienkom, kupowanym przez Marcy.

– Goat Street piętnaście – przeczytał Liam, wyciągając z kieszeni karteczkę i sprawdzając adres. – Tak mi napisano.

Marcy wzięła głęboki oddech, czując, że uginają się pod nią nogi.

– Wszystko w porządku?

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić Devon mieszkającą w różowym domu, przy ulicy, która tak się nazywa.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. – Liam zszedł z krawężnika.

– Poczekaj. A jeśli nie ma jej w domu?

– To pójdziemy gdzieś na herbatę i wrócimy za jakiś czas.

– A jeżeli nie zechce mnie widzieć?

– Marcy, nie zostawimy jej wyboru – powiedział, przybierając cierpliwy ton. –

O co chodzi? Co z tobą?

– Boję się.

– Nie ma się czego bać. – Wziął ją za rękę i przeprowadził przez jezdnię pod purpurowe drzwi. – Sama zapukasz czy ja mam to zrobić?

– Sama – Marcy podniosła uchwyt kołatki w kształcie koniczyny i stuknęła nim o drzwi.

Cisza.

– Nie ma jej w domu – wyszeptała, walcząc ze łzami.

– Spróbuj jeszcze raz. Chyba słyszałem jakiś ruch.

– Nic nie słyszę – odpowiedziała Marcy, przyłożywszy ucho do drzwi.

– Spróbuj jeszcze raz.

Marcy zastukała, tym razem mocniej.

Nadal żadnej reakcji.

– A jeżeli wyjrzała przez okno i mnie zobaczyła? – zapytała Marcy. – Zobaczyła i nie chce otworzyć?

Liam w odpowiedzi odsunął jej rękę i sam energicznie postukał kołatką o drewno.

– Nie ma jej – Marcy ogarnęła rezygnacją.

– Zaczekajmy – uspokajał ją Liam. – Jestem pewien, że słyszałem kroki.

– Nie otworzy. Nie chce mnie widzieć.

– Chwileczkę! – odezwał się kobiecy głos. – Już idę. Cierpliwości!

– O Boże! – wyszeptała Marcy, wstrzymując oddech, gdy szcęknęły otwierane drzwi.

Za progiem stała młoda kobieta z krótkimi jasnymi włosami i z szeroko rozstawionymi oczami. Patrzyła na nich zdziwiona.

– Słucham państwa? – spytała.

Marcy otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Szukamy Audrey – przyszedł jej z pomocą Liam.

– Ma jakieś kłopoty? – zapytała kobieta.

– Nie – odparł. – Chcemy z nią tylko porozmawiać.

– O czym?

– Kim pani jest? – zapytał Liam.

– A kim wy jesteście? – zrewanżowała mu się podobnym pytaniem.

– Mam na imię Liam. A to Marcy Taggart, matka Audrey.

Kobieta przerzuciła spojrzenie na Marcy.

– Matka Audrey, tak?

– Tak. – W ustach Marcy zabrzmiało to bardziej jak westchnienie niż potwierdzenie. I powtórzyła, już mocniej: – Jestem matką Dev... Audrey.

– No proszę. Audrey! – zawołała w głąb ciemnego wnętrza. – Lepiej tu podejdź! Ktoś chce się z tobą widzieć!

– Taak?! A kto?! Jestem zajęta ratowaniem twoich muffinek.

– Właśnie pieklam – wyjaśniła nieśmiało kobieta, nie zdejmując oczu z Marcy. – Mufinki mogą poczekać! – odkrzyknęła w stronę kuchni. – Masz gości!

– Kto przyszedł? – doszedł ich odgłos ostrożnych kroków.

– Sama zobacz.

Młoda kobieta wyłoniła się z mroku i stanęła w słonecznej plamie.

Marcy objęła spojrzeniem długie, brązowe włosy dziewczyny i ciemne smutne oczy, po czym zemdlona osunęła się w ramiona Liama.

– *Musimy porozmawiać* – oznajmiła Marcy córce.

Stała w drzwiach sypialni Devon. Okno przesłaniała ściana zimnego deszczu, a porywisty październikowy wiatr podrywał z ziemi resztki złocistych i czerwonych liści potężnego klonu rosnącego na trawniku przed domem i zarzucał je na szyby pokoju Devon.

– *Nie mam ochoty rozmawiać* – prychnęła Devon, opadając z impetem na rozgrzebane łóżko.

– *No to nie rozmawiaj* – skwitowała Marcy, wchodząc z wahaniem do pokoju i lawirując pomiędzy rzeczami porozrzucanymi na beżowej wykładzinie. Rozpoznała pośród nich część nowych nabytków z niedawnej wyprawy do sklepów, na którą zabrała Devon, licząc, że poprawi jej tym humor. Te ubrania, z jeszcze nieodciętymi metkami, leżały teraz zmięte na podłodze. – *Ja będę mówić. A ty słuchaj.*

Devon wzruszyła ramionami. Miała na sobie żółtą flanelową piżamę, którą dostała od Marcy na Gwiazdkę w ubiegłym roku. Sprzedawczyni zapomniała

usunąć plastikową zawieszkę z barwnikiem, jaką w sklepach często mocują do ubrań, żeby zapobiegać kradzieżom, lecz Marcy, o dziwo, wyszła ze sklepu z piżamą, nie uruchamiając jakichś brzęczyków czy dzwonków. Zawieszka tkwiła przy mankiecie spodni, a Devon jak dotąd nie pofatygowała się do sklepu, żeby poprosić o jej usunięcie. Marcy raz napomknęła, że to jej przypomina elektroniczną bransoletkę, jaką czasami nakładają ludziom skazanym na areszt domowy, co, zważywszy na okoliczności, wydawało się wręcz stosowne, jeśli nie prorocze.

– *Devon, masz poważne kłopoty.*

– *Nie mam żadnych kłopotów.* – Wyciągnęła się na poduszkach, ze znudzoną miną. – *Nasz prawnik mnie z tego wyciągnie.*

– *Nie wiemy tego na pewno.*

– *Wydostał mnie za kaucję, nie?*

– *To zupełnie co innego.*

– *Ja nic nie zrobiłam. Nie wiedziałam o narkotykach.*

– *Nie wierzę* – ucięła Marcy.

– *No jasne.* – Devon prychnęła lekceważąco.

– *A nawet gdybym ci uwierzyła, to i tak nie ma znaczenia. Liczą się fakty. Byłaś tam.*

*Z mężczyzną, w którym policjanci rozpoznali dealera narkotyków...*

– *On ma na imię Tony i nie jest żadnym dealerem.*

– *Nie obchodzi mnie, kim on jest. Więcej się z nim nie zobaczysz.*

– *Coo?*

– *To nie podlega dyskusji.*

– *No, akurat.*

– *Ja mówię. Ty słuchasz. Pamiętasz?* – przypomniała jej Marcy.

– *Mam dwadzieścia jeden lat. Nie możesz mi mówić, co mam robić.*

– *Tak długo, jak będziesz mieszkać w tym domu, mogę i będę.*

Devon zerwała się z łóżka i doskoczyła do niej, wymachując rękami.

– *W takim razie muszę się wyprowadzić.*

Marcy nawet nie drgnęła. Wcisnęła palce w podeszwy butów, jakby chciała wrosnąć w podłogę.

– *Przypominam ci, że jednym z warunków wyjścia za kaucję był nakaz dalszego zamieszkiwania w domu rodzinnym.*

– *Więc jesteś teraz moją strażniczką?*

– *Jestem twoją matką.*



– No, świetnie ci to wychodzi.

– Nie rozmawiamy o mnie.

– Nie? Przecież to wszystko twoja wina i dobrze o tym wiesz. I tych twoich przeklętych genów, które odziedziczyłam.

– Bardzo nad tym ubolewam. Naprawdę. Rzeczywiście paskudnie ci się trafiło. Chciałabym mieć czarodziejską różdżkę i jednym dotknięciem uwolnić cię od cierpienia. Niestety, nie mam takich możliwości. A ty, Devon, nie jesteś już dzieckiem. Jesteś dorosła. Musisz grać kartami, które dał ci los, i wziąć odpowiedzialność za własne życie.

– I to właśnie próbuję robić.

– Jak? Trzymając z ciemnymi typami i narażając się na areszt za posiadanie narkotyków?

– Myślałam, że chciałaś, abym brała różne prochy.

– Leki to nie to samo.

– Masz rację. Po tym, co mi dajesz, czuję się fatalnie. A po tym, co sama biorę, dobrze.

– Devon, to idiotyczne. Zachowujesz się jak dwunastolatka.

– Bo ja mam dwanaście lat! Czy ci się to, mamuś, podoba, czy nie, jestem dwunastolatką.

– Nie, nie podoba mi się! – uniosła się Marcy, tracąc cierpliwość. – Ani trochę mi się nie podoba. Jestem znużona matkowaniem dwunastoletniemu dziecku. Chcę być matką dwudziestojednoletniej kobiety. Słyszysz, Devon? Rozumiesz, co mówię? Mam dość matkowania upartej nastolatce. – Wybuchła płaczem z bezsilności i gniewu. – Od dziecka pełniłam rolę rodzica i mam tego naprawdę dość. Już dłużej nie mogę i nie chcę. Słyszysz mnie?!

Nastawiła się na gwałtowną reakcję Devon, na kolejną wojnę na słowa, z której nieuchronnie wyjdzie przegrana i wyczerpana, z ciałem pokrytym niewidocznymi ranami. Tymczasem córka objęła ją i mocno się do niej przytuliła.

– Słyszę, mamuś – szepnęła.

– Słyszysz mnie? – pytał jakiś odległy głos. – Marcy, słyszysz mnie?

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą dwie twarze wpatrzone w nią z niepokojem. Uniosła się na łokciach i rozejrzała w koło. Leżała na środku pokoju, na wąskiej, pokrytej brązowym pluszem kanapie. Na przeciwległej ścianie był kominek, a w rogu stał wypłowiały pomarańczowy fotel. Umeblowania dopełniała stojąca lampa z plisowanym abażurem i ława z poplamionym blatem. Ściany pokrywała beżowa tapeta z kwietnymi motywami. Na oknie wisiały zasłony

w zbliżonym do niej kolorze.

– Co się stało? – zapytała nieufnie.

– Zemdląłeś – wyjaśnił Liam.

Marcy przerzuciła nogi na wyliniały wełniany dywan.

– Gdzie Audrey? – zwróciła się do młodej blondynki stojącej obok Liama.

– Tu jestem – odezwała się Audrey, ukazując się w drzwiach z tacą, na której stał parujący dzbanek z herbatą, cztery kubki i talerz świeżo upieczonych muffinek.

– Jak długo mieszkać w Youghal? – spytał Liam, kiedy sączyli herbatę. Siedział na kanapie obok Marcy. Blondynka, która miała na imię Claire i mniej więcej trzydzieści lat, przyciągnęła bliżej ławy pomarańczowy fotel i umościła się w nim z podwiniętymi nogami, a Audrey usiadła na podłodze u jej stóp.

– Zaledwie kilka miesięcy – odparła Claire. – Zostało nam jeszcze mnóstwo roboty, żeby doprowadzić ten dom do porządku. Przede wszystkim musimy zerwać tę okropną tapetę, ale nie wszystko od razu. Jak muffinki? Smakują?

– Pychota – pochwalił Liam.

– Jeszcze nie do końca wyczułyśmy piekarnik. Jest nieprzewidywalny. Prawda, Audrey?

Audrey przytaknęła skinieniem głowy.

– Trudna sprawa – powiedziała i założyła pasmo włosów za prawe ucho, nie spuszczać oczu z Marcy. – Nawet nie spróbowałaś – zauważyła.

– Przepraszam – powiedziała Marcy, z trudem wydobywając słowa. Gardło miała tak suche, że bolało przy mówieniu, nie wspominając już o przelknięciu.

– Nie lubisz żurawin? – spytała Claire.

– Bardzo lubię.

– Oczywiście są mrożone. Ale dobrze smakują. Trudno o wyłącznie świeże produkty. Szczególnie w tej części świata.

Claire odgryzła spory kęs muffinki i popiła go herbatą.

– Jak herbata? – spytała.

– Idealna – odparł Liam.

Naprawdę rozmawiają o muffinkach i o herbacie, pomyślała Marcy, podnosząc do ust kubek z parującym naparem i zmuszając się do przełknięcia małego łyku. Gorący płyn rozlał się ogniem w przelęku, jakby ktoś przyłożył zapalnik do lontu. Ja płonę, pomyślała. Jeszcze chwila, a eksploduję.

– Widzę, że lubisz działać w kuchni – odezwał się Liam, wyraźnie zdecydowany ciągnąć dalej tę niedorzeczną rozmowę.

– O tak – przyznała i wysuwając rękę, pieszczotliwie pacnęła Audrey po głowie.  
– W przeciwieństwie do tej tu.

– Hej, nie pozwalaj sobie! – powiedziała Audrey i chwytając rękę Claire, przytrzymała ją w swojej dłoni.

Marcy otworzyła szeroko oczy i zaraz odwróciła wzrok. Jednak było już za późno. Audrey dostrzegła jej reakcję.

– Coś nie tak? – zwróciła się do Marcy.

Marcy wzruszyła ramionami, jakby mówiła: *Nie, w porządku. Jeśli o mnie chodzi, możecie robić, co wam się żywnie podoba.*

– Kiedyśmy się tu wprowadziły, niektórzy sąsiedzi krzywo na nas patrzyli – zaśmiała się Audrey. – Bali się, że zdeprawujemy ich córki.

– Taak, ale już mniej więcej zdążyli się oswoić.

– Claire ich ugłaskała swoimi mufinkami – dodała Audrey z promiennym uśmiechem.

– Myślę, że należało się liczyć z taką reakcją w miasteczku wielkości Youghal – zauważyła Claire.

– Dlaczego akurat tutaj zamieszkałyście? – zainteresował się Liam.

Westchnęły chórem.

– Właściwie nie wiemy – odpowiedziała Claire za nie obie. – Pracowałam w piekarni w Dublinie. Audrey była kasjerką w banku.

– Nie znosiłam tej roboty – wtrąciła Audrey.

– Jakiś rok temu przyjechałyśmy tu na urlop, a ponieważ spodobało nam się miasteczko, postanowiłyśmy zaryzykować.

– Pomyślałyśmy, że jeśli uda nam się zaoszczędzić trochę pieniędzy, mogłybyśmy otworzyć tu własną piekarnię. – Audrey podniosła głowę i uśmiechnęła się do Claire.

– Kto wie – powiedziała Claire. – Zobaczymy.

– Hmm, twoje mufinki naprawdę są pyszne. – Liam przechylił się ku ławie. – Mogę jeszcze jedną?

– Proszę bardzo, częstuj się.

Co on wyrabia? – zastanawiała się Marcy. Czemu przedłużamy tę udrękę? Czy nie wystarczy już tej czczej paplaniny? Dlaczego stąd nie wychodzimy?

– Czemu sądziłaś, że Audrey jest twoją córką? – zwróciła się do niej Claire, jakby wyczuwając jej zniecierpliwienie.

W oczach Marcy natychmiast zakręciły się łzy. Wbiła zęby w mufinkę, żeby

stłumić szloch.

– To chyba moja wina – odezwał się Liam.

– Nie ma w tym niczyjej winy – zaprzeczyła Marcy.

– To ja przekazałem ci takie informacje.

– Powiedziałeś, że mieszka tu młoda dziewczyna o imieniu Audrey, podobna z opisu do Devon. – Marcy wzięła głęboki oddech i przeniosła spojrzenie z powrotem na kobiety, które przysłuchiwały się ich rozmowie z nieukrywanym zaciekawieniem. – Moja córka zaginęła dwa lata temu – wyjaśniła. – Liam stara się pomagać mi w poszukiwaniach. Myśleliśmy, że być może udało nam się ją odnaleźć.

– Dlatego zemdląłeś na mój widok? – spytała Audrey.

– Liam uprzedzał mnie, żebym nie robiła sobie zbyt dużych nadziei – wyznała Marcy. – Mówił, że powinnam się liczyć z tym, że to może być pomyłka, lecz...

– To cię przerosło – podpowiedziała Claire z wyraźnym współczuciem.

– To mnie przerosło – zgodziła się z nią Marcy. Wiele spraw mnie przerosło, dodała w myślach.

– Czy wyglądam tak jak ona? – zaciekawiła się Audrey.

– Na pierwszy rzut oka tak. Jesteś do niej podobna. Ten sam wiek, wzrost, takie same długie, brązowe włosy.

– Mnóstwo dziewczyn ma długie brązowe włosy.

– To prawda.

– Ale nie wszystkie mają na imię Audrey – wtrącił Liam.

– Musisz być okropnie zawiedziona – zauważyła Claire.

– Powoli się do tego przyzwyczajam – powiedziała jej Marcy.

– Co się z nią stało? – spytała Audrey. – Z twoją córką. Uciekła z domu?

– Coś w tym rodzaju – przyznała Marcy, nie chcąc się wdawać w szczegóły.

– Pokłóciłyście się? – Audrey nie zamierzała łatwo ustąpić.

– Coś w tym rodzaju – wyszeptała Marcy.

– Audrey – upomniała ją Claire – to naprawdę nie twoja sprawa.

– Przepraszam. To trochę przypomina sytuację z moją mamą, no nie?

– Ty nie uciekłaś z domu – zauważyła Claire.

– Nie, ale od pół roku z sobą nie rozmawiamy.

– Rodzice Audrey raczej za mną nie przepadają – wyjaśniła Claire.

– Nie chodzi o ciebie. To mogłaby być jakaś inna kobieta.

– Nie potrafili zaakceptować faktu, że ich córka...

– Pochodzę z bardzo tradycyjnej, katolickiej rodziny – wyjaśniła Audrey. – Mam czterech braci, każdy z nich to kawał chłopaka... – Zachichotała. – Próbowali mnie umawiać z kumplami, ale mnie to nie kręciło. Oczywiście założyłam, że coś jest ze mną nie tak.

– I wtedy poznała mnie – dodała z dumą Claire.

– No, nie. Najpierw poznałam Janice.

– Jasne, Janice – skrzywiła się Claire. – To nie było nic poważnego.

– Nie, ale wtedy otworzyły mi się oczy. Usiłowałam powiedzieć prawdę rodzicom, lecz oni niczego nie przyjmowali do wiadomości. Stwierdzili, że to chwilowe, że mi przejdzie, że powinnam pójść do kościoła, błagać Boga o przebaczenie i modlić się, aby sprowadził mnie na właściwą drogę.

– I On sprowadził ją prosto do mnie – powiedziała ze śmiechem Claire.

– Tak. – Audrey uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Mama poprosiła, żebym po pracy kupiła ciastka do domu. Ktoś w banku polecił mi małą, nowo otwartą ciastkarnię tuż za rogiem...

Ma szerszą twarz niż Devon i mocniej zarysowaną szczękę, myślała Marcy, słuchając paplaniny Audrey. Gdy tylko ją zobaczyła, od razu wiedziała, że to nie Devon.

– Jej rodzice byli wściekli – powiedziała Claire.

– Nawet nie chcieli poznać Claire.

– Odkładali słuchawkę, kiedy dzwoniłam.

– Powiedzieli, że trafię prosto do piekła.

– A tymczasem trafiłyśmy do Youghal – podsumowała radośnie Claire.

– Czy twoja matka wie, gdzie jesteś? – zwróciła się Marcy do Audrey.

Twarz dziewczyny natychmiast spochmurniała.

– Wyjeżdżając, powiedziałam, że się odezwę, kiedy się gdzieś urządzimy.

– Zrobiłaś to?

Audrey zaprzeczyła potrząśnięciem głowy, a jej brązowe włosy wymknęły się zza ucha, zakrywając połowę twarzy.

– Nie widzę sensu – wymamrotała. – Oni nigdy się nie zmieniają.

– Kiedy powiedziałaś, że jesteś matką Audrey, z wrażenia o mało nie posusiałam się w majtki – wyznała Claire.

– One się nigdy nie widziały – wyjaśniła Audrey.

– Dziwne, jak się czasem w życiu plecie, prawda? – skomentowała Claire.

– Tak jest – powiedział Liam, podnosząc się z kanapy. – Myślę, że powinniśmy

się zbierać i pozwolić tym dwóm uroczym paniom zająć się swoimi sprawami...

– Uważam, że powinnaś do niej zadzwonić – stwierdziła Marcy, nie ruszając się z miejsca. – Dać jej znać, gdzie jesteś. Przynajmniej ją uspokoić, że nic złego ci się nie stało.

– Ja jej nie obchodzę.

– Jest twoją matką – powiedziała Marcy z naciskiem. – Obchodzisz ją.

W pokoju zawisła cisza.

– Naprawdę musimy już iść – przerwał ją Liam.

– Dziękujemy za życzliwe przyjęcie. – Marcy wstała z kanapy.

– I za pyszne muffinki.

– Poczekajcie. Zapakuję wam kilka na drogę. – Claire pobiegła w głąb domu, do kuchni.

– Nie, naprawdę, dziękujemy. Już i tak nadużyliśmy waszej gościnności.

– Przykro mi, że się zawiodłaś – wyznała Audrey, kiedy Claire wróciła z torebką muffinek i podała ją Liamowi.

– Zadzwon do mamy – powtórzyła Marcy, zanim podążyła za nim do wyjścia.

– Kiedy Devon była malutka, miała może ze dwa, trzy lata – Marcy opowiadała Liamowi, kiedy dojeżdżali do przedmieścia Cork – pisakami porysowała wszystkie ściany w salonie. Akurat skończyłam remont. Malarze dosłownie zdążyli dzień wcześniej wyjść. Rozmawiałam z Judith przez telefon. Zdaje się, była wtedy pomiędzy małżeństwami. W każdym razie przechodziła jakiś kryzys, a ja próbowałam ją podnieść na duchu, pokazać, że to nie koniec świata. Coś w tym rodzaju. Mniejsza z tym. W każdym razie zajęta rozmową nie zauważyłam, kiedy Devon, która wcześniej siedziała cichutko przy stole w kuchni i coś tam rysowała, przeszła do salonu. Potem niespodziewanie pojawiła się przy mnie uśmiechnięta od ucha do ucha i powiedziała: „Mamuś, chodź, zobacz, co zrobiłam”. Zawsze mówiła do mnie „mamuś”, nawet gdy już była dorosła. Uwielbiałam to. – Oczy Marcy zaszkliły się od łez. – Wzięła mnie za rękę, poprowadziła do świeżo odremontowanego salonu i z dumą, z ogromną dumą, pokazała, co zrobiła. – Marcy westchnęła ciężko, niepewna, czy mówić dalej. Nikomu dotąd nie opowiedziała tej historii. Za bardzo się wstydziła. – Zobaczyłam te czarne, czerwone i zielone gryzmoły na moich świeżych, kremowych ścianach. Dokładnie je pomazała, tak wysoko, jak tylko mogła dosięgnąć. A ja patrzyłam na tę

uszcęśliwioną buzię i na graffiti na ścianach, myśląc o pieniądzach, które wydałam na remont, i gniew wzbierał we mnie jak lawa w wulkanie. Cichy głos w mojej głowie mówił mi, żebym zachowała spokój i nie histeryzowała, że przecież mogę spróbować to zmyć, a jeśli się nie uda, zawołać malarzy i kazać przemaalować ściany i że to nie koniec świata. Ten głos powtarzał te wszystkie rzeczy, które przed chwilą mówiłam Judith. Widziałam, jak bardzo Devon jest podekscytowana, wiedziałam, że czeka, aż ją pochwalę, powiem, że śliczne są te malunki, i wiedziałam również, jak w takich wypadkach należy postępować. Powinnam odczekać jakiś czas i wyjaśnić dziecku, że nie rysuje się po ścianach, tak piszą we wszystkich poradnikach. Wiedziałam o tym wszystkim, a jednocześnie czułam ten rosnący gniew i mięśnie twarzy drgające z wściekłości. Patrzyłam na Devon, na jej śliczną małą buzię, na której malowała się duma i radość, i nagle ta buzia rozmyła mi się przed oczami i wtedy usłyszałam wstrętny głos, mój własny głos, który wywrzaskiwał: *Coś ty zrobiła?! Boże drogi, coś ty narobiła?!* Devon uderzyła w płacz i błagała, żebym przestała krzyczeć. Lecz ja nie mogłam się opanować.

Później weszłam do jadalni i zobaczyłam, że tam też zrobiła to samo. Znowu mnie poniosło. Darłam się na nią jak opętana. I wtedy ona znieruchomiała, złapała się za brzusek, jakby dostała cios w żołądek, odwróciła się ode mnie, zgięła w pół i zaczęła zawodzić. Boże, to było okropne! Nigdy tego nie zapomnę. To było jak wycie rannego zwierzęcia. Potworne!

– Marcy – powiedział łagodnie Liam, dotykając jej ręki. – Devon nie uciekła z domu, dlatego że nakrzyczałaś na nią za bazgranie po ścianach, kiedy miała dwa lata.

– Była tylko małym dzieckiem. A ja miałam swój rozum. Nie musiałam na nią krzyczeć...

– To prawda. Ale nakrzyczałaś. No i co? To było dwadzieścia lat temu. Devon prawdopodobnie nawet tego nie pamięta.

– To nie był jedyny raz.

– Kiedy na nią nakrzyczałaś? Kiedy nie byłaś ideałem? Rany boskie, przecież jesteś tylko człowiekiem. Ludzie popełniają błędy. Krzyczymy, kiedy nie powinniśmy, i nie krzyczymy, kiedy zapewne by należało. Nie wątpię, że wielokrotnie jej to zrekompensowałaś.

Marcy nie dała się pocieszyć.

– Kiedy Devon miała jakieś osiem lat, uznaliśmy, że mogłaby brać lekcje gry na fortepianie. Peter odziedziczył salonowy fortepian po matce. Stał w kącie



i obrastał kurzem, i tylko czasem Devon podchodziła do niego i bębniła po klawiszach, pomyślałam więc, że nie zaszkodzi, jeśli nauczy się grać. Ponieważ wydawała się chętna, zatrudniliśmy nauczyciela, który przychodził do domu. Devon miała wrodzony talent. Niestety zauważyłam, że kiedy nauczyciela nie było, kiedy nie siedział obok, zupełnie sobie nie radziła. Kazałam jej ćwiczyć, a ona tkwiła przy fortepianie i grała byle jak. Tak mnie to rozczarowało...

– Marcy, co ty wyprawiasz? – przerwał jej Liam.

– Dokładnie to samo powiedziałam do Devon. *Co ty wyprawiasz? Przecież znasz nuty... Masz je przed nosem. Czytaj je.* No i wtedy wyszło na jaw, że ona nie zna nut. Nauczyciel nigdy nie wpoił jej podstawowych rzeczy, takich jak odróżnianie nut. Ona po prostu go naśladowała, przyglądając się, jak gra. A następnego dnia już nic nie pamiętała i dlatego bez sensu bębniła na tym fortepianie...

– Kiedy miałem pięć lat – odezwał się Liam – mama zdybała mnie w kuchni na jedzeniu placka, który upiekła na wieczór dla gości. Ruszyła wtedy na mnie z tasakiem.

– Co?

– Potem się upierała, że to była drewniana łyżka, ale jestem gotów się założyć, że to jednak był tasak. Innym razem dostałem lanie, bo nasypałem soli do cukierniczki i zepsułem smak jej porannej kawy. Kiedy indziej strasznie na mnie nakrzyczała – a powiem ci, że nikt nie potrafi krzyczeć głośniejsze od mojej mamy – tylko za to, że powiedziałem, iż mam chęć wrzucić młodszego braciszka pod koła autobusu. Zauważ, że oberwało mi się nie za to, co zrobiłem, ale za to, co chciałbym zrobić. Co prawda to kiepskie usprawiedliwienie, nie? Aż strach się bać.

– Starasz się umniejszyć moje winy – orzekła Marcy.

– A ty wszystko wyolbrzymiasz. Matko jedyna, Marcy! Czy ty wstajesz z łóżka i od rana uginasz się pod ciężarem poczucia winy?

To nie jest takie proste, pomyślała.

– Zbyt wiele od niej wymagałam.

– I co z tego? Wielka mi rzecz. Zbyt wiele wymagałaś. A twój syn? Czy wobec niego też miałaś za duże oczekiwania?

Jak zwykle tak i tym razem wzmianka o synu ją zaskoczyła. Devon zajmowała każdy cal jej umysłu, wypychając stamtąd brata.

– Darren to co innego. – Stał jej przed oczami cherubinek, który po kanciastym okresie dorastania przepoczwarzył się w przystojnego, młodego mężczyznę. – Był szczęśliwym, wiecznie uśmiechniętym dzieckiem. Nigdy nie

sprawiał kłopotów. – Potwornie go zaniedbywała, teraz to sobie uświadomiła. – Devon pochłaniała całą moją energię. – Zmarszczyła czoło. – Jak to mówią? Kto najgłośniej krzyczy, najwięcej dostaje?

– Nie mam pojęcia. Ale wiem jedno: to, co się stało, już się nie odstanie. Przeszłości nie da się cofnąć i nic na to nie można poradzić. Po co więc zadreć się czymś, czego nie można zmienić? Chyba że ci z tym wygodnie.

– Co to właściwie ma znaczyć?

– Może wolisz pielęgnować w sobie poczucie winy i tkwić w przeszłości, zamiast iść do przodu. Może to ci odpowiada.

– Myślisz, że chcę być nieszczęśliwa? – Marcy poczuła ukłucie gniewu.

– Nie wiem – odpowiedział, celowo prowokując ją tonem. – A chcesz?

– Chcę, żeby wszystko było zwyczajne – powiedziała, chowając twarz w dłoniach. Tego tylko chciała. – Może gdybym...

– Nie – uciał Liam, niespodziewanie zjeżdżając na pobocze i wyłączając silnik. – Dość gdybania. – Pocałował ją, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Namiętny pocałunek stawał się coraz bardziej natarczywy. Marcy czuła dotyk silnych dłoni w talii, na policzkach, we włosach. Zupełnie inaczej niż z Vikiem tej nocy, przemknęło jej przez głowę.

Co się właściwie dzieje, myślała gorączkowo, gdy oszołomiona i zadyszana oswobodziła się z objęć Liama.

Liam natychmiast ją przeprosił.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Chciałem cię pocałować od chwili, kiedy cię ujrzałem.

– Tak? Czemu?

Liam wydawał się równie zmieszany jak ona.

– Boże, Marcy. Musisz naprawdę o to pytać?

Kręciło jej się w głowie. Zatrzymała spojrzenie na pustym polu przy drodze, żeby zapanować nad zawrotami głowy.

– Gdzie jesteśmy? – spytała, absolutnie nie mając pojęcia, gdzie się znajdują.

– Tuż za miastem. Bardzo cię przepraszam – powtórzył.

– Nie, to moja wina.

– Marcy, nie wszystko dzieje się z twojej winy. – I dodał łagodnym tonem: – Zobaczysz, w końcu wszystko się jakoś ułoży. – Uśmiechnął się.

– A jeśli nie?

– To jeszcze nie koniec świata.

– Skąd ty się wzięłeś taki mądry? – Roześmiała się przez łzy. Już wyciągała rękę, żeby dotknąć jego dłoni, lecz w ostatniej chwili się rozmyśliła. Co prawda czuła się cudownie w jego objęciach, jego dotyk ją podniecał, lecz to nie były ramiona, których dotyk chciałyby czuć na sobie. W wyobraźni zobaczyła Vica na progu Doyle Cork Inn, jego zranione spojrzenie, kiedy odprowadzał oczami samochód Liama, znikający na ruchliwej ulicy. Czy znajdzie go po powrocie?

Liam, jakby odgadując jej myśli, westchnął ciężko, wyprostował się, uruchomił silnik i odczekał, aż luka w strumieniu samochodów pozwoli im włączyć się do ruchu. Po paru minutach jechali w korku, a łomot wiertarek udarowych odbijał się echem w ich skroniach.

– Przekłete roboty drogowe – wymamrotał Liam.

– Rzeczywiście dużo ich tutaj.

– Mój ojciec był robotnikiem budowlanym – wyjaśnił Liam, starając się nawiązać rozmowę, kiedy wlekli się w stronę Western Road. – Dwanaście lat temu zginął tragicznie, bo zawalił się budynek, w którym pracował. Nigdy nie poznaliśmy okoliczności wypadku.

– To smutne.

– Według dyrekcji firmy to była jego wina. Stwierdzili, że powinien nosić kask i takie tam rzeczy. Pokryli koszty pogrzebu i na tym się skończyło. Nie dostaliśmy żadnego odszkodowania. – Pokręcił głową. – A tam, co się stało, to się nie odstanie, prawda? Zdaje się, pamiętam, jak jeden mądry człowiek powiedział, że nie ma co zadrećzać się tym, czego nie można zmienić.

– To bardzo mądry człowiek – przyznała Marcy.

– Niestety nie ten, którego chcesz. – Zatrzymał się przed Doyle Cork Inn.

– Liam...

– W porządku. W końcu wszystko się jakoś ułoży – dodał z uśmiechem igrającym w zielonych oczach.

– A jeśli nie...

Marcy wysiadła z samochodu. To jeszcze nie koniec świata, dokończyła w myślach.

W ciasnej recepcji Sadie Doyle czekała na nią z rękami wspartymi na rozłożystych biodrach.

– Należy się dodatkowo pięćdziesiąt euro za gościa – przypomniała, zanim Marcy zdążyła przekroczyć próg.

– Jest tu? – spytała Marcy z nadzieją w głosie, spoglądając na piętro w kierunku pokoju.

Sadie zaprzeczyła energicznym ruchem głowy, a jej mocno skręcone, poznaczone siwizną rudawoblond loki prawie przy tym nie drgnęły.

– Nie. Wszedł kilka godzin temu. Pewnie znudziło go czekanie.

Marcy usiłowała pokryć rozczarowanie uśmiechem. Na co liczyłam? – pytała się w myślach.

– Czy zostawił wiadomość? – zwróciła się do Sadie z nadzieją.

Kolejne energiczne potrząśnięcie głową uwolniło zwietrzały zapach lakieru, zbyt obficie nałożonego na włosy.

– Dopiszę tę dodatkową opłatę do rachunku, może być?

– Może. – Marcy skierowała się ku schodom.

– A dokąd się pani tak bardzo spieszyła? – rzuciła za nią Sadie, co było wstępem do pytania, które bardzo chciała zadać. – Znalazła pani córkę?

Tym razem to Marcy pokręciła głową. W milczeniu wchodziła po schodach, zdecydowana zadzwonić do Vica, gdy tylko znajdzie się w pokoju. Liam powiedział, że on mieszka w luksusowym hotelu Hayfield Manor, stosunkowo niedaleko stąd. Zadzwoni do niego, szczerze przeprosi za kolejną ucieczkę i opowie, co wydarzyło się w Youghal. Vic ją zrozumie i wybaczy wszystko bez chwili wahania. Umówią się na kolację. Zostanie u niej na noc albo, jeszcze lepiej, ona spędzi ją u niego, delektując się ciepłem jego ramion w luksusowym otoczeniu. Tym razem nie ucieknie nad ranem i nie zostawi go bez słowa pożegnania. Bardzo niedobrze, że potraktowała go z taką nonszalancją i zataiła cel wyjazdu, bo przecież on jedynie starał się jej pomóc. Wynagrodzi mu to

wieczorem, pomyślała, stając przed drzwiami pokoju z kluczem w wyciągniętej dłoni.

Dopiero po kilku próbach udało jej się przekręcić klucz w zamku i drzwi, jakby pchnięte niewidzialną ręką, otwarły się na oścież. Marcy stanęła jak wryta, w pierwszej chwili przekonana, że musiała pomylić pokoje.

– O Boże! – wyszeptała, powoli przestępując próg i rozglądając się dokoła, zszokowana tym, co widzi. – O Boże – powtórzyła, tym razem głośniej. – Nie! Nie!

Pokój wyglądał tak, jakby przeszedł przez niego huragan. Panował w nim potworny bałagan. Pościel leżała zrzucona z łóżka, materac niebezpiecznie zwisał w poprzek ramy. Z przecięcia na środku niczym chwasty sterczało wypełnienie. Wszystkie szuflady były wyciągnięte i przewrócone do góry dnem. Szafa została opróżniona, a zdarte z wieszaków ubrania tworzyły pomietą stertę na podłodze. Nie oszczędzono nawet kosmetyków, stwierdziła, zaglądając do łazienki. Walały się tam potłuczone słoiczki i wyciśnięte tubki oraz szczoteczka do zębów przelamana na pół. – Co... – Słowa uwięzły jej w gardle, kiedy podeszła do łóżka i drżącą ręką podniosła majtki pocięte w kroku nożyczkami czy nożem. – Boże! – zawołała z narastającym przerażeniem, teraz dopiero widząc, że wszystkie rzeczy: bielizna, koszula nocna, bluzki, swetry, czarne spodnie, a nawet treneczki zostały tak samo potraktowane. Nic się nie zachowało. Wszystkie ubrania zostały pocięte, porwane, poszarpane. – Nie! – krzyknęła do kwiecistych ścian. – Nie, nie, nie, nie!!!

Usłyszała ciężkie kroki na schodach, a po nich przeraźliwy krzyk. Potem kolejne kroki, szybsze i bardziej zwinne od tych wcześniejszych. Świst powietrza za plecami. Zachłysłenie się oddechem.

– Boże! Co pani zrobiła?!

Marcy odwróciła się gwałtownie i zobaczyła w drzwiach Sadie i Colina Doyle'ów. Chłonęli ten widok z przerażeniem w oczach, ich zgorszone twarze mieniły się z oburzenia.

– Co ja zrobiłam?! – wycedziła z furją Marcy. – Myślicie, że to moja robota?! Na miłość boską, przecież ja dopiero wróciłam! Widzieliście, jak wchodziłam do tego pokoju niecałą minutę temu. Według was miałabym czas coś takiego zrobić?

Sadie Doyle, nie odzywając się słowem, oceniała straty w zdemolowanym pokoju.

– Czy zrobiłabym coś takiego z własnymi ubraniami? – Marcy pomachała Sadie przed nosem pociętymi majtkami.

Sadie, niespieszona, uparcie stała z rękoma splecionymi na piersiach.

– Niemniej jednak pani za to odpowiada.

– Ja? Dlaczego pani tak uważa?

– Wygląda na to, że pani przyjacielowi nie spodobała się ta poranna ucieczka – odpaliła Sadie.

Łzy napłynęły Marcy do oczu.

– On tego nie zrobił – powiedziała trzęsącym się głosem. Nie mógłby czegoś takiego zrobić, pomyślała.

– W takim razie kto?

– Niech pani mi to powie.

– Pani Taggart, czy pani mnie o coś oskarża?

Marcy przeniosła spojrzenie na Colina.

– Pani myśli, że to robota mojego syna?

– A kto jeszcze miał dostęp do pokoju? – podchwyciła Marcy.

– Znaczy się, oprócz pani szanownego przyjaciela? Tego, od którego pani rano uciekła, tego, co tu czekał na panią pół dnia, a potem się wymknął, gdy mu się wydawało, że nikt nie patrzył?

– O czym pani mówi?

– A o tym, że pani przyjaciel był tutaj, kiedy rano przyszedłem posłać łóżko, i pytał, czy może poczekać do pani powrotu. Powiedziałam, że mnie tam wszystko jedno, byle mi pani dodatkowo zapłaciła. Stwierdził, że nie ma problemu, że potem sam ureguluje należność. A godzinę później czy coś koło tego widziałam, jak się stąd wymyka, nie mówiąc ani do widzenia, ani pocałuj mnie w nos. Teraz już wiemy dlaczego.

– To niemożliwe – zaprzeczyła słabo Marcy. – On nigdy by...

Sadie prychnęła ironicznie chropawym, zgrzytliwym śmiechem.

– Gdzie trzymacie klucze? – zapytała niespodziewanie Marcy.

– Co?

– Klucze do pokoi. Na pewno macie zapasowy komplet.

– Są w bezpiecznym miejscu.

– Gdzie? Za kontuarem w recepcji?

Spojrzenie, jakie Sadie wymieniła z synem, upewniło ją, że się nie myli.

– Pani Doyle, czy pani tam bez przerwy siedzi?

– Albo ja, albo Colin.

– Jednak czasami oboje jesteście zajęci. Możliwe, że ktoś tu wszedł, wziął klucze i...

– I co? Postanowił zdemolować pani pokój? Czemu ktoś miałby to zrobić?

– Nie wiem. – Marcy nogi zmiękły w kolanach, lecz za wszelką cenę starała się prosto stać. – Nie wiem.

– Taak? Ja natomiast wiem tyle, że mój pokój został zdewastowany. I wiem, że ktoś musi zapłacić za szkody. Nie mam pojęcia, jak dobrze pani zna tego faceta, który spędził tu noc, ale na moje oko to on wyglądał podejrzanie. Może czegoś szukał. Może myślał, że pani tu trzyma pieniądze. Nie zginęła jakaś biżuteria?

Marcy popatrzyła przez łyzy na pustą szufladę, do której wrzuciła kolczyki.

– Nie ma moich złotych kolczyków – stwierdziła zrezygnowana, spoglądając na Colina.

– Czemu pani na mnie patrzy? Ja ich nie wziąłem.

– O nic cię nie oskarżam. Po prostu usiłuję dojść, co się stało.

– A to się stało, że moja własność została zniszczona, i pani musi zapłacić za szkody – powtórzyła Sadie Doyle.

– Czy ja dobrze rozumiem? – uniosła się Marcy, czując, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu, a głowa za chwilę pęknie z bólu. – Włamano się do mojego pokoju, zniszczono moje rzeczy, zginęły mi kolczyki, a wszystko zdarzyło się w pani hotelu, a pani jeszcze żąda, żebym pokryła straty? Chyba oboje straciliście rozum! – dodała na dokładkę.

– Wołaj *gardai* – Sadie poleciła synowi.

– Hmm, dzień dobry, pani Taggart! – przywitał ją Christopher Murphy, przesuwając dłonią po obciętych na jeża jasnych włosach. Zamknął za sobą drzwi i podszedł do krzesła, na którym siedziała. – Miło mi panią ponownie widzieć.

– Nie sądzi pan, że ten sarkazm jest nie na miejscu? – osadziła go, koncentrując spojrzenie na krzywej stercie dokumentów na biurku. Wyraźnie urosła od jej wczorajszej wizyty w tym miejscu.

– Jak oko?

– Lepiej, dziękuję.

– Niech spojrzę. – Delikatnie ujął ją za podbródek i unióśł głowę ku swej twarzy. – W takim razie dowiedzmy się, co tym razem się wydarzyło – powiedział. W tej samej chwili ponownie otwarły się drzwi i do pokoju wkroczyła Colleen Donnelly, a za nią John Sweeny poprzedzony przez swój obwisły brzuch. Na widok ich nienagannie wyprasowanych, ciemnoniebieskich mundurów serce Marcy

zareagowało niespokojnym biciem, czym prędzej więc spuściła głowę, wbijając wzrok w kolana.

– Jakiś problem, pani Taggart? – zapytał Murphy.

– Problem w tym, że nie zrobiłam nic złego, a jednak tu jestem.

– Po raz drugi – uściślił Murphy.

– Tak. Po raz drugi.

– Pani Taggart, czy byłaby pani tak łaskawa i popatrzyła na mnie?

Marcy niechętnie podniosła głowę.

– Skoro nie zrobiła pani nic złego, dlaczego pani ucieka przede mną spojrzeniem?

– Wcale nie uciekam.

– A jednak odkąd tu wszedłem, patrzy pani na podłogę, na biurko, na ścianę, na wszystko, tylko nie na mnie.

– Nie chodzi o pana – powiedziała po chwili milczenia. A ponieważ to wyjaśnienie wyraźnie go nie zadowoliło, dodała: – Mundury od zawsze budziły we mnie niepokój. – Nie powinnam była tego mówić, pomyślała w tej samej chwili, widząc zaskoczone miny wszystkich trzech *gardai*. – Bez żadnych racjonalnych powodów. Zawsze tak było. Moja siostra powiada, że jestem gorsza od jej pudła – zażartowała, żeby pokazać, że sama się śmieje ze swej słabości.

– Pani siostra... – podchwycił Sweeny. – Jest tutaj, w Cork?

– Nie. W Toronto.

– Chciałaby pani, żebyśmy do niej zadzwonili? – spytała Colleen Donnelly.

– Czemu miałabym tego chcieć?

– Pomyślałam, że może przydałoby się pani jakieś wsparcie.

– Nie każdy turysta ląduje na policji dwa dni z rzędu – dodał Murphy.

– Proszę mi wierzyć, to nie był mój pomysł.

– Pani jest ofiarą – podsunął Sweeny, choć jego ton mówił co innego.

– Tak. To prawda.

– Pani Taggart, proszę nam opowiedzieć, co się stało – zwrócił się do niej Murphy.

Westchnęła. Doświadczenie z poprzedniego dnia nauczyło ją, że nie wypuszczą jej stąd, dopóki nie usłyszą przekonującej wersji wydarzeń. Lepiej więc jak najszybciej mieć to z głowy.

– Wróciłam do pensjonatu...

– Nie było tam pani cały dzień? – przerwał jej Murphy.



– Nie.

– Mogę zapytać, gdzie pani była?

– Pojechałam do Youghal.

– Do Youghal? Na zwiedzanie?

– Szukałam mojej córki.

Troje policjantów wymieniło spojrzenia.

– Znalazła ją pani?

– Nie.

– Dlaczego pani sądziła, że ona jest w Youghal?

– A jakie to ma znaczenie? – spytała poirytowana. – Zdaje się, że chcieliście wiedzieć, co się stało po moim powrocie.

– Czy nie sądzi pani, że te sprawy mogą być z sobą jakoś powiązane?

– Co? – Czy to możliwe, zastanowiło ją. – Co pan usiłuje powiedzieć?

– Proszę mówić dalej – zachęcił ją Murphy, nie odpowiadając na pytanie. –

Wróciła pani do pensjonatu...

– Weszłam na piętro, otworzyłam drzwi i zobaczyłam, że mój pokój został zdemolowany. Ktoś pociął i poniszczył wszystkie moje rzeczy.

– Wygląda mi to na robotę zazdrosnego kochanka – zauważył Sweeny.

– Pani Doyle powiedziała, że zeszłej nocy miała pani gościa – dodał Murphy.

– Czy to ten sam pan, który był tutaj wczoraj? – zapytała Colleen Donnelly.

– On nigdy nie posunąłby się do czegoś takiego – stwierdziła stanowczo Marcy.

– Pani go dobrze zna, prawda?

– Na tyle dobrze, żeby mieć pewność, że on tego nie zrobił. – Czy rzeczywiście, zastanowiła się. Tak naprawdę ledwo znała Vica Sorvina.

– Według słów pani Doyle rano wyskoczyła pani z pensjonatu jak z procy.

– Nie sądzę, aby to był odpowiedni opis.

– Ale śpieszyła się pani.

– Tak. Raczej tak.

– Na spotkanie z kimś, prawda?

– Tak.

– Zechce nam pani powiedzieć, kto to był?

– Nie. Nie zechcę.

– Pani Taggart – wtrącił Murphy błagalnym tonem.

– Ma na imię Liam. Nazwiska... nie znam... – wyznała, czerwieniąc się, zażenowana. Powinna była zapytać go, jak się nazywa, pomyślała, zła na siebie. –

Pracuje w Grogan's House. – Kątem oka dostrzegła, że Donnelly zanotowała tę ostatnią informację.

– W miejscu wczorajszej utarczki – zauważył Sweeny, nie starając się ukryć złośliwego uśmiešku.

– Tak.

– No dobrze, a więc uciekła pani przed jednym mężczyzną, żeby spotkać się z drugim – podsumował Murphy.

– To nie tak, jak pan to przedstawia.

– A według mnie to może być motyw – odezwał się Sweeny. – Jak się nazywa tamten drugi gość? Ten, który został na noc – dodał zupełnie niepotrzebnie.

To idiotyczne, pomyślała Marcy. Vic absolutnie nie ma nic wspólnego z dewastacją pokoju. Może nie zna go za dobrze, lecz to, co o nim wie, wystarcza, żeby ocenić charakter. Niespodziewanie stanął jej przed oczami Peter i uśmiechał się do niej wystudiowanym, promiennym uśmiechem z szybki oprawionego w ramki dyplomu na przeciwległej ścianie. Nie miała bladego pojęcia o jego romansie z Sarah, w życiu by nie przypuszczała, że jest zdolny tak bezczelnie ją zdradzać. To tyle na temat jej umiejętności oceniania charakterów.

– Nazywa się Vic Sorvino – powiedziała. – Zatrzymał się w hotelu Hayfield Manor.

Christopher Murphy ruchem głowy dał znak Colleen Donnelly, a ona dyskretnie skinęła mu w odpowiedzi, po czym wyszła z pokoju.

– Czy Vic Sorvino wiedział, że ma pani zamiar spotkać się z Liamem?

– Nie.

– Wiedział o planach wyjazdu do Youghal?

– Nie.

– O ile wiem, wybiegł za panią na korytarz.

– Tak.

– Prawie nagi, jak zrozumiałem.

– To lekka przesada.

– A potem wyszedł za panią na ulicę.

– Już w pełni ubrany.

– I wrócił do pokoju, kiedy pani odjechała.

– Według słów pani Doyle.

– Która twierdzi, że czekał tam na panią, kiedy przyszła pościć łóżko – dokończył Murphy.

- Tak przynajmniej ona twierdzi.
- Nie wierzy jej pani?
- Nie wiem, w co wierzyć. Wiem tylko, że równie dobrze pani Doyle mogła zdemolować pokój.
- I zniszczyć swoją własność. Czemu miałyby coś takiego zrobić?
- Proszę ją o to zapytać.
- Już to zrobiliśmy. Szczerze mówiąc, to wydaje się wielce nieprawdopodobne.
- A jej syn?
- Okazuje się, że większą część przedpołudnia spędził poza domem.
- W takim razie przez jakiś czas nikogo nie było w recepcji – wytknęła mu Marcy. – A to oznacza, że ktoś z ulicy mógł wejść do środka, wziąć zapasowe klucze, pójść do mojego pokoju...
- Ale dlaczego, pani Taggart? – zapytał logicznie Murphy. – Czemu ktoś miałby to zrobić?
- Nie wiem.
- Z tego by wynikało, że ktoś obserwował pensjonat, widział, jak pani wychodzi, odczekał kilka godzin, aż opuści go pan Sorvino, sprawdził, czy nikt nie siedzi w recepcji... To wszystko brzmi bezsensownie... chyba że...
- Chyba że... – Marcy zawisła na tych słowach jak na linie do suszenia bielizny.
- Chyba że ta historia ma coś wspólnego z pani córką – dokończył Murphy. Usiłowała przetrwać to, co usłyszała.
- Sądzi pan, że istnieje jakiś związek pomiędzy moim poszukiwaniem Devon i włamaniem do pokoju oraz dewastacją moich rzeczy? – spytała.
- Wczoraj wspominała pani o jakichś problemach z córką – wyjaśnił Murphy. – Skoro byliście skonfliktowane, być może ona nie chce, żeby ją pani odnalazła...
- Według pana to mogła zrobić Devon?
- Ja tylko sugeruję taką ewentualność.
- Ale dlaczego?
- Może czegoś szukała.
- Marcy przycisnęła torebkę do piersi. Czy to możliwe?
- A może chciała w ten sposób dać do zrozumienia, żeby pani dała jej spokój i wyjechała.
- Kto wie, czy nie zrobił tego ktoś inny – zasugerowała Marcy. – Ktoś, kto nie chce, abym ją odnalazła.

Murphy wyprostował się na widok wchodzącej do pokoju Colleen Donnelly.

- Sprawdziliśmy w Hayfield Hotel. Pan Sorvino wymeldował się w południe. Marcy poczuła w piersi ukłucie rozczarowania.
- Mogę już iść?
- Pani Taggart, dokąd dokładnie zamierza się pani udać? – zapytał Murphy. Rzeczywiście. Nie mogła wrócić do Doyle Cork Inn. Uśmiechnęła się.
- Wygląda na to, że w Hayfield Manor niespodziewanie zwolnił się pokój – powiedziała.

– Przepraszam, ile pani powiedziała? – zwróciła się Marcy do ciemnowłosej recepcjonistki z błyszczącymi oczami, wyglądającej na nie więcej niż dwanaście lat.

– Sześćset pięćdziesiąt euro – powtórzyła dziewczyna, odsłaniając w uśmiechu górne ząbki.

*Dałoby się coś z tym zrobić* – dobiegł Marcy głos Petera z ciemnego zakamarka mózgu.

Sześćset pięćdziesiąt euro to około tysiąca dolarów, przeliczyła w głowie, już widząc, jak Petera trafia szlag, kiedy zobaczy miesięczny wyciąg z karty kredytowej, z której wydatki zgodził się pokrywać przez dwa lata w zamian za to, że ona nie będzie piętrzyć trudności przy rozwodzie. *Tylko rozsądnie* – zaznaczył. Głupiek, pomyślała teraz. Naprawdę wierzył, że szalona kobieta będzie rozsądnie postępować?

– Czy decyduje się pani? – spytała recepcjonistka, a cienka mgielka niepokoju zasnuła niebieskie jak niebo oczy. – To luksusowy pokój. Niestety w tej chwili nic innego nie mogę pani zaoferować.

– Oczywiście. – Marcy przesunęła kartę kredytową po blacie z czarnego marmuru w złote cętki. Przyda mi się odrobina luksusu, pomyślała, zastanawiając się jednocześnie, czy ten sam pokój zajmował wcześniej Vic.

– Potrzebna będzie pomoc przy bagażu?

– Nie mam bagażu. – Marcy ogarnęła spojrzeniem brzoskwińowo-złoty hol z marmurowymi kolumnami i okazały ciąg mahoniowych schodów. Hotel przypominał elegancką, nieco monumentalną rezydencję z przełomu wieków, choć tak naprawdę został zbudowany w 1996 roku i powiększony trzy lata później. Obecnie dysponował osiemdziesięcioma ośmioma pokojami. Nic nie jest takie, jakie się wydaje, podsumowała w myślach Marcy, chowając kartę kredytową do portfela. – Czy mogę gdzieś tu kupić szczoteczkę do zębów?

– Zadbaj o to pokojówka. Mamy też wspaniałe spa, gdzie oferują ogromny wybór

kosmetyków do pielęgnacji ciała i włosów.

Marcy odruchowo założyła pasmo włosów za ucho, czując, jak natychmiast się stamtąd wysmyknęło, a recepcjonistka w tym czasie podała jej kartę magnetyczną do drzwi.

– Pokój numer dwieście dwanaście. Winda jest naprzeciwko recepcji. Można też wejść schodami. – Ruchem podbródka wskazała eleganckie schody.

Nie wiadomo skąd wyrosło przy Marcy dwoje małych dzieci i z impetem odbiło się od jej nóg. Widok mniej więcej ośmioletniej dziewczynki o słodkiej buzi i pędzącego za nią młodszego, żywiołowego blondaska przywołał wspomnienie Devon i Darrena, gdy byli w podobnym wieku. Dziewczynka natychmiast przeprosiła Marcy i skierowała duże oczy na drzwi, z napiętą miną czekając na matkę, która weszła do holu, obwieszona dużą liczbą toreb z zakupami. Jej brat, niczym się nie przejmując, nadal galopował wokół nich.

Jaka ona poważna, pomyślała Marcy. Zapragnęła pogłaskać dziewczynkę po policzku i zapewnić ją, że wszystko będzie dobrze. Jednak czy mogła składać takie zapewnienia, skoro sama niczego nie była pewna? Czyż nie zwodziła Devon pustymi obietnicami?

Skierowała się powoli do windy. Miała za sobą wyczerpujący, frustrujący dzień, pełen zaskakujących sytuacji – najpierw wyjazd do Youghal i spotkanie z Claire i Audrey, potem jazda powrotna do Cork, pocałunek w samochodzie, widok zdemolowanego pokoju i upokorzenia powtórnej wizyty na policji. Ostatnie osiem godzin przypominało jazdę kolejką górską. W tym czasie przeżyła stres związany z oczekiwaniem, gorycz rozczarowania, postawiono ją w stan oskarżenia i w końcu dopadła ją rozpacz. Czy takie właśnie stany towarzyszyły Devon przez większość czasu? – zastanawiała się, kompletnie wyczerpana zarówno fizycznie, jak i psychicznie. W tej chwili każdy krok wymagał od niej ogromnego wysiłku.

– Proszę przytrzymać windę! – zawołał ktoś z nienagannym brytyjskim akcentem.

Moment później objuczona zakupami kobieta weszła do środka wraz z dwójką dzieci, nieumyślnie spychając Marcy pod ścianę ciasnej kabiny.

– Przepraszam – usprawiedliwiła się. – Simon, uspokój się – skarciła synka, który nadal wirował jak bąk. – Jillian, skarbie, czemu masz taką smutną minę?

Dziewczynka nie odpowiedziała i tylko jej dolna warga niebezpiecznie zadrżała.

– O co chodzi? Nie podoba ci się sukienka, którą ci kupiłam?

– Jest bardzo ładna. – Mała wpatrywała się w matkę błagalnie.

– To już nic nie rozumiem – zachnęła się kobieta.

– Znajdziemy takie buciki, żeby do niej pasowały? – zapytała dziewczynka przez łyzy.

Matka wybuchnęła śmiechem. Śmiała się jeszcze, kiedy drzwi windy rozsunęły się na drugim piętrze.

Czy Marcy kiedykolwiek odważyła się tak beztrosko śmiać z córki? Czy raczej w każdym jej grymasie dopatrywała się zapowiedzi nadciągającego przeznaczenia, oznak nieuchronnego nieszczęścia? Czy przypadkiem nieświadomie nie przenosiła swych obaw na Devon poprzez własne bezpodstawne obawy i lęki? Czy nie wyciągała zbyt daleko idących wniosków... a może była za mało wyczulona?

– Przepraszam! – Marcy przecisnęła się do drzwi obok ciągle podrygującego chłopczyka i wychodząc, musnęła go dłonią po jasnej główce.

– Mamuś! – usłyszała, jak zawołał, kiedy drzwi windy się zasunęły. – Ona mnie dotknęła!

– *Mamuś!* – zadźwięczał jej w uszach płacz Devon. Ten głos przedarł się z przeszłości i jak hak wbił się Marcy w serce. Obejrzała się za siebie, z góry wiedząc, że nikogo tam nie zobaczy.

Drzwi do jej pokoju znajdowały się zaledwie parę kroków od windy. Gdy je otworzyła, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, było witrażowe okno na całą ścianę wychodzące na prywatny ogród oraz piękna marmurowa łazienka z ogromną wanną i z kabiną prysznicową. Łóżko było szerokie, pościel lśniła bielą, a ściany miały bladomorelowy kolor. W szafie wisiał puszysty biały szlafrok.

– Chyba zostanę tu na zawsze – wymruczała, wyciągając się na kapie i patrząc na portret dwóch młodych kobiet wiszący nad głową. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że obok niej leży Vic i trzyma ją mocno w objęciach. Sekundę później już spała.

Przyśniło jej się, że jest w dziale obuwniczym ogromnego sklepu. Na podłodze, wokół jej bosych stóp, leżało mnóstwo porzrzuconych butów.

– *Szukam czegoś, co pasowałoby mi do sukienki* – powiedziała do zdesperowanej sprzedawczynie, szarpiąc ją za brzeg szmaragdowozielonego fartucha, zakrywającego niebieską suknię w kwiaty.

– *Nic takiego nie mamy* – odparła sprzedawczynie. – *Powinna pani wrócić do domu.*

– *Nie wrócę, dopóki nie znajdę takich pantofli.*

– *To idiotyczne* – podsumowała ekspedientka głosem Johna Sweeny'ego.

Jakiś mężczyzna podbiegł do niej z parą czarnych szpilek z pozadzieraną skórą

i złamanymi obcasami.

– *A te mogą być?*

To był Vic Sorvino.

– *Vic!* – zawołała, wyciągając do niego ramiona.

– *Nie dotykaj go!* – ostrzegł ją Liam, który nie wiadomo skąd znalazł się przy niej, po czym wyrwał Vicowi pantofle z ręki. – *Nie ufam mu.* – Cisnął je na podłogę, a one odbiły się i poleciały na ścianę.

Pogłos po uderzeniu butów o podłogę wyrwał ją ze snu.

– Obsługa hotelowa – doszedł ją głos zza drzwi i towarzyszące mu delikatne pukanie. To nie buty, zorientowała się i siadając, spojrzała na zegarek. Było po piątej. Spała dobre dwie godziny.

Drzwi się otwały i do środka weszła pokojówka w służbowym stroju. Obie, zaskoczone, wstrzymały oddech.

– Och, przepraszam – pierwsza odezwała się pokojówka, wycofując się z pokoju. – Myślałam, że nikogo nie ma. Pukałam i pukałam. To ja przyjdę później.

– Nie, nie ma sprawy. – Marcy zerwała się z łóżka i podeszła do dużego okna. – Musiałam zasnąć. Bardzo proszę. Niech pani się nie krępuje.

– To zajmie jedną minutkę.

Marcy przyglądała się, jak dziewczyna z długimi ciemnymi włosami, splecionymi w warkocz nad karkiem, rozściela łóżko, składa kapę w ochrowym kolorze i wsuwa ją na górną półkę w szafie. Jeżeli nawet zdumiał ją widok pustych wieszaków, nie dała tego po sobie znać.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc?

Marcy zaprzeczyła ruchem głowy.

– Zaraz! – Sięgnęła po torebkę, szybko wyjęła z niej kopertę ze zdjęciami córki i podsunęła dziewczynie najświeższe z nich. – Może przypadkiem zna pani tę dziewczynę?

Pokojówka wyjęła fotografię z drżących palców Marcy i podniosła do twarzy, niemal dotykając do niej krótkim, perkatym nosem.

– Nie, nie powiem, żebym ją znała.

– Na pewno? – Marcy nie rezygnowała. – Nie wydaje się pani przekonana.

– Kiepsko widzę bez okularów.

– A więc może ją pani znać?

– Nie. Nie sądzę – zaprzeczyła dziewczyna.

– Ale bez okularów...



– Zmrużyłam oczy. To też pomaga. – Pokojówka uśmiechnęła się, oddając Marcy zdjęcie.

– Cholera! – zakląła pod nosem Marcy, gdy dziewczyna wyszła z pokoju. Naprawdę liczyła, że to zdjęcie wyda jej się znajome? Pokręciła głową, zrezygnowana, nie wiedząc, co dalej począć. Opadła ciężko na krawędź łóżka, mając świadomość, że od przyjazdu do Cork nie posunęła się w swoich poszukiwaniach ani o krok. Za to była w zdecydowanie gorszej sytuacji. Nie miała ani nowych tropów, ani ubrań, ani nawet szczoteczki do zębów.

W tej samej chwili ponownie rozległo się pukanie do drzwi.

– Obsługa hotelowa – poinformował kobiecie głos.

Czyżby pokojówka się pomyliła i w końcu doszła do wniosku, że jednak rozpoznała Devon? Marcy energicznie otworzyła drzwi i zobaczyła na progu piersiastą, siwowłosą kobietę około sześćdziesiątki ze szczotką do zębów w jednej ręce i z tubką pasty w drugiej.

– Podobno pani zamówiła – odezwała się różnym tonem.

– Dziękuję – powiedziała Marcy i wyciągnęła rękę, w której nadal trzymała zdjęcie Devon.

– Och, a któż to taki? – zainteresowała się pokojówka.

– Zna ją pani? – spytała Marcy w odpowiedzi.

Kobieta wpatrywała się w zdjęcie przez kilka sekund.

– Przez chwilę wydawało mi się, że to może być Katie.

– Katie? – Marcy z trudem zgrała to imię z przyspieszonym biciem serca.

– Córka sąsiadki.

– Ma na imię Katie?

– Tak, ale to nie ona.

– Jest pani pewna?

– Teraz, gdy się lepiej przyjrzałam, widzę, że mają inne oczy. – Kobieta skwapliwie pokiwała głową.

– Jest pani pewna? – ponowiła pytanie. – Długo pani zna tę Katie?

– Od dziecka – odparła kobieta i zaśmiała się. – Wyrosła na niezłe ziółko. Zresztą zawsze miała rogatą duszę. A kim jest ta dziewczyna?

– To moja córka – wyjaśniła Marcy. – Też niezłe ziółko.

– Hmm, no tak – uśmiechnęła się pokojówka. – W tym wieku oni wszyscy są tacy. Muszę się zbierać. Życzę pani miłego pobytu. Proszę po prostu zadzwonić, gdyby coś jeszcze było potrzebne.

Potrzebna mi moja córka, pomyślała Marcy.

– Dziękuję – odpowiedziała. – A ta Katie... – Urwała, nie bardzo wiedząc, co właściwie chciała powiedzieć.

– Taak? – Pokojówka przystanąła, rysy jej pogodnej twarzy ściągnęły się wyczekująco.

– Wie pani, gdzie ona lubi chodzić? Do jakich pubów czy knajpek? Moja córka ma wkrótce do mnie dołączyć – dodała, widząc, że wyraz zdziwienia na twarzy kobiety rozciągnął się od ust aż po oczy. – Pomyślałam, że miło byłoby pokazać jej jakieś miejsca, gdzie spotykają się młodzi ludzie.

– Och, tego tu nie brakuje – zaśmiała się pokojówka. – Na Oliver Plunkett Street jest Dingles. O ile wiem, bardzo popularny pub. I Mulcahy's, na Corn Market. Podejrzane miejsce, ale dzieciaki uwielbiają tam chodzić.

– Dziękuję. – Corn Market Street znajdowała się w centrum. Musiała tamtędy wielokrotnie przechodzić w ostatnich dniach, ale pubu nie zauważyła. Warto tam zajrzeć, pomyślała, decydując, że najpierw weźmie prysznic.

Miejmy nadzieję, że gorąca kąpiel mnie otrzeźwi, pomyślała, stając pod ponadwymiarową dyszą prysznica. Wylała na włosy buteleczkę hotelowego szamponu i masowała głowę tak długo, aż zaczęła ją mrowić skóra, żałując przy tym, że nie może tak samo oczyścić głowy od środka i uwolnić jej od pajęczyn przeszłości, wątpliwości i poczucia winy, które cały czas w sobie nosiła. A teraz doszły jeszcze do tego pytania: Czy to Vic Sorvino zdemolował jej pokój w Doyle Cork Inn? Czy był zdolny do tak brutalnego czynu? A jeśli to on, dlaczego tak postąpił?

Wyjęła z opakowania małe okrągłe mydło i nacierała nim nagie ciało, zadowolona, że tworzy się tyle piany. W głowie pojawiały się kolejne pytania: Czy Vic był na nią zły za ucieczkę? Czy był zazdrosny, widząc, jak odjeżdża z innym mężczyzną? Czy jest psychopatą?

Czy wiedział coś na temat Devon? Coś, co chciał przed nią zataić?

Pod wpływem tej myśli zatrzęsała się jak porażona prądem. Wyrzuciła ręce w górę, mydło wypadło z dłoni, odbiło się od kafelków kabiny i potoczyło w kąt. Marcy zamarła.

Czy to możliwe?

Nie, stwierdziła, odzyskując równowagę. Pochyliła się po mydło, a woda z prysznica, wciskając się w usta, przyniosła z sobą gorzkawy smak bzu. To niemożliwe. To nie ma sensu.

A co go ma?

Wychodząc z kabiny, usłyszała komórkę.

– Marcy, wszystko u ciebie w porządku? – spytał Liam, gdy tylko ją odebrała. – Do Grogan's House przyszli *gardai* i zadawali mnóstwo pytań. Kurde, o co chodzi?

Marcy, przyciskając ramieniem komórkę do ucha, wbiła się we frotowy szlafrok, zgarnęła poły i narzuciła ręcznik na mokre włosy.

– Była u was policja?

– Właśnie wyszli. Podobno zdemolowano ci pokój...

Pokrótkce opowiedziała mu, co się działo od chwili, gdy ją wysadził przed Doyle Cork Inn.

W odpowiedzi wydał z siebie dźwięk pomiędzy śmiechem a pełnym niedowierzania prychnięciem.

– Co takiego? Widać, że nawet na sekundę nie mogę zostawić cię samej.

– Najwyraźniej.

– Policjanci sądzą, że to ten facet, z którym byłaś. To prawda, że on zniszczył wszystkie twoje ubrania?

– Ktoś zniszczył – poprawiła go, nadal nie przyjmując do wiadomości, że to mógł być Vic. – Co dokładnie mówili?

– Właściwie niewiele. Tylko zadawali mnóstwo pytań, głównie o ciebie. I twoją córkę.

– Jakich pytań?

– Jak długo cię znam, co o tobie wiem i takie tam rzeczy. I... czy, według mnie, jesteś zrównowazona – dodał po krótkim wahaniu.

Marcy wstrzymała oddech.

– A według ciebie jestem? – spytała ze smutnym uśmiechem, mając nadzieję, że się nie obrazi.

– Według mnie nie jesteś bezpieczna – usłyszała po sekundzie ciszy w telefonie.

– Co ty opowiadasz? Oczywiście, że jestem. Czemu miałabym nie być? – Do tego momentu nawet nie przeszło jej przez myśl, że rzeczywiście mogłoby jej coś zagrażać.

– Jakiś szaleniec dopiero co zdemolował twój pokój i zniszczył wszystkie twoje ubrania – powiedział Liam z naciskiem. – Marcy, on może się znowu pojawić. Naprawdę uważam, że powinnaś wrócić do Toronto.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Och, jesteś uparta. Dobra, słuchaj. Jutro o tym porozmawiamy.

– Nie ma o czym rozmawiać. Nigdzie nie wyjadę, dopóki nie odnajdę Devon.

W słuchawce zapadła cisza.

– W porządku. Muszę lecieć. W Grogan's House krzywo na mnie patrzą. Obiecuj mi jedno – że dzisiaj już nie ruszysz się z hotelu.

– No nie wiem. Myślałam, żeby zajrzeć do Mulcahy's.

– Mulcahy's przy Corn Market? Czyś ty do reszty straciła rozum? To speluna. Absolutnie nie możesz tam iść sama. Nie, zamówisz kolację do pokoju, położysz się spać i tyle na dziś.

– No dobrze – zgodziła się z ociąganiem.

– Obiecujesz?

– Nie musisz się mną przejmować. – Uśmiechnęła się.

– Widocznie nic nie mogę na to poradzić.

– Jutro porozmawiamy. – Rozłączyła się i rzuciła telefon na łóżko, ciągle się uśmiechając. Ciekawe, czy Vic spał w tym samym łóżku, przemknęło jej przez głowę i po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy możliwe, aby istniał jakiś związek pomiędzy jej córką a tym łagodnym Amerykaninem w średnim wieku. Przebiegła w myślach ich wszystkie spotkania i odtworzyła rozmowy, rozważając zapamiętane szczegóły. Czy zainteresował się nią, dlatego że ona go pociągała, a okoliczności okazały się sprzyjające? Czy też kryło się za tym coś bardziej ponurego? Czy rzeczywiście był świeżo rozwiedzionym, emerytowanym sprzedawcą wihajstrów z Chicago, który nadal nie potrafi się otrząsnąć po śmierci pierwszej żony, czy prowadził z nią podstępłą grę, aby ją oczarować i uśpić jej czujność? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak wihajster? – pomyślała niemal ze śmiechem. Czy cokolwiek z tego, co mówił, było prawdą?

Liam ma rację, przyznała, susząc włosy. Miała zawroty głowy, a podbite oko znowu pulsowało. Nie nadaje się na wycieczki po mieście. Powinna zostać w hotelu, zamówić kolację do pokoju i wcześniej położyć się spać. A jutro rano rozejrzy się po sklepach i kupi trochę niezbędnych rzeczy.

Dobrze, że chociaż zdjęcia Devon ocalały, pomyślała z wdzięcznością, zdejmując torebkę z biurka stojącego pod rzędem okien i tuląc ją do piersi. Tu miała wszystko, co było cenne i ważne – pieniądze, paszport i... wspomnienia. Otworzyła torebkę i wyjęła nieco już wymiętą kopertę ze zdjęciami Devon.

– Moja dziewczynka – wyszeptała, ostrożnie układając zdjęcia na gładkim blacie i patrząc, jak Devon dorasta przed jej oczyma. – Moja cudowna dziewczynka.

– *Moja cudowna mamus* – odpowiedziała szeptem Devon.

Wyjęła z koperty fotografię matki.

– Moja cudowna mamus – powtórzyła, kładąc ją obok zdjęć Devon i chłonąc wzrokiem niesamowite podobieństwo pomiędzy kobietami. Powoli, niepewnie, drżącymi palcami wyjęła z koperty drugą, mniejszą, z napisem „MAMUŚ” i wyciągnęła z niej starannie złożoną kartkę liniowanego papieru. Kilkakrotnie obracała ją w dłoniach, zanim odważyła się ją rozprostować i podnieść do zasnutych łzami oczu.

*Moja cudowna Mamus – przeczytała, a niezgrabne litery falowały przez łzy. Nie liczę, że zrozumiesz to, co zamierzam zrobić. Proszę, nie gniewaj się na mnie i uwierz, że ta decyzja nie przyszła mi łatwo. Wiem, ile bólu Ci sprawiłam. Uwierz mi, kiedy mówię, że nie chcę Cię dłużej ranić. Marcy spuściła głowę, nie będąc w stanie dalej czytać. Kiedy podniosła wzrok, łzy przesłaniały cały list z wyjątkiem ostatniej linijki. I wiedz, że bardzo Cię kocham – odczytała głośno, rozpaczliwie próbując przeczytać głosem Devon te słowa, których nigdy nie usłyszała od córki.*

Drżącymi dłońmi złożyła zmoczoną łzami kartkę i razem ze zdjęciami schowała do torebki. Kilka minut później włożyła jeansy i popielaty sweter, w którym przechodziła cały dzień, i z ciągle jeszcze wilgotnymi włosami okalającymi twarz jak wieniec skierowała się do drzwi.

Dwukrotnie obeszła obie strony Corn Market Street, zanim natrafiła na szyld Mulcahy's. Nic dziwnego, że łatwo go przeoczyć, pomyślała, patrząc na nierówny kawałek blachy z namalowanym odręcznie czarną farbą napisem i zwichrowaną strzałką wskazującą wąską klatkę schodową w sąsiedztwie wiekowej pralni chemicznej. – No pięknie – mruknęła pod nosem, oglądając się przez ramię. Na tej zwykle bardzo ruchliwej ulicy panował nietypowy spokój. Przechodniów było niewiele, bo pół godziny wcześniej rozpętała się burza i lunął deszcz. Marcy schroniła się pod markizą w zielono-białe pasy przed pobliskim sklepem mięsnym i słuchając łoskotu przetaczających się grzmotów, patrzyła, jak zygzaki błyskawic rozrywają ciemne niebo. Przemokły jej adidasy i skarpetki, a zaduch wilgotnego jeansu i wełny mieszał się ze śladem zapachu bzu na skórze. Będę miała szczęście, jeśli nie dostanę zapalenia płuc, pomyślała, znów dochodząc do wniosku, że Liam miał rację. Powinna zostać w hotelu, zamówić smaczną kolację oraz kieliszek czerwonego wina i jak najszybciej położyć się spać. Co ona robi sama na rogu pustej ulicy, przemoknięta do suchej nitki i dygocząc z zimna, wpatrzona w kawałek pogiętej blachy z biegnącym ukośnie czarnym napisem MULCAHY'S oraz strzałką skierowaną w dół?

Prosto do piekła, naszła ją dramatyczna refleksja i kto wie, może nawet by się roześmiała, gdyby nie ogólnie żałosne położenie. To szaleństwo, pomyślała jeszcze, schodząc po betonowych stopniach i stając przed zamkniętymi drzwiami piwnicy. Nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Zapukała. Nikt nie odpowiedział.

– Halo! Halo! – powtarzała z uporem, domyślając się, że pomieszczenie jest puste. – Jest tam kto?

Naturalnie, że nie, powiedziała do siebie, nie przestając pukać. To miejsce, cokolwiek kryło się za tymi drzwiami, najwyraźniej było zamknięte. Zamknięte na głucho, podsumowała, zastanawiając się jednocześnie, jaki to dzień tygodnia i która może być godzina. Od przyjazdu do Cork straciła poczucie czasu.

– Halo! – zawołała jeszcze raz, nie dając za wygraną.

– Proszę pani! – usłyszała gdzieś nad głową.

Cofnęła się od drzwi i spojrzała w górę. Zobaczyła parę nóg sięgających nieba. Te nogi należały do mężczyzny, którego głowa wydawała się nieproporcjonalnie mała w stosunku do korpusu, prawdopodobnie z powodu kąta, pod jakim na niego patrzyła. Kropelki wody na podkręconych wąsach połyskiwały w świetle pobliskiej latarni. Marcy zastanawiała się przez moment, czy przypadkiem nie ma halucynacji.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał mężczyzna.

– Szukam baru Mulcahy's – wyjaśniła.

– Dobrze pani trafiła – odpowiedział.

– Chyba jest zamknięty.

– No tak, otwierają dopiero o dziesiątej.

– O dziesiątej? – powtórzyła, spoglądając na zegarek. Jednak w mdłym świetle nie udało jej się odczytać godziny. Która to może być? Najwyżej siódma, wyliczyła, a jej kalkulacje potwierdziło siedem głośnych uderzeń dzwonów w kościele Świętej Anny. Co będzie robić przez trzy godziny? – Jest pan pewien? – zwróciła się do mężczyzny, lecz nie dostała odpowiedzi, bo on już zdążył odejść. Może by tak zajrzeć do Grogan's House, pomyślała, lecz szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Pan Grogan nie byłby zachwycony jej widokiem, no i nie chciała narażać Liama na kłopoty. Już i tak przez nią podpadł szefowi. Poza tym dopiero co przekonywał ją, żeby została w hotelu i najbliższym samolotem wróciła do Toronto. Naprawdę uważał, że coś jej zagraża? Odsunęła od siebie tę niewygodną myśl, gdy tylko wyszła na ulicę. W mgle rozpylonego deszczu, który wsiąkał w wilgotne ubranie, skręciła na północ w kierunku Kyril's Quay.

Woda w północnej odnodze rzeki Lee była ciemna i płynęła wartkim nurtem. Marcy szybkim krokiem szła wzdłuż kanału, aż natrafiła na sympatycznie wyglądający pub, z którego dochodziły dźwięki tradycyjnej irlandzkiej muzyki. Pchnęła drzwi i natychmiast znalazła się w jasno oświetlonym, pełnym klientów pomieszczeniu. Na ustawionym z przodu podium trzech młodych ludzi właśnie skończyło ostatnią piosenkę.

– Zrobimy teraz małą przerwę i za piętnaście minut wracamy – ogłosił do mikrofonu lider zespołu, a goście odpowiedzieli lekkimi brawami i kilkoma raczej dobroniusznymi okrzykami wyrażającymi niezadowolenie.

– Zaśpiewajcie *Danny Boy*! – zawołał ktoś.

– Sami zaśpiewajcie! – odkrzyknął jeden z członków zespołu.

– *Och, Danny Boy!* – zaintonowała natychmiast mniej więcej połowa obecnych, o dziwo, zgodnie trafiając w tonację, gdy Marcy rozglądała się za wolnym stolikiem.

– Szukasz mnie? – odezwał się jakiś mężczyzna i obcasem wysokiego buta z brązowej skóry przesunął ku niej puste krzesło.

Marcy odpowiedziała uśmiechem. Mężczyzna miał około czterdziestu lat, początki łysiny i dla kontrastu ciemne, krzaczaste brwi. Jeden rzut oka po sali jej wystarczył, żeby stwierdzić, że nie ma więcej wolnych miejsc.

– Dziękuję, ale nie chciałabym przeszkadzać.

– Czego się napijesz? – Mężczyzna wskazał jej krzesło.

A niech tam, powiedziała sobie, siadając przy małym stoliku. Jej rozmówca robił sympatyczne wrażenie, a ona musiała czymś zapchać te trzy godziny.

– Może piwa?

– Dwa beamishe! – zawołał do kelnerki. – Jestem Kieran. – Wyciągnął do Marcy rękę ponad stolikiem.

– Marcy. – Podała mu dłoń, a on zamknął ją w zdecydowanym uścisku, który trwał chyba odrobinę za długo.

– Skąd jesteś? – zapytał. – Bo na pewno nie stąd. Tyle się domyślam.

– Z Toronto.

– To w Kanadzie, tak?

– Tak. – Roześmiała się, nie bardzo wiedząc dlaczego.

– Masz ładny śmiech – zauważył.

– Dziękuję. Jak rozumiem, mieszkasz w Cork.

– Całe życie. Nie ma lepszego miasta na świecie.

– Jest piękne.

– I jeszcze wypiękniało, odkąd tu weszłaś. – Brązowe oczy rozbłysły figlarnie.

– Oj, ktoś tu całował Kamień z Blarney. – Roześmiała się ponownie.

– Zawsze to robię, gdy tylko mam okazję. Zjadłabyś coś? – zapytał, kiedy podeszła do nich kelnerka z dwoma piwami.

– Mam ochotę na kanapkę.

– Ser i szynka?

– Doskonale.

– Dwie kanapki z szynką i serem – rzucił do kelnerki.

– Dziękuję – powiedziała Marcy. – To bardzo miło z twojej strony.

– Widzę, że złapał cię deszcz.



– Muszę wyglądać jak zmokła kura. – Bezwiednie dotknęła włosów.

– Najładniejsza zmokła kura, jaką widziałem. – Kieran uśmiechnął się, pokazując znaczny przodozgryz.

*Jego matkę należałoby zastrzelić za to, że się tym nie zajęła, kiedy był dzieckiem* – zadźwięczał jej w uszach głos Petera.

– Jedno euro za twoje myśli – zażartował Kieran.

– Znasz takie miejsce o nazwie Mulcahy's? – spytała.

– Przy Corn Market?

– Tak.

– Na pewno nie jest w twoim typie.

– Czemu?

– No wiesz, to spelunka. Głośna muzyka, narkotyki, panienki. Tak się przynajmniej mówi. – Zaśmiał się. – Dlaczego pytasz?

– Podobno lubią się tam spotykać młodzi ludzie – wyjaśniła i po chwili dodała: – Szukam córki. – Szybko sięgnęła do torebki i wyjęła zdjęcie Devon. – Może przypadkiem ją znasz? – Co ona wyprawia? Skąd miałby znać Devon?

Kieran wziął od niej zdjęcie i wpatrywał się w nie przez kilka sekund. Brązowe oczy mu pociemniały, brwi zeszyły się nad grzbietem nosa. Przeniósł spojrzenie na Marcy i wpatrywał się w nią z uwagą, jakby próbował czytać w jej myślach.

– Być może – powiedział i upuścił zdjęcie na stolik, a Marcy poczuła, jak jej serce wpada w galop. – Wolno zapytać, czemu jej szukasz?

– To długa historia. Proszę cię... znasz ją?

– Uwielbiam długie historie – nie ustępował.

Do stolika podeszła kelnerka.

– Kanapki będą gotowe za parę minut.

– Napijmy się – zaproponował Kieran, stukając kuflem o jej kufel. – Mówiłaś...

Marcy pociągnęła długi łyk piwa, czując, jak szczypią ją oczy, kiedy piwo spływa do gardła. Przełknęła.

– Od kilku lat nie mam z córką kontaktu – wyznała, postanawiając ograniczyć się do najistotniejszych informacji. – Słyszałam, że jest w Cork. Dlatego tu przyjechałam. Proszę cię, jeżeli coś wiesz.... Muszę się z nią zobaczyć.

– Mówiłaś, że jak ma na imię?

– Nie mówiłam. Devon – dodała szybko, żeby go nie urazić. – Być może każe na siebie mówić Audrey.

– Audrey, no tak. – Postukał w zdjęcie wskazującym palcem prawej ręki. – To by

się zgadzało. – Świetna dziewczyna. Grzeczna, dobrze wychowana. Zawsze do ludzi z uśmiechem i z uprzejmym słowem.

– Rozmawiacie z sobą?

– Tylko „Dzień dobry” albo „Ładny dzień dzisiaj mamy”. Takie tam zdawkowe uprzejmości.

Marcy zakręciły się łzy w oczach.

– Jesteś pewien, że to ona?

– To zależy. Co zamierzasz zrobić, gdy ją odnajdziesz? – Wypił łyk piwa.

– Nic. Chcę z nią jedynie porozmawiać.

– Ona nie ma jakichś kłopotów, co?

– Nie.

– Nie chciałbym jej narazić na nieprzyjemności.

– Nie narazisz. Proszę cię. Skąd ją znasz?

– Pracuje u starszej pani, która mieszka naprzeciwko mojej mamy. Kilkakrotnie ją widziałem, kiedy byłem u matki.

Czy możliwe, aby po tych wszystkich szaleńczych wysiłkach przypadkowy znajomy z pubu doprowadził ją do córki?

– Co ona robi u tej pani?

– Chyba jest opiekunką pani Crocker. Robi zakupy i pranie, zajmuje się ogródkiem, chodzi z nią na spacer, tego rodzaju rzeczy. W zamian ma mieszkanie za darmo.

– Gdzie ta pani Crocker mieszka?

– W Montenotte, na wzgórzach Cork – odparł Kieran.

– To daleko stąd?

– Kawalek samochodem.

Marcy wyjęła komórkę z torebki.

– Co robisz?

– Podaj mi adres, to zadzwonię po taksówkę.

– Chcesz tam teraz jechać?

– Proszę. Zmarnowałam tak dużo czasu.

Kieran szybko dopił piwo.

– Nie ma potrzeby wołać taksówki – powiedział, odsuwając krzesło. – Zbieramy się. Sam cię tam zawiozę.

– MacCurtain Street – odczytała nazwę szerokiej ulicy przez szybę mokrą od ciągle siąpiącego deszczu. – Nie znam tej części miasta. – Miała wrażenie, że jada wiele godzin, chociaż od wyjścia z pubu nie minęło nawet dwadzieścia minut.

– A co z kanapkami?! – zawołała za nimi kelnerka.

– Daj je Stanleyowi! – odkrzyknął Kieran, machając ręką w stronę mężczyzny przy barze, który przyglądał im się z zaciekawieniem.

– Kim jest Stanley? – zapytała Marcy.

– To mój kolega. Zajął jego miejsce.

– Co?

– Tutaj to normalne – zaśmiał się. – No, jesteśmy prawie na miejscu – powiedział, skręcając na Summerhill Road i wspinając się na wzgórze Cork.

Marcy usiłowała zapanować nad wzrastającą ekscytacją. Niesamowite bywają te zbiegi okoliczności, pomyślała ponownie. Gdyby posłuchała Liama i nie wyszła z hotelu, gdyby pub Mulcahy's nie był zamknięty, gdyby nie padał deszcz, gdyby dokładnie o tej porze nie wstąpiła do tego akurat pubu, przy tej właśnie ulicy, i gdyby Stanley siedział na swoim miejscu, nie poznałaby Kierana i nic by się nie wydarzyło. Nie jechałaby w tej chwili na spotkanie z Devon. Po tylu wcześniejszych zabiegach z jej strony wszystko sprowadziło się do czystego przypadku, bo znalazła się we właściwym miejscu o odpowiedniej porze. Czy to rzeczywiście możliwe?

Zerknęła na Kierana, zdumiona jego chęcią niesienia pomocy. *Uprzejmość nieznajomych* – zadźwięczały jej w uszach słowa Liama. Miał rację. W ciągu zaledwie tygodnia miała szczęście spotkać trzech niesamowitych mężczyzn: Vica, Liama, a teraz Kierana, i każdy z nich chętnie, wręcz gorliwie, starał się jej pomóc w odnalezieniu córki. Podczas dwóch ostatnich, wiejących chłodem, lat małżeństwa z Peterem – a właściwie, jeśli ma być szczerą, już wcześniej – z niechęcią patrzyła na mężczyzn. A potem pojawił się Vic i sprawił, że poczuła się piękna i godna miłości. A dzięki Liamowi poczuła się młoda i atrakcyjna. Teraz z kolei Kieran wiozł ją w deszczu taki kawał drogi, zamiast siedzieć ze Stanleyem przy kuflu piwa w ciepłym pubie.

Czemu on to robi? – zastanawiała się, tłumiąc nagle budzący się niepokój.

Czy to była zwykła uprzejmość nieznajomego, czy kryło się za tym coś innego?

Jechali przez mieszkaniową dzielnicę St. Luke's, kierując się ku Montenegro.

– Już dojeżdżamy – powtórzył Kieran.

Co ją opętało, żeby wsiąść do samochodu zupełnie obcego mężczyzny i jeździć

z nim po wzgórzach Cork w ciemny, deszczowy wieczór? Powinnam była jednak wziąć taksówkę, wyrzucała sobie. Tak, lecz wtedy Kieran mógłby się obrazić i nie podać jej adresu Audrey. Na to nie mogła sobie pozwolić. Podejmie każde ryzyko, byle tylko odnaleźć córkę.

Jakiś czas później zatrzymali się na podjeździe przed małym, piętrowym bliźniakiem.

– O, tam mieszka pani Crocker. – Kieran wskazał podobny dom po drugiej stronie ulicy.

– Wszystkie okna są ciemne.

– Pewnie są w kinie. Pani Crocker uwielbia chodzić do kina. Audrey zabiera ją tam przynajmniej ze dwa razy w tygodniu. Chodźmy sprawdzić, dobrze?

Wyskoczył z samochodu, obszedł go szybko w siąpiącym deszczu i otworzył Marcy drzwi. Wziął ją pod łokieć i energicznie przeprowadził przez jezdnię, kierując pod dom pani Crocker.

Błagam, niech tylko będzie w domu, modliła się Marcy, chowając się pod markizą, kiedy Kieran pukał do drzwi. I niech ucieszy się na mój widok.

Już po kilku sekundach stało się oczywiste, że jej modlitwy nie zostaną wysłuchane. Usiłowała zajrzeć do wnętrza przez okno, lecz skrzynka z kwiatami utrudniała dostęp, a stara koronkowa firanka szczelnie je zasłaniała.

– Powinny niedługo wrócić – pocieszył ją Kieran. – Chodź. Jesteś cała przemoknięta. Zaczekamy na nie u mamy.

– Twoja matka nie będzie miała nic przeciwko temu? – spytała, kiedy przechodzili przez jezdnię.

Kieran wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi.

– Nie, skądże. – Zapalił światło i strzepnął krople deszczu z włosów, potrząsając głową jak pies. – Mamo?! – zawołał, prowadząc Marcy do salonu. – Jesteś tam?! – Nie było odpowiedzi. – Pewnie poszła do kina z panią Crocker i z Audrey. Masz ochotę na piwo?

Marcy rozejrzała się po wygodnie urządzonej sypialni z pikowaną kanapą pokrytą pluszem w złoto-brązowe pasy i z fotelem do kompletu. Duży telewizor ustawiony na niskim stoliku zasłaniał większą część przeciwległej ściany.

– Nie, raczej nie.

– Och, skus się – zachęcił ją, wracając z butelką piwa w każdej z rąk. – Trochę się rozgrzejesz.

Zanim zdążyła odmówić, zdjął kapsle i podał jej butelkę. Potem opadł ciężko na

kanapę i poklepał miejsce obok siebie.

– Siadaj, kochana. Odpręż się.

– Jestem strasznie spięta – wyznała zgodnie z prawdą, czując, że jej niepokój wynika nie tyle z oczekiwania na Devon, co z rosnącej obawy, że wylądowała gdzieś pod miastem, w obcym domu, z mężczyzną, którego ledwo zna. – No i przemoczona – dodała, bojąc się go obrazić. – Nie chciałabym zrujnować ładnych mebli twojej matki.

– Nie ma co się tym przejmować – powiedział i pociągnął łyk piwa prosto z butelki. – Chodź, kochana. Trochę sobie odpocznij. – Znowu poklepał miejsce obok siebie.

Ignorując zachętę, podeszła do okna, odstawiła piwo na niski stolik telewizyjny i uchyliła brązowomusztardową zasłonę, żeby popatrzeć na dom po przeciwnej stronie ulicy. Wydaje się tak samo zamknięty na głucho jak klub Mulcahy's, pomyślała, skupiając się na wzorze na zasłonie, żeby opanować obezwładniającą ją panikę. Co ona najlepszego zrobiła? Jak mogła być tak naiwna?

– To nie jest dom twojej matki, prawda? – zapytała, dobitnie akcentując każde słowo, kiedy udało jej się wydobyć głos.

– Rozgryzłaś mnie – zaśmiał się.

– Kto tu mieszka?

– Ja – bąknął zmieszany jak mały chłopiec, którego złapano z ręką w puszcze na herbatniki.

Dokładnie w tej samej chwili wzrok Marcy zatrzymał się na oprawionej w srebrne ramki fotografii stojącej obok nietkniętego piwa. Przedstawiała atrakcyjną kobietę w średnim wieku z kwadratową szczęką i z krótkimi, brązowymi włosami. Kobieta obejmowała dwóch małych chłopców, których uśmiech do złudzenia przypominał lekko skruszoną minę Kierana.

– Jak rozumiem, to żona i synowie.

– Charles i Walter – odpowiedział bez zająknięcia. Jeżeli czuł zakłopotanie, nie dał tego po sobie poznać.

– Masz udaną rodzinę.

Odpowiedział na komplement ledwo widocznym skinieniem głowy.

– Siadaj, kochana – ponaglił ją.

– Gdzie oni są?

– Na małych wakacjach. Pojechali na tydzień do Kilkenny.

Marcy wypuściła długo wstrzymywany oddech.

– Czy naprzeciwko naprawdę mieszka pani Crocker?

Kieran podniósł się z kanapy i dwoma długimi krokami znalazł się przy niej.

– Oczywiście. Miła i wyrozumiała kobieta. Żona mego przyjaciela Stanleya, czyli inaczej nie mogłoby być. Jest teraz w Kilkenny z moją ślubną. Za parę dni dobijemy do nich ze Stanleyem.

– Stanley to tamten przy barze – uściśliła.

– Wieczorami czasem jemu się poszczęści, a czasem mnie. – Kieran roześmiał się.

– A Audrey? – zapytała Marcy i chociaż z góry znała odpowiedź, chciała ją usłyszeć.

– Nie powiem, abym miał przyjemność. – Wyciągnął ręce, chcąc pogłodzić ją po ramionach.

– Powiedziałeś, że ją znasz. Dlaczego?

– Bo to właśnie chciałaś usłyszeć, czyż nie tak, kochana? A mężczyzna zawsze powinien mówić kobiecie to, co chciałyby usłyszeć.

– A więc to był podstęp, żeby mnie tu ściągnąć?

W odpowiedzi pochylił się i pocałował ją w szyję.

– Wcale nie rozpoznałaś mojej córki ze zdjęcia.

Sunął wargami do jej ust, ręce błędziły ku piersiom.

– Dla ciebie to dobra zabawa.

– Oj, wyluzuj, kochana. Od razu było widać, że przyda ci się odrobina rozrywki.

– Jedną ręką znalazła się pod jej swetrem, druga ześliznęła się na pośladki.

Sekundę później Marcy chwyciła za butelkę i rąbnęła go w głowę.

Kieran zatoczył się, krew popłynęła z rozcięcia z boku głowy.

– Co do...?

Marcy, jak oniemiała, wpatrywała się w stłuczoną butelkę w ręce, nie bardzo wiedząc, skąd się tam wzięła. Po twarzy Kierana spływało piwo, mieszając się z krwią we włosach.

– Jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie dotknąć, przysięgam, że cię zabiję – usłyszała i wzdrygnęła się, rozpoznając własny głos.

– Zwariowałaś? Co... ty sobie wyobrażasz? Że wezmę cię siłą? Pragnę przypomnieć, że znalazłaś się tu z własnej woli. Cholera, zakrwawię cały pieprzony dywan!

– Chcę wracać do domu.

– Tam są drzwi, ty walnięta dziwko.

– Jak mam się dostać do miasta?

– A polec na swojej miotle. Kurde, żonę trafi szlag, jak zobaczy ten bałagan.

Marcy rzuciła się do drzwi, szarpnęła za klamkę i uciekła na dwór. Biegła krętymi, mokrymi od deszczu uliczkami ścigana wściekłymi okrzykami: *Walnięta dziwka!* Po ponad godzinie, ku swej wielkiej uldze, ujrzała zarys stromego wzniesienia St. Patrick's Hill. Właśnie wtedy dobiegł ją warkot zatrzymującego się samochodu. Otwarte drzwi zablokowały drogę. Ze środka wysiadł mężczyzna i zdecydowanym ruchem położył jej dłoń na ramieniu.

– Pani pozwoli – odezwał się umundurowany *garda*. – Zapraszam do radiowozu.

Dochodziła jedenasta, kiedy Marcy dotarła do centrum. Była wyczerpana; ubranie zalatywało piwem; na rękawie miała plamę z krwi, której zapewne nie uda się sprać; bolały ją nogi, nie mówiąc już o głowie. Co ja wyprawiam? – łajała się w myślach, wyciągając spomiędzy srebrzystoszarych włókien swetra odłamek szkła z butelki i ciskając go na chodnik. Ciekawe, czy *garda* to zauważył? Raczej nie. Gdyby tak było, na pewno by jej nie puścił.

– Kiedy ja tak zgłupiałam? – zapytała na głos.

– *Zawsze byłaś naiwna* – usłyszała Judith.

– To nie ja pięć razy wychodziłam za mąż – wytknęła jej. – No świetnie – mruknęła. – Na dodatek zaczynam mówić do siebie. – Potrząsnęła głową. To przebija nawet jej rozmowy z policjantami, pomyślała, zadowolona, że wreszcie opuściła radiowóz, i wdzięczna losowi, że *garda* nie zawiózł jej na posterunek, żeby tam ją przesłuchać. Co jest z tą irlandzką policją? Nie mają nic lepszego do roboty od nękania niewinnych turystów?

No dobra, może nie jest taka do końca niewinna. A młody *garda* bardzo się przejął. Czy miała jakiś wypadek? Czy coś jej się stało? Czy ktoś ją zaczepiał? Czemu po ciemku i w deszczu chodzi samotnie po pustych ulicach Cork? Jaką ilość alkoholu spożyła?

Prawie godzinę trzymał ją na przednim siedzeniu radiowozu, prowadząc uprzejmą konwersację w siekącym deszczu. Grzecznie poprosił o paszport i przeglądając go wnikliwie, opowiadał o kuzynie mieszkającym w Hamilton. Kuzyn nazywa się Dalton O'Malley, może przypadkiem ona go zna?

Hamilton leży mniej więcej godzinę jazdy od Toronto, wyjaśniła. Niestety nie zna jego kuzyna, choć zapewne jest miłym człowiekiem, i czy mogłaby już sobie pójść? Deszcz osłabł, ona już ochłonęła i bardzo chciałyby wrócić do hotelu.

– W którym hotelu się pani zatrzymała? – zapytał.

– W Hayfield Manor.

– Dobry hotel – zauważył, wyraźnie pod wrażeniem. – Podwiozę panią. –



Niestety moment po uruchomieniu silnika dostał meldunek o podejrzeniu włamania gdzieś w okolicy.

– Niech pan jedzie – powiedziała mu, jakby potrzebował jej pozwolenia. – Poradzę sobie.

On jednak się wahał.

– A pójdzie pani prosto do hotelu?

– Przyrzekam – obiecała. – A niech to! – mruknęła, gdy tylko zdążył ruszyć. Wzruszyła ramionami. – No cóż, przyrzekłam – westchnęła, odprowadzając wzrokiem radiowóz. Po czym, przerzucając ciężar ciała na pięty, zaczęła schodzić drobnymi kroczkami po stromiźnie St. Patrick's Hill, czując napięcie w mięśniach łydek. Przypomniały jej się słowa przewodnika: *Amerykanie mówią, że spokojnie mogłaby rywalizować ze sławnymi ulicami San Francisco.*

– I mają rację – mruknęła i pośliznąwszy się na wilgotnej płycie chodnikowej, wyrzuciła ręce w powietrze, żeby przypadkiem nie runąć na twarz. W tej pozycji, balansując jak linoskoczek, z ramionami wyciągniętymi na boki, pokonała resztę drogi. Może i jestem linoskoczkiem, pomyślała, widząc przed sobą zarys St. Patrick's Bridge. Parła ku niemu z uporem, myśląc, że jeszcze nigdy widok jakiegoś głupiego mostu tak jej nie uszczęśliwił.

Judith w przeszłości bała się mostów, przypominała sobie nagle. Przez całe lata nie zgadzała się przez nie przejeżdżać i dlatego nieraz trzeba było z tego powodu nadkładać drogi. Potem problem się rozwiązał, o ile w ogóle to był jakiś problem, i Marcy nie potrafiła określić, kiedy siostra zwalczyła lęk przed mostami. Na szczęście dla Judith w Toronto nie było ich zbyt wiele.

Grogan's House znajdował się zaledwie kilka przecznic stąd i Marcy, idąc po St. Patrick's Street w kierunku Corn Market, musiała mocno z sobą walczyć, żeby nie zboczyć w tamtą stronę. Co ja znowu wyrabiam? – zastanawiała się. Naprawdę jestem szalona.

– *Walnięta dziwka!* – usłyszała gdzieś za plecami głos Kierana.

– *To szaleństwo* – zawtórowała mu Judith. – *Nie możesz się tak zadręczać. Musisz się pogodzić z rzeczywistością.*

– To twoja rzeczywistość, nie moja – odparła Marcy.

– *Prawda jest taka, że Devon nie żyje.*

– Nie wiemy tego na pewno.

– *Niestety, wiemy* – z uporem stwierdziła Judith.

Judith od początku była przekonana, że Devon nie żyje. Czy właśnie dlatego

Marcy nigdy nie pokazała jej listu córki?

– *Badania wykazały, że skłonność do samobójstw jest często dziedziczna, że jedno samobójstwo pociąga za sobą kolejne* – oznajmił Peter, powtarzając opinię psychiatry, do którego usiłował ją wysłać.

– *Według ciebie nasza córka targnęła się na życie tylko dlatego, że moja matka popełniła samobójstwo?*

– *Wyłynęła na środek tej przekłętej zatoki w połowie pieprzonego października. Nie wzięła kamizelki ratunkowej. Była w depresji...*

– *Była szczęśliwsza niż kilka miesięcy wcześniej. Sam mówiłeś, że wydawała się spokojniejsza, bardziej zrównowazona...*

– *Badania udowodniły, że ludzie, którzy noszą się z zamiarem odebrania sobie życia, często są szczęśliwsi w dniach poprzedzających samobójstwo* – wyrecytował.

– *Czy ty zawsze byłeś takim nadętym dupkiem?* – odpaliła.

Dlaczego nie pokazała tego listu Peterowi?

Wmówiła sobie, że był zaadresowany do niej i tylko do niej. „MAMUŚ”, napisała Devon na ukos na kopercie. Jednak dobrze wiedziała, że to pokrętne wytłumaczenie. Peter był jej mężem. Miał prawo zobaczyć, co Devon napisała. Zatajenie listu było ostatnim gwoździem do trumny, w której legło ich małżeństwo.

– *To moja wina, że uciekł do tej głupiej golfistki* – powiedziała, zatrzymując się w pół kroku pod wrażeniem swego odkrycia.

– *Nie bądź śmieszna* – odpowiedziała jej siostra, głosem nagiego manekina na wystawie mijanego sklepu z odzieżą. – *Nikt go na siłę do niej nie zaciągnął.*

– *Odgrodziłam się od niego.*

– *Wielka mi rzecz. Przestań go usprawiedliwiać. Po raz pierwszy miałaś rację: on jest nadętym dupkiem.*

– *Co wcale nie umniejsza mojej winy.*

– *No, proszę cię. Zawsze ty jesteś wszystkiemu winna. Wybacz, ale ja już wolę wariatkę od męczennicy.*

– *Przepraszam* – odezwał się jakiś głos.

– *Co?* – Marcy odwróciła się i zobaczyła parę nastolatków ubranych od góry do dołu na czarno. Chłopak miał tatuaż na szyi, który ginął gdzieś pod kunsztownym irokezem, natomiast pudrowoblada twarz dziewczyny zdobiły liczne piercingi. Oboje żuli gumę, zawzięcie poruszając szczękami, jakby od tego zależało ich życie.

– *Wchodzi pani czy nie?* – zapytała dziewczyna, przestępując z nogi na nogę.

Marcy zauważyła, że jej czarne kabaretki mają dziury na kolanach.

– Co takiego?

– Blokuje pani wejście – odezwał się chłopak.

– Och, przepraszam – odsunęła się na bok. Wtedy dopiero zauważyła blaszany szyld z odręcznym napisem MULCAHY'S i z czarną strzałką skierowaną ku ziemi.

Drzwi do piwnicy otwały się przed parą nastolatków i z wnętrza ryknął ogłuszający rap. Marcy odskoczyła jak oparzona. Dym z papierosów buchnął jak z pieca i wwiercił się w nos Marcy, niosąc z sobą charakterystyczny zapach marihuany. Ile razy Devon wracała do domu w nocy z ubraniem przesiąkniętym tym samym mdłosłodkim zapachem?

Czy ona tam jest? – zastanawiała się. Czy jej córka siedzi teraz w tej ciemnej, zadymionej piwnicy i pociągając skręta, podryguje w rytm dzikiej muzyki, wykrzykując podniesionym głosem buntowniczy raperski tekst do wilgotnych, obojętnych ścian? A może w ciasnych objęciach nowego kochanka, ocierając się zmysłowo biodrami o jego biodra, ze wzrokiem wbitym w drzwi czeka... obserwuje...?

– Cześć, mamus! Czemu tyle czasu ci to zajęło?

Tak, to dokładnie takie miejsce, do jakich ciągnęło Devon, pomyślała Marcy, kiedy drzwi ponownie się otwały i kolejna fala piekielnego tumultu poszybowała ku niej na gęstym obłoku dławiącego dymu. W takim razie na co ja czekam? Zaczęła schodzić, ledwo unikając kolizji z młodą kobietą o niebieskich włosach i z grubą warstwą cieni na powiekach, która chwiejnie wybiegła na dwór, gorączkowo rozglądając się za miejscem, gdzie mogłaby zwymiotować.

Gdy wyciągała rękę do klamki, ciężkie stalowe drzwi otworzyły się i wejście zablokowało dwóch chudych wyrostków z mokrymi od potu, długimi włosami przylepionymi do głowy.

– Tessa, ty krowo! – ryknął jeden z nich. – Chyba nie będziesz znowu rzygać?!

– Przepraszam – odezwała się Marcy przy akompaniamencie gwałtownych torsji Tessy. Szybko przycisnęła się obok chłopaków i znalazła się w ciemnym, pulsującym pomieszczeniu. Potrzebowała paru sekund, aby oczy nawykły do ciemności, a płuca przestały piec i wreszcie mogła złapać oddech. W ciasnej przestrzeni, w której swobodnie mogłoby się pomieścić co najwyżej czterdzieści osób, tłoczyło się ich przynajmniej ze sto. DJ o upiornym wyglądzie scratchował płyty, łącząc rock, hip-hop, rap i Rolling Stonesów. Wszyscy tańczyli w szaleńczym rytmie. Niektórzy tylko podrygiwali w miejscu jak epileptycy. Kilka dziewczyn

tańczyło z sobą, a ich partnerzy, stojąc z boku, dopingowali je i kiwając się spazmatycznie, podawali w koło skręta. Marcy otoczył śmiech i opary, które tworząc toksyczną chmurę wokół głowy, groziły odcięciem dopływu powietrza.

Wtedy ich dostrzegła. Pod ścianą w drugim końcu sali. Stali tak blisko siebie, że ich ciała zdawały się tworzyć jedno, a podrygujące głowy co rusz zasłaniały ich twarze. Chłopak szeptał coś dziewczynie do ucha, ona chichotała, zasłaniając usta ręką, jakby chciała stłumić śmiech, i odrywając wzrok od podłogi, nieśmiało spoglądała mu w oczy.

Marcy z bijącym sercem i z pochyloną głową, żeby niepotrzebnie nie ściągać na siebie uwagi, przesuwiała się ku nim wzdłuż ściany jak krab. Była już niemal za nimi, kiedy poczuła, jak czyjaś ręka zaciska się na jej ramieniu.

– A ty co?! – niegrzecznie zaczął ją mężczyzna. – Dokąd się wybierasz?

Marcy z wahaniem obejrzała się w stronę władczego głosu, modląc się, aby to nie był kolejny *garda*. Nawet z pokornie pochyloną głową i spuszczonej oczami widziała, że ma do czynienia z mężczyzną potężnej postury, w czarnym podkoszulku opinającym się na masywnej kłacie i z bicepsami jak bochny chleba.

– Przepraszam, ja... – odezwała się cicho.

– Wstęp dziesięć euro – oznajmił mężczyzna, wyciągając wielką, spoconą łapę.

Pospiesznie sięgnęła do torebki i podała banknot, a on błyskawicznie postawił jej pieczętkę na wierzchu dłoni i natychmiast wtopił się w tłum. Marcy rozejrzała się niespokojnie wokół siebie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nikt ich nie obserwował, przy okazji stwierdzając, że jest przynajmniej o dwadzieścia lat starsza od większości uczestników zabawy. Czy ktokolwiek to zauważył?

Udając, że przygląda włosy, zasłoniła dłonią twarz i ze wstrzymanym oddechem podniosła oczy. Błagam, niech oni nie znikną, modliła się, bojąc się spojrzeć w tamtą stronę. Jeżeli zamieszaniem ściągnęła na siebie ich uwagę, jeśli ją rozpoznali i uciekli...

– Błagam – wyszeptała, a słowo potoczyło się z ust ku posadzce.

Stali w tym samym miejscu.

Dzięki Bogu, westchnęła, przysuwając się bliżej.

– Pytałem, co o tym wszystkim myślisz! – Usłyszała, jak chłopak wykrzykuje do swej towarzyszki.

Marcy nagle poczuła wdzięczność dla hałaśliwego tłumu, bo chłopak musiał przekrzykiwać gwar. Wystarczyło podejść nieco bliżej i dyskretnie ich podsłuchiwać.

– W życiu czegoś podobnego nie widziałam! – odkrzyknęła dziewczyna.

– Nie ma takich miejsc w Glengariff?

– Tam w ogóle niewiele co jest.

Minęło kilka sekund, zanim chłopak ponownie się odezwał.

– I co, Shannon, cieszysz się, że tu przyszedłeś?

– Wiesz, że tak.

– Wiem, że ja się cieszę – odpowiedział Jax.

Shannon spuściła głowę i długie, rudawoblond włosy opadły jej na twarz, zakrywając wąski nos. Jax natychmiast wyciągnął rękę i odgarnął je za ucho. W ciemnościach błysnął złoty kolczyk.

Marcy sapnęła z wrażenia i przycisnęła dłoń do ust. A więc to Jax włamał się do jej pokoju. Dlaczego? Zapewne kolczyki ukradł przy okazji, nie mogąc się oprzeć pokusie. Czego szukał? Zdjęć? Listu Devon? A może dewastacja pokoju była ostrzeżeniem? Miała dać jej do zrozumienia, że powinna odpuścić, wyjechać z miasta i zostawić córkę w spokoju?

– Myślałam, że Audrey do nas dołączy. – Usłyszała, jak mówi Shannon.

– Pewnie zmieniła zdanie. Tęsknisz za nią?

– Nie. A ty? – Shannon zachichotała.

– Neee. Właściwie jestem zadowolony.

Marcy zakręciły się łzy w oczach. Audrey miała tu przyjść, ale się rozmyśliła. Kolejny raz była tak blisko i znowu nic z tego nie wyszło.

Czy jest nadzieja, że córka jednak się pojawi?

– Myślisz, że ona ma faceta? – zainteresowała się Shannon.

– Ona zawsze ma jakiegoś faceta – padła szorstka odpowiedź Jaksa.

– Wiesz, kto to taki?

– Nie. Niewiele o nim mówi. Zdaje się, że jest od niej starszy.

– Starszy? Jakby w wieku pana O'Connora?

– Nie wiem. Ciągłe słyszę, że jest dojrzały i takie tam bzdety. A zresztą co mnie to obchodzi? Jesteś tutaj. I tylko to się liczy.

Marcy pomimo ciemności zobaczyła, jak Shannon się rumieni.

– Miałeś szczęście, że w porę zadzwoniłeś – zauważyła Shannon.

– No, bo ja w ogóle jestem szczęściarzem.

– Szczęśliwie się złożyło, że dzisiaj zadzwoniłeś. Jutro byś mnie nie zastał.

– Wyjeżdżasz gdzieś?

– Na kilka dni do Kinsale. Pani O'Connor ma tam ciotkę, która kiepsko się czuje.

– A co jej jest?  
– Ma raka.  
– Mój dziadek zmarł na raka.  
– Mój też. To bardzo smutne.  
– A kiedy wracasz?  
– W niedzielę wieczorem.  
– To nie wyjeżdżasz na długo.  
– Nie. Tylko na trzy dni.  
– I tak będę za tobą tęsknił.  
– Wcale nie. Tylko tak mówisz.  
– Jak Boga kocham, mówię prawdę. Bardzo mi się podobasz. Co... nie wierzysz mi?

– Sama nie wiem. – Shannon zachichotała nerwowo.  
– Myślisz, że gdyby tak nie było, podarowałbym ci te kolczyki?

Cichy okrzyk wyrwał się z ust Marcy. Jax momentalnie odwrócił głowę w jej stronę. Czy możliwe, że usłyszał ją w tym hałasie? Czym prędzej się odwróciła i zasłoniła twarz dłonią.

– Poczekaj chwilę – powiedział Jax.  
– A co takiego?

O cholera, zakłęta w duchu Marcy, czując, że się zbliża. Zauważył ją? Co on teraz zrobi? Musi się stąd wydostać, musi stąd natychmiast wyjść!

Niestety, nie była w stanie zrobić kroku. Była w pułapce, uwięziona pośród wijących się, spoconych ciał. Czowała, jak krzyk wzbiera w jej gardle na widok Jaksa przeciskającego się przez tłum.

Dopiero po paru sekundach zorientowała się, że on nie idzie do niej, że skręca w przeciwnym kierunku.

– Jax, zaczekaj! Dokąd idziesz?! – zawołała za nim Shannon.  
– Zaraz wracam! – wrzasnął, przepychając się do wyjścia.

Marcy natychmiast zaczęła przebijać się przez zwartą ścianę imprezowiczów, rozpychając łokciami grupki dziewczyn i deptając po butach ich chłopaków.

– Hej, uważaj! Gdzie tak zasuwasz, babciu?! – towarzyszyły jej okrzyki w drodze do drzwi. Wyszła na chłodne nocne powietrze i ciągle jeszcze ogłuszona hukiem muzyki, nerwowo rozglądała się po ulicy.

Dokąd on poszedł? Wbiegła po stopniach i znieruchomiała, uświadamiając sobie, że widać ją jak na dłoni. Czy taki od początku był jego plan? Wiedząc, że go

obserwuje, poczekał na właściwy moment i zastawił pułapkę, pewny, że ona za nim wyjdzie? Przecież nie mógł dopuścić do konfrontacji w zatłoczonym klubie. Skoro wystarczyło mu sprytu, aby niepostrzeżenie włamać się do jej pokoju, ma też dość rozumu, żeby ją dopaść, kiedy będzie sama.

Usłyszała go, zanim zdążyła zobaczyć. Głos dochodził falami zza węgła budynku.

– Poważnie – mówił. – Dokładnie tak powiedziała.

Z kim on rozmawia? Marcy przygarbiona, z głową wciśniętą w ramiona, przesunęła się bliżej, przyciskając do ściany. Wytężyła słuch. Kto tam jest?

– Dobra. Opowiem ci wszystko po kolei – powiedział i teraz odgadła, że on rozmawia przez komórkę. – Jesteśmy w Mulcahy's. Ona się zachowuje jak jakaś pieprzona kosmitka. Cały czas się dziwi i wywala gały. Można by pomyśleć, że spadła z księżyca. Tak, dałem jej kolczyki. No, była zachwycona. Dokładnie tak, jak mówiłaś. Ta idiotka je mi z ręki. Wszystko idzie zgodnie z planem. Czuję się jak jakiś James Bond. Hej, powinniśmy to nazwać: „Operacja Dzidzia Ciacho”. – Zaśmiał się. – Głupia cipa już jest nasza. Mówi, że wyjeżdża na kilka dni. Jutro. Do pieprzonego Kinsale. Nie będzie jej, kurde, aż do niedzieli. Jedzie cała cholerna rodzinka. Podobno pani O'Connor ma chorą ciotkę. Pierdzielony rak – prychnął z pogardą.

Zamilkł, żeby wziąć oddech, co dało Marcy kilka sekund na pozbieranie myśli. *Tak, dałem jej kolczyki.* Dostała te kolczyki od Judith na piętnaste urodziny. *No, była zachwycona. Dokładnie tak, jak mówiłaś.* Jak kto mówił? *Czuję się jak jakiś James Bond.* Hej, powinniśmy to nazwać: „Operacja Dzidzia Ciacho”. Co oni kombinują? Kto jeszcze bierze w tym udział? *Wyjeżdża na kilka dni... Jedzie cała cholerna rodzinka.* Co to znaczy? Czy Devon ma z tym coś wspólnego? Wspólnego... z czym właściwie?

Dobry Boże. W co jej córka tym razem się wpakowała?

– No wiem, to jeszcze trzy dni, ale ja już czuję zapach kasy...

Niespodziewanie w torebce Marcy zadzwoniła komórka.

– Do diabła! – zaklęła, błyskawicznie wpychając torebkę pod sweter i przyciskając do siebie, żeby stłumić melodyjkę. Czy Jax to usłyszał?

– Poczekaj sekundę – poprosił i obcasy jego butów zastukały o bruk. – Chyba coś słyszałem.

Marcy dała nura do najbliższej bramy i natychmiast jej nozdrza wypełnił odór wymiocin. „Tessa, ty krowo”, zadzwieczał jej w głowie śmiech nastolatków. Komórka nadal dzwoniła, na szczęście znacznie ciszej. Czy Jax może to słyszeć?

Czy ją namierzy? Co zrobi, kiedy odkryje, że tu jest?

Nagle ulicę wypełnił hałas; Mick Jagger gniewnym głosem kazał komuś spadać z jego chmury, a śpiew mieszał się ze śmiechem i pokasływaniem.

– Jax, jesteś tam?! – przebił się przez tumult kobiecy głos.

– Już idę, kochanie! – odpowiedział natychmiast.

Marcy usłyszała tupot ciężkich kroków na schodach.

– Niepokoiliam się o ciebie. Wszystko w porządku? – usłyszała jeszcze pytanie Shannon, zanim zamknęły się za nimi drzwi.

Marcy wyjęła torebkę spod swetra i wyłowiła z niej komórkę. Ale telefon zdążył zamilknąć. Wrzuciła go z powrotem do torby, uznając, że prawdopodobnie Liam chciał sprawdzić, co u niej słychać. Czy powinna oddzwonić? I co mu powie? Że zamiast zostać w hotelu i zamówić kolację do pokoju, włóczy się po mieście, wpadając w coraz to nowe kłopoty? Że przez swe amatorskie śledztwo o mało nie została zgwałcona? Że niewiele brakowało, a kolejny wieczór spędziłaby na posterunku policji? Że wpadła na Shannon i Jaksę w podłym nocnym klubie? Że odkryła jakiś, prawdopodobnie złowieszczy plan, w który być może jest zamieszana jej córka?

Oslaniając głowę przed kolejną falą deszczu, podjęła mozolną wędrówkę do hotelu.



Śnił jej się tort. Z dwoma warstwami kremu waniliowego i z grubą polewą z waniliowego lukru, ozdobiony mnóstwem czerwonych, słodkich jak ulepek kwiatków. Taki tort Devon zawsze zamawiała na urodziny.

– *Uwielbia słodycze* – wyjaśniła Marcy gościom siedzącym przy długim stole w jadalni.

– *Słodkości dla słodkości* – powiedziała Shannon, rumieniąc się w kolorze róży na torcie i poprawiając okolicznościowy kapelusik.

– *Słodkiego, pikantnego i wszystkiego dobrego* – dorzuciła Judith. Była cała ubrana na czarno, a jej umięśnione ramiona pokrywał tatuaż.

– *Właśnie takie są małe dziewczynki* – odezwał się Jax, wchodząc do pokoju z dzieckiem na rękach.

– *Och, daj ją potrzymać!* – zawołała Devon, biegnąc do niego.

– *Masz.* – Jax włożył niemowlę w jej wyciągnięte ramiona. – *Waży chyba z tonę.*

– *Jest rozkoszna.*

– *Jeśli się lubi dzieci* – lekceważąco prychnął Jax.

Nagle Marcy znalazła się z Liamem w Youghal.

– *Dokąd idziemy?* – spytała, kiedy kręcili się po brukowanych uliczkach.

– *Nie słyszałaś? Claire i Audrey otworzyły cukiernię. Pieką najlepsze ciastka w całej Irlandii.*

– *Na czym polega ich sekret?* – spytała Marcy.

– *Dodają dzidziojagód* – wyjaśnił Liam.

Gdzieś w oddali zapłakało dziecko.

– *Błagam, niech ktoś zrobi coś z tym bezustannym hałasem!* – jęknął Vic Sorvino i przeszedł obok, wyraźnie się dokądś spiesząc.

– *Vic?!* – zawołała za nim Marcy. – *Poczekaj! Dokąd idziesz?*

– *Jadę do Kinsale* – rzucił. – *Umówiłem się z Devon.*

– *Przecież ty jesteś dla niej za stary.* – Marcy spojrzała pod nogi, a wtedy kocie łby zmieniły się w jesienne liście niesione chłodnym wiatrem, który dał jej w plecy.

Weszła w przecinkę między drzewami i zobaczyła przed sobą rozległe wody Georgian Bay z pustym kajakiem dryfującym na wzburzonych falach. Tuż przy brzegu, na szarym, kaszmirowym kocu poplamionym krwią, siedziała Devon, a obok niej Shannon z łkającym niemowlęciem na rękach.

– *Przyniosłaś ciasto?* – spytała Shannon.

Marcy pokazała wiklinowy koszyk piknikowy.

Devon podniosła się z koca, wzięła od Shannon zanoszące się płaczem niemowlę i zbliżyła się do Marcy, wyginając usta w okrutnym uśmiechu.

– *To dziewczynka, jaką zawsze chciałaś mieć* – powiedziała. A potem rozsunęła ramiona i upuściła dziecko.

Marcy usiadła na łóżku, rozpaczliwie machając rękami, żeby je złapać, zanim uderzy o ziemię.

– Nie! – krzyknęła, a protest przebił podświadomość jak szpilka balon. Na wpół jeszcze śpiąc, ciężko dysząc, bezradnie mięła dłońmi prześcieradło. – A niech to! – westchnęła, już obudzona, i opadła z powrotem na poduszkę. Odgarniając włosy z czoła nadal drżącą dłonią, zerknęła na zegarek na nocnym stoliku i zdumiona stwierdziła, że dochodzi ósma. Była tak wyczerpana po wydarzeniach poprzedniego wieczoru, że prawdopodobnie spałaby do południa, gdyby nie ten koszmar. – Głupi sen! – mruknęła, gdy szczegóły zaczęły rwać się i zanikać jak kiepskie połączenie telefoniczne. Ciastka i niemowlęta, pomyślała, kręcąc głową nad niedorzecznością tego snu.

Dzidzia Ciacho.

– „Operacja Dzidzia Ciacho” – przypomniała sobie żart Jaksy. Mózg Marcy pracował na przyspieszonych obrotach, starając się pozbierać w całość pozostałe w pamięci fragmenty snu i nadać im wyraźniejszy kształt. Zobaczyła idącą ku niej Devon z demonicznym uśmiechem na ustach i z zawodzącym niemowlęciem w ramionach.

– Dziecko O’Connorów – uprzytomniła sobie i aż zaparło jej dech. – Caitlin – wyszeptała, siadając na łóżku oblana zimnym potem.

Co jej chodzi po głowie? Czy to możliwe?

– Nie – zaprzeczyła natychmiast. – Jesteś niemądra i dramatyzujesz.

Czy aby na pewno? Skąd wzięła się ta myśl?

*Wszystko idzie zgodnie z planem* – powiedział Jax.

Z jakim planem? Co to mogło znaczyć?

– Absolutnie nic – powiedziała sobie i jeszcze raz powtórzyła na głos, żeby

nadać słowom większej mocy.

Chyba...

Chyba że...?

A jeśli to jednak coś znaczyło? Coś, co mogło pociągnąć za sobą poważne konsekwencje. Coś wręcz ponurego. Coś tak strasznego, że aż trudno to sobie wyobrazić.

*Tak, dałem jej kolczyki. No, była zachwycona. Dokładnie tak, jak mówiłaś.*

Jak kto mówił?

Audrey?

Czyżby rozmawiał z jej córką?

Czy Jax i Devon układali jakiś szalony plan dotyczący dziecka O'Connorów? I czy ten plan zakładał omotanie nieszczęsnej, naiwnej opiekunki?

*Pieprzona kosmitka – tak nazwał ją Jax. Idiotka. Głupia cipa.*

Czy tak mówi zakochany facet?

*No wiem, to jeszcze trzy dni, ale ja już czuję zapach kasy...*

Jeżeli Jax rozmawiał z Devon, o czym dokładnie mówili?

Czy możliwe, że planowali porwać Caitlin O'Connor dla okupu? A Shannon? Brała w tym udział czy była tylko nieświadomą niczego ofiarą?

Czy Devon mogłaby wplątać się w coś takiego?

Marcy wyskoczyła z łóżka, pobiegła do łazienki, ochlapała twarz zimną wodą i umyła zęby hotelową szczoteczką. Na prysznic nie ma czasu, zdecydowała, nakładając to samo ubranie, które miała na sobie dzień wcześniej. Nie ma też czasu na zakupy. Ani na śniadanie. Nie ma czasu na nic poza odszukaniem córki i zakończeniem tego szaleństwa raz na zawsze.

Nie ma pojęcia, gdzie szukać Devon, ale za to wie, jak trafić do O'Connorów. Pójdzie tam teraz. Pójdzie i ostrzeże ich, że dziecku grozi niebezpieczeństwo. Powtórzy dokładnie, co podsłuchiwała wczoraj w klubie. Jest jeszcze wcześnie. Oby nie zdążyli wyjechać do Kinsale! Przygotowanie do podróży z dzieckiem, w dodatku cierpiącym na kolkę jak Caitlin, zajmuje sporo czasu. Przy odrobinie szczęścia znajdzie ich w domu. Złapie ich, zanim wyjadą, i ostrzeże.

Jak zachowa się Shannon? Wyzna szczerze, gdzie i z kim była, narażając się na gniew pani O'Connor? Czy raczej się wyprze, bojąc się utracić pracę? A może będzie się śmiać z rewelacji Marcy, twierdząc, że to brednie chorej kobiety, która nagabuje ją od kilku dni i jest dobrze znana lokalnej policji?

Właśnie z tego powodu Marcy nie zdecydowała się skontaktować

z policjantami, Murphym, Donnelly i Sweenym. Co niby miała im powiedzieć? Że podsłuchiwała rozmowę telefoniczną przed podejrzanym klubem i że faktycznie słyszała niejednoznaczne wypowiedzi tylko jednej strony i z tych krótkich, niejednoznacznych wypowiedzi tejże strony w cudowny sposób wydedukowała, że dziecko O'Connorów jest w niebezpieczeństwie i że jej córka (tak, ta sama, która zaginęła, ta sama, której poszukuje, ta, o której śmierci wszyscy, oprócz niej, są przekonani) może mieć z tym coś wspólnego. Jasne, z miejsca jej uwierzą. Czemu nie mieliby uwierzyć?

Mniejsza z tym, powiedziała sobie.

Mniejsza z tym, czy O'Connorowie uwierzą jej, czy nie. Nie ma znaczenia, czy ktokolwiek jej uwierzy. Najważniejsze, że ostrzegając O'Connorów, uświadamiając im ewentualne zagrożenie, sprawi, że będą lepiej pilnować córeczki, a Marcy zniweczy ten niedorzeczny plan, który niewątpliwie sprowadziłby nieszczęście na głowy wszystkich osób, które maczały w tym palce. Wreszcie dokona tego, co tak często nie udawało jej się w przeszłości: ochroni córkę przed nią samą.

Zakładając, że była w to zamieszana.

A była?

Przed wyjściem przyczesła jeszcze włosy i pociągnęła usta pomadką. Lepiej wyglądać w miarę wiarygodnie. To, co miała do powiedzenia O'Connorom, było aż nadto nieprawdopodobne.

Postanowiła wziąć taksówkę. Odkryła swój błąd, gdy tylko ulokowała się na tylnym siedzeniu samochodu. Posuwali się w korku, a taksówkarz okazał się szczególnie gadatliwy.

– Nie ma jakiejś innej drogi, żeby tam szybciej dojechać? – zapytała, wychylając się do przodu i podając adres O'Connorów.

– Bardzo się pani śpieszy?

– Jestem trochę spóźniona.

– Amerykanie wiecznie się śpieszą.

– Nie jestem Amerykanką – poprawiła go automatycznie i zaraz tego pożałowała.

– To skąd pani jest?

– Z Kanady.

– Co to za różnica? – prychnął ironicznie.

Marcy nie miała ochoty wdawać się w wyjaśnienia różnic kulturowych dzielących oba kraje.

– A co różni północ Irlandii od południa? – spytała go w rewanżu i zaraz ugryzła się w język. Chyba naprawdę odebrało jej rozum. Po co go prowokuje?

– Żartuje pani? – obruszył się. – Co różni północ Irlandii od południa?

– Mniejsza z tym – bąknęła. – Przepraszam. Nie chciałam...

– Czy pani choć trochę zna historię Irlandii? – zapytał karcącym tonem.

– Tak mi się tylko wyrwało.

– No to zrobię pani mały wykład.

– Naprawdę nie trzeba.

– Najstarsze ślady obecności ludzi na wyspie są datowane na ósme tysiąclecie przed narodzeniem Chrystusa – zaczął i efektownie odchrząknął.

Dobry Boże, pomyślała Marcy.

– Dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa parano się tu metalurgią miedzi i brązu, a potem żelaza. Siedemset lat przed narodzeniem Chrystusa zaczęli się osiedlać Celtowie, a Gaelowie pojawili się w setnym roku naszej ery. Jakieś trzysta lat później święty Patryk powrócił do Irlandii, już jako chrześcijański misjonarz. – Taksówka podskoczyła na potężnym wyboju, podrzucając Marcy na tylnym siedzeniu.

– Czy mógłby pan uważać na drogę? – poprosiła taksówkarza.

– Czas pomiędzy pięćsetnym a osiemsetnym rokiem jest często nazywany złotym okresem – kontynuował, nie przejmując się jej prośbą. – Irlandia stała się jednym z największych ośrodków chrześcijaństwa w Europie.

– Proszę posłuchać, przepraszam, jeżeli pan się poczuł urażony...

– Potem po kolei najeżdżali nas wikingowie, Danowie i Anglicy. W tysiąc dwieście czwartym roku wzniesiono Zamek Dubliński jako symbol angielskiej dominacji. W połowie szesnastego wieku Henryk Ósmy przyjął tytuł króla Irlandii i rozpoczęły się prześladowania katolików. Królowa Elżbieta Pierwsza proklamowała Irlandię krajem anglikańskim.

Marcy osunęła się na oparcie, uznając, że dalsza dyskusja z taksówkarzem nie ma sensu. A niech tam sobie mówi. Lekcja historii pomoże zabić czas, odciągnąć myśli od istotnych spraw i uregulować ciśnienie. A przy okazji może się czegoś dowie.

– W tysiąc sześćset czterdziestym pierwszym roku powstanie irlandzkich katolików w Ulsterze zakończyło się klęską. Osiem lat później doszło do najazdu Olivera Cromwella. W tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym roku wojska króla Jakuba Drugiego zostały pokonane, co jeszcze umocniło protestancką władzę.

W tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim roku irlandzki parlament uzyskał niezależność, a w tysiąc osiemset pierwszym go rozwiązano i Irlandia stała się częścią Zjednoczonego Królestwa. A potem, w tysiąc osiemset czterdziestym piątym... – przybrał złowróźbny ton. – ...na pewno pani wie, co się wtedy stało.

Marcy wyprostowała się na siedzeniu, wysilając umysł w poszukiwaniu odpowiedzi, jak uczennica niespodziewanie wyrwana do tablicy.

– Niiee jestem pewna – wyjąkała.

– Zaczął się wielki głód – wyjaśnił, kręcąc z dezaprobatą rudą głową. – Trwał ponad sto lat. Prawie dwa miliony ludzi albo umarły, albo wyemigrowały, głównie do Ameryki.

– Tak, to straszne...

– W tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku i ponownie w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym w parlamencie przepadła ustawa o autonomii Irlandii – kontynuował, zbywając jej współczucie machnięciem ręki. – W tysiąc dziewięćset piątym powstała Sinn Féin. Pani wie, co to znaczy?

– Kłopoty? – podsunęła, natychmiast wychwytyjąc jego piorunujące spojrzenie w lusterku wstecznym.

– Sinn Féin znaczy „My Sami”, a jej deputowani odnieśli miażdżące zwycięstwo nad Irlandzką Partią Parlamentarną w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego do dwudziestego pierwszego roku trwała irlandzka wojna o niepodległość pod przywództwem Michaela Collinsa, zakończona angielsko-irlandzkim traktatem, na mocy którego doszło do podziału wyspy, gdzie dwadzieścia sześć hrabstw weszło w skład Wolnego Państwa Irlandzkiego, a sześć pozostało w granicach Wielkiej Brytanii.

Marcy ponownie wychyliła się ku kierowcy. Mimo woli wciągnęła ją ta zaimprovizowana naprędce lekcja historii.

– Czy pan był w przeszłości nauczycielem?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Każdy Irlandczyk by tyle samo powiedział. A pani, nie? O Kanadzie?

– Nie byłam za dobra z historii – wyznała. W czym ona była dobra?

– Od tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego do tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego trwała wojna domowa – podjął przerwany wątek – pomiędzy rządem Wolnego Państwa Irlandzkiego i przeciwnikami angielsko-irlandzkiego traktatu. Michael Collins został zabity przez IRA, według której traktat był zdradą. W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku Wolne

Państwo Irlandzkie przyjęło nową konstytucję i opuściło Wspólnotę Brytyjską. Kraj zmienił nazwę na Éire. W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym Republika Irlandzka zerwała ostatnie konstytucyjne więzy z Wielką Brytanią.

– Pominął pan drugą wojnę światową – upomniała go.

– Irlandia zachowała neutralność.

– Wolicie walczyć między sobą? – zauważyła i odetchnęła z ulgą, kiedy się roześmiała.

– Najwyraźniej. – Zatrzymał samochód. – No, dojechaliśmy. Adelaide Road sto siedemnaście.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła duży dom z żółtej cegły, ze ścieżką obsadzoną kwiatami i z garażem na trzy samochody. Oby auto pani O'Connor stało w środku.

– I co, szybko zleciało? – zapytał taksówkarz.

– Świetnie pan sobie poradził – pochwaliła go, dołączając hojny napiwek. – Dziękuję. I za lekcję historii też. Dużo się dowiedziałam.

– Następnym razem, gdy będę panią wiozł, zrobię pani test – zażartował na odjeźdnym.

Marcy odprowadziła taksówkę spojrzeniem za zakręt, po czym odwróciła się na pięcie, pobiegła ścieżką do wejścia, nacisnęła dzwonek, jednocześnie stukając pięścią w dwuskrzydłowe, czarne drzwi.

– Błagam, oby tylko nie było za późno.

Niestety po kilku sekundach stało się oczywiste, że w domu nikogo nie ma.

– A niech to! – mruknęła, obchodząc dom i bez większego przekonania pukając do bocznych drzwi. Podeszła do garażu i podskakując, usiłowała zajrzeć do środka przez wąską szybkę ponad framugą. Jednak szyba znajdowała się za wysoko, a w garażu było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Poza tym co za różnica, czy w środku stał samochód? Jeżeli O'Connorowie mieli garaż z trzema stanowiskami, prawdopodobnie dysponowali więcej niż jednym samochodem. Poza tym równie dobrze mogli pojechać do Kinsale pociągiem albo nawet wziąć taksówkę, pomyślała, żałując, że nie poprosiła taksówkarza, aby poczekał, dopóki ona nie sprawdzi, czy ktoś jest w domu. Co ma teraz zrobić? – Mogę im zostawić wiadomość – powiedziała na głos, wracając przed dom. Przy okazji zauważyła, że w oknie naprzeciwko poruszyła się firanka. Zaczęła przewracać w torbie w poszukiwaniu jakiegoś kawałka papieru, ale znalazła tylko kilka pomiętych chusteczek higienicznych. – Oczywiście. – A właściwie co zamierzała napisać? *Cześć! Nie znacie mnie, ale podejrzewam, że ktoś chce porwać wasze dziecko!* – No

świetnie – mruknęła, kiedy odezwała się komórka. Wygrzebała ją z torebki i otworzyła.

– Gdzie jesteś? – zapytał Liam, zanim zdążyła powiedzieć: „Halo”.

Powiedziała mu.

– Co?! – warknął. – Co tam robisz?

Opowiedziała mu o wyprawie do Mulcahy’s, o tym, że natknęła się tam na Jaksę z Shannon, o podsłuchanej rozmowie i o swoich podejrzeniach.

– Zaraz, jedną chwilę – przerwał jej. – Mówisz, że według ciebie Jax planuje porwać dziecko O’Connorów?

– Uważasz, że zwariowałam – zarzuciła mu. Naturalnie, że ma ją za wariatkę. Dała mu dostatecznie dużo powodów.

– Myślę, że powinnaś zgłosić to na policji.

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem.

– Co?

– Marcy, zadzwoń na policję – powtórzył. – Bezzwłocznie.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Pomyślałam, że zwariowałam – wyjaśniła.

– Oni już uważają cię za szurniętą – przypomniał jej.

Uśmiechnęła się.

– Słuchaj, Marcy, to cię przerasta. Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy. Teraz pozwól zająć się tym policji.

– Boję się, że Devon może być w to zamieszana. Nie chcę jej narobić kłopotów.

– Jeżeli twoje podejrzenia są słuszne, i tak już jest za późno.

– A jeśli się mylę?

– A jeżeli masz rację? – odpowiedział pytaniem. – Jeżeli coś stanie się temu dziecku, a ty mogłaś temu zapobiec, jak będziesz się wtedy czuła? Nigdy sobie tego nie wybaczysz.

– Wiem – przyznała. – Tylko nie wiem, czy się przemogę.

Zawodzenie syreny przybliżyło się, przybierając na sile.

– Zadzwoń na policję, Marcy – ponaglił ją Liam.

Patrzyła, jak radiowóz wjeżdża w ulicę i zatrzymuje się na wysokości podjazdu O’Connorów, a wścibska sąsiadka wyłania się z domu i rozmawia z jednym z policjantów, podczas gdy drugi idzie do niej ścieżką.

– Zadzwoń na policję – powtórzył Liam.



– To nie będzie konieczne – odparła.

– Doprawdy, pani Taggart – przywitał ją Christopher Murphy, odchylając się na krześle przy burku i zakładając ręce za głowę. – Musimy przestać się spotykać w takich okolicznościach.

Uśmiechnęła się, doceniając wymuszoną beztroskę starszego rangą policjanta. Miała świadomość, że chętnie zamknąłby ją w celi aż do jej wyjazdu z Irlandii, a najlepiej osobiście odwiózł na lotnisko i wsadził do najbliższego samolotu linii Air Canada lecącego do Toronto. Pomimo pozorów spokoju widziała w jego oczach tę hamowaną furie, która mówiła, że niewiele brakuje, a wyskoczy zza biurka i zaciśnie palce na jej szyi. Wielokrotnie widziała ten wyraz oczu u Petera w tamtych miesiącach przed jego odejściem.

– Jest mi szczerze przykro z powodu kłopotów, które sprawiłam – powiedziała Marcy.

Murphy milczał, jakby spodziewał się usłyszeć „ale”.

– Ale nie zrobiłam nic złego – dokończyła zgodnie z jego oczekiwaniem.

– Ani nic dobrego – natychmiast zripostował.

– To prawda – była zmuszona przyznać. – Jednak, o ile mi wiadomo, nie złamałam żadnych przepisów.

– No, nie wiem. Myślę, że można to podciągnąć pod zakłócanie porządku publicznego.

– Zakłócanie porządku publicznego? To śmieszne.

– W ciągu trzech dni trzykrotnie trafiła pani na posterunek policji – wyliczył. – Nie wspominając o numerze z wczorajszego wieczoru.

– O numerze...? Boże drogi, czyżby ten sukinsyn, Kieran, złożył doniesienie?

– O ile mi wiadomo, wylądowała pani w radiowozie jednego z naszych chłopaków, zajmując cenny czas przeznaczony na patrolowanie. – Ruchem głowy wskazał otwartą teczkę na biurku.

Zrezygnowana zwiesiła ramiona.

– Wie pan o tym – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Marcy Taggart, obywatelka kanadyjska, błąkała się po wzgórzach Cork około dziesiątej w nocy – wyrecytował z pamięci. – Poruszała się chwiejnym krokiem, czuć było od niej alkohol, prawdopodobnie była nietrzeźwa...

– Nic nie piłam.

– Nie? W takim razie co pani tam robiła?

– Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

– O dziesiątej w nocy? Podczas ulewy? Tak daleko od hotelu? – Murphy pokiwał głową, a potem nią pokręcił, jakby spierał się sam z sobą co do dalszego toku postępowania. – Czy w takim razie to samo robiła pani dziś rano? Wyszła, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza?

Milczenie Marcy przyjął kolejnym, wyrażającym znużenie, potrząśnięciem głowy.

– Pani Leary twierdzi, że już wcześniej przyłapała panią na węszeniu przy posesji O’Connorów.

– Ja nie węszyłam – oznajmiła dobitnie i natychmiast pożałowała swego tonu. Christopher Murphy nie był jej wrogiem. Po co go do siebie zrażać? – To wścibska pani Leary jest podglądaczką.

– Widziała, jak pani zagląda do okien jej sąsiadów, skrada się na palcach do bocznego wejścia, zagląda do garażu – wyliczał Murphy, akcentując wszystkie czasowniki.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy O’Connorów na pewno nie ma w domu.

– Nie przekonał pani brak reakcji, gdy pukała pani i dzwoniła do drzwi? – Murphy pokiwał głową.

– Już wyjaśniłam policjantom...

– ...że próbowała pani ich ostrzec – dokończył. W tej samej chwili drzwi biura otwały się i do środka wkroczył Sweeny. Obszedł biurko Murphy’ego i poszeptał mu do ucha, ocierając się wystającym brzuchem o rękaw munduru zwierzchnika. Murphy w odpowiedzi kilkakrotnie skinął głową i Sweeny opuścił biuro, posyłając porozumiewawczy uśmiech Colleen Donnelly, która z nogami skrzyżowanymi w kostkach stała oparta barkiem o ścianę w kolorze złamanej bieli, zachowując się tak cicho, że Marcy zupełnie zapomniała o jej istnieniu.

– Tak, zgadza się – potwierdziła Marcy.

– Że powstał plan, aby porwać ich dziecko.

– Dokładnie tak – potwierdziła ponownie, starając się nie zwracać uwagi na sceptyczny ton, który pobrzmiwał w jego głosie.

– A wnioskuje to pani z....?

– Już mówiłam.

– Proszę jeszcze raz opowiedzieć.

Marcy westchnęła, rozumiejąc, że takie obowiązują procedury. Dlaczego nie, będzie współdziałać, bo jakikolwiek opór nie miał sensu. Nie wypuszczą jej stąd, dopóki nie opowie szczegółowo całej tej historii. I bardzo możliwe, że każą jej potem opowiedzieć wszystko jeszcze raz od początku.

– Podśluchałam rozmowę prowadzoną przez komórkę – oznajmiła i splatając ramiona na piersi, wbiła wzrok w podłogę.

– Może pani na chwilę usiąść prosto?! – warknął Murphy, tonem głosu zmuszając ją do podniesienia wzroku. – Gdzie to było?

– Przed Mulcahy's. – Marcy zerknęła na czarny tymczasowy tatuaż na dłoni. Tusz tylko trochę przybladł, mimo że wielokrotnie usiłowała zetrzeć pieczętkę.

– A co, na litość boską, przyszło pani do głowy, żeby wybrać się w takie miejsce jak Mulcahy's?

– Szukałam córki...

– Znaczy tej Audrey?

– Devon – poprawiła go.

– Ach tak. Racja. Obecnie nazywa się Audrey. Kto pani powiedział o Mulcahy's?

– Spytałam jedną z pokojówek w moim hotelu, czy zna jakieś miejsce popularne wśród młodych ludzi...

– A ona wymieniła Mulcahy's.

– Tak.

– I pani tam poszła.

– Tak.

– Sama?

– Tak.

– Która to mogła być godzina?

– Nie jestem pewna. Chyba około siódmej.

– Mulcahy's jest klubem nocnym. Otwierają dopiero po dziesiątej.

– No i właśnie to odkryłam.

– I postanowiła pani wybrać się na długi spacer – podpowiedział.

– Nie. Najpierw wstąpiłam do pubu.

– Którego?

– Nie pamiętam.

– Nie pamięta pani?

– To było gdzieś nad North Channel. Mieli zespół, który grał irlandzką muzykę. Nazwy pubu nie znam. Czemu pan pyta? Jakie to ma znaczenie? To był jeden z wielu pubów w tamtej okolicy.

– Co pani jadła?

– Nie rozumiem. Czemu mnie pan o to pyta? – Spojrzała na Colleen Donnelly w poszukiwaniu wsparcia, lecz natrafiła na puste, pozbawione wyrazu spojrzenie.

– Pani Taggart, chcę mieć jaki taki pogląd na całą sytuację. Na pewno pani pamięta, co jadła wczoraj na kolację.

– Kanapkę z szynką i serem – powiedziała, przypominając sobie o zamówieniu, które ją ominęło.

– Smakowała?

– Bardzo.

– Miło mi to słyszeć.

– Piła pani piwo?

– Tak.

– Ile

– Tylko jedno.

– Jest pani pewna?

– Jak najbardziej.

Murphy wyciągnął ramiona ponad głowę, po czym przechylił się do przodu, oparł się łokciami o biurko i położył podbródek na splecionych dłoniach.

– No dobrze, ile czasu mogła tam pani spędzić? Godzinę? Może dwie? Po prostu usiłuję ustalić ramy czasowe – wyjaśnił, zanim Marcy zdążyła zaprotestować.

Odkasznęła. Czyżby ten idiota Kieran jednak miał czelność złożyć skargę na policji? Czy Murphy usiłuje wywieść ją w pole tą serią pozornie niewinnych pytań?

– Nie sędzę, abym długo tam siedziała – odparła. – Zjadłam kanapkę, wypiałam piwo i wyszłam.

– I co było dalej?

– Nic. Spacerowałam.

– W deszczu?

– Tu przeważnie pada.

– Tak, niestety to prawda – roześmiał się Murphy.

Marcy odchyliła się na oparcie krzesła, starając się przybrać swobodną pozę, i wysiłkiem woli rozluźniła usta, żeby uśmiech wypadł naturalnie, bo jak się

obawiała, mógł wyglądać na wymuszony. Założyła nogę na nogę i poprawiła włosy, wsuwając kosmyk za ucho.

– Co pani ma na rękawie? – natychmiast zainteresował się Murphy.

– Co? – Szybko opuściła rękę, ledwo spojrzawszy na plamę z zaschniętej krwi.

– Wygląda na krew.

– Krew? – Udała, że się przygląda. – Nie. Oczywiście, że nie. To ketchup.

– Kanapka z szynką, serem i ketchupem, tak?

– To nie krew – powtórzyła głośniejszym głosem, niż zamierzała.

– W takim razie ketchup. W porządku. – Wrócił do pytań, które miały ustalić przebieg wieczoru. – A więc spacerowała pani w deszczu przez kilka godzin, dopóki nie zatrzymał pani posterunkowy Reagan...

– Tak.

– Rozmawialiście jakiś czas w radiowozie, aż do chwili, kiedy dostał zawiadomienie o włamaniu...

– Tak.

– I zamiast wrócić do hotelu, co podobno pani obiecała, poszła pani prosto do Mulcahy's.

– Tak – wyznała skruszona. Czy dla Irlandczyków złamanie obietnicy jest wykroczeniem?

– A w Mulcahy's przypadkiem zobaczyła pani chłopaka, który, według pani słów, kilka dni wcześniej najechał na nią rowerem.

– Tak.

– Był w towarzystwie Shannon, dziewczyny, z którą dopiero co wdała się pani w szarpaninę w Grogan's House.

– Niewłaściwie interpretuje pan to, co się stało w...

– I podsłuchiwała pani, jak planują porwać...

– Nie – przerwała mu, wiedząc, że nie przypadkiem się pomylił. – Podsłuchiwałam Jaksę, gdy rozmawiał przez telefon.

– Kiedy wyszła pani za nim na dwór – uściślił Murphy.

– Tak.

– I on mówił o porwaniu dziecka O'Connorów?

– Niezupełnie.

– A co dokładnie mówił?

– Powiedział, że wszystko idzie zgodnie z planem – zacytowała. – Zażartował, że nazwie to „Operacją Dzidzia Ciacho”.

– „Operacja Dzidzia Ciacho”? – powtórzył *garda* z niedowierzaniem.

– Wiem, że to brzmi idiotycznie.

– I naturalnie założyła pani, że ma na myśli dziecko O’Connorów.

Marcy postanowiła zignorować wyraźny sarkazm płynący ze słowa „naturalnie”.

– Nie, to nie tak. Nie od razu. Wtedy nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

– Kiedy się pani domyśliła?

Zawahała się. Dochodzili do części, której najbardziej się obawiała, momentu, gdy z osoby zakłócającej spokój zmieni się w jego oczach w dziwaczkę.

– Jakiś czas później.

– Później? Co stało się... później?

– Miałam sen – wyznała niechętnie, już widząc oczami duszy protekcyjne miny obojga skonsternowanych policjantów.

– A więc we śnie doznała pani objawienia, czy tak? – zapytał Christopher Murphy, a Colleen Donnelly oderwała się od ściany i przytknęła palce lewej dłoni do ust, żeby ukryć uśmiech.

– Tego nie powiedziałam.

– Przepraszam. Bo wydawało mi się, że tak.

– Sen pomógł mi poskładać wszystko w logiczną całość.

– Może będzie pani tak miła i dokładniej to wytłumaczy.

– Jax powiedział, że wszystko idzie zgodnie planem – powtórzyła podniesionym głosem. – Mówił, że czuje się jak James Bond i że może powinni nazwać swój plan...

– Operacją Dzidzia Ciacho – dokończyli chórem oboje *gardai*.

– Tak. Właśnie. Jednak wszystko musi się opóźnić, bo O’Connorowie wyjeżdżają na kilka dni, i jest zły, bo już czuł zapach pieniędzy.

– Pieniądzy z okupu?

– Tak.

– Czy on dokładnie użył słowa: „okup”?

– Nie. – Marcy pokręciła głową.

– Pani założyła, że to właśnie miał na myśli?

– Nieco pochopny wniosek, nie uważa pani? – wtrąciła się Donnelly.

– A co innego to mogło znaczyć? – Marcy spiorunowała ją wzrokiem.

– Skoro uznała pani, że powstał plan porwania dziecka O’Connorów, dlaczego nas pani nie zawiadomiła? – zapytał Murphy logicznie.

Marcy wzięła głęboki wdech.

– Ponieważ bałam się, że Devon może być w to zamieszana – odpowiedziała po paru sekundach. – Nie chciałam, żeby miała kłopoty; pomyślałam, że jeśli porozmawiam z O’Connorami...

– No i natychmiast pojechała pani ich ostrzec? – podsunął Murphy tonem, który wskazywał, że z góry zna odpowiedź.

Cholera, zakłęła w myślach. Cholera, cholera, cholera.

– Nie.

– Nie zamierzała pani ich ostrzec?

– Nie od razu.

– Poczekala pani do dzisiejszego rana?

Marcy przytaknęła skinieniem głowy.

– A dlaczego, pani Taggart?

– Już powiedziałam. Potrzebowałam czasu, żeby to wszystko sobie ułożyć.

– Bo nie miała pani pewności.

– Byłam zmęczona...

– Zmęczona i dezorientowana... – uzupełnił Murphy.

– Potrzebowałam czasu...

– ...żeby się z tym przespać.

– Tak.

– A więc położyła się pani i wtedy we śnie...

– To nie takie proste, jak pan to przedstawia – zaproponowała Marcy. – Moja podświadomość najwyraźniej usiłowała uporządkować to wszystko.

– I ta pani podświadomość powiedziała, że ten Jax jakiś tam prawdopodobnie działa w zмовie z pani córką, Devon czy Audrey, czy też jak tam obecnie się zowie, z tą samą córką, którą wszyscy, nie wyłączając pani byłego męża, uważają za zmarłą, i że ta para umyśliła sobie, iż Jax uwiedzie opiekunkę O’Connorów, żeby porwać ich córeczkę...

– Proszę mi wierzyć, ja zdaję sobie sprawę, że to wszystko brzmi jak jedno wielkie szaleństwo – powiedziała Marcy.

– Rzeczywiście, ta historia wydaje się nieco naciągana – przyznała Colleen Donnelly.

– Nie jestem szalona – oświadczyła Marcy.

– *Walnięta dziwka!* – usłyszała okrzyk Kierana.

– *To szaleństwo!* – mruknęła Judith.



– Nie jestem szalona – powtórzyła Marcy i łyzy potoczyły się jej po policzkach.

Christopher Murphy obszedł biurko, przysiadł na jego brzegu i przechylił się ku Marcy.

– Pani Taggart, ani trochę nie wątpię, że wierzy pani we wszystko, co nam tu opowiedziała. Wierzę również, że ma pani szlachetne i szczerze intencje.

– Tylko że według pana to, co mówię, nie ma najmniejszego sensu – uprzedziła go Marcy.

– Niech pani spojrzy na to z mojej strony. – Wziął głęboki wdech. – W ciągu ostatnich lat poniosła pani dwie bolesne straty. Dwa lata temu córka prawdopodobnie utonęła w tragicznych okolicznościach, a niedawno odszedł od pani mąż. Jest pani sama w obcym kraju; ma pani nadmiernie pobudzoną wyobraźnię, bo sama pani musi przyznać, że nie do końca zachowuje się racjonalnie. Dwukrotnie znalazła się pani u nas z powodu zakłócania porządku publicznego; wyrzucono panią z hotelu; nasz funkcjonariusz znalazł panią błąkającą się w nocy po ulicach; sypia pani z przygodnie poznanymi mężczyznami...

– Słucham?

– Przepraszam. Nie do mnie należy ocena. Naturalnie, ma pani prawo sypiać, z kim chce.

– W ostatnim ćwierćwieczu sypiałam zaledwie z dwoma mężczyznami – obruszyła się Marcy. – Z własnym mężem i z...

– Mężczyzną poznanym w autokarze – dokończył Murphy. – Rozmawialiśmy z panem Vikiem Sorvinem – dodał, zanim zdążyła się oburzyć.

– Rozmawialiście? Kiedy?

– Zatrzymaliśmy go wczoraj po południu na lotnisku, tuż przed odlotem do Rzymu. Stanowczo zaprzeczył, aby miał cokolwiek wspólnego z dewastacją pani pokoju, twierdząc, że kiedy stamtąd wyszedł, wszystko było w idealnym porządku. Wyraził zgodę na przeszukanie bagażu i rewizję osobistą w związku z zaginięciem kolczyków. Niczego nie znaleźliśmy.

– Dobry Boże! Biedny Vic! – Oczywiście, że nie miał nic wspólnego ze zdemolowaniem jej pokoju. To Jax. On ukradł kolczyki i dał je Shannon.

– A Liam Flaherty? – podpowiedziała Colleen Donnelly.

– Liam? – Zaskoczyła ją, podając nazwisko. On się nazywa Flaherty? – Nie sypiam z Liamem.

– Co dokładnie łączy panią z panem Flahertym? – zapytał Murphy.

Jak dziwnie to brzmi, pomyślała, gdy policjant nazywa Liama „panem Flahertym”. To dodaje mu powagi, której dotąd mu odmawiała.

– To przyjaciel. Już mówiłam, że pomaga mi szukać Devon. Jak pan chce, może go sam o to spytać.

– Nie omieszka. Czeka w pokoju obok.

– Co takiego?

– Sweeny zameldował, że zjawił się jakieś pół godziny temu, bardzo martwiąc się o panią.

– Prosił mnie, żebym się z wami skontaktowała.

– Szkoda, że pani tego nie zrobiła.

Jak wielu innych rzeczy, dodała w myślach.

– Pozwoli pani, że opuszczę ją na moment – powiedział Murphy i wyszedł z pokoju, zanim przyszedł jej do głowy jakiś pomysł, dzięki któremu mogłaby nie pozwolić.

– Bardzo przystojny mężczyzna – zauważyła Colleen Donnelly, kiedy zamknął za sobą drzwi.

– Christopher Murphy?

– Nie, Liam Flaherty. – Colleen się roześmiała.

– Och. No tak. Rzeczywiście.

– Temu Vicowi Sorvinowi też niczego nie brakuje. I jest w bardziej odpowiednim wieku, jeśli wolno mi zauważyć...

Marcy wzruszyła ramionami i wyłączyła się, myśląc o tym, jakie poniżające musiało być dla Vica policyjne „zatrzymanie” na lotnisku połączone z przesłuchaniem i rewizją. Chyba mnie teraz nienawidzi, doszła do wniosku.

– ...i nie wyobrażam sobie, jak można być z tym samym mężczyzną przez dwadzieścia pięć lat – doszły ją słowa Colleen.

– Kawał czasu – przytaknęła.

– Moi rodzice się rozeszli, kiedy miałam dwa lata. Właściwie to nie znałam swego taty. Mama spaliła wszystkie jego zdjęcia, więc nawet nie wiedziałam, jak wyglądał. Wyobrażałam sobie, że jest wysokim, postawnym facetem z rudą czupryną i bujną brodą. Bywa, że kiedy widzę kogoś takiego na ulicy, wyobrażam sobie, że to on, i chodzę za nim, czasami całymi godzinami...

Marcy westchnęła, widząc, że Colleen stara się zdobyć jej zaufanie prawdopodobnie zmyśloną historią.

– Według pani to właśnie robię?

- Czasami tak bardzo czegoś pragniemy...
- Sądzi pani, że chcę, aby moja córka była zamieszana w porwanie?
- Sądzę, że pani chce ją odzyskać... – odpowiedziała Colleen.
- Chyba na tym zakończymy tę rozmowę – odparła szorstko i odchyliła się na oparcie, przymykając powieki. Uniosła je dopiero, gdy usłyszała, jak do pokoju wchodzi Christopher Murphy i mówi, że jest wolna i może już iść.

– Która godzina? – spytała Liama, osłaniając oczy przed rażącym słońcem, kiedy wyszli z komisariatu.

– Dochodzi południe.

– Co?! – Z niedowierzaniem spojrzała na zegarek. – Jak to możliwe?

– Cały ranek spędziłaś na policji.

Pokręciła głową. Pół dnia upłynęło na niczym. Godziny znikają bez ostrzeżenia. Nie zbliżyła się nawet o krok do odnalezienia córki.

– Biorą mnie za wariatkę – poskarżyła się zasępiona.

– Niestety – przytaknął Liam z uśmiechem. – To całkiem prawdopodobne. – Machnął na przejeżdżającą taksówkę. – Hotel Hayfield Manor – rzucił do taksówkarza, kiedy wsuwali się na tylne siedzenie.

– Dzięki, że przyszedłeś.

– Nie ma za co.

– Bardzo cię wymęczyli?

– Nieee. Twardy ze mnie facet.

Marcy umościła się na siedzeniu z czarnej skóry, usiłując ignorować nieprzyjemne ssanie w dołku, które przypominało, że nie miała nic w ustach od niemal doby.

– O co cię pytali?

– O to samo, co ostatnim razem. Jak się poznaliśmy, dlaczego ci pomagam, czy ci wierzę, co wiem na temat wczorajszego wieczoru...

– I co im powiedziałaś?

– Prawdę.

– To znaczy?

– Że nic nie wiem o wczorajszym wieczorze, że poznaliśmy się w pubie, w którym pracuję, że jesteś przekonana, iż widziałaś córkę, i że ci pomagam, bo po pierwsze: polubiłem cię, a po drugie: wierzę ci.

– Dzięki ci za to. – Uśmiechnęła się.

– Nie ma za co – powtórzył. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, co zamierzałaś zrobić?

– Bo wcześniej prosiłaś mnie, żebym nic nie robiła.

– Na wiele się to zdało.

– To było niemądre – przyznała. – Chociaż nie aż tak niemądre jak poranna wyprawa do domu O’Connorów.

– Zgadza się.

– Straciłam wiarygodność w oczach policji. – Ze smutkiem pokręciła głową.

– Myślę, że ta opowieść o planie porwania dziecka O’Connorów mogła przechylić szalę – potwierdził Liam.

– Wiem, że to brzmiało dość dziwacznie.

– Musiałaś im mówić, że odkryłaś ten plan we śnie?

Marcy przeciągle wydmuchwała powietrze przez lekko rozchylone usta. Jestem idiotką, pomyślała.

– I co ja teraz mam zrobić?

– Ty? – podchwycił Liam. Jego podniesiony głos przyciągnął uwagę taksówkarza i Marcy w lusterku wstecznym zobaczyła, jak jego brwi wyraźnie się wygięły. – Ty nic nie będziesz robić. Słyszysz? Nawet nie ruszysz palcem. Chyba że chcesz, aby cię przymknęli i wyrzucili klucz.

– A co, jeśli jednak mam rację? Jeżeli coś się stanie...?

– No to się stanie. Absolutnie nie będą mogli powiedzieć, że nie zostali ostrzeżeni.

– Myślisz, że przynajmniej porozmawiają z O’Connorami? – zapytała z nadzieją.

– Nie sądzę, aby to zajmowało wysoką pozycję na ich liście priorytetów. – Liam wzruszył ramionami.

– A ty byś z nimi nie porozmawiał? – zapytała po chwili milczenia.

– Ja?

– Ktoś musi ich ostrzec. – Marcy dostrzegła, jak pełne rezygnacji spojrzenie przyćmiło na moment blask jego niewiarygodnie zielonych oczu. Spojrzenie, które uświadomiło jej, że również dla niego stała się niewiarygodna. – Chyba że ty też mi nie wierzysz...

– Rzecz nie w tym, czy ci wierzę, czy nie.

– W takim razie w czym rzecz?

– Wierzę, że widziałaś córkę...

– Ale?

- Ale to, że według ciebie może być zamieszana w jakiś podły plan...
- W twoich oczach też przechyliło szalę, prawda? – zapytała, cytując jego wcześniejsze słowa.
- Marcy, oto jak to wszystko wygląda z boku: podsłuchiłaś jedną stronę rozmowy w deszczowy wieczór przed gwarnym klubem nocnym, a potem miałaś pokrecony sen... – Liam westchnął.
- ...który wszystko wyjaśnił – odparła gwałtownie i zamilkła. Była zanadto zmęczona na wałkowanie tej całej historii kolejny raz. Poza tym on miał rację. Tak samo jak Christopher Murphy. I Colleen Donnelly. I John Sweeny. I Judith. I Peter. Do diabła! Oni wszyscy mieli rację. Jej naprawdę odbiło.
- Dobra, posłuchaj – odezwał się Liam. – A niech tam! Jak to się mówi, raz kozie śmierć. Jeżeli to ma ci poprawić samopoczucie, porozmawiam z O’Connorami.
- Naprawdę?
- Jak tylko wrócą. Do tego czasu nic się nie może wydarzyć, prawda?
- No tak, musieli przesunąć swoje plany – zgodziła się z nim. – Co powiesz O’Connorom?
- Nie wiem. Pewnie będę musiał coś wymyślić.
- Pójdę z tobą – zaproponowała z zapalem.
- Nie. Ty będziesz się trzymać od tego z daleka. Rozumiesz? Już dość zrobiłaś. Nie wytkniesz nosa z hotelu. Zgoda?
- Zgoda – obiecała niechętnie.
- To krew? – zaskoczył ją pytaniem, patrząc na rękaw.
- Co? Nie. – Udała, że dopiero teraz zauważyła plamy na swetrze. – Nie mam pojęcia, co to jest.
- Według mnie wygląda na krew.
- Nie. Niemożliwe. Musiałam się o coś otrzeć. – Marcy była zła na siebie, że okłamuje jedyne prawdziwego przyjaciela, lecz w takim razie musiałaby opowiedzieć o Kieranie, i bała się, że Liam, słysząc o jej kolejnych idiotycznych wyczynach, w końcu nie wytrzyma i ucieknie, gdzie pieprz rośnie. – Od dwóch dni chodzę w tych samych rzeczach. Właściwie powinnam kupić sobie jakieś nowe ubrania – powiedziała, widząc, że przejeżdżają obok centrum handlowego Merchant’s Quay. – Może pan się tu zatrzymać? – zwróciła się do taksówkarza, dotykając jego ramienia.
- Na litość boską, Marcy, co ty wyprawiasz?! – krzyknął Liam, kiedy otworzyła drzwiczki i wyskoczyła z taksówki. – Marcy, zaczekaj!

– Liam, dam sobie radę. Naprawdę! – odkrzyknęła, świadoma, jak niedorzecznie to musi wyglądać. – Potrzebuję kilku rzeczy – dodała, widząc, że wysiada i płaci taksówkarzowi. – Nie musisz mi matkować – powiedziała, kiedy dogonił ją w wejściu do Marksa i Spencera.

– Niestety, muszę – odparł.

– Co to ma znaczyć?

– Obiecałem *gardai*, że będę mieć cię na oku – wyznał nieśmiało. – Inaczej by cię nie wypuścili.

– Och!

– Czy moje towarzystwo sprawia ci aż taką przykrość?

Zapatrzyła się na jego piękną twarz i natychmiast zatraciła się w otwarcie namiętym spojrzeniu Liama.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

– Myślę, że znasz już odpowiedź – powiedział, pochylając się ku niej.

Odgadła, że chce ją znowu pocałować. W biały dzień, w zatłoczonym centrum handlowym, w środku tego całego idiotycznego bałaganu, piękny mężczyzna, młodszy od niej o piętnaście lat, zamierza ją pocałować.

A ona, tym razem, odda mu pocałunek.

Może nie jest aż tak szalona, jak się wszystkim wydaje.

– Poczekaj – powiedział, a jego delikatny oddech łaskotał ją po przymkniętych powiekach.

Poczuła, że odsuwa się od niej, a kiedy uniosła powieki, zobaczyła, że kieruje się w stronę wysokich przeszklonych drzwi. Co tam robi? Dokąd się wybiera? Na co patrzy? – zastanawiała się, odprowadzając go wzrokiem.

– O co chodzi?

– Wydawało mi się, że widziałem...

– Audrey? – Marcy poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a ciało sposobi się do biegu w oczekiwaniu na ruch głowy Liama wskazujący kierunek.

– Nie – odparł szybko, kładąc dłoń na jej ramieniu, jakby chciał przytrzymać ją w miejscu. – Przepraszam.

– Kogo widziałeś?

– Wydawało mi się, że to tamten mężczyzna, ten sam, którego widziałem przed twoim hotelem...

– Vic Sorvino? – Marcy pchnęła ciężkie drzwi i z napięciem wodziła wzrokiem po sobotnim tłumie kręcącym się po centrum. – Widziałeś Vica?

– Nie jestem pewien, czy to on – Liam zaczął się wahać. – Cholera. Teraz przez ciebie ja mam zwidy.

Czy możliwe, że Vic nie wsiadł do samolotu do Rzymu po historii z policją? A jeżeli nadal jest w Irlandii, jeżeli przebywa tu, w Cork, a dokładniej, akurat w tej chwili w centrum handlowym Merchant's Quay, to nasuwa się logiczne pytanie: dlaczego? Co tu robi? Śledzi ją?

Po co?

– Nie widzę go – odezwał się Liam, gdy Marcy nadal wodziła oczami po centrum.

– Nie – przyznała kilka sekund później i żeby wyciszyć gwałtowne bicie serca, kilka razy głęboko odetchnęła. Musiała na moment przystanąć, bo zakręciło jej się w głowie.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Liam. – Jesteś trochę blada.

– Przepraszam – odezwała się jakaś kobieta, przeciskając się obok nich do wejścia.

– Naprawdę potrzebuję nowych ubrań. – Marcy usłyszała własny głos, który zdawał się dochodzić gdzieś spoza ciała. Była jak lalka brzuchomowcy, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu, jeżeli ktoś nie pociąga za sznurki.

– Co ci jest potrzebne? – zapytał Liam i rozejrzał się jeszcze raz dokoła, zanim poprowadził ją alejką ze słodyczami w głąb sklepu do działu z damską odzieżą.

Potrzebne mi badanie głowy, pomyślała.

– Wszystko – oznajmiła.

Dwadzieścia minut później, rzucając za siebie nerwowe spojrzenia w poszukiwaniu śladów Vica Sorvina, podeszła do lady z naręczem ubrań. Wybrała dwie pary spodni, czarne i khaki; dwa podkoszulki, biały i beżowy; bawełnianą bluzkę w niebiesko-białe paski; granatową, dwurzędową marynarską kurtkę, kilka par skarpetek, biustonosz, białą flanelową piżamę w różowe kwiatki i sześć par majtek od Calvina Kleina.

– To wszystko – oznajmiła, wręczając zakupy żującej gumę, rudowłosej sprzedawczyni.

– Nie będzie pani niczego mierzyć? – zapytała ekspedientka, która, jak wynikało z identyfikatora, miała na imię Sissy.

– Nie. Na pewno wszystko będzie pasować.

Sissy mlasnęła gumą do żucia, jakby chciała powiedzieć: „Jak tam sobie chcesz”, po czym zaczęła przesuwac czytnikiem po metkach.



- Tu brakuje metki – oznajmiła z pretensją w głosie.
- Och, przepraszam – powiedziała Marcy, w jakimś sensie czując się winna.
- Hej, Adeline! – zawołała Sissy do przechodzącej obok młodej kobiety. – Możesz mi sprawdzić cenę? Ta pani zgubiła metkę.
- Według mnie tej metki od początku nie było – zaprotestowała Marcy.
- Zawsze jest metka – odpowiedziała Sissy, przewracając znudzonymi, brązowymi oczami.
- Osiemdziesiąt osiem euro! – odkrzyknęła Adeline po kilku wlokących się minutach.
- Sissy wystukała odpowiednie cyfry na klawiaturze.
- Razem sześćset czterdzieści cztery euro – obwieściła pomiędzy młasknięciami gumą. Marcy podała jej kartę kredytową. – Jest jakiś problem z pani kartą – oznajmiła Sissy kilka sekund później.
- Co?
- Kod weryfikacyjny nie przechodzi.
- Niemożliwe. Proszę spróbować jeszcze raz.
- Sissy posłusznie przeciągnęła kartę przez terminal.
- Nie. Nie mogę uzyskać potwierdzenia transakcji. Przykro mi.
- Nic nie rozumiem – wymamrotała Marcy, czując, że znowu kręci jej się w głowie.
- Czy możliwe, że zapomniałaś o spłacie karty? – zapytał Liam.
- Nie. Peter się tym zajmuje. I zawsze pilnuje terminów. Jest chorobliwie skrupulatny. Ani dzień wcześniej, ani dzień później. To u niego jak mantra. W kółko powtarza, że banki naliczają odsetki już od pierwszej sekundy zwłoki i dlatego absolutnie nie da im zarabiać na odsetkach od spóźnionej spłaty ani też obracać wcześniejszą wpłatą. I dlatego zawsze wszystko reguluje na czas – dokończyła, czując, jak uginają się pod nią nogi. Wiedziała, że plecie jak najęta, lecz nie potrafiła się powstrzymać, jak gdyby brzmienie własnego głosu utrzymywało ją w pionie.
- Marcy? – odezwał się Liam. – Co z tobą?
- Ma pani inną kartę? – pytała Sissy. – Bo jeśli nie, poproszę o odsunięcie się na bok. Klientki czekają.
- Proszę. – Liam podał swoją kartę ekspedientce.
- Nie – zaprotestowała Marcy, przebijając się głosem przez nagłe dzwonienie w uszach. Dzwony kościoła Świętej Anny, uzmysłowiła sobie, zaskoczona ich

mocą. – Nie mogę się na to zgodzić.

– Rozliczymy się, gdy dojdiesz z tym do ładu.

Z czym „dojdę do ładu”? – zastanawiała się przy coraz bardziej donośnym biciu dzwonów. Z kartą kredytową? Z córką? Ze swoim życiem?

– Proszę tu podpisać – zwróciła się Sissy do Liama, a Marcy zauważyła, jak przesuując paragon po ladzie, musnęła dłonią jego rękę.

– Nic nie rozumiem – wymamrotała, kiedy Liam składał podpis.

Niestety, rozumiała. Bardzo dobrze rozumiała. Peter, zaniepokojony jej ostatnimi poczynaniami, zablokował karty kredytowe. Dzwonienie w uszach przybierało na sile.

– Czy ktoś może uciszyć te przekłete dzwony! – zawołała, gdy dźwięk osiągnął crescendo, a sklep zawirował wokół niej. Nogi zrobiły się miękkie w kolanach. Zanim zemdlą, zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Liam wyciąga ramiona, aby pochwycić ją, zanim osunie się na podłogę.

Obudziło ją pukanie.

– Kto tam? – usiadła na łóżku, usiłując rozpoznać otoczenie. Widok witrażowych okien i pastelomorelowych ścian podpowiedział, że jest w swoim pokoju w Hayfield Manor. Zegar na nocnym stoliku wskazywał szóstą, lecz nie była pewna, czy to szósta rano, czy wieczorem. Dopiero gdy wysiliła wzrok, w prawym dolnym narożniku kwadratowej tarczy dostrzegła wyraźne czerwone literki: p.m. Aha, w takim razie wieczór. To by mogło tłumaczyć, dlaczego ma na sobie sztywną, biało-różową piżamę, którą ledwo kojarzy. Skąd się tu wzięła? Godzina szósta to trochę wczesna pora na spanie. Jest chora? Co się stało z resztą dnia?

– Obsługa hotelowa – doszedł ją głos zza drzwi.

Narzuciła biały frotowy szlafrok, który leżał przerzucony w nogach łóżka, i ostrożnie stąpała po kremowej wykładzinie, wpijając podkurczone palce w miękki wysoki włos, jakby wspinała się po zboczu góry. Przecież niczego nie zamawiałam, przemknęło jej przez głowę.

– Gdzie mam to postawić? – zapytał mężczyzna, kiedy otworzyła drzwi, i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wtoczył wózek na środek pokoju. Kelner miał około trzydziestu lat, kasztanowe włosy, długi, cienki nos i zdumiewająco pełne usta. Biała służbowa marynarka była na niego przynajmniej o jeden rozmiar za duża.

– Chyba zaszła pomyłka – powiedziała Marcy.

Młody człowiek rzucił okiem na rachunek.

– Pokój numer dwieście jedenaście?

– Tak, ale...

– Średnio wysmażony stek, pieczone ziemniaki, masło i kwaśna śmietana oraz piure z marchewki – wyliczał, unosząc lśniąca pokrywki takim teatralnym gestem, że Marcy wolą cofnąć się o krok. – A także sałatka cesarska na przystawkę i babeczka z kremem toffi na deser. Oraz butelka gazowanej wody mineralnej.

Chciała sprostować, że niczego nie zamawiała, lecz cudowny zapach steku i sama myśl o babeczce toffi na deser skłoniły ją do zmiany zdania.

– Może pan to tutaj postawić. – Wskazała miejsce przy łóżku.

– Proszę podpisać rachunek – powiedział kelner.

– *Proszę tu podpisać* – usłyszała, jak Sissy mówi do Liama.

Kiedy to było? Jak dawno temu?

Marcy podpisała się w odpowiednim miejscu i dorzuciła hojny napiwek. No, ciekawe, co Peter by na to powiedział, pomyślała z satysfakcją, kiedy kelner zmierzał do drzwi.

– Peter – wymknęło jej się szeptem i jakieś niejasne wspomnienie otarło się o mózg, jak kot o gołą nogę.

– Przepraszam? – młody człowiek przystanął w pół kroku. – Pani coś mówiła?

– Nie. Przypomniało mi się właśnie... – Peter odciął jej dostęp do karty kredytowej. Kiedy? Czemu? – To nic ważnego.

– Czy mam przysłać kogoś na górę, żeby zaciągnął stopy?

– Nie. Nie potrzeba.

Skinął głową.

– Proszę tylko wystawić wózek na korytarz, kiedy pani skończy posiłek.

– Dobrze.

– Smacznego i spokojnych snów.

Marcy zamknęła za nim drzwi, usiadła na łóżku i rzuciła się na stek. Kiedy ostatni raz coś jadła?

*Kiedy ostatni raz miałaś coś w ustach?* – usłyszała pytanie Liama, a jego twarz zamajaczyła nad jej głową. Kiedy? Gdzie?

Marks i Spencer, przypominała sobie, i godziny, które gdzieś się pogubiły, nagle zaczęły powracać z zawrotną szybkością: poranna jazda taksówką na Adelaide Road; pusty dom O'Connorów; wścibska sąsiadka, policja; komisariat; Liam;

centrum handlowe; Vic Sorvino; kupowanie ubrań; zamieszanie z kartą kredytową; tamto okropne dzwonięcie w uszach; omdlenie; powrót świadomości i głos Liama. *Kiedy ostatni raz miałaś coś w ustach?*

Zmusił ją do zjedzenia zupy, zanim odwiózł ją do hotelu i położył do łóżka.

– Weź – powiedział, podsuwając małą białą tabletkę.

– *Nie chce mi się wierzyć, że zemdlałam... znowu.*

– *Włóż ją pod język* – polecił.

– *Co to?*

– *Pomoże ci zasnąć.*

– *Nie chcę spać* – zaprotestowała słabym głosem bez przekonania.

– *No jasne. Posłuchaj, muszę iść do pracy i nie chcę do końca dnia martwić się o siebie. Każę obsłudze przynieść ci kolację. Do tego czasu masz odpoczywać. Chyba nie chcesz, żeby córka zobaczyła cię półżywą, kiedy ją odnajdziesz, co? No więc bądź tak dobra i weź tę cholerną tabletkę.*

– Wzięłam tę cholerną tabletkę – teraz sobie przypomniła.

Pochłonęła stek z pieczonymi ziemniakami i piure z marchewki, sałatkę, babeczkę z nadzieniem z toffi, wypila całą butelkę wody mineralnej, wystawiła wózek na korytarz, wróciła do łóżka i zapadła w sen. Spała tak aż do rana.

Padła, kiedy się obudziła.

Spojrzała na zegar spod w półprzymkniętych powiek, bo bardziej nie dały się unieść.

– Niemożliwe – mruknęła, przysuwając twarz do tarczy zegara. Naprawdę dochodzi dziesiąta? Aż trudno uwierzyć!

Sięgnęła po telefon, naciskając „zero”, połączyła się z recepcją i usłyszała radosne:

– Dzień dobry, pani Taggart. W czym mogę pomóc?

– Może mi pani powiedzieć, która jest godzina? – poprosiła chrapliwie, nie poznając własnego głosu. O mało nie obejrzała się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikogo tam nie ma.

– Naturalnie. Dochodzi dziesiąta.

– Rano?

Zapadła krótka pauza, a po niej nastąpiło pytanie:

– Pani Taggart, jak się pani czuje?

– Dobrze. Dziękuję. Musiałam mocno spać.

– Lepszego dnia na spanie nie mogła pani wybrać. Pada deszcz i w ogóle jest paskudnie na dworze – poinformowała ją recepcjonistka. – Dzisiaj kto nie musi, najlepiej, żeby nie wytykał nosa z domu.

Marcy spojrzała na okno. Spłachetek ciemnego, ponurego nieba widoczny pomiędzy rozsuniętymi ciężkimi storami w kolorze łososiowym niewiele się różnił od nocy. Strugi deszczu siekły o witrażowe okno niczym garście drobnych kamyków.

– Cholera! – mruknęła Marcy, zapominając, że ciągle trzyma telefon w dłoni.

– Tak, lepiej nie da się tego podsumować – przyznała recepcjonistka. – Czy coś jeszcze mogę dla pani zrobić?

– Mogę prosić o kawę?

– Zaraz przyślę kogoś z termosem. A oprócz kawy? Sok? Jajecznica? Grzanki?

– Wszystko. Sok pomarańczowy, jajka średnio ścięte, grzanki żytne – dodała, zanim się rozłączyła. Potem opadła na poduszkę, przymknęła oczy i znowu zasnęła. Obudziła się pół godziny później, gdy przyniesiono śniadanie.

O drugiej zbudził ją telefon Liama.

– Dzięki Bogu – powiedział, gdy odebrała w połowie trzeciego dzwonka. – Nie odezwałaś się i już zaczynałem się martwić, że znowu cię gdzieś poniosło.

Marcy spojrzała na okno. Nadal lało, a niebo jeszcze bardziej się zaciągnęło. Zerknęła na zegar.

– Proszę, tylko mi nie mów, że jest druga.

– Obudziłem cię? – zapytał zdumiony.

– Powieki same mi opadają. Co ty mi wczoraj dałeś? – Marcy dźwignęła się do pozycji siedzącej.

– Zwykle valium. Nie powinnaś być po nim taka oszołomiona. Może bierze cię jakieś choróbko. Mam wezwać lekarza?

– Nie. Nic mi nie jest. Chyba byłam bardziej zmęczona, niż sądziłam.

– Nic dziwnego – stwierdził. – Od przyjazdu tutaj twój organizm pracuje na najwyższych obrotach. Szczerze mówiąc, aż się dziwię, że jeszcze się trzymasz.

– Zmarnowałam cały dzień – westchnęła ze smutkiem.

– Niczego nie zmarnowałaś. Nie widzisz, co się dzieje na dworze? Możesz mi wierzyć, że poza turystami, którzy nie wiedzą, co z sobą zrobić, wszyscy siedzą w domu. To znak, Marcy.

– Znak?

– Znak, że masz spędzić dzień na luzie i wypoczywać.

– Chyba nic innego mi nie pozostaje – przyznała, czując, że opadają jej powieki i ciąży głowa.

– Zajrzę do ciebie w drodze do pracy.

– Nie. Nie musisz tego robić.

– Nigdy nie robię tego, co muszę – oznajmił. – Tak na marginesie, wybieram się do mojej mamy. Narzeka, że ostatnio rzadko mnie widuje.

– Zdaje się, powiedziałeś, że nie robisz tego, co musisz?

Zaśmiał się.

– Widocznie ta zasada nie dotyczy matek – podsumował przed pożegnaniem.

– Widocznie. – Kiedy odkładała słuchawkę, przyszła jej na myśl matka. Jej nie

dotyczyły żadne zasady.

*Ona żyje we własnym świecie* – zauważyła kiedyś Judith. Niestety Marcy nie potrafiła sobie przypomnieć, czy ta uwaga dotyczyła ich matki, czy może Devon.

Wstała z łóżka, zrzuciła flanelową piżamę na podłogę w łazience, weszła pod prysznic w kabinie z białego marmuru z brzoskwińnymi żyłkami i podstawiając głowę pod strumień ciepłej wody, zastanawiała się, nie po raz pierwszy, jak inaczej mogłaby postąpić, co powinna zrobić inaczej, gdyby była taka jedna rzecz, którą mogłaby zmienić, cofając się w czasie. Taka rzecz, która odmieniłaby życie ich wszystkich i nie doprowadziła do sytuacji, w jakiej znalazła się dzisiaj.

*Za dużo kombinujesz* – zarzuciła jej kiedyś Judith.

*Najważniejsze, żeby przestać myśleć* – uwagę w podobnym stylu usłyszała od Sarah podczas którejś lekcji golfa. *Na tym dzisiaj polega problem z golfistami. To kupa przemądrzalców, którzy mają świra na punkcie kontrolowania wszystkiego, co się da, a próbują grać w grę, której nie da się kontrolować. Więc nie myśl. Po prostu wal.*

Ciekawe, pomyślała, kiedy dokładnie Sarah przestała myśleć i zaczęła się walić z jej mężem. Nie myśl – nakazała sobie, wychodząc spod prysznic. Owinięta dwoma luksusowymi ręcznikami kąpielowymi, wyjęła z torby z wczorajszymi zakupami spodnie khaki i do kompletu beżowy T-shirt oraz nowiutką bieliznę. Spodnie okazały się nieco za obszerne, a T-shirt ciut przyciasny, lecz nie na tyle, aby dało się to zauważyć. Rozczesała mokre włosy, opryskując wodą ramiona, i sięgnęła po telefon. Przestudiowała instrukcję wybierania połączeń międzynarodowych, świadoma, że w tej chwili w Toronto jest jeszcze wczesna pora, chociaż nie aż tak wczesna, by nie można było zadzwonić. Bez namysłu wstukała numer Petera.

– Po prostu wal – powtórzyła na głos.

Po czwartym sygnale włączyła się poczta głosowa.

– *Cześć!* – zaszczebotała radośnie Sarah. – *Połączyłeś się z Sarah Harris...*

– *...i z Peterem Taggartem* – dodał entuzjastycznie Peter, niemal porażając samozadowoleniem.

– *Nie możemy w tej chwili odebrać telefonu* – kontynuowała Sarah.

– O Boże! – jęknęła Marcy, dopiero teraz sobie uświadamiając, że jest weekend i Peter zapewne odwiedza ich syna na obozie, gdzie tego lata Darren pracuje jako wychowawca. Naturalnie, Sarah, uśmiechnięta, rozszczębiotana i jak zwykle uczynna do obrzydzenia, wisi u jego boku. O, taką właśnie matką powinna być. Nic dziwnego, że Darren przebąkiwał coś o przeprowadzce do nowego domu ojca

po powrocie z obozu.

– *Jeżeli po sygnale nagrzasz krótką wiadomość, podając nazwisko i numer telefonu – informował Peter – oddzwonimy najszybciej, jak to możliwe.*

– *Pa i miłego dnia!* – dorzuciła Sarah tuż przed sygnałem.

– *Bardzo chciałabym mieć miły dzień – odpowiedziała im Marcy. – Niestety ktoś odciął mi dostęp do kredytu na karcie. W związku z tym niech ten pan z uroczym uśmiechem i z równymi zębami jak najszybciej zajmie się tą sprawą, bo inaczej po powrocie do domu pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie pieprznik z rozwodem. A wrócę razem z twoją córką – dorzuciła na dokładkę. I nadal nieusatysfakcjonowana, zakończyła: – Pa i walcie się! – Po czym trzasnęła słuchawką o widelki.*

Mieli rację, pomyślała, śmiejąc się na głos. Dobrze jest nie myśleć, tylko walić. Jakie to wspaniałe uczucie!

Wspaniałe uczucie trwało mniej więcej dziesięć sekund.

Potem poczuła się parszywie.

– *Boże, co ja zrobiłam? – jęknęła. Peter się wścieknie. Ta wiadomość jeszcze mocniej utwierdzi go w przekonaniu, że ma do czynienia z wariatką. Nie ma mowy, aby odblokował jej kartę. – Cholera! I co teraz?*

Szybko wybrała inny numer.

– *Błagam, bądź w domu. Tylko bądź w domu.*

Oczami duszy zobaczyła siostrę, jak po porannym treningu siedzi w kuchni przy stole z białego kamienia nad rozłożoną „Sunday Star” i popijając kawę z ogromnej filiżanki, przegląda strony z nekrologami. Od śmierci matki Judith regularnie studiowała nekrologi, zwracając szczególną uwagę na wiek zmarłych.

*Po prostu poprawia mi się samopoczucie, kiedy widzę, że niektórzy z nich byli młodsi ode mnie – wyznała zawstydzona. Wiem, że to zabrzmi dość makabrycznie, ale dzięki temu mam wrażenie, że udało mi się coś osiągnąć.*

– *Halo? – Siostra odebrała telefon po pierwszym dzwonku.*

– *Cześć, Judith!*

– *Marcy! Gdzie ty, do diabła, jesteś?!*

– *Nadal w Irlandii.*

– *Cholera!*

– *Judith, posłuchaj, potrzebuję twojej pomocy.*

– *Zdecydowanie potrzebujesz pomocy.*

– *Judith...*



- No dobra. O co chodzi?
  - Potrzebuję pieniędzy.
  - Co?
  - Jestem spłukana. Peter zablokował mi karty kredytowe.
  - No to wracaj do domu.
  - Musisz mi przysłać pieniądze przekazem – kontynuowała Marcy, udając, że tego nie usłyszała. – Niedużo. Trzy tysiące dolarów powinno wystarczyć. Nie prosiłabym cię, ale nie mam przy sobie mojej karty bankomatowej i kończy mi się gotówka...
  - Trzy tysiące dolarów?! – powtórzyła Judith z niedowierzaniem.
  - Oddam ci.
  - Po co ci trzy tysiące dolarów?
  - Musiałam kupić parę rzeczy. To długa historia.
  - Lubię długie historie.
  - Uwierz mi, ta by ci się nie spodobała.
  - Masz jakieś kłopoty?
  - Nie. Poważnie. Posłuchaj, jeśli boisz się o pieniądze, obiecuję, że zwrócę zaraz po powrocie.
  - Czyli kiedy?
  - Wkrótce.
  - A dokładniej?
  - Gdy tylko odnajdę Devon – odpowiedziała, widząc oczami wyobraźni, jak siostra opuszcza głowę z rezygnacją.
  - Mówiłaś, że się z tym uporałaś. Powiedziałaś mi...
  - Ona była szczęśliwa, prawda? – przerwała jej Marcy. – Nie zawsze chodziła ponura i smutna. Były takie chwile, kiedy Devon była szczęśliwa. Powiedz, były?
  - Oczywiście, że były. – Głos Judith złagodniał.
- Marcy przebiegła w pamięci ostatnie tygodnie przed zniknięciem Devon, czas, kiedy córka wydawała się szczęśliwa. Była wyciszona, uśmiechała się pogodnie i szczerze, głos miała spokojny i wyważony. Czy to wtedy powstał plan ucieczki z kraju?
- Naturalnie Judith, podobnie jak Peter, utrzymywała, że wyciszenie się Devon miało zupełnie inne podłoże: ludzie, którzy planują samobójstwo, często uspokajają się, kiedy dojrzejże w nich decyzja o zakończeniu życia.
- To jak, przyslesz mi te pieniądze? – zapytała błagalnym głosem, odsuwając od

siebie ponure myśli. Nie myśl, skarciła się.

– Gdzie mam je wysłać? – spytała Judith po chwili wahania.

Teraz z kolei Marcy się zawahała. Nie bardzo miała ochotę wyjawic miejsce pobytu. Jednak nie miała wyboru.

– Przyślij je do hotelu Hayfield Manor w Cork. – Wzięła do ręki notatnik leżący przy telefonie i podyktowała dokładny adres. Wyobraziła sobie, jak Judith zapisuje go na gazecie ponad kolumnami nekrologów niedawno zmarłych mieszkańców Toronto.

– Jesteś w Cork? Myślałam, że siedzisz w Dublinie.

– Wyślesz pieniądze pocztą kurierską, tak żebym je dostała następnego dnia? – nie tyle spytała, co zażądała Marcy.

– Jutro z samego rana pójde do banku. Do wtorku powinny dojść.

– Dziękuję.

– Marcy, proszę...

– Muszę już iść – Odłożyła słuchawkę. Przez kilka minut trwała w ciszy, wsłuchana jedynie w bicie serca, które jak metronom odmierzało sekundy. Potem przy akompaniamencie swej nowej mantry – nie myśl, nie myśl, nie myśl – zerwała się na równe nogi, raz jeszcze spojrzała na deszcz siekający w okno, złapała za nową kurtkę, wzięła torebkę i skierowała się do drzwi.

\*

Dostrzegła go, gdy tylko weszła do holu.

Stał, częściowo ukryty za filarem przy szerokich mahoniowych schodach, i może by go przeoczyła, gdyby nie przystanęła przy recepcji, żeby zapytać, gdzie mogłaby wypożyczyć parasolkę.

– Naprawdę chce pani wyjść w taką pogodę? – zapytał recepcjonista z niedowierzaniem.

Tymczasem Marcy zdążyła już odejść od recepcji, zmierzając do mężczyzny stojącego za filarem. On, najwyraźniej wyczuwając jej obecność, ze spuszczonym wzrokiem cofnął się kilka kroków, jakby chciał wtopić się w otoczenie.

– Co tu robisz? – zapytała bez wstępów.

Vic Sorvino z ociąganiem podniósł wzrok, wyraźnie speszony, że go nakryła.

– Marcy – odezwał się, a brzmienie jej imienia w jego ustach natychmiast

odebrało jej władzę w nogach.

Rany boskie, co się ze mną dzieje, zniecierpliwiła się.

– Co tu robisz? – zapytała ponownie.

– Dobre pytanie.

– A jaka jest odpowiedź?

– Nie wiem. – Sądząc po jego minie, czuł się równie zmieszany jak ona.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie.

Stali tak przez kilka sekund. Marcy nie mogła oderwać od niego oczu, chociaż, jak sobie tłumaczyła, nie było powodu, żeby aż tak się w niego wpatrywać. Liam był od niego znacznie atrakcyjniejszy, a niech to! Nawet Peter wydawał się bardziej przystojny. Ale w Vicu było coś takiego... Może sprawiał to sposób, w jaki na nią patrzył. Może sekret krył się w palącym spojrzeniu intensywnie niebieskich oczu, które wpatrzone w jej oczy, zdawały się przenikać najgłębsze tajemnice. To groziło prawdziwą zażyłością. Dlaczego tak źle go traktowała? Bo wiedziała, że kiedy zobaczy, jaka ona jest, jaka naprawdę jest, tęsknotę na jego twarzy zastąpi odraza i z krzykiem weźmie nogi za pas?

Jak prawie wszyscy, których kochała.

Matka.

Peter.

Devon.

Nie patrz tak na mnie, chciała mu powiedzieć. Niektórych tajemnic lepiej nie poznać.

– Śledzisz mnie? – zapytała, przypominając sobie wczorajszą sytuację w centrum handlowym.

– Nie.

– To co właściwie robisz? Byłeś wczoraj w centrum handlowym?

– Może usiądziemy. – Podprowadził ją do najbliższej kanapy. Zapadł się w miękkie, obite morelowym pluszem siedzenie obok niej i wziął ją za rękę.

– Byłeś tam czy nie? – zapytała jeszcze raz, usiłując zignorować błogie mrowienie w ramieniu.

– Tak.

– Nie rozumiem. Dlaczego? – Szybko cofnęła dłoń i położyła ją na kolanach.

Pokręcił głową, westchnął ciężko i jeszcze raz pokręcił głową, jakby sam nie do końca wierzył w to, co za chwilę powie.

– Po przesłuchaniu przez *gardai* w związku z włamaniem do twego pokoju postanowiłem zostać tu jeszcze parę dni. Poprosiłem tego policjanta, Murphy'ego, żeby mnie na bieżąco informował. – Odchrząknął i po raz trzeci pokręcił głową. – Zadzwoił do mnie wczoraj i powiedział, że przywieziono cię do komisariatu. Natychmiast tam poszedłem, licząc, że uda mi się z tobą porozmawiać, przekonać cię, że nie miałem nic wspólnego ze zniszczeniem twoich rzeczy...

– Ani przez moment nie pomyślałam, że ty to zrobiłeś – przerwała mu.

– W takim razie dzięki.

– Nikt mnie nie poinformował, że czekasz.

– Mniejsza o to. W każdym razie wyszłaś z tym młodym barmanem z pubu, a ja... sam nie wiem... Po prostu poszedłem za wami. I nie pytaj mnie dlaczego.

– Dlaczego? – jednak zapytała.

– Chyba dlatego, że się o ciebie bardzo martwiłem. Nadal się martwię.

– Niepotrzebnie.

– Ktoś włamuje się do twego pokoju, niszczy twoje rzeczy, sama przyznasz, że jest się czym martwić.

– Ale to nie twoje zmartwienie.

Vic siedział nieruchomo przez kilka sekund. Potem wziął głęboki oddech, jakby wdychał znaczenie tego, co od niej usłyszał.

– Nie, pewnie nie. – Kąciki ust wygięły mu się nieznacznie w kpiącym uśmiechu. – No tak, przyznaję, jestem dość tępy w tych sprawach, ale w końcu nawet u mnie zapala się ostrzegawcze światełko. – Podniósł się z kanapy. – Przepraszam. Więcej nie będę cię niepokoić.

– Znasz moją córkę? – rzuciła za nim, zdziwiona tym, co zrobiła, bo wcale nie zamierzała go o to pytać.

– Co?

Chyba go zaskoczyła.

– Moją córkę. Znasz ją?

– Nie. Oczywiście, że nie. Skąd miałbym znać Devon? – Vic rozejrzył się niepewnie.

Ta swoboda, z jaką wymówił jej imię!

– Nigdy się nie spotkaliście?

– Marcy, mówisz bez sensu. Jesteś z Toronto. Ja mieszkam w Chicago. Jakim sposobem miałbym znać twoją córkę?

– Masz rację. Przepraszam. Naturalnie, że nie możesz jej znać – natychmiast się

zmitygowała. – O co chodzi? – spytała, widząc, że Vic zatrzymuje wzrok na wejściu do hotelu.

– Zdaje się, że masz gościa – powiedział.

Powiodła oczami za jego spojrzeniem i zobaczyła Liama. Akurat wchodził do środka, strzepując krople deszczu przesadnym wstrząśnięciem ramion.

– Liam! – Podniosła się z kanapy i szybkim krokiem podeszła do niego. – Co tu robisz?

– Właśnie chciałem zapytać cię o to samo. Chyba się nigdzie nie wybierasz w taką pluchę? – zarzucił oskarżycielskim tonem, jakby z góry znał odpowiedź.

– Podobno miałeś odwiedzić matkę.

– Postanowiłem najpierw zajrzeć do ciebie – odparł. – I z tego co widzę, dobrze zrobiłem. – Pochylił się i pocałował ją w usta. – Przynoszę nowinę.

– Jaką nowinę? – spytała, czując na wargach ślad jego pocałunku. Obejrzała się przez ramię na Vica, świadoma, że on też to poczuł.

Jednak kanapa przy schodach była pusta.

Vic znikł.

Dochodziła szósta rano, kiedy Marcy w końcu zrezygnowała z dalszych prób złapania odrobiny snu. Miała za sobą nieprzespaną noc. Wiercąc się i rzucając na łóżku, usiłowała uporządkować wydarzenia z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Diabła tam! Dlaczego ma poprzestać na dwudziestu czterech godzinach? A co z ostatnimi dwudziestoma czterema latami?

– Przynoszę nowinę – obwieścił Liam.

– Jaką nowinę?

– Przejechałem obok domu O’Connorów. Nie pytaj dlaczego.

– Dlaczego? – zapytała teraz. Dlaczego, powtórzyła jeszcze raz, w myślach. Usiadła na łóżku i obejmując kolana ramionami, zapatrzyła się w okno. W ostatnich godzinach deszcz przestał padać. Czy to znak?

– *To znak, Marcy – powiedział Liam. – Znak, że masz spędzić dzień na luzie i wypoczywać.*

– *Martwiłem się o ciebie – wyznał Vic. – Nadal się martwię.*

– *Nie musisz się o mnie dłużej martwić – dobiegł ją szept Devon z szarej porannej mgły za oknem. – Jest mi dobrze, mamuś. Jestem szczęśliwa.*

– *Od dawna nie jest między nami dobrze – zarzucił Peter.*

– W domu paliły się światła – doniósł jej Liam wczoraj po południu.

– *Przyznaję, jestem dość tępy w tych sprawach, ale w końcu nawet u mnie zapala się ostrzegawcze światełko.*

– Musieli wcześniej wrócić do domu.

– *Doszło do tego, że nie mam chęci wracać do domu – oznajmił Peter.*

– Są w domu?

– *Może gdybyś częściej próbował to robić.*

– Nie w tym rzecz.

– A w czym?

– *Problem w tym, że nie jestem szczęśliwy. Oboje nie jesteśmy.*

– Szczęście – powiedziała teraz na głos. Zabawne słowo. Co ono właściwie

znaczy?

- *Jest mi dobrze, mamuś. Jestem szczęśliwa.*
- *A niech tam, powiedziałem sobie – relacjonował Liam. – Zadzwońię do nich.*
- *Zadzwońiłeś do O'Connorów?*
- *To było łatwe. Znalazłem ich w książce telefonicznej.*
- *Nie ułatwiasz mi sprawy.*
- *Co im powiedziałeś?*
- *Co chcesz przez to powiedzieć?*
- *Hmm, Shannon odebrała telefon.*
- *Kocham inną kobietę.*
- *Idealnie się złożyło, bo właśnie z nią chciałem porozmawiać.*
- *Kochasz inną kobietę? Kto to jest, na miłość boską?*
- *Sarah.*
- *Sarah? Nasza instruktorka golfa?*
- *W twoich ustach to zabrzmiało jak obelga.*
- *Jak długo to trwa?*
- *Niedługo. Parę miesięcy...*
- *Jesteśmy dwadzieścia pięć lat po ślubie. Jedziemy do Irlandii z okazji rocznicy.*
- *Byłem żonaty przez prawie dwadzieścia trzy lata – wtrącił Vic, potwierdzając obecność w jej myślach.*
- *Wyjaśniłem, kim jestem – opowiadał Liam – i zapewniłem ją, że nie chcę narobić jej żadnych kłopotów, ale musi uważnie wysłuchać tego, co mam do powiedzenia.*
- *A co ona na to?*
- *Któregoś dnia Kathy powiedziała, że jakoś dziwnie się czuje.*
- *Nic nie powiedziała. Jedynie słuchała.*
- *Trzy miesiące później już nie żyła.*
- *Siadajcie, dziewczynki – powiedział dyrektor szkoły. – Mam dla was bardzo złą wiadomość.*
- *I co jej powiedziałeś?*
- *Pozostaliśmy w komnatach tego morza...*
- *Że wiem, iż w piątek wieczorem była z Jaksem w klubie i że dostała od niego kolczyki, które on ukradł z pokoju w hotelu...*
- *Z nimfami w girlandach alg z brązu i czerwieni...*
- *Strasznie się zdenerwowała, zaklinała się, że nie miała pojęcia, iż kolczyki były*

kradzione. Błagała mnie, abym nic nie mówił O'Connoram i nie szedł z tym na policję.

– *Marcy, przyjechała policja.*

– Powiedziałem jej, iż mam powody przypuszczać, że Jax i Audrey chcą ją wmanipulować w porwanie dziecka O'Connorów.

– *Znaleźliśmy wywrócony kajak...*

– *Mój Boże, jak ona to przyjęła?*

– *Naturalnie bardzo się zdenerwowała...*

– *Czy córka państwa cierpiała ostatnio na depresję?*

– *Co powiedziała?*

– *Nie, to nieprawda. Mylicie się...*

– *Że na pewno się mylę, że to niemożliwe...*

– *Aż zbudzi nas głos ludzki...*

– *Jakoś udało mi się ją przekonać. A może po prostu się bała, że wpadnie w kłopoty i straci pracę.*

– *Nasza córka nie żyje, Marcy.*

– *Marcy, Devon nie żyje.*

– *W każdym razie zgodziła się nam pomóc.*

– *Co takiego?*

– *Shannon zgodziła się pomóc nam skontaktować się z twoją córką – powiedział Liam, na chwilę uciszając pozostałe głosy w jej głowie.*

– *W jaki sposób?*

– *Ma skontaktować się z Audrey i umówić na spotkanie...*

*Marcy wstrzymała oddech w oczekiwaniu na dalszy ciąg.*

– *Tyle że to nie Shannon się z nią spotka... – Liam zawiesił głos.*

– *To będę ja – wyszeptała teraz, tak samo jak poprzedniego dnia.*

– *To będziesz ty – przytaknął.*

– *Sądziś, że Shannon postąpi tak, jak mówiła?*

– *Myślę, że jest za bardzo wystraszona, by cokolwiek kombinować. Boi się, że pójdziemy na policję w związku z kolczykami albo, co gorsza, powiemy O'Connoram o Jaksie i wyleci z pracy. Jestem pewien, że Shannon to dla nas załatwi.*

Marcy wstała z łóżka i podeszła do okna. Wpatrzona w szary horyzont poza nasiąkniętym deszczem ogrodem, obserwowała, jak wypełniają go obrazy z wczorajszego dnia. Ogród zmienił się w hotelowy hol, krzewy przybrały kształt



kanapy, z drzew w tle powstały szerokie mahoniowe schody, a trawa stała się elegancką wykładziną.

– Jak myślisz, kiedy może dojść do tego spotkania? – zadzwęczało jej w uszach pytanie, które zadała Liamowi.

– Powiedziała mi: „Może nawet jutro”.

– Jutro?

To dzisiaj, uświadomiła sobie, drżąc pomimo ciepłej pizamy.

– Shannon powiedziała, że zadzwoni do Audrey, gdy tylko O’Connorowie pójdą spać, i spróbuje coś wymyślić.

– Myślisz, że Audrey może coś podejrzewać?

– Nieee. Niby czemu? Przecież są koleżankami, tak? A koleżanki umawiają się na spotkania.

– Pewnie tak.

– Co się dzieje? – spytał Liam. – Chyba nie masz cykora?

Czy ma?

– Po tym wszystkim, co się działo, to wydaje się zbyt proste...

– Proste czy nie, nic z tego by nie było, gdyby nie pazerność – powiedział Liam.

– Pazerność?

– No tak. Gdyby ten twój Jax nie był pazerny, gdyby plądrując pokój, nie zobaczył kolczyków i nie zwinął ich, nie mielibyśmy punktu zaczepienia. Shannon prawdopodobnie kazałaby mi spadać, zanim zdążyłbym wytłumaczyć, z czym dzwonię, a tak musi być grzeczna. – Roześmiał się. – A nie mówiłem, że w końcu wszystko się ułoży?

A jeżeli nie...? – pomyślała teraz.

– *Pozostaliśmy w komnatach tego morza/ Z nimfami w girlandach alg z brązu i czerwieni...*

– To nie koniec – powiedziała na głos.

– *Aż zbudzi nas głos ludzki...*

– To nie koniec.

– *I tak utoniemy.*

– To nie koniec.

– *Nasza córka nie żyje, Marcy.*

Devon nie utonęła.

– To nie koniec.

– *A więc to tak?* – zwróciła się Marcy do swego męża, tego samego od prawie

dwudziestu pięciu lat, widząc jego cień przy bramie ogrodowej. – *Postanowiłeś odejść?*

– *Tak będzie lepiej, Marcy. Dobrze o tym wiesz. Jeżeli zostanę, znienawidzimy się.*

– *Za późno – wytknęła mu. – Ja już cię nienawidzę.*

– *To przykre. Miałem nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. Przecież mamy jeszcze syna.*

– *Nie musisz mi przypominać, że mam syna.*

– *Jesteś tego pewna?*

Niech cię szlag, Peter! – przeklęła go w duchu, widząc, jak jego postać powoli się rozwiewa i ogród odzyskuje zwykły wygląd. Niech cię szlag trafi za to, co powiedziałaś.

Wróciła do łóżka, podniosła słuchawkę i szybko wystukała numer komórki Darrena. Odebrał po trzech sygnałach, lecz zamiast jego głosu usłyszała przytłumiony szurgot i ciężkie westchnienie.

– Halo? – odezwała się. – Halo, Darren? Darren, jesteś tam?

– Mama? – wyszeptał senny głos.

– O mój Boże! – jęknęła, teraz dopiero przypominając sobie o różnicy czasu. – Przepraszam. Czy ja cię obudziłam?

Wyobraziła sobie syna zwiniętego w kłębek na wąskim łóżku w drewnianej chacie, którą dzieli z ośmioma dziesięcioletnimi podopiecznymi, i domyśliła się, że szepce, aby ich nie pobudzić. Odziedziczone po niej brązowe loki na pewno sterczą potargane, a powieki opadają na poważne piwne oczy, które przypadły mu w spadku po Peterze.

– Nie szkodzi – powiedział. – Czy coś się stało? – zapytał zdenerwowany. – Coś z tatą? Miał wypadek w drodze do domu? – Ponaglał ją serią pytań.

– Nie było żadnego wypadku – uspokoiła go, czując ukłucie zazdrości w związku z tą troską o Petera.

– Nie dostał zawału ani nic w tym rodzaju, co? Po południu wyglądał normalnie.

– Twojemu ojcu nic nie jest – odparła z naciskiem.

– Nie rozumiem. – Resztki senności znikły z jego głosu. – W takim razie czemu dzwonisz?

– Po prostu chciałam z tobą porozmawiać.

– O pierwszej w nocy?

– Przepraszam. Zapomniałam o różnicy czasu.

– O różnicy czasu? O czym ty mówisz? – zdziwił się Darren.

– Tata ci nie powiedział?

– O czym?

– Jestem w Irlandii.

– Jesteś w Irlandii? – powtórzył z niedowierzaniem.

Po tym pytaniu Marcy usłyszała niewypowiedziane: *Zwariowałaś?*

– Przykro mi, że nie mogłam być u ciebie w dzień odwiedzin – wyznała.

– Czemu? Nigdy nie przyjeżdżasz w dni odwiedzin.

– To nieprawda – zaprotestowała i zaraz ugryzła się w język. Niestety tak było. Zawsze znajdowała jakieś wytłumaczenie, by nie jechać do Maine: Devon źle się czuje; Devon nie ma ochoty jechać, a ona woli nie zostawiać jej samej; Devon znowu wpada w nastroje i nie chce brać leków. Po znalezieniu wywróconego kajaka na środku Georgian Bay, przygnieciona żalobą, w ogóle nie miała siły ruszać się z domu. Ledwo wyczołgiwała się z łóżka.

– Jaką masz pogodę? – spytała.

– Pytasz mnie o pogodę?

– Tutaj prawie codziennie pada.

– Właściwie co ty tam robisz? – spytał Darren.

– Nie wiem – wyznała.

– Nie mieliście przypadkiem pojechać tam z tatą na powtórny miesiąc miodowy?

– Taak, jak sam wiesz, nie wszystko poszło zgodnie z planem, prawda?

– Czy ciocia Judith jest z tobą?

– Nie.

– Jesteś sama?

– No. Właściwie to całkiem miłe. Nigdy dotąd nie miałam okazji pobyć sama.

– Mamo, co się dzieje?

– Nic się nie dzieje.

– Przechodzisz załamanie nerwowe?

– Co? Nie, absolutnie nie.

– Jesteś w Irlandii – wyliczał. – Dzwonisz do mnie o pierwszej w nocy.

– Nie mam załamania nerwowego.

– Nie chcesz chyba zrobić czegoś szalonego, co? – Natychmiast uściślił to pytanie. – Bardziej szalonego od tego, co zwykle.

– Darren, nie zamierzam się zabić.

– Jesteś pewna? Bo nasza rodzina jest w pewnym sensie obciążona.

– Twoja siostra się nie zabiła.

- Tata mówi, że tak.
- Tata się myli.
- Mamo...
- Posłuchaj, będę kończyć. Musisz się wyspać.
- Jasne – przytaknął po kilku sekundach zwłoki. – Jak chcesz.
- Kocham cię – powiedziała na pożegnanie.
- Taak. Dobranoc, mamo.

Odłożyła słuchawkę. No i tak to jest, pomyślała. Jej syn nie potrafił wydusić z siebie: „Kocham cię”, nawet kiedy się boi, że mogłaby popełnić samobójstwo. Czy ma prawo mieć o to pretensje? Całymi latami nie odczuwał jej obecności w swoim życiu. Devon zabierała jej całą energię, wysysała z niej wszystkie matczyne soki. A i tak zawiodła córkę. Jestem beznadziejną matką, stwierdziła.

– Och, proszę cię – zniecierpliwiła się Judith, zjawiając się bez uprzedzenia. – *Dość tego samobiczowania. Nie byłaś beznadziejną matką. Mam ci przypomnieć, jak wygląda prawdziwie beznadziejna matka?*

Starła się, jak mogła, odpowiedziała Marcy bezgłośnie.

– *Ty też się starałaś.*

– Mój syn mnie nie cierpi. Moja córka jest...

– *Jaka jest?* – podchwyciła Judith, a pytanie zabrzmiało tak wyraźnie, jakby siostra stała obok niej. – *Jaka jest twoja córka, Marcy?*

Co ja zrobiłam? – zastanawiała się. Co ja robię?

Powoli, jakby stopy miała oblane cementem, podeszła do biurka i wzięła torebkę. Usiadła na dywanie, otworzyła ją i wyjęła mocno już podniszczoną kopertę. Zdjęcia Devon ułożyła w półkolu nad fotografią matki i pieszczotliwie powiodła opuszkami palców po uwiecznionych tam twarzach.

Potem wyciągnęła drugą kopertę, rozłożyła kartkę i pochyliła się nad nią.

*Moja cudowna Mamus* – przeczytała i zawahała się. Czy na pewno tego chce? A czy ma wybór?

Zaczęła jeszcze raz, od początku. Głos Devon przebijał przez każde słowo.

*Moja cudowna Mamus, nie liczę, że zrozumiesz to, co zamierzam zrobić. Proszę Cię, nie bądź na mnie zła i uwierz, że ta decyzja nie przyszła mi łatwo. Wiem, ile bólu Ci sprawiłam. Uwierz mi, kiedy mówię, że nie chcę Cię dłużej ranić.*

Marcy zobaczyła siebie, gdy po odjeździe policji biegnie do sypialni Devon i znajduje zaadresowany do niej list, ułożony starannie na poduszce. Chowa go pospiesznie do kieszeni, zanim Peter zdąży do niej dołączyć i zażąda, by go

pokazała.

– Nie zostawiła żadnej wiadomości? – zapytał, moment później stając w drzwiach poszarzały na twarzy.

– Żadnej – skłamała. Odczekała, aż zostanie sama, i otworzyła list. Tamte pierwsze straszne zdania, zdania, które zdawały się sugerować...

– Nie – powiedziała teraz, tak samo jak powiedziała sobie wtedy, i wsunęła list z powrotem do koperty. Jednak po chwili ponownie go wyjęła.

*Ostatnie lata – czytała z wysiłkiem – stanowiły dla mnie jedno pasmo udręki, bólu i rozpacz. Z całego serca tego żałuję, bo wiem, jak było Ci ciężko. Jednak mam nadzieję, że Ty też rozumiesz, jak mi było ciężko. Czasami przetrwanie wlokącego się bez końca dnia wymagało nadludzkiego wysiłku. Dotarłam do punktu, gdzie nawet powiedzenie: „Dzień dobry” sprawia ból, bo widzę w Twoich oczach nadzieję związaną z powitaniem. A potem muszę patrzeć, jak ta nadzieja gaśnie wraz z upływem dnia. Jeden dzień sączy jad w następny. Każdy kolejny jest gorszy od poprzedniego. Ale najgorsze są noce.*

*Czuję się tak, jakbym zapadała się w bezdenną otchłań smutku, z której nie umiem się wydobyć, chociaż wyciągasz do mnie ręce i rozpaczliwie próbujesz wydobyć mnie na powierzchnię. Studnia jest za głęboka, a woda za zimna. Czuję, że tonę i coraz bliżej mi do dna. I już wiem, że poddanie się jest jedynym wyjściem.*

*Szczerze Ci wyznam, że od lat nie czułam się taka pogodna, lekka i pełna energii. I chociaż to może brzmieć dziwnie, jestem naprawdę szczęśliwa. Teraz, kiedy wiem, co muszę zrobić, wracają do mnie wszystkie dobre, dzielone z Tobą chwile: poranki, gdy towarzysząc Ci w kuchni, rysowałam przy kuchennym stole; wieczory, kiedy czuwałaś przy moim łóżeczku, cierpliwie czekając, aż zasnę; popołudnia, gdy przytulone do siebie na kanapie oglądałyśmy Ulicę Sezamkową, a później Żar młodości. Jaka czułam się wtedy dorosła! Pamiętam, jak zaprowadziłaś mnie na Dziadka do orzechów (nie miałam wtedy nawet czterech lat) i pozwoliłaś mi tańczyć w przejściu, gdy Cukrowa Wróżka tańczyła na scenie, i z jaką dumą biłaś mi brawo, kiedy skończyłam. Pamiętam też, jak poszłyśmy kupować buty. Miałam wtedy piętnaście lat. Wydałaś na botki dla mnie więcej niż na buty dla siebie, bo widziałaś, jak bardzo mi się podobały. Pamiętam, jak przychodziłaś na wszystkie szkolne przedstawienia, w których występowałam, i jak dopingowałaś mnie podczas zawodów pływackich. I jaka byłaś ze mnie dumna, obojętnie czy wygrałam, czy zajęłam beznadziejne czwarte miejsce.*

*Najbardziej jednak utkwily mi w pamięci nasze cudowne wakacje spędzane w domku letnim. Za dnia pływałyśmy na kajaku, wygrzewałyśmy się na słońcu i chodziłyśmy na długie spacer po lesie. Wieczorem przy grillu rozmawiałyśmy jak przyjaciółki, dopóki chęci*

*do zwierzeń nie odebrał mrok, który zasnuł mi duszę. Zawsze byłaś taka mądra, cierpliwa i kochająca. Tak bardzo chciałabym być podobna do Ciebie.*

*Proszę, wybacz wszystkie złe rzeczy, które Ci mówiłam. Wiem, że nie mogłaś ocalić swojej matki. Mnie też nie możesz pomóc. Zrobiłaś już wszystko, co było w Twojej mocy. Nie jesteś niczemu winna.*

*Chcę, żebyś wiedziała, że bardzo Cię kochałam, Kocham i zawsze kochać będę.*

*A ja wiem, że wreszcie osiągnęłam spokój.*

*Devon*

– Boże – szepnęła Marcy. Łzy ciurkiem płynęły jej z oczu i toczyły się po policzkach. Co to znaczy? Że Devon celowo wypłynęła kajakiem na środek Georgian Bay w zimny październikowy poranek i rozmyślnie skoczyła w lodowatą toń? Że treść listu jednoznacznie o tym świadczy, choć ona wmawiała sobie, że tak nie jest? Czy dlatego nie ujawniła jego istnienia przed Judith i Peterem, bo musiałyby przyznać, że mieli rację, że Devon jednak odebrała sobie życie?

*I już wiem, że poddanie się jest jedynym wyjściem.*

– Boże – powtórzyła. W tej samej chwili zadzwonił telefon przy łóżku. Wpatrywała się w niego, nie ruszając się z miejsca. Jej córka nie żyje. Już dłużej nie może się oszukiwać.

Szczerze mówiąc, wiedziała to od początku.

Telefon zamilkł w połowie piątego sygnału, by po chwili odezwać się ponownie, jakby ten ktoś, kto dzwonił, wiedział, że ona jest w pokoju.

Zniecierpliwiona hałasem, podciągnęła się do telefonu i podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Halo, mamuś. Podobno mnie szukasz – powiedział bez wstępów głos na drugim końcu linii.

Dochodziło południe, kiedy Marcy wyszła z Hayfield Manor i skierowała się ku katedrze Świętego Findbara w South Bank. Cały ranek spędziła w stanie nerwowego oczekiwania. Nie mogła niczego przelknąć ani choćby na chwilę przyłożyć głowy do poduszki. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, przez pół godziny dreptała w kółko po pokoju, a drugą połowę przesiadła bez ruchu jak skamieniała. Bała się nawet na chwilę wyjść z pokoju przed wyznaczoną godziną i podskakiwała nerwowo za każdym razem, gdy odezwał się telefon. Wielokrotnie odtwarzała w pamięci rozmowę z córką, analizując w myślach każde słowo.

– Musisz co do joty trzymać się tego, co powiem – oznajmiła jej Devon gniewnym szeptem. – Jedno omsknięcie, jeden fałszywy krok, a przysięgam, że więcej mnie nie zobaczysz.

– Nie będzie żadnych fałszywych kroków. Obiecuję – zapewniła ją Marcy.

– Nigdzie nie wychodź, z nikim nie rozmawiaj i nie mów nikomu, dokąd się wybierasz – poinstruowała ją Devon.

– Dobrze.

– I niech ci nie przyjdzie do głowy skontaktować się z policją.

– To oczywiste. Nigdy bym...

– I ani słowa temu twojemu seksownemu chłopakowi.

– Co? Nie. On nie jest moim... Devon, proszę cię...

– Dokładnie o pierwszej masz być przed katedrą Świętego Findbara.

– Katedra Świętego Findbara – powtórzyła Marcy, usiłując mniej więcej ulokować ją na terenie miasta. – O pierwszej.

– I pamiętaj – obserwujemy cię.

Po tych słowach rozmowa się urwała.

– Devon? Devon, halo? Jesteś tam? Poczekaj. Nie rozłączaj się. Devon? Devon? – Marcy usiadła na łóżku i patrzyła tępo na ogród za oknem. Wiedziała, że połączenie zostało zakończone, niemniej jednak przez dwadzieścia minut siedziała ze słuchawką przyciśniętą do ucha z nadzieją, że być może doszło do

jakiejs awarii i jej córka, gdzieś tam, też niecierpliwi się i czeka. Tkwiła nieruchomo, modląc się, by znowu usłyszeć jej głos.

*Obserwujemy cię* – powiedziała jej Devon.

Kto ją obserwuje? Teraz też?

Pod wpływem tej niepokojącej myśli odłożyła słuchawkę, zerwała się z łóżka, zaciągnęła szczelnie story, wróciła na łóżko, po czym szybko podeszła z powrotem do okna i rozsuwając zasłony, wbiła wzrok w snującą się szarą mgłę.

Czy ktoś tam jest?

– Kto mnie obserwuje?

Wzięła prysznic, ubrała się w czarne spodnie i w nową bawełnianą bluzkę w biało-niebieskie pasy. Szczególnie dużo uwagi i czasu poświęciła na fryzurę i makijaż, bo chciała pięknie wyglądać dla Devon.

Zamówiła śniadanie do pokoju, bojąc się, żeby przypadkiem nie zemdleć na widok córki, lecz kiedy przyniesiono posiłek, nie była w stanie przełknąć niczego poza kawą.

Liam kilkakrotnie dzwonił do niej na komórkę, aby donieść, iż na razie nie ma wiadomości od Shannon, i zapytać, jak Marcy sobie radzi. Może potrzebuje towarzystwa? Pracę zaczyna dopiero za kilka godzin, zasugerował z nadzieją.

Marcy tak bardzo pragnęła podzielić się z nim wiadomością o telefonie od córki, lecz niestety nie mogła.

*I ani słowa temu twojemu seksownemu chłopakowi.*

– Bardzo kiepsko spałam tej nocy – wyznała. – Prawdopodobnie spróbuję się zdrzemnąć. O ile Shannon nie zadzwoni.

– Dobrze. Nareszcie zaczynasz o siebie dbać – pochwalił ją entuzjastycznie. – Zadzwonię, gdy tylko będę coś dla ciebie miał.

– Liam...

– Tak?

Rozmawiałam z Devon. Dzwoniła. Spotykamy się o pierwszej, chciała mu wyznać.

– Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz.

– Wiem – odpowiedział z uśmiechem w głosie. – A teraz odpoczywaj. Później pogadamy.

Przykro mi, że musiałam go okłamać, ale nie miałam wyboru, usprawiedliwiała się przed sobą, idąc w kierunku South Bank w ciągle jeszcze gęstej mgłę, która



niczym stare zakurzone zasłony spowijała obie strony College Road. Na leżącym na południe od rzeki Lee South Bank oprócz katedry Świętego Findbara znajdowały się siedemnastowieczne mury obronne, pozostałości po Elizabeth Fort, oraz stosunkowo nowy ratusz miejski, zbudowany w 1936 roku. Mimo że dostojna katedra leżała w sporej odległości od hotelu, Marcy zdecydowała się dotrzeć tam pieszo, zamiast ryzykować, że taksówka utknie w korku. Poza tym miała nadzieję, że marsz na świeżym powietrzu uciszy gonitwę myśli i ukoji rozedrgane nerwy. Niestety, powietrze było gęste i ciężkie, a każdy odgłos klaksonu sprawiał, że podrygiwała nerwowo, co wyprowadzało ją jeszcze bardziej z równowagi.

Szła po College Street, czując, jak wilgoć wciska się pod marynarską kurtkę i jak drętwieją jej palce. Powinna była kupić rękawiczki, pomyślała, chowając ręce do kieszeni. Lecz komu przysłoby do głowy kupować rękawiczki w lipcu?

– Rany boskie, co ci strzeliło do głowy?! – wykrzyczał do niej Peter niecałą godzinę temu.

Telefon zadzwonił, kiedy już zbierała się do wyjścia. Myśląc, że to może być Devon, rzuciła się do aparatu i podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

– Peter – prychnęła z niechęcią, słysząc jego głos. W Toronto była zaledwie siódma rano. – Jak mnie znalazłeś?

– Twoja siostra dzwoniła. I twój syn. Śmiertelnie go przestraszyłaś. Po co zerwałaś go w środku nocy?! Rany boskie, co ci strzeliło do głowy? – Nakręcał się coraz bardziej, z każdym słowem podnosząc głos. – I jak mogłaś nagrać tę idiotyczną wiadomość?! Do reszty odebrało ci rozum?!

– Nie mogę teraz z tobą rozmawiać – oświadczyła i upuściła słuchawkę na widełki, jakby ta nagle zajęła się ogniem. Spojrzała za okno, spodziewając się ujrzeć we mgle pozbawiony twarzy cień. Parę sekund później telefon ponownie się odezwał.

– Rozłączyłaś się w środku rozmowy?! – zaatakował ją Peter, kiedy przytknęła słuchawkę do ucha.

W odpowiedzi ponownie ją odłożyła. Nie miała ani czasu, ani cierpliwości na wysłuchiwanie jego gniewnych okrzyków. Ani też nie mogła powiedzieć mu prawdy, że Devon się z nią skontaktowała i że za godzinę się spotkają. Oczywiście absolutnie by jej nie uwierzył. Jeszcze uwierzysz, pomyślała z satysfakcją, kiedy telefon zadzwonił po raz trzeci. Chwyciła torebkę oraz nowy żakiet i wybiegła z pokoju, ścigana aż do schodów uporczywymi dzwonkami.

Gdy pół godziny później skręciła wreszcie w Bishop Street, na zasnutym mgłą horyzoncie zamajaczyły trzy strzeliste wieże katedry zbudowanej w stylu francuskiego gotyku. Po przeciwnej stronie ulicy stały zaparkowane cztery turystyczne autokary.

– Katedra pod wezwaniem Świętego Findbara została wzniesiona w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku dokładnie w tym samym miejscu, gdzie w siódmym stuleciu naszej ery znajdował się kościół świętego i jego szkoła. Szczególnie godne obejrzenia są mozaiki zdobiące wnętrze... – Marcy dobiegł fragment wykładu przewodnika, który usiłował doprowadzić swoją trzódkę do głównego wejścia.

Marcy objęła wzrokiem tłum wijący się przed katedrą. Widziała tam mnóstwo młodych kobiet z długimi brązowymi włosami oraz kilka innych ze smutnymi oczami i wysokimi kośćmi policzkowymi, ale żadna z nich zdecydowanie nie przypominała córki. Sprawdziła godzinę. Było za wcześnie. Devon powiedziała, żeby przyszła o pierwszej: *Dokładnie o pierwszej masz być przed katedrą Świętego Findbara* – tak brzmiały jej słowa – a do pierwszej brakowało dwudziestu minut. Prawdopodobnie jeszcze jej tu nie ma, uznała Marcy, uparcie wodząc oczami po twarzach kobiet i jednocześnie przepychając się przez tabuny turystów do masywnych drzwi kościoła. Devon nigdy nie grzeszyła punktualnością. Ileż to razy Marcy czekała na nią w samochodzie, żeby ją odwieźć do szkoły, a ona nadal guzdrała się w łazience? Ile razy musieli odwoływać rezerwację stolika w restauracji, bo Devon nie potrafiła się zdecydować, w co się ubierze? A tamta sytuacja, gdy przepadł im cały pierwszy akt *Jeziora łabędziego*, ponieważ Devon w ostatniej chwili postanowiła wziąć prysznic?

Marcy wiedziała, że niemal patologiczna opieszałość Devon wynikała z jej braku poczucia bezpieczeństwa i stanowiła jeden z typowych objawów choroby. Kiedy z powrotem połączy się z córką – już niedługo, już wkrótce! – zadba, żeby Devon uzyskała niezbędną pomoc. Znajdą lekarza, którego córka polubi i obdarzy zaufaniem, takiego, który dobierze jej odpowiednie lekarstwa. Przecież to tylko zachwianie równowagi chemicznej, a kiedy to zachwianie się skoryguje...

– Mamuś! – zawołał ktoś i Marcy gwałtownie się odwróciła. Zobaczyła biegnącą ku niej młodą kobietę z brązowymi włosami. – Na miłość boską, mamo, ile razy prosiłam, żebyś nigdzie nie odchodziła?! – wysapała, chwytając za łokieć starszą panią stojącą z prawej strony Marcy.

Teraz Marcy zobaczyła, że kobieta wcale nie jest taka młoda, że bliżej jej

wiekem do niej niż do Devon, a jej matka wydawała się przestraszona i zagubiona, jakby nie bardzo rozumiała, kim jest ta rozgniewana pani.

– Niestety, ona jest całkiem nieobecna – wyjaśniła speszona kobieta w odpowiedzi na spojrzenie Marcy. – Alzheimer – westchnęła. – Lekarze zalecają, żeby zabierać mamę w jej ulubione miejsca, lecz ona za każdym razem się gubi. Ani na chwilę nie można spuścić jej z oczu. Jest gorsza od mojej dwunastolatki.

– Czy spotkamy się z tu z twoim ojcem? – spytała starsza kobieta.

– Nie, mammo. Tata odszedł ponad dziesięć lat temu. Przecież wiesz.

– Odszedł dziesięć lat temu? A dokąd?

– Nie przejmuj się, mammo. Na pewno wróci na kolację. – Przechyliła się do Marcy. – Nie żyje – wyszeptała.

– Będzie w domu na kolacji? – upewniła się starsza pani z nadzieją w głosie.

– Tak, mammo. Przyjdzie punktualnie o szóstej – potwierdziła córka i odwracając się do Marcy, wyznała: – Głupio mi ją tak okłamywać, ale trudno. To jej poprawia nastrój, a i tak nic z tego później nie będzie pamiętać. – Wzruszyła ramionami i powiodła matkę z powrotem do grupy turystów.

Marcy prowadziła je wzrokiem, dopóki nie znikły w tłumie. Ponownie spojrzała na zegarek. Jeszcze dziesięć minut, sprawdziła, zastanawiając się, czy na pewno czeka w dobrym miejscu...

*Dokładnie o pierwszej masz być przed katedrą Świętego Findbara* – powiedziała Devon.

Ale kościół był ogromny i „przed” mogło oznaczać gdziekolwiek. Czy powinna stanąć z któregoś boku imponujących drewnianych drzwi? Trzymać się blisko budowli czy raczej w pewnej odległości? Czy Devon wzięła pod uwagę ogromną liczbę turystów? Czy dostrzeże ją w środku tłumu? A jeżeli ją przeoczy? Jeśli zniechęci się, przepychając pomiędzy ludźmi? Devon nigdy nie czuła się dobrze w tłumie. Co będzie, jeżeli spanikowana zrezygnuje? Albo jej nie rozpozna? Przecież nie widziały się prawie dwa lata. Powinnam była nałożyć coś jaskrawego, pomyślała, coś, co wyróżniałoby mnie z tłumu. Szybko ściągnęła żakiet, licząc, że niebiesko-białe paski na bluzce łatwiej przyciągną uwagę córki.

– Zaraz zamarznię – wyszeptała po chwili w kołnierz kurtki i nałożyła ją z powrotem. Znowu powiodła oczyma po grupkach turystów, po tłumie prawie tak gęstym jak mgła.

Komórka zadzwoniła akurat w chwili, kiedy po raz kolejny sprawdzała czas. Sięgnęła do torebki, wyłowiła ją i przyłożyła do ucha.

- Halo? – powiedziała z niechęcią.
- Marcy? – Głos Liama przecisnął się przez mgłę jak ciepły nóż przez masło.
- Miałaś wiadomości od Shannon? – spytała, niespokojnie oglądając się za siebie. A jeśli Devon zobaczy, że ona rozmawia przez telefon? Jeżeli pomyśli, że dzwoni na policję?
- Nie, na razie cisza. Może powinienem do niej zadzwonić...
- Nie. Proszę cię, nie rób tego.
- I sprawdzić, czy udało jej się skontaktować z Audrey.
- Myślę, że nie powinniśmy na nią naciskać.
- Nie zamierzałem naciskać. Chciałem tylko... Gdzie ty jesteś?
- Co? – Marcy przysunęła komórkę bliżej ucha, żeby nie dochodził do niego nieustanny gwar turystów.
- Wyszłaś na miasto?
- Nie. Jestem w holu. Kolejne problemy z kartą kredytową – skłamała.
- Taki hałas, jakby tam było mnóstwo ludzi.
- Akurat przyjechał autokar z jakąś dużą grupą – powiedziała, patrząc, jak w zatokę po przeciwnej stronie ulicy wjeżdża bus wypełniony turystami. Nie do końca kłamstwo, pomyślała.
- Ha, to już w Hayfield Manor przyjmują wycieczki? – zdziwił się. – Widać kryzys nikogo nie omija.
- Muszę kończyć – powiedziała. – Moja kolej na rozmowę z recepcjonistką.
- Na pewno nie chcesz, żebym przyszedł podtrzymać cię na duchu?
- Nie ma takiej potrzeby. Wszystko jest pod kontrolą, poza tym nie chcę, żeby przeze mnie wyrzucili cię z pracy.
- W takim razie myślisz o mnie.
- Muszę kończyć – powtórzyła, starając się nie okazać zniecierpliwienia.
- Dobra, ale jeżeli Shannon nie odezwie się w ciągu najbliższej godziny, to do niej zadzwonię.
- W porządku.
- Może nawet złożę jej wizytę.
- Nie sądzę, aby to było konieczne.
- Taak? Czyżbyś wiedziała coś, czego ja nie wiem?
- Absolutnie nie. Po prostu usiłuję myśleć pozytywnie.
- Okay. W takim razie pozytywnych myśli!
- Pozytywnych myśli – powtórzyła.

– Później jeszcze do ciebie zadzwonię.  
– Dobrze. – Wrzuciła komórkę do torebki i powoli obróciła się wokół własnej osi. – Myśl pozytywnie – wyszeptała.

Nigdzie śladu córki.

*I pamiętaj – obserwujemy cię – uprzedziła ją Devon.*

Czy w tej chwili ktoś ją obserwuje? Zdaje relację z jej każdego kroku? Czy ten ktoś widział, jak rozmawiała przez telefon, i ostrzegł Devon, żeby się nie zbliżała?

– Myśl pozytywnie. Myśl pozytywnie.

*I ani słowa temu twojemu seksownemu chłopakowi.*

Czy ten ktoś stał na tyle blisko, żeby słyszeć rozmowę? Wiedział, że niczego Liamowi nie powiedziała?

Może szkoda, pomyślała. Może powinnam mu o wszystkim powiedzieć. Przestałby się przejmować brakiem wiadomości od Shannon. No i nie myślałby o tym, żeby do mnie zadzwonić albo jeszcze złożyć niespodziewaną wizytę. O Boże, przez mój brak przezorności Liam może wszystko spieprzyć.

Myśl pozytywnie. Myśl pozytywnie.

– Przepraszam – odezwał się kobiecy głos gdzieś za nią. Akcent był zdecydowanie północnoamerykański.

– Devon? – zapytała Marcy, odwracając się w stronę głosu.

– Przepraszam – powtórzyła kobieta, ruchem głowy odrzucając blond włosy sięgające ramion. – Chcielibyśmy przejść.

– Och, przepraszam. Nie zauważyłam...

– Niektórzy ludzie widzą tylko czubek własnego nosa – mruknął jej towarzysz, kiedy przeciskali się obok niej.

Marcy poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

– Nie teraz – wyszeptała. – Jeszcze będzie czas na łzy. Zawsze jest dużo czasu na łzy, pomyślała, słysząc w oddali dzwony kościoła Świętej Anny.

– Nie odwracaj się – wyszeptał jej do ucha znajomy męski głos.

Marcy zaparło dech.

– Idź przed siebie – poinstruował głos.

– Gdzie jest Devon?

– Idź. Prosto przed siebie. Nie oglądaj się.

– Dokąd idziemy?

– Zobaczyć się z twoją córką.

– Czemu jej tu nie ma?

- Nie przystawaj. – Zdecydowanym chwytem pod łokieć kierował nią w tłumie.
- Gdzie ona jest?
- Niedaleko. Mówiłaś komuś, dokąd idziesz?
- Nie. Nikomu.
- Dobrze. Nie przystawaj. Kieruj się w stronę Sullivan Quay.
- Devon tam będzie?
- Zadajesz za dużo pytań.
- Chcę tylko zobaczyć córkę.
- Zobaczysz.

Przez kilka minut szli w ciszy. Tysiąc myśli, niczym pranie w suszarce, wirowało w głowie Marcy. Dokąd ją prowadzi? Czy naprawdę idą zobaczyć się z Devon, czy to jakiś podstęp?

Jej towarzysz zatrzymał ją mocniejszym uściskiem za łokieć.

- Daj mi swój telefon – polecił.
- Mój telefon? Po co?
- Daj mi go.

Marcy wyjęła komórkę z torebki. Mężczyzna wyszarpnął ją z jej ręki, zanim zdążyła zaprotestować.

– Raczej nie będzie ci już potrzebna – oznajmił, wyrzucając komórkę do najbliższego kosza na śmieci.

– Ale...

– Idź.

– Po co ta cała konspiracja? – zapytała, kiedy doszli do Sullivan Quay.

– Tak sobie. Nie uważasz, że tak jest zabawniej? Skręć w lewo w najbliższą przecznicę.

– I co dalej?

– Zobaczysz w swoim czasie.

– Naprawdę prowadzisz mnie do Devon?

– A co innego miałbym robić?

– Nie wiem. Co robiłeś tamtego popołudnia, kiedy najechałeś na mnie rowerem? – Marcy odwróciła się na pięcie, by spojrzeć mu prosto w twarz.

– Próbowałem cię przekonać, żebyś pilnowała własnych spraw – odpowiedział z ironicznym uśmiechem. – Najwyraźniej nie wyszło.

– Devon jest moją sprawą.

Wzruszeniu ramion towarzyszył szelest jego lotniczej kurtki z czarnej skóry.

Minęli jeszcze kilka przecznic.

– Wsiadaj do samochodu – polecił, przystając niespodziewanie.

– Co?

Sięgnął do klamki małego czarnego auta, które stało przy krawężniku. – Chcesz zobaczyć córkę czy nie?

– Tak. Oczywiście, że chcę.

– No to wsiadaj. Czeka na ciebie. – Otworzył drzwiczki.

Jechali prawie godzinę. Jax zbywał milczeniem pytania, którymi Marcy go zasypywała.

– Przestań się we mnie wpatrywać – warknął, przerywając narzucone sobie milczenie. – Już mnie od tego boli głowa.

Marcy natychmiast spuściła oczy.

– Przepraszam. To nie było umyślne. – Szczerze mówiąc, nawet nie zdawała sobie sprawy, że na niego patrzy. Od obserwacji trasy w gęstej mgle zmęczył jej się wzrok i na dodatek zaczynało ją mdlić, bo droga była kręta, a samochód szarpał, gdy Jax co rusz zmieniał biegi. Skupiła więc spojrzenie na jedynym żywym obiekcie, jaki miała do dyspozycji.

– I co niby widzisz? – zapytał zadowolony z siebie, wyginając usta w czymś na kształt uśmiechu.

– Nic szczególnego.

– Podobno nie brakuje ci poczucia humoru. – Zaśmiał się.

– Taak? Kto ci powiedział?

– A jak myślisz?

Nie Devon, doszła do wniosku, usiłując przypomnieć sobie ostatni raz, kiedy udało jej się rozbawić córkę. Ich wzajemne relacje były zaprawione łzami, nie śmiechem.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

– Zobaczysz.

– To daleko?

– Dostyc.

Westchnęła sfrustrowana. To zakrawa na kpiny, pomyślała.

– Usiądź sobie wygodnie i ciesz się podróżą – doradził Jax i włączył radio. Bardzo szybko z powrotem je wyłączył, bo trzaski okazały się głośniejsze i bardziej nieokielznane od tradycyjnej irlandzkiej muzyki.

Marcy posłusznie poprawiła się na fotelu i oparła głowę o zagłówek, ponownie



skupiając uwagę na drodze. Jakies dziesięć minut wcześniej zjechali z autostrady na drogę wijącą się wzdłuż nierównej linii wybrzeża i kierowali się... dokąd właściwie? Dokąd on ją wiezie?

Zerknęła na niego ukradkiem, udając, że pociera ciągle jeszcze bolący policzek. O dziwo, chłopak z profilu wyglądał korzystniej niż en face, bo bezmyślny wyraz twarzy mniej się rzucał w oczy, a nos i broda były mocniej zarysowane. Nawet spojrzenie jego małych ciemnych oczu wydawało się w miarę bystre, być może dlatego, że koncentrował się na drodze. Deszcz mieszał się teraz z mgłą, redukując widoczność niemal do zera.

– Jak długo znasz moją córkę? – zaryzykowała po jakichś dziesięciu minutach, kiedy wjechali na stosunkowo suchy odcinek drogi.

– Około roku – odburknął, kiedy straciła już nadzieję, że usłyszy odpowiedź.

– Jak się poznaliście?

– A czy to ważne?

– Pewnie nie. Po prostu jestem ciekawa.

Kolejna przedłużająca się cisza. Marcy zauważyła drogowskaz z nazwą miejscowości Clonakilty i kawałek dalej drugi z Galley Head.

– Poznaliśmy się w klubie Mulcahy's – wyjaśnił w końcu.

Marcy wstrzymała oddech, nie do końca pewna, czy z nią nie pogrywa, celowo wymieniając ten klub, chcąc ją sprowokować.

– Podobno któreś nocy tam byłaś – zauważył, odpowiadając na jej nieme pytanie.

– Tak – przyznała, nie bardzo wiedząc, co chciałby usłyszeć.

– I jak ci się podobało?

– Ciekawe miejsce – odparła.

– Niewątpliwie. – Parsknął śmiechem. – Chyba nie twoja bajka, co?

– Raczej nie moja kategoria demograficzna – poprawiła go i zaraz tego pożałowała, widząc, że gniewnie zmrużył oczy.

– A co to, kurde, znaczy?

– Kategoria demograficzna? To pojęcie odnoszące się do wieku, stanu cywilnego, zawodu... usytuowania społecznego i statystycznego. Tego typu rzeczy – próbowała wytłumaczyć. Jego mina podpowiedziała jej, że tylko pogorszyła sprawę.

– Wydaje ci się, że jesteś taka mądra, co? Lepsza od innych?

– Nie, ja...

- Wcale nie jesteś lepsza.
  - Absolutnie tego nie powiedziałam.
  - Nie, ale pomyślałaś.
  - Wcale nie.
  - Wiesz co, ja nie jestem głupi.
  - Nie mówię, że jesteś.
  - Nie musisz.
  - Nie uważam, że jesteś głupi.
  - W takim razie myślisz, że jestem mądry?
  - Nie sądzę, aby moja córka zainteresowała się tobą, gdybyś nie był mądry – stwierdziła Marcy, usiłując skierować rozmowę z powrotem na Devon.
  - No, rzeczywiście, chyba ma mnie za bystrzaka. – Uśmiechnął się.
- Kolejne długie milczenie i kolejna fala deszczu.
- Mogę zapytać, co cię łączy z moją córką? – Marcy wysiliła się na obojętny ton, jakby zadała to pytanie tylko po to, żeby wypełnić ciszę.
  - Nie możesz.
- Znowu zapadła cisza, zakłócana jedynie szurgotem wycieraczek wściekle wachlujących przednią szybę.
- Pytasz, czy jesteśmy parą? – odezwał się Jax, kiedy mijali znak z informacją, że dwadzieścia kilometrów dalej znajduje się miasto Skibbereen. – To chcesz wiedzieć?
  - A jesteście? – podchwyciła, czując nieprzyjemne sensacje w okolicy żołądka.
  - Kiedyś byliśmy. Teraz już nie.
  - Czemu? Jest z kimś innym?
- Jax wzruszył ramionami. Jego skórzana kurtka zaskrzypiała przy tym ruchu na wysokości jej uszu.
- Musisz o to zapytać Audrey.
  - Pytam ciebie.
  - A ja ci nie odpowiem – odparł tonem sześciolatka.
- Dłuższy czas jechali w milczeniu krętą jednopasmową drogą wzdłuż rzek, wokół gór, poprzez wsie i osady rybackie. Do cholery! Dokąd on ją wiezie?
- Tamtego dnia, kiedy wpadłeś na mnie na rowerze – zaczęła, patrząc, jak Jax zaciska szczęki i mocniej zamyka dłonie na kierownicy – musiałeś wiedzieć, kim jestem, musiałeś mnie śledzić.
  - Szkoda, że siebie nie widziałaś. Byłaś żałosna. „Przepraszam” – zaczął ją

przedrzeźniać, podnosząc głos przynajmniej o oktawę i nie odrywając oczu od drogi. – „Czy ktoś z was rozpoznaje to zdjęcie? To moja córka. Znacie ją? Możecie mi pomóc?”.

Parsknął śmiechem.

– Kto ci kazał mnie śledzić?

Nie odpowiedział.

– Kto wpadł na pomysł, żeby zdemolować mój pokój?

Nadal nic.

– Kto ci kazał zniszczyć moje ubrania?

Jax potrząsnął głową, jakby odpędzał natrętną muchę.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Nie ustępowała.

– Liczyliśmy, że to cię przekona do powrotu do domu. – Opuścił podbródek i spojrzał na nią spod wygiętych brwi.

– A kradzież kolczyków?

– Och, to był mój własny pomysł – oświadczył z dumą. – Leżały na wierzchu. Nie oparłem się.

– I dałeś je Shannon – stwierdziła Marcy.

– Prawda, że jej w nich do twarzy? – Niespodziewanie zatrzymał samochód na środku wąskiej jezdni.

W pierwszej chwili pomyślała, że zamierza ją zabić i zrzucić ciało z któregoś z pobliskich klifów. Nikt nigdy się nie dowie, co się ze mną stało. Po prostu zniknę bez śladu.

Jak Devon, dodała w myślach.

Nerwowo spojrzała za szybę, widząc wyłącznie mgłę.

– Dlaczego się zatrzymałeś? Gdzie jesteśmy? Czy Devon tu jest?

Zaskoczył ją wybuchem śmiechu.

– Wyobrazasz sobie córkę włóczącą się z kupą owiec? – Machnął ręką w kierunku przedniej szyby, wskazując stado owiec, które powoli wyłaniało się z mgły na nieoznakowanym skrzyżowaniu wiejskich dróg. – To raczej nie jej „kategoria demograficzna” – dodał z emfazą, kiedy patrzyła, jak owce znikają na ledwo widocznej polnej drodze.

Ruszyli dziesięć minut później, gdy ostatnia owca zeszła ze skrzyżowania. Jax gwałtownie zmieniał biegi, a samochód, szarpiąc i rżąc, nabierał prędkości.

– Daleko jeszcze? – spytała Marcy, czując ucisk pęcherza. – Muszę skorzystać z toalety.

Spodziewała się, że albo ją zignoruje, albo ofuknie.

– Kilka kilometrów stąd jest miejsce, gdzie możemy przystanąć – usłyszała ku swemu zdumieniu.

– Będę wdzięczna, dziękuję.

– Lubię, jak ktoś jest mi wdzięczny. Bardzo proszę. – Zaśmiał się.

Jeszcze rechotał, kiedy zajechali przed piwiarnię z turkusową elewacją, która niespodziewanie zmaterializowała się przy drodze. Kwiaty w skrzynkach na parapetach zwieszały się pod ciężarem deszczu, a dym z kamiennego komina mieszał się z mgłą.

– Masz dwie minuty – oznajmił Jax, chwytając ją za ramię, kiedy otwierała drzwiczki. – Będę stał tuż za drzwiami. Więc nie zrób jakiegoś głupstwa.

– Na przykład jakiego? – zapytała z niedowierzaniem. Czego się bał? Że ucieknie?

– Na przykład niech ci nie przyjdzie do głowy do kogoś zadzwonić.

– Wyrzuciłeś moją komórkę, pamiętasz?

– Jakiś głupi numer i już nigdy nie zobaczysz córki.

– Oglądasz za dużo telewizji – powiedziała mu, wysiadając z samochodu.

– Tak, mamusiu – parsknął ironicznie, idąc za nią. – Jestem bardzo złym chłopczykiem. Dasz mi lanie, mamusiu?

Marcy puściła się biegiem do wejścia. Chociaż od drzwi dzieliły ją niecałe dwa metry, zdążyła przemoknąć na wskroś, zanim znalazła się w środku. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy, był huczący kominek i z trudem zwalczyła chęć, by opaść na któryś z dwóch rachitycznych bujanych foteli ustawionych przed paleniskiem. Nogi jej zdrętwiały od niewygodnej pozycji w ciasnym samochodzie Jaksa i bała się, że kolana mogą jej odmówić posłuszeństwa. Jak długo jeszcze? Czy on na pewno wiezie ją na spotkanie z córką?

– Popatrz no tylko na siebie, kochana! – przywitała ją ładna, rudowłosa kelnerka. – Jesteś zmarznięta na kość. Stań przy kominku. Rozgrzej się.

– Nie ma czasu – uciął Jax, podchodząc do Marcy i kładąc ciężką łapę na jej ramieniu. – Mamusia musi do toalety – obwieścił sześciu mężczyznom siedzącym przy barze. Marcy skrzywiła się, po czym za wskazaniem palca kelnerki skierowała się do toalety na tyłach słabo oświetlonego lokalu.

– Dla mnie guinness – usłyszała głos Jaksa.

– Musisz pić? – spytała, kiedy wsiedli do samochodu i Jax umieścił otwartą butelkę pomiędzy umięśnionymi udami. – Myślę, że i bez tego ciężko się jedzie...

– To nie myśl.

– *Nie myśl* – usłyszała słowa Sarah. – *Po prostu wal.*

– Chciałam tylko...

– Nie jestem ciekaw, co chciałaś. – Pociągnął jeden długi łyk, a potem drugi, jakby dla podkreślenia swych słów. – Oj! Zapomniałem o manierach – powiedział, podsuwając jej butelkę pod nos. – Chcesz łyka? Śmiało, nie wstydź się.

Marcy odwróciła głowę, bo zapach piwa przyprawiał ją o mdłości.

– Daleko jeszcze? – zapytała po kilku minutach. Miała wrażenie, że jada już całą wieczność.

– Nie bardzo. – Skreślił w wąską boczną drogę i wyrzucił pustą butelkę w wysoką trawę, jadąc pod górę po stromym zboczu klifu.

– Szkoda, że jest tak paskudnie i mokro na dworze. Spodobałby ci się widok. Jest niesamowity, jak się patrzy ze szczytu.

Szum wiatru i deszczu nie był w stanie zagłuszyć huku fal Morza Celtyckiego rozbijanych o skały w dole. Do licha, dokąd on ją wiezie?

– Gdzie jesteśmy? – spytała.

O dziwo, raczył odpowiedzieć.

– To Roaringwater Bay[6]. Trafna nazwa, nie?

Co Devon miałaby robić w miejscu o nazwie Roaringwater Bay?

Jej tu nie ma, uzmysłowiła sobie teraz, z wrażenia tracąc oddech. Ten smarkacz ani przez chwilę nie miał zamiaru zabrać jej do córki. Najprawdopodobniej wywoził ją jak najdalej od Devon. Czy na jej polecenie? Czy ta cała sprytnie skonstruowana farsa była pomysłem Devon? Łącznie ze wszystkim, co się działo? Czyżby aż tak jej nienawidziła?

*Chcę, żebyś wiedziała, że bardzo Cię kochałam, Kocham i zawsze kochać będę.*

– Czy ona kiedykolwiek mówiła o mnie? – wyrwało się Marcy, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Audrey? – upewnił się, jakby Marcy mogła kogoś innego mieć na myśli.

– Ma na imię Devon – poprawiła go.

– Dla mnie jest Audrey.

– Czy kiedykolwiek mówiła o tym.... kiedy jeszcze była Devon? – zapytała niepewnie.

– Nieee. – Wzruszył ramionami. – Stwierdziła, że nie bardzo jest o czym mówić.

– Nigdy nie wspomniała o bracie?

– Nawet nie wiedziałem, że ma brata.

- A o ojcu czy ciotce?
  - Tej, co sześć razy wychodziła za męż?
  - Pięć – poprawiła go bezwiednie, czując ukłucie zazdrości.
  - Powiedziała, że jej babka się zabiła.
  - Moja matka.
  - Wiesz, co się stało z moją mamą? – zapytał Jax niemal z dumą.
- Zaprzeczyła ruchem głowy.
- Mój tata ją zabił.
  - Co?

– Jak Boga kocham. Któregoś wieczoru wrócił do domu naprany – opowiadał beztrudnie, jakby mówił o pogodzie. – I mama napadła na niego z krzykiem, że ukradł pieniądze za sprzątanie u ludzi, które przed nim ukryła. Rozpętała się piekielna awantura, ale to dla nas, ósemki dzieciaków, nie było nic nowego. Mama coś tam wywrzaskiwała i doskakiwała do niego, a on zaczął ją poszturchiwać jak zawsze, kiedy przychodził pijany, czyli mniej więcej co dzień, ale tym razem ojciec złapał za duży rzeźnicki nóż i moment później mama leżała martwa na podłodze z gardłem przeciętym od ucha do ucha. Krew się lała, jakby zrobił dziurę w beczce z olejem czy coś w tym rodzaju.

– Dobry Boże!

– No. Tamtego wieczoru zdecydowanie Boga nie było w pobliżu. Za to wkrótce zaroilo się od policjantów. Wszędzie ich było pełno. I ślizgali się na krwi. Powinnaś to widzieć. Jeden z nich poleciał na ścianę, o mało nie łamiąc nogi. Mówię ci, to było komicznie. – Roześmiał się. – No, a kilka miesięcy później odbył się proces, tatę wsadzili do więzienia, a nas, dzieciaki, poumieszczali w rodzinach zastępczych. Jeden wielki bajzel.

– To musiało być okropne. Przykro mi.

– Czemu ci przykro? Przecież ty tego nie zrobiłaś. – Jax rzucił jej czujne spojrzenie.

– Współczuję ci, że musiałaś przez to przechodzić.

– E tam! Drobiazg.

– Ojciec zabił matkę na twoich oczach. Nie nazwałabym tego drobiazgiem.

– No, ale nikt cię nie pyta o zdanie, nie?

– Przepraszam – usprawiedliwiła się ponownie.

– Nie potrzebuję twojej litości.

– To nie litość.

– Obojętnie, co to jest, i tak tego nie potrzebuję. – Uderzył gniewnie prawą dłońią o deskę rozdzielczą, tracąc przy tym kontrolę nad kierownicą. Samochód ostro skręcił w lewo i obijając się o skały, znalazł się niebezpiecznie blisko krawędzi klifu, zanim wytracił prędkość.

– Cholera! Zobacz, co narobiłaś! – wykrzykiwał piskliwie, poszarzały na twarzy.  
– Chcesz nas zabić?!

– Przepraszam – powiedziała.

– Jezu, to jedno tylko umiesz?

W ostatniej chwili ugryzła się w język, gotowa go znowu przeprosić.

– To cholernie wkurzające, wiesz? – Kolor powoli powracał mu na policzki. – Tobie się wydaje, że odpowiadasz za całe zło, jakie się kiedykolwiek wydarzyło.

– Czasami tak właśnie się czuję.

– Myślisz, że masz taką cholerną moc?

O mało się nie uśmiechnęła. Zazwyczaj czuła się wręcz bezradna. Jednak może on miał rację.

– Skoro czujesz się taka ważna... – zaczął, kierując samochód z powrotem na drogę, nie racząc nawet spojrzeć w lusterka. – Pytałaś wcześniej, czy ona kiedykolwiek o tobie mówiła – dokończył, kiedy podjeżdżali pod strome wzniesienie.

Marcy dostrzegła zarys starych wiejskich zabudowań. Czy tam właśnie jada?

– A mówiła?

– Opowiedziała mi, jak nakrzyczałaś na nią, kiedy pomalowała ściany.

– Zapamiętała to? – Marcy poczuła skurcz w żołądku.

– Powiedziała, że to jej najwcześniejsze wspomnienie. I że ciągle słyszy, jak na nią wrzeszczysz.

Marcy łzy popłynęły po policzkach. To gorsze od upadku z klifu, pomyślała, gorsze od utonięcia w morzu.

– Często na nią krzyczałaś, co, Marcy? – mówił dalej, nakręcając się widokiem jej łez. – Audrey twierdzi, że tak. Wspomniała o lekcjach pianina, podobno wydzierałaś się na nią za każdym razem, kiedy się pomyliła.

I to także pamiętała.

– I co, Marcy, dalej czujesz się taka ważna?

Nie odpowiedziała.

– Co jest? Zapomniałaś języka w gębie?

Jechali dalej w milczeniu. Parterowy dom rósł w oczach i w miarę jak wjeżdżali

na szczyt, coraz bardziej ujawniał się jego kiepski stan. Wyglądał na porzuconą rudere, a nie miejsce, gdzie ktoś mógłby mieszkać. Teraz widziała niechlujnie poutykane skruszałe szare cegły i okna zabite omszałymi deskami. Kiedy Jax zaparkował samochód przy bocznej ścianie, Marcy miała już pewność, że od dawna nikt tu nie mieszka, mimo że z komina unosił się dym.

– Aha, chyba ktoś rozpałił ogień – odezwał się Jax, otwierając drzwiczki samochodu.

Natychmiast dziecięcy płacz wdarł się do auta, konkurując z wyciem wiatru.

Marcy nadstawiła uszu.

– Ha, słodki głosik panny Caitlin O'Connor – obwieścił Jax ze śmiechem.

– Jest tutaj?

– We własnej osobie.

– A Devon?

– Gdzie indziej miałyby być? – Jax obszedł samochód, otworzył Marcy drzwi i chwycił ją za łokieć. – Torebkę możesz zostawić – oznajmił. – Nie będzie ci potrzebna.

---

6 W swobodnym tłumaczeniu: Zatoka Huczących Wód.



Dom był ciemny i zalatywał stęchlizną. Smugi światła przeciskały się przez szczeliny pomiędzy grubymi deskami na oknach, konkurując z mdłą poświatą z kominka w jednym z pomieszczeń. Krzepiący zazwyczaj zapach palącego się drewna walczył z wszechobecnym zaduchem stęchlizny. Niemowlęcy płacz przenikał przez ściany jak sącząca się woda, zdając się przyzywać Marcy. Czuła na ramionach ciężar rąk popychającego ją przed sobą Jaksa.

Nie widziała ani mebli, ani jakichkolwiek sprzętów, które by odróżniały od siebie pomieszczenia. Wszędzie tylko ściany z kamienia i podłoga zasnuta warstwą brudu.

– Kieruj się ku wrzaskom – polecił złowieszczo Jax, kiedy Marcy przechodziła przez kolejne pomieszczenia. Płacz z każdym krokiem przybierał na sile, zapach dymu stawał się coraz cięższy i bardziej duszący, a światło z kominka, migocząc jak lustrzana kula w dyskotecce, niczego zarazem nie oświetlało.

– Schyl się – mruknął Jax i wczepiając rękę w jej włosy, wepchnął ją do następnego pomieszczenia.

Najpierw na środku pustego pokoju ujrzała niewyraźną kobiecą postać na krześle z wysokim oparciem. Potem mignęły jej rudawoblond włosy, które opadały na małe, przerażone oczy. Na koniec dostrzegła knebel oraz gruby sznur ciasno okręcony wokół piersi i oparcia krzesła.

– O Boże, Shannon!

– Zamknij się! – warknął Jax, kolejnym szturchańcem zmuszając Marcy do milczenia.

Dopiero wtedy pomiędzy kominkiem a skrępowanymi nogami Shannon zobaczyła karton z niemowlęciem. Buzia dziecka, mokra od łez, połyskiwała jak czerwony balonik w pełgającym blasku spopielonego drewna, które już nie paliło się płomieniem, lecz jedynie żarzyło, dając mało światła i jeszcze mniej ciepła.

– Rany, co za wrzaskliwy bachor! – Jax z zakłopotaniem pokręcił głową, drapiąc się po szapie brązowych loków.

– Długo ci to zajęło – odezwał się głos w mroku.

Marcy odwróciła głowę w tamtą stronę. Serce jej łomotało, nogi zrobiły się miękkie w kolanach. Nic nie widziała.

– Devon? – Szept Marcy zagłuszyło rozpaczliwe zawodzenie dziecka.

– Spodziewałam się was godzinę temu.

– Niby tak, ale widziałaś, co się dzieje na dworze? Poza tym twojej mamusce zachciało się siusiu – dodał z szyderczym uśmiechem.

Marcy, żeby nie upaść, podkurczyła palce u stóp, jakby chciała wczepić się nimi w podłogę.

– Devon – powtórzyła, tym razem głośniej.

– Ona woli, by mówić do niej: Audrey – poinformował ją Jax.

– I co, mamuś? – zapytał zaczepnie głos. – Nie wydajesz się zachwycona, że się tu znalazłaś.

– Gdzie jesteś? – zapytała błagalnie, wodząc oczami po szarych ścianach. – Proszę cię, kochanie, niech cię zobaczę. – Marcy obróciła się bezradnie.

– Nie jestem twoim „kochaniem”. – W beznamiętnym głosie pobrzmiwała tak dobrze znana pogarda.

Wzrok Marcy powoli oswajał się z mrokiem, jak obiektyw kamery, który się dostraja. Teraz wyraźniej widziała przerażoną, przywiązaną do krzesła Shannon. Zauważyła, że dziewczyna ledwo dostrzegalnie porusza nogami, próbując poluzować więzy na kostkach, i napina okręcone sznurem ramiona. Wyczytała błaganie w jej przestraszonych oczach, kiedy wymownie spojrzała na masywny żelazny pogrzebacz oparty o nierówne kamienie paleniska, a potem przeniosła wzrok na tylne drzwi w drugim końcu pomieszczenia.

– Pokaż się – poprosiła cicho Marcy, za wszelką cenę pragnąc wziąć córkę w ramiona. Nawet teraz, myślała. Pomimo tej niemal surrealistycznej sytuacji. Pomimo roli Devon. Wbrew wszystkiemu.

– Pokażę się, kiedy będę na to gotowa.

– Chcę cię tylko uściskać.

– Nie sądzę, aby to był dobry pomysł.

– Czemu? Co się dzieje? W co ty się wplątałaś?

– Och, myślę, że akurat na to pytanie znasz odpowiedź. Prawda, mamuś? Zdaje się, nieźle naplotłaś na policji. Podobno mają cię tam za kompletną wariatkę. – Parsknęła śmiechem. – Co, trzeba przyznać, doskonale wpisuje się w nasz plan.

– Jaki plan? – Marcy dostrzegła na ścianie cień odrzucanych do tyłu długich

włosów.

– Chcesz poznać szczegóły? Nie będziesz zachwycona.

– Myślę, że przynajmniej tyle jesteś mi winna.

– Nic nie jestem ci winna.

– Audrey! – zniecierpliwiał się Jax. – Tracimy czas. Mamy forszę. Zastrzelmy je i zwijajmy się stąd.

Stłumiony jęk wyrwał się z zakneblowanych ust Shannon. Nie ukrywała już swych rozpaczliwych zmagania. Zaczęła zaciekle kołysać krzesłem do przodu i w tył.

Jakieś odległe wspomnienie odbiło się echem w umyśle Marcy – klapki otwały się i na powrót zamknęły, otwały się i zamknęły – gdy Audrey nagle wyłoniła się z cienia i zdecydowanym krokiem wyszła na środek pokoju. Ciemne długie włosy zasłaniały jej twarz, za to pistolet w prawej dłoni pozostawał doskonale widoczny.

– Uspokój się! – rzuciła do Shannon, wolną ręką przyciskając jej ramię wraz z krzesłem do podłogi. – Nie zamierzamy cię zabić. – Spojrzała na Marcy. Iskra, która strzeliła w kominku, oświetliła jej cyniczny uśmiech. – Moja matka to robi.

Marcy zaparło dech i zachwiała się, jakby dosięgnął ją cios. Shannon na nowo podjęła zmagania z więzami. Niemowlę u jej stóp zanosilo się płaczem.

– To bardzo proste, mamuś. Większości zdążyłaś się domyślić. Naturalnie z wyjątkiem własnej roli. – Nakręcając się w miarę mówienia, uśmiechała się coraz szerzej, wyraźnie z siebie zadowolona. – Widzisz, z początku planowaliśmy porwać tę stukniętą, małą Caitlin i przetrzymać ją do chwili otrzymania okupu. To miało wyglądać na robotę Shannon. I wtedy ty się pojawiłaś z tymi swoimi głupimi zdjęciami. Podtykałaś je ludziom pod nos, opowiadając tę swoją idiotyczną, łzawą historię każdemu, kto tylko chciał słuchać, i musieliśmy szukać nowego pomysłu. Naprawdę wyjątkowo paskudnie wstrzełaś się w czas. Od wielu miesięcy planowaliśmy to porwanie, i ściągnięcie na siebie uwagi dokładnie w chwili, gdy już wszystko mieliśmy dopięte, było ostatnią rzeczą, jakiej nam było potrzeba. Z początku wydawało nam się, że jeżeli będziemy cię ignorować, może spakujesz manatki i wyjedziesz. Ale ty nie przestałaś nam się narzucać i ani myślałaś wyjechać. Potem próbowaliśmy schodzić ci z oczu, jednak okazałaś się potwornie uparta. Prawda, mamuś, że jesteś uparta? Później postanowiliśmy cię nastraszyć. Niestety, to też nie wypaliło. I już mieliśmy cię zabić, gdy wpadliśmy na pomysł, że przecież możemy cię wykorzystać jako – jak to się mówi? Kozła ofiarnego? No właśnie. Biedna Marcy, zboleła po przedwczesnej śmierci córki, obsesyjnie stara się nawiązać przyjaźń z głupkowatą, naiwną Shannon, a gdy nic z tego nie

wychodzi, zdesperowana najmuje człowieka, który porywa Shannon wraz z Caitlin. Potem w przyływie szaleństwa zabija je obie i nie radząc sobie z poczuciem winy, popełnia samobójstwo targana wyrzutami sumienia. A współnik w tym samym czasie znika z okupem.

– To byłbym ja – oznajmił Jax z nieukrywaną dumą w głosie.

– I tu się mylisz – odparła słodko Audrey, unosząc pistolet i celując mu w głowę.

– Kurde, co ty robisz?! – Chełpliwy ton natychmiast znikł.

– Pięćset tysięcy euro łatwiej się dzieli przez dwa niż trzy, prawda?

Pociągnęła za spust.

Powietrze wypełnił krzyk Caitlin. Jax runął na wznak na podłogę, wyrzucając ręce ponad głowę. Z rany na środku czoła trysnęła krew. Sekundę później skrępowana Shannon rzuciła się do Audrey, zawadzając krzesłem o jej udo. Obie kobiety wylądowały na podłodze i Audrey upuściła pistolet. Marcy pierwsza zdążyła do niego dopaść. Palce Audrey ześliznęły się po jej ręce, posyłając dreszcz prosto do serca.

– Nie ruszaj się! – ostrzegła Marcy i cofnęła się, oburącz trzymając pistolet w drżących dłoniach.

– Mamuś, naprawdę mogłabyś mnie zabić? – zapytała żałośnie Audrey. W tej samej chwili jakimś cudownym zrzędzeniem losu niemowlę ucichło.

– Nie mów do mnie „mamuś”! – wycedziła Marcy, patrząc jej prosto w oczy. – Nie wiem, kim ty, do diabła, jesteś, lecz na pewno nie moją córką!

– Marcy! – Męski głos poniósł się po wnętrzu, odbijając się od ścian niczym zabłąkana kula.

Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, do kogo należy. Spodziewała się go tutaj.

– Liam. – Przechyliła głowę w jego stronę, nie odrywając oczu od Audrey.

– Już dobrze, Marcy – przemówił łagodnie, stając w drzwiach. – Całe popołudnie chodziłem za tobą. Policja jest już w drodze. – Przysunął się bliżej. – Oddaj pistolet. Już po wszystkim.

– Nie podchodź! – ostrzegła go, już pewniej trzymając rękę z pistoletem.

– Marcy, co ty wyprawiasz? To ja, Liam. Jestem po twojej stronie, pamiętasz? – Zaśmiał się.

– Nie jesteś po mojej stronie.

– O czym ty mówisz?

– To twoja robota. Ty to wszystko ukartowałeś.

Bo tylko od niego Audrey mogła słyszeć o wizytach w komisariacie i o tym, że według policjantów cierpi na urojenia z powodu stresu. Skąd Jax wiedział o samobójstwie jej matki i wielokrotnych małżeństwach siostry? Albo o tym, że Devon zawsze mówiła do niej „mamuś”? Tylko jemu się zwierzała. Wiedział o dręczącym ją poczuciu winy po awanturze, jaką zrobiła Devon za pobazgranie ścian i zbesztanie jej, gdy nie ćwiczyła porządnie na fortepianie. Nikomu więcej o tym nie wspomniała.

– Myślisz, że to mój pomysł? – Omiatał pokój wzrokiem. – Według ciebie jestem mózgiem przestępstwa? Masz mnie za aż tak sprytnego? Zastanów się, Marcy. Oddaj mi pistolet.

– A ty masz mnie za głupią? – zrewanżowała się.

– Marcy...

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię zastrzeliła.

– Zastrzeliłabyś mnie?! Daj spokój. Pleciesz jak szalona.

– No, niewątpliwie udało ci się przekonać policję, że jestem bardziej porąbana od drewna. – Zaśmiała się, bo przyszła jej na myśl Judith.

– Bardziej porąbana od drewna? Ty siebie słyszysz? – zapytał Liam takim tonem, jakby podejrzewał, że do reszty straciła rozum.

Zupełnie jakby słyszała Petera, tylko akcent był irlandzki.

– Marcy, opanuj się. Odłóż broń. Histeryzujesz. Sama nie wiesz, co mówisz.

Gdzieś z oddali doszedł ją nasilający się odgłos syren.

Boże, pomyślała, rozproszona natrętnym zawodzeniem. Czyżby się myliła? Czy możliwe, że on jednak wezwał policję?

Liam, wykorzystując moment nieuwagi, doskoczył do Marcy, wyrwał z jej ręki pistolet i pchnął ją na podłogę. Potknęła się o ciało Jaksy i zatoczyła w stronę kominka.

– Bierz dzieciaka! – usłyszała okrzyk Liama.

Widziała, jak Audrey wyciąga Caitlin z kartonu i puszcza się biegiem do bocznych drzwi z Liamem depczącym jej po piętach. Marcy złapała za pogrzebacz. I co ja z tym zrobię? – przemknęło jej przez głowę.

W uszach zadźwięczała jej rada Sarah:

– *Nie myśl. Po prostu wal.*

Nie myśl, powtórzyła w myślach.

– Po prostu wal! – dokończyła na głos.

Zamachnęła się. Usłyszała świst pogrzebacza tnącego powietrze i głuche

stuknięcie metalu o kości, gdy pogrzebacz dosięgnął pleców Liama. Zobaczyła, jak on zatacza się i, wypuściwszy z dłoni pistolet, pada na ziemię. Chwyciła broń, przeskoczyła nieprzytomnego Liama i ruszyła w pogoń za Audrey. Zimny wiatr smagał ją po twarzy jak wilgotny ręcznik. Wycie syren przybliżało się, mieszając się z rozpaczliwym płaczem Caitlin. Wytężając wzrok, wypatrywała Audrey w gęstej mgle. Zobaczyła, że dziewczyna zbiega po stromiźnie wzgórza. Ruszyła w pogoń. Co rusz potykała się o wykroty i dwukrotnie upadła. Teraz wyraźnie widziała już przynajmniej z sześć radiowozów sunących pod górę krętą drogą.

– Audrey! – krzyknęła do uciekającej kobiety. – Stój! Policja zaraz tu będzie! Nie uciekniesz!

Audrey w odpowiedzi przesunęła się na sam skraj klifu. Wiatr targał jej długimi włosami, podkreślając powierzchowne podobieństwo do Devon.

– Nie masz dokąd uciec! – Podniesiony głos Marcy przebił się przez łomot fal o skały. Dzieliło je nie więcej niż trzy metry, lecz tylko krzycząc, mogły się słyszeć.

– Jeden krok i *bye-bye baby!* – Audrey wysunęła ramię z niemowlęciem poza krawędź klifu.

Marcy mignęła przed oczami postać matki na moment przed śmiertelnym skokiem. Zobaczyła, jak leci w powietrzu i uderza o beton.

– Audrey, oddaj dziecko! – zawołała błagalnym tonem. – Może uda ci się uciec!

– Jak ci się wydaje, jakie mam szanse?! – rzuciła Audrey urągliwie. – Myślisz, że rozplnę się w powietrzu?!

– Kto wie.

– Jak twoja córka?

Marcy łzy zakręciły się w oczach.

– Moja córka nie znikła – oznajmiła, po raz pierwszy mierząc się z prawdą. Jej matka i córka podzieliły ten sam tragiczny los, pomyślała. – Ona nie żyje.

– Myślałam, że w to nie wierzysz.

– Nie chciałam w to wierzyć.

– Taak? Wiesz co... – zaczęła Audrey, gdy gdzieś za nimi rozległ się pisk hamulców i trzask otwieranych drzwiczek. – Ubijmy interes – dziecko za broń. Co ty na to?

– Umowa stoi – natychmiast przystała na propozycję Marcy.

– Ty pierwsza – zażądała Audrey. – Rzuć tu pistolet. – Wolną ręką wskazała kępę trawy u stóp. – I żadnych głupstw, bo przysięgam, że dzieciak wyląduje na dole.

– Żadnych głupstw. – Marcy, uważnie celując, rzuciła pistolet na wskazane

miejsce, patrząc, jak znika w wysokiej trawie. – A teraz oddaj mi dziecko.

Audrey przez kilka sekund wpatrywała się w Marcy, jakby rozważała następny ruch. Potem powoli ruszyła przed siebie, z dzieckiem w wyciągniętych rękach.

Zupełnie jak w moim śnie, pomyślała Marcy, wstrzymując oddech.

– *To dziewczynka, którą zawsze chciałaś mieć* – powiedziała Devon, zanim rozsunała ramiona i upuściła dziecko.

Moje dziecko nie żyje, pomyślała Marcy. Nie mogłam go uratować.

– Jest twoja – oznajmiła Audrey, kładąc płaczące niemowlę w skwapliwie wyciągniętych ramionach Marcy.

– Marcy! – zawołał Vic Sorvino i biegnąc ku nim, wyłonił się z mgły.

Okrzyk spłoszył Audrey. Rzuciła się po pistolet ukryty w trawie i potykając się o własne nogi, pośliznęła się na nierówności. Marcy patrzyła bezradnie, jak dziewczyna zatacza się do tyłu, traci równowagę i rozpaczliwie machając rozpostartymi ramionami, spada ze stromego wzgórza. Krzyk niesiony wiatrem znikł wraz z nią w lodowatych falach Roaringwater Bay.

– Kiedy się zorientowałaś, że to nie twoja córka? – zapytał Vic Sorvino, przytrzymując w dłoniach ciągle jeszcze drżące ręce Marcy.

Siedzieli obok siebie w gabinecie Christophera Murphy’ego przed zarzuconym papierami biurkiem. Policjant przeprosił ich i wyszedł do pokoju obok naradzić się z Donnelly i Sweenym.

– Nie od razu – przyznała. – W domu było ciemno i kiedy ją zobaczyłam, wcale nie byłam pewna. Włosy miała takie same jak Devon; podobny wzrost, budowę ciała, a nawet owal twarzy. Tylko głos był inny, nawet gdy szeptała. Mówiła do mnie „mamuś” i dlatego powtarzałam sobie, że przecież dawno jej nie słyszałam, że jest teraz starsza, że zawsze potrafiła naśladować różne akcenty i że jej głos miał prawo się zmienić. No wiesz, to takie typowe racjonalizacje. Ostatnio zrobiłam się w tym dobra. – Westchnęła, przyznając w duchu, że w jej przypadku „racjonalizacja” to delikatnie powiedziane. – W każdym razie, tak jak mówiłam, było ciemno, a ona z początku w ogóle nie podnosiła głowy. Większą część twarzy przesłaniały włosy. Dopiero gdy Jax stwierdził, że powinni nas zastrzelić i wziąć nogi za pas, podeszła do Shannon i z zimną krwią oświadczyła: *Nie zamierzamy cię zastrzelić. Moja matka to robi.* Akurat wtedy iskra z kominka oświetliła jej całą twarz. Uśmiechała się, a ja usłyszałam w głowie słowa Petera: *Tej dziewczynie przydałby się aparat na zęby.* – Marcy pokręciła głową. – Wtedy przestałam się łudzić. Na pewno pamiętasz zdjęcie Devon z porcelanowym aparatem. Miała idealne zęby, a u tej dziewczyny wszystkie były krzywe. To nie były zęby Devon! – Westchnęła przeciągle. – Myślę, że od początku się domyślałam. – Sięgnęła do leżącej na kolanach torebki i wyjęła pomiętą kopertę ze zdjęciami Devon i listem. Podała ją Vicowi. – Możesz przeczytać – powiedziała, gdy ostrożnie rozkładał kartkę. – Chyba nigdy nie miałam wątpliwości, że to list pożegnalny. Ale nie chciałam tego przyjąć do wiadomości. Wmawiałam sobie, że mogła rozmyślić się w ostatniej chwili. Albo że chciała, abyśmy uznali ją za zmarłą.

Vic przeczytał list i delikatnie wsunął go z powrotem do torebki.



– Widać, że bardzo cię kochała.

Marcy pokiwała głową.

– Ja też ją kochałam. Jednak to nie wystarczyło, aby ją uratować.

– Kochałem moją żonę – powiedział Vic. – To też nie wystarczyło, aby ją uratować.

– Twoja żona miała raka. To nie to samo.

– Nie? Obie były chore. Chore na coś, z czym nie potrafiły walczyć. Marcy, niesłusznie się obwiniasz.

– Nie? Powiedziałam jej, że mam dość matkowania upartej nastolatce. Jaka matka mówi takie rzeczy?

– Całkiem normalna.

Marcy stanęły przed oczami dni, kiedy strofowała Devon za lekceważenie nauki gry na fortepianie, oraz tamto nieszczęsne popołudnie, gdy nakrzyczała na malutką Devon za pisanie po ścianach. Przypomniała sobie, jak mała odwróciła się, chwytając za brzuszek, jakby trafiona śmiertelną kulą.

Jednak w liście Devon nie było ani słowa o tamtych wydarzeniach. Wypełniły go wyłącznie wspomnienia szczęśliwych, wspólnie spędzanych chwil, kiedy razem oglądały telewizję, chodziły na balet i odpoczywały w letnim domku. Devon pisała jedynie o miłości.

– Tak bardzo ją kochałam – westchnęła Marcy, cicho popłakując.

– Wiem. A co ważniejsze, Devon to wiedziała.

Do biura wkroczył Christopher Murphy, a za nim John Sweeny z Colleen Donnelly. Marcy wierzchem dłoni otarła łzy z policzków.

– Pan Flaherty złożył nam szczegółowe zeznania – oświadczył Murphy, obchodząc biurko i opadając ciężko na obrotowy fotel.

Do Marcy nie od razu dotarło, że to Liam jest owym „panem Flahertym”. Jeszcze więcej czasu zajęło jej zrozumienie wyводу Murphy’ego:

– Podobno ojciec Liama pracował kiedyś w przedsiębiorstwie budowlanym O’Connorów. Kilka lat temu zginął w wypadku na budowie, a rodzina, według słów Flaherty’ego, nie otrzymała stosownego odszkodowania. Postanowił więc sam zadbać o zadośćuczynienie, porywając dla okupu dziecko O’Connorów. Audrey poznał w Grogan’s House, gdy któregoś wieczoru przyszła tam z Jaksem. Dziewczyna przebywała w mieście od niedawna, wcześniej mieszkała w Londynie i przez większość życia miała kłopoty z prawem. We troje zaplanowali porwanie Caitlin, a dla ułatwienia Jax miał poderwać Shannon, tak jak to pani odkryła –

zwrócił się Murphy do Marcy, z uznaniem kiwając głową. Przechylił się nad biurkiem, ryzykownie opierając łokcie na stercie dokumentów. – I nagle pani się zjawia, przekonana, że zobaczyła córkę. Pokazuje zdjęcie Devon różnym przypadkowym osobom, a hałaśliwa kelnerka dostrzega podobieństwo dziewczyny na zdjęciu do Audrey. I tu zaczyna się cała historia.

– Kiedy oni porwali dziecko? – Marcy usiłowała ustalić chronologię wydarzeń, jakby to mogło pomóc ogarnąć je rozumem.

– Rano Shannon wyszła z dzieckiem na spacer. Żądanie okupu przedstawiono dosłownie kilka minut po porwaniu. Panu O'Connorowi wyznaczono trzy godziny na zgromadzenie pieniędzy z jednoczesnym ostrzeżeniem, że jakakolwiek próba kontaktu z nami zakończy się śmiercią Caitlin.

Marcy przyjęła tę informację skinieniem głowy, nadal starając się oddzielić fikcję od twardych, przykrych faktów. Liam od samego początku ją okłamywał. Szczery był tylko jeden raz, kiedy powiedział, że nie zna dziewczyny na zdjęciu. Ona natomiast chętnie wierzyła w jego kłamstwa i zaspokajała swą próżność, myśląc, że ją uwodzi, a tymczasem jego zaloty były zwykłym podstępem, aby nią manipulować i wyciągać od niej potrzebne informacje. Namawiał ją, żeby dzwoniła na policję, chcąc ośmieszyć ją w oczach *gardai* i jednocześnie odsunąć podejrzenia od siebie. Poprzedniego wieczoru wcale nie zadzwonił do domu O'Connorów i nie rozmawiał z Shannon, a ta nigdy nie skontaktowała się z Audrey. Wczoraj wieczorem i dziś rano wydzwaniał do hotelu tylko po to, żeby ją sprawdzać. Podobnie było z telefonem przed katedrą Świętego Findbara – chciał się upewnić, czy Marcy postępuje zgodnie z instrukcjami Audrey, czy nikomu nie powiedziała, dokąd się wybiera i co zamierza.

– A teraz Audrey nie żyje – powiedziała na głos.

– Niestety – potwierdził Sweeny. – Godzinę temu fale wyrzuciły jej ciało na skały w pobliżu Wyspy Niedźwiedziej.

– Jednego nie rozumiem – skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

– Może pani podziękować panu Vicowi Sorvinowi – odezwała się Colleen Donnelly.

Marcy pytająco spojrzała na Vica.

– Zajrzyj do torebki – podpowiedział.

Otworzyła torebkę i zaczęła przeglądać jej zawartość. Wyjęła portfel, paszport, kopertę z listem i zdjęciami Devon, pomadkę, okulary słoneczne, kilka miętówek rozsypanych na dnie i... coś jeszcze. Jej palce zamknęły się na małym metalowym

przedmiocie. Podniosła go do światła.

– Co to jest? Jakiś wihajster? – spytała z pretensją w głosie.

– Co takiego? – chciał wiedzieć Murphy. Troje policjantów wymieniło między sobą zdziwione spojrzenia.

– Nie całkiem – zaśmiał się rozbawiony Vic.

– To mikronadajnik – wyjaśnił Sweeny, odbierając urządzenie od Marcy i obracając je w dłoni.

– Umieściliśmy go w pani torebce, ulegając dość przekonującym argumentom pana Sorvina – dodał Murphy.

– Podobno miał nam wytoczyć proces za zniewagę, jaka spotkała go na lotnisku, o ile nie przystaniemy na jego prośbę – dopowiedziała Donnelly.

– Zdecydowanie pusta pogróżka – zbagatelizował sprawę Vic.

– Zdecydowanie. Niemniej jednak pan Sorvino był tak bardzo przekonany, że jest pani w niebezpieczeństwie...

– I straszył, że rozbije obóz na korytarzu komisariatu...

– I pójdzie do ambasady amerykańskiej...

– Mimo że pani jest obywatelką Kanady – przerwał wyliczankę Murphy.

– Postanowiliśmy więc zrobić mu tę przysługę.

– Śledziliśmy panią od chwili, gdy wyszła pani z hotelu – oznajmił Sweeny.

– A na dodatek zabraliśmy go z sobą – wtrąciła Donnelly, ruchem głowy wskazując Vica. – W ogóle nie rozumiem, jak to możliwe. Nie wiedziałam, że masz takie miękkie serce – zwróciła się do Murphy'ego.

– Powiedzmy, że chociaż tyle mogłem zrobić dla kogoś, kto ma trzech synów w policji. – Murphy pokrył zakłopotanie chrząknięciem.

Płacz dziecka, donośny jak echo armatniego wystrzału, wypełnił korytarz. I zaraz rozległo się delikatnie pukanie do drzwi. Młoda kobieta z krótkimi ciemnymi włosami wsunęła głowę do gabinetu.

– Państwo O'Connor czekają w sąsiednim pokoju – powiedziała półszepem. – O ile to możliwe, chcieliby zobaczyć się z panią Taggart.

Chwilę później wprowadzono małżeństwo do gabinetu. Marcy wstała na powitanie.

– Pani Taggart, nie wiemy, jak pani dziękować! – Pan O'Connor kilkoma długimi krokami znalazł się przy niej i energicznie potrząsał jej ręką.

Żona stanęła przy nim. Jej zazwyczaj atrakcyjna twarz była blada i opuchnięta od płaczu. W ramionach trzymała spazmującą niemowlę.

– Nie wiem, jak ją uspokoić – wyszeptała bezradnie. – Shannon mówi, że pani ma na nią sposób. Może wyjawi mi pani swój sekret – dodała nieśmiało.

Marcy się uśmiechnęła. To bolesna prawda, ale nie ma żadnych sekretów, przyznała się przed samą sobą.

– Czasami po prostu ma się szczęście – powiedziała.

Na dworze było już ciemno, kiedy Vic z Marcy wrócili do Hayfield Manor. Przelotny deszcz przestał padać, wiatr się uciszył. Według słów taksówkarza, który wiozł ich do hotelu, nazajutrz miał być piękny dzień, słoneczny i ciepły. Już teraz temperatura wydawała się wyższa niż za dnia, chociaż Marcy wątpiła, czy cokolwiek będzie ją w stanie rozgrzać. Marzyła o ciepłym posiłku, gorącej kąpieli i o łóżku. Jutro sprawdzi, czy uda jej się przebukować samolot.

– Na pewno nie dasz się namówić na wspólny wyjazd do Włoch? – zapytał Vic, kiedy zwlekając z rozstaniem, stali objęci przed wejściem do hotelu.

– Naprawdę pojechałabym z radością – wyznała, walcząc z chęcią zaproszenia go do pokoju, aby tam zagubić się w błogim cieple jego objęć. Jednak i bez tego już za długo czuła się zagubiona. – W tej chwili to chyba nie najlepszy pomysł. Potrzebuję czasu na dojście do siebie. Może przeżywam spóźnione załamanie nerwowe. Może Peter ma rację, twierdząc, że jestem szalona. Tego nie wiem. Jednak wiem na pewno, że przez ostatnie dwa lata nie zachowuję się racjonalnie. Od śmierci Devon. – Te słowa z trudem przeszły jej przez usta. – Muszę wrócić do domu, znaleźć dobrego terapeute, wyprostować układy z synem, doprowadzić swoje sprawy do porządku. Może za jakiś czas, o ile nie zmienisz zdania...

– Nie zmienię – zapewnił ją skwapliwie.

– Nie wspominałeś, że twoi trzej synowie są policjantami. – Uśmiechnęła się.

– Bo nie są. – Posłał jej łobuzerski uśmiech. – Nabrałem ich.

– Okłamałeś policjantów? Dlaczego?

– Musiałem ich jakoś przekonać, żeby mnie z sobą zabrali, no nie?

– I nakłamałeś? – Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

Wzruszył ramionami. A potem złożył na jej ustach delikatny pocałunek, który jeszcze długo po ich pożegnaniu czuła na wargach. Stojąc w drzwiach, patrzyła, jak Vic wsiada do czekającej taksówki i znika w ciemnościach nocy.

– Marcy?! – zawołał ktoś za jej plecami.

Obejrzała się i zobaczyła, jak z kanapy przy mahoniowych schodach zrywa się wysoka, szczupła kobieta o jasnych włosach, z ładnie zarysowanymi mięśniami i zmierza do niej, stawiając energiczne kroki. Czy to możliwe? A może nadal widzi

rzeczy, których nie ma?

– Judith? Co tu robisz?

– Myślałaś, że będę spokojnie czekać, aż odzyskasz rozum i wrócisz do domu? – usłyszała w odpowiedzi. – Sterczę tu całe popołudnie. Gdzieś ty się, do cholery, podziewała?! Kim jest ten facet?! – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu.

– To przyjaciel.

– Przecież ty nie masz żadnych przyjaciół.

– Mam ciebie. – Marcy z uśmiechem przyciągnęła siostrę do siebie i mocno przytuliła.

Judith otoczyła szyję Marcy długimi, silnymi ramionami.

– Tak, masz mnie. – Stały tak przez jakiś czas, nie chcąc się od siebie oderwać.

– Wiesz, że cię kocham, prawda? – spytała Marcy.

– Ja ciebie też kocham. – Judith delikatnie wysunęła się z objęć i nerwowo się rozglądała. – I co...? Znalazłaś...? Czy Devon...?

– Devon nie żyje – powiedziała Marcy opanowanym głosem. Nabrała powietrza i powoli wypuściła oddech. – Zabiła się. Tak jak nasza matka.

Łzy wypełniły oczy Judith, oczy, które, jak Marcy teraz dopiero dostrzegła, miały dokładnie taki sam odcień brązu jak oczy Devon. Czemu dotąd tego nie zauważyła?

– To nie była twoja wina.

– Wiem.

– Nic więcej nie mogłaś zrobić dla żadnej z nich.

– Wiem.

– Przykro mi, że nie miałaś we mnie większego wsparcia.

– Nie musisz się usprawiedliwiać – uspokoiła ją Marcy. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że tu jesteś.

– No, hmm, a ja tak do końca nie wiem, czy się cieszę. – Judith zachichotała nerwowo. – Orientujesz się mniej więcej, ile tych przeklętych mostów jest w tym mieście?

– Chyba z grubsza się orientuję. – Marcy się zaśmiała.

– Wiesz, ja naprawdę cię kocham.

– Wiem.

– Jesteś pewna, że się dobrze czujesz? – spytała Judith.

– Jeszcze będę się dobrze czuć – zapewniła ją Marcy z uśmiechem.

# Podziękowania

Jak zawsze – serdeczne dzięki dla Larry’ego Mirkina, Beverley Slopen, Tracy Fisher, Emily Bestler, Sarah Branham, Judith Curr, Louise Burke, Davida Browna, Brada Martina, Mai Mavjee, Kristin Cochrane, Val Gow, Adrii Iwasutiak i Corinne Assayag. Dziękuję również nowym współpracownikom – Pauline Post, Carole Schwindeller, Lynn Henry i Nicie Pronovost. Miło mieć was „na pokładzie”.

Składam podziękowania moim wydawcom, agentom i tłumaczom w różnych częściach świata za ich wspaniałą pracę.

Pragnę szczególnie podziękować mej cudownej rodzinie – mężowi, Warrenowi, córkom, Shannon i Annie, jej mężowi, Courtneyowi, oraz memu uroczenemu małemu wnuczkowi, Haydenowi – na widok jego słodkiej buzi zawsze muszę się uśmiechnąć.

Dziękuję również Aurorze za jej nieustającą troskę o moje dobre samopoczucie.

A na koniec kuflem piwa wznoszę toast za przepiękną Irlandię. Mam nadzieję, że niedługo znowu tam pojedę.